

KONSPEKT

■ Gość Konspektu

Janusz Zdebski
rektor Akademii Wychowania
Fizycznego w Krakowie

■ Historia sportu

Czesław Michalski
dzieje Towarzystwa Gimnastycznego
„Sokół”

■ Psychologia

Jan Blecharz
o roli psychologii
w sporcie

■ Galeria Konspektu

Eugeniusz Mucha

■ Na małym i dużym ekranie

Agnieszka Ogonowska
o sporcie w telewizji

Romuald Oramus
sport i rekreacja w sztuce



■ Rozmowy Konspektu

Jerzy Engel
o zawodzie trenera

■ Taniec

Andrzej Golonka
historia tańca towarzyskiego
w Polsce

■ Reportaż

Bolesław Faron
relacja z podróży
do Australii

Bogusław Wołoszański
rozmowa o popularyzowaniu
historii



Eugeniusz Mucha

Matka, 1993, olej/plótno, 93 x 72 cm

KONSPEKT

Tematyka sportowa obecna jest w „Konspekcie” od samego początku jego istnienia. Postanowiliśmy zatem w całości poświęcić jej bieżący numer naszego pisma.

Na temat sportu wypowiadać się mogą nie tylko autorzy związani z tą formą działalności człowieka, ale każdy, kto pasjonuje się sportową rywalizacją lub sam uprawia jakąś dyscyplinę. Proponujemy naszym Czytelnikom spojrzenie na tę problematykę w różnych aspektach, m.in.: historycznym, dziennikarskim, artystycznym i psychologicznym.

Gościem niniejszego numeru jest prof. Janusz Zdebski – rektor krakowskiej Akademii Wychowania Fizycznego, który opowiada o nowych wyzwaniach stojących przed tą uczelnią. O niełatwym zawodzie trenera piłki nożnej, często niemającym nic wspólnego z etymologią słowa „sport” (łac. *desportare* – odprężyć się, rozzerwać), opowiada były selekcjoner reprezentacji Polski – Jerzy Engel. Znaczenie psychologii w sporcie opisał Jan Blecharz – pracownik krakowskiej AWF, współpracujący m.in. z Adamem Małyszem i Renatą Mauer-Różańską.

W numerze nie zabrakło artykułów nawiązujących do historii ruchu sportowego na ziemiach polskich: Czesław Michalski przedstawia dzieje Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”; Adam Bańdo – zagadnienia sportowe na łamach „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” w okresie międzywojennym.

Główną tematykę numeru podjęli także w swych felietonach stali współpracownicy „Konspektu”: Romuald Oramus ukazuje sport w sztuce, Agnieszka Ogonowska przybliżyła problem medialności i spektakularyzacji sportu, Maciej Kawka analizuje poprawność językową komentatorów sportowych.

Na kolejną wycieczkę, tym razem w okolice Lanckoron, zaprasza Piotr Pacholarz. Elżbieta Sionko natomiast namawia do korzystania z sauny, opisując jej zdrowotne działanie w stałym cyklu „Rekreacja”.

Wśród tematów niesportowych znalazł się między innymi wywiad z Bogusławem Wołoszańskim, autorem telewizyjnego cyklu programów pt. *Sensacje XX wieku*. W rozmowie poruszono m.in. problem pojmowania fikcji w powieści historycznej oraz popularyzowania historii w naszym kraju. W numerze znajduje się także kolejny reportaż Bolesława Farona, tym razem z podróży do Australii. Nie zabrakło recenzji książek oraz sprawozdań z konferencji, których w bieżącym numerze jest wyjątkowo dużo.

Redakcja składa podziękowanie wszystkim Autorom, szczególnie zaś Czesławowi Michalskiemu oraz Markowi Karwali za współpracę przy niniejszym numerze „Konspektu”. Życzymy przyjemnej lektury.

4/2005 (24)



7 Gość Konspektu

Moje zamierzenia sytuują się na kilku płaszczyznach: po pierwsze – dydaktyka i nauka, po drugie – rozwój kadr, po trzecie – inwestycje, po czwarte – doskonalenie struktur Uczelni i wewnętrznego przepływu informacji – mówi prof. Janusz Zdebski, rektor Akademii Wychowania Fizycznego w Krakowie



15 Rozmowy Konspektu

Pracujemy pod wielką presją mediów: one kreują pewne zachowania i ustawiają przeciwko trenerom kibiców, zawodników, a czasami kluby i zarządy. W związku z tym, jeśli ktoś raz ulegnie mediom i odejdzie ze swojej ścieżki, to już nigdy na nią nie wróci. Ja staram się iść zawsze swoją drogą – przyznaje Jerzy Engel, były selekcjoner reprezentacji Polski

46 Od momentu, w którym człowiek ułamał gałąź, mamy do czynienia z techniką. Myślę, że nie wolno mówić czy pisać o człowieku, równocześnie jej nie pokazując. Realizujemy nasze zamiary, plany, właśnie za pomocą techniki. Takie są nasze możliwości, jaką mamy technikę. Bez zrozumienia techniki, bez zrozumienia, czego dokonano, dokąd zmierzano – prezentacja historii jest po prostu niemożliwa – twierdzi Bogusław Wołoszański, dziennikarz, pisarz, autor programu *Sensacje XX wieku*



11 Psychologia

W początkowym okresie rozwoju psychologii sportu najczęściej stawiano pytanie: „dlaczego?” – albowiem badaczy interesowało przede wszystkim, dlaczego jedni zawodnicy osiągają zdecydowanie lepszy rezultat niż inni, mimo iż prezentują porównywalny poziom umiejętności? Dlaczego ludzie uprawiają sport? Dlaczego wybierają taką, a nie inną dyscyplinę? – rolę psychologii

w sporcie przybliży Jan Blecharz

32 Historia sportu

Sto dwadzieścia lat działalności Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” przybliży Czesław Michalski

REDAKCJA

Stanisław Skórka
(redaktor naczelny)
Piotr Krywak
Michał Grzeszczuk
Marcin Kania
Bartosz Ochoński

RADA PROGRAMOWA

prof. Tadeusz Budrewicz
(przewodniczący)
prof. Jacek Chrobaczynski
prof. Ryszard Pado
prof. Helena Siwek
prof. Stanisław Sobolewski
dr Edward Chudziński
prof. Zbigniew Długosz
dr Czesław Michalski

WSPÓŁPRACA

Iwona Tomasiak
Agnieszka Ogonowska
Elżbieta Sionko
Marek Karwala
Czesław Michalski
Jerzy S. Ossowski
Romuald Oramus
Maciej Kawka
Dorota Kamińska

ZDJĘCIA

Marian Pasternak
Mieczysław Węclawek

PROJEKT OKŁADKI

Grzegorz Karwala

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania tekstów i zmian redakcyjnych.
Proponując reklam i ogłoszeń prosimy przekazywać na adres redakcji

Pismo Akademii Pedagogicznej
im. Komisji Edukacji Narodowej
<http://www.ap.krakow.pl/konspekt>
30-084 Kraków
ul. Podchorążych 2, pok. 7p
tel. (0-12) 622 61 28
e-mail: konspekt@ap.krakow.pl

28 Na małym i dużym ekranie

Związki między sportem a mediami posiadają również, a może przede wszystkim, wymiar praktyczny. Dzięki telewizji uzyskujemy relacje o sportach egzotycznych (np. rajdy samochodowe na pustyni) czy ekstremalnych (np. wspinaczka wysokogórska), do których przeciętny widz nie miałby dostępu – twierdzi Agnieszka Ogonowska w artykule o wzajemnych relacjach mediów i sportu

65 Galeria Konspektu

Marek Karwała prezentuje twórczość Eugeniusza Muchy



68 O motywach sportowych możemy mówić nie tylko w sztukach pięknych. Należy wspomnieć o obecności wielkiej sztuki w miejscu kultu związanym ze sportową rywalizacją. W świątyni olimpijskiej znajdował się monumentalny, ośmiokrotnie większy od wzrostu dorosłego człowieka, pomnik Zeusa dłuta Fidiasza, wykonany ze złota i kości słoniowej, uznany za jeden z siedmiu cudów świata – o sporcie w sztuce opowiada Romuald Oramus

102 Reportaż



Lila we wspomnieniach wraca do czasów studiów na WSP, pokazuje indeks, m.in. z moimi podpisami, przypomina koleżanki – Ninę Zdyb, Ewę Łubieniewską, Andrzeja Gurbiela. Opowiada o swojej pracy nauczycielki w Nowym Targu, w Krośnie Odrzańskim na Śląsku i w Siedlcach. Wyemigrowali z Polski w 1997 r., najpierw do Niemiec, potem do Australii – relację z wizyty na Antypodach u absolwentów krakowskiej WSP przedstawia Bolesław Faron

39 Historia prasy

O propagowaniu rekreacji i sportu na łamach „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” – pisze Adam Bańdo

50 Literatura popularna

Podczas lektury „Twierdzy szyfrów” nieodparcie nasuwa się pytanie: co właściwie czytamy? Z pewnością nie literaturę faktu, choć takie skojarzenie zrazu się narzuca: za wiele tu fikcji. A zatem – powieść. Tylko jaką? – pyta Piotr Krywak w eseju poświęconym prozie Bogusława Wołoszańskiego

109 Z Konspektem w plecaku

Piotr Pacholarz opisuje trasę turystyczną po okolicach Lanckoron

126 Rekreacja

Zabieg sauny zaliczany jest do zabiegów ciepłoleczniczych, ponieważ działamy na organizm wysoką temperaturą oraz okresowo go ochładzamy, co zmusza nasze mechanizmy termoregulacyjne do bardzo intensywnej pracy – o saunach i komorach kriogenicznych pisze Elżbieta Sionko

Spis treści

- 7 *Odpowiadać na wyzwania nowych czasów. Rozmowa z prof. Januszem Zdebskim, rektorem Akademii Wychowania Fizycznego w Krakowie*
- 11 Jan Blecharz, *Praktyczna psychologia sportu*
- 15 *Staram się zawsze iść swoją drogą...* Rozmowa z Jerzym Engelem
- 22 Andrzej Golonka, *Taniec towarzyski w Polsce*
- 28 Agnieszka Ogonowska, *Sport w telewizji*
- 32 Czesław Michalski, *120 lat działalności Krakowskiego Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”*
- 39 Adam Bańdo, *O sporcie i Pałacu Prasy...* Część I. „Ilustrowany Kurier Codzienny”
- 43 *Sylwetki: Barbara Gołąb, Boguchwał Fulara, Jerzy Szymczyk*
- 46 *Nie lubię słowa „fikcja”...* Rozmowa z Bogusławem Wołoszańskim
- 50 Piotr Krywak, *Fikcja jako ilustracja hipotezy*
- 55 Marcin Kania, *Johann E. – historia i hipotezy*
- 58 Iwona Tomasiak, *Z obrad Senatu*
- 60 Marcin Pawłowski, *Dyplomy 2005*
- 62 Lucjan Orzech, *Dyplomy*
- 63 Anna Roczyna, Bartosz Ochoński, *Wieczór autorski prof. Bolesława Faron*
- 65 Marek Karwala, *O artystycznych peregrinacjach Eugeniusza Muchy*
- 68 Romuald Oramus, *Sport w sztuce*
- 71 Szczesny Wroński, *[Wiersze]*
- 73 Małgorzata Lebda, *Wiersze*
- 75 Wojciech Wiercioch, *Szkice o aforystyce (2). Pochwała aforyzmu*
- 84 Józef Sowa, *Ku dobrej, nowoczesnej szkole*
- 88 Barbara Kamińska-Czubała, *Najśłabsze ogniwo. Gra o przyszłość bibliotek szkolnych*
- 92 Małgorzata Wieczorek-Tomaszewska, *Język przekazu wizualnego*
- 96 Zbigniew Długosz, Sławomir Kurek, *Starzenie się ludności w Polsce na tle regionów Unii Europejskiej*
- 99 Piotr Daszkiewicz, *Afrykańskie badania i kolonialne wyprawy Jana Dybowskiego*
- 102 Bolesław Faron, *List z „krajów kangurów”. Wśród absolwentów WSP w Australii*
- 109 Piotr Pacholarz, *Łanckorońska terapia*
- 116 Maciej Kawka, *Panem et circenses. O języku komentatorów sportowych*
- 118 Elżbieta Sionko, *Zabiegi zimno- i ciepłolecznice. O saunach i komorach kriogenicznych*
- 122 Czesław Michalski, *Sport akademicki wśród geografów*
- 124 Łukasz Smogorowski, *Z życia Klubu Uczelnianego Akademickiego Związku Sportowego*
- 126 Elżbieta Sionko, *Grupy rehabilitacyjne*
- 128 Ewa Piotrowska, Renata M. Zajac, *Badania ankietowe w Bibliotece Głównej AP*
- 130 Elżbieta Budkiewicz, *Działalność informacyjna w Bibliotece Głównej Akademii Wychowania Fizycznego w Krakowie*
- 134 Jerzy Szczesny, *Dziwny kwantowy świat. Część III. Amplitudy prawdopodobieństwa i komputery kwantowe*
- 140 Emilia Musiał, *15. Ogólnopolskie Sympozjum Naukowe „Komputer w edukacji”*
- 143 Wanda Matras, *VIII Międzynarodowa Konferencja Naukowa Kraków – Lwów: książki, czasopisma, biblioteki XIX i XX w.*
- 146 Gabriela Meinardi, *Europa języków i kultur – spotkanie w Krakowie*
- 148 Paweł Wójs, *Kondycja człowieka współczesnego: diagnozy i perspektywy*
- 150 Wioletta Woźniczko, *Media lokalne w Polsce – piętnaście lat doświadczeń*

- 152 Mirosław Frań, *Jak udoskonalać nauczanie astronomii? Konferencja Naukowego Koła Fizyków „Pozyton”*
- 155 Agnieszka Fluda-Krokos, *„Poezja jest dla wybranych, interpretacja to zabawa w inteligencję”. Spotkanie z Ewą Lipską*
- 157 Jerzy S. Ossowski, *O alchemikach groteski*
- 162 Józef Sowa, *Ku dobrej edukacji*
- 164 Sabina Kurzawa, *Książka dla każdego nauczyciela*
- 167 Izabela Luzar, *Peter Skrzynecki „Bezdomne psy”*
- 169 *Poezja świadectwa i sprzeciwu*
- 170 Jolanta Grzegorzek, *Nowości Wydawnictwa Naukowego Akademii Pedagogicznej*

Odpowiadać na wyzwania nowych czasów

Rozmowa z prof. Januszem Zdebskim,
rektorem Akademii Wychowania Fizycznego w Krakowie



Fot. M. Węclawek

Prof. Janusz Zdebski

Marek Karwala: – Panie Profesorze, jest Pan nowym, ale zarazem... „starym” rektorem, jako że po przewidzianej ustawą przerwie powrócił Pan – z woli społeczności akademickiej – na zajmowane już wcześniej stanowisko. Czy zdobyte uprzednio doświadczenia zamierza Pan teraz spożytkować? Jaką ma Pan wizję rozwoju Akademii?

Janusz Zdebski: – Nie jestem pewien, czy uda mi się wykorzystać poprzednie doświadczenia, ponieważ w ciągu sześciu lat dokonało się bardzo wiele zmian prawnych, ekonomicznych

itp. Weszliśmy do Unii Europejskiej, pojawiła się nowa ustawa o szkolnictwie wyższym... Z drugiej jednak strony doświadczenia to także pewien rodzaj rutyny – wypracowane sposoby postępowania z ludźmi, co jest mi bliskie z racji mojego fachu psychologicznego. Ten rodzaj zdobytej poprzednio wiedzy będzie mi – jak sądzę – obecnie przydatny.

Gdy zaś chodzi o perspektywy i zamierzenia, to jest tak, że zamierzenia dzielą się na standardowe i konieczne, a każdy rektor musi troszczyć się o nie oraz je przestrzegać. Wymienię tu chociażby systematyczną dbałość o jakość nauczania, o rozwój kadr naukowych, o wzbogacanie oferty studiów. Natomiast jeżeli chodzi o moje inne plany, to pragnę powiedzieć,

Nie możemy pozwolić sobie na żadną stagnację, musimy ciągle rozwijać się, stale walczyć o lepszą jakość, ponieważ funkcjonujemy w warunkach ostrej konkurencji, w warunkach rynkowych, które narzucają określone konieczności

że podczas jednego z pierwszych posiedzeń senatu przedstawiłem program złożony z dziesięciu punktów. Będę zatem zmierzał do sporządzenia nowego statutu Uczelni i całego zestawu regulaminów okołostatutowych. Zdaję sobie sprawę, że zajmie nam to sporo czasu, bo jest to – bez żadnej przesady – ogromna praca o charakterze administracyjnym. Musimy uporządkować spr-

wy związane z uzyskiwaniem praw do nadawania doktoratów przez drugi wydział. Chciałbym, żebyśmy doprowadzili do powstania kolejnego wydziału, myślę tu o turystyce i rekreacji.

– Który wydział posiada aktualnie prawa doktoryzowania?

– Na Wydziale Wychowania Fizycznego można się obecnie doktoryzować oraz ubiegać o stopień doktora habilitowanego. W niedługim czasie takie prawa powinien uzyskać także Wydział Fizjoterapii.

Moje zamierzenia sytuują się w kilku płaszczyznach: po pierwsze – dydaktyka i nauka, po drugie – rozwój kadr, po trzecie – inwestycje, po czwarte – doskonalenie struktur Uczelni i wewnętrznego przepływu informacji

Kolejny punkt mojego programu dotyczy inwestycji. Otóż w 2006 r. będziemy budować halę tenisową; chcemy, aby była wykonana sprawnie i w terminie. Na terenie naszego kampusu pragniemy także wybudować basen kąpielowy. Zamierzamy pozyskać w tym celu fundusze unijne oraz inne środki zewnętrzne. Basen jest nam szalenie potrzebny, bo z jednej strony dla fizjoterapii byłby on poligonem doświadczalnym do pracy z pacjentami, z drugiej strony, rzecz jasna, korzystałoby z niego studentów; koledzy z AZS-u już snują plany powołania do życia sekcji pływakkiej.

Jeżeli chodzi o dalsze kwestie, to mamy do rozstrzygnięcia kilka istotnych dylematów. Jeden z nich dotyczy naszego ośrodka wodnego w Załężu. Nasuwa się pytanie, czy lepiej będzie dalej utrzymywać własny ośrodek, czy może raczej postawić się na wynajem dla konkretnych potrzeb? Czekają nas szereg poważnych prac związanych z wprowadzeniem legitymacji elektronicznych oraz ze złożonym procesem dalszej informatyzacji Uczelni.

Myślę również o tym, żeby – w miarę możliwości – wprowadzić nowe kierunki studiów. Rada Główna Szkolnictwa Wyższego zaproponowała właśnie uczelniom jako nowy kierunek...

taniec. Jesteśmy tą propozycją zainteresowani; sądzę, że można by go uruchomić wspólnie z Państwową Wyższą Szkołą Teatralną i z Akademią Muzyczną. Rozmawiałem z rektorem Jerzym Stuhrem na ten temat i być może, że coś z tych rozmów się wykluje. Byłyby to wówczas studia międzyuczelniane.

Istotnym problemem jest także podniesienie prestiżu Uczelni. Myślę, że mogłaby nań wpłynąć obecność studentów z zagranicy. Chęć przyjazdu do nas zgłosili już studenci z Portugalii. Wówczas – na zasadzie wymiany – nasza młodzież pojechałaby tam na okres semestru lub dwóch.

Chcemy wejść jak najszerzej w tę wymianę studencką.

Generalnie rzecz ujmując, moje zamierzenia sytuują się w kilku płaszczyznach: po pierwsze – dydaktyka i nauka, po drugie – rozwój kadr, po trzecie – inwestycje, po czwarte – doskonalenie struktur Uczelni i wewnętrznego przepływu informacji.

– Dzisiaj toczy się bój uczelni państwowych i niepaństwowych o studenta. Jakie jest zainteresowanie młodzieży studiami w Akademii Wychowania Fizycznego? Które kierunki cieszą się największą popularnością?

– Zainteresowanie jest duże. Na wychowanie fizyczne ubiegają się zazwyczaj ponad dwie osoby na jedno miejsce, na fizjoterapię 5–6 kandydatów, a na turystykę jeszcze więcej. Tu może pojawić się pewien problem w przyszłości, gdyż będziemy zmuszeni zmierzyć się z niżem demograficznym. Zatem trzeba będzie rozbudować studia podyplomowe, stworzyć nowe kierunki, jak np. menedżerstwo sportowe... Sprawa jest dosyć oczywista – nie możemy pozwolić sobie na żadną stagnację, musimy się ciągle rozwijać, stale walczyć o lepszą jakość, ponieważ funkcjonujemy w warunkach ostrej konkurencji, w warunkach rynkowych, które narzucają określone konieczności.

– *W Akademii studiujecie wielu sportowców, których nazwiska pojawiają się na pierwszych stronach gazet sportowych, by wymienić chociażby lekkoatletów – Marcina Urbasia lub Piotra Klimczaka. Nie jest łatwo pogodzić czynne uprawianie sportu na najwyższym poziomie z solidnym, regularnym studiowaniem. Jak problem ten jest rozwiązywany w krakowskiej AWF?*

– Studenci-sportowcy otrzymują z reguły indywidualny tok studiów. Uczelnia stara się te osoby wspierać także w inny sposób, co nie oznacza bynajmniej jakichś szczególnych preferencji czy ulg. Jeżeli są to np. narciarze, a u nas studiuje ich wielu, to dla nich organizuje się zajęcia w wymiarze skomasowanym wtedy, gdy wracają z obozów. Zdarza się też czasami, że różny jest poziom dyscypliny wewnętrznej i świadomości „posiadaczy” indywidualnego toku studiów. Jedni rozumieją swoją sytuację i potrafią skorzystać z otrzymanej szansy, a inni uważają, że określone przywileje im się po prostu należą. Z tymi ostatnimi musimy, niestety, nawet po kilku latach rozstać się, gdy nie widać żadnych postępów lub żadnego zainteresowania studiami z ich strony.

– *W ostatnich latach rozstali się z Akademią w Europie i w świecie prof. Jerzy Żołądz i dr Jan Blecharz, którzy w znacznej mierze przyczynili się do osiągnięcia przez Adama Małysza fantastycznych wyników. Obaj cieszyli się już zastrzeżonym szacunkiem przed podjęciem pracy z kadrą polskich skoczków narciarskich. Prof. Żołądz pracował przecież m.in. w tak sławnym klubie piłkarskim jak Ajax Amsterdam, a dr Blecharz z gimnastyczką Teresą Folgą, kadrą biegaczek narciarskich, kadrą koszykarek, łyżwiarzami figurowymi – małżeństwem Siudków, piłkarzami Wisły Kraków, strzelczynią Renatą Mauer-Różańską... Jak Pan Rektor postrzega możliwość przekładania teorii na praktykę sportową?*

– Jeżeli chodzi o ścisłość, to akurat biografie obu wymienionych Panów są najlepszym przykła-

dem takich relacji. Pan profesor Żołądz, obecny prorektor Akademii ds. Nauki, jest dzisiaj jednym z najbardziej cenionych w świecie fizjologów sportu. Swoją wiedzę teoretyczną konsekwentnie przekłada na wiedzę stosowaną. Ma zresztą prywatne doświadczenia sportowe, co też nie jest bez znaczenia.

– *Był lekkoatletą Unii Tarnów...*

– Tak, stamtąd pochodzi i tam trenował. W tarnowskiej Unii biegał również średnie dystanse dr Blecharz, choć na co dzień mieszkał w Okocimiu.

– *Jest Pan z wykształcenia polonistą i psychologiem. Jaka była Pańska droga do sportu – bo przecież Pan też uprawiał sport, a konkretnie biegi sprinterskie w krakowskim Wawelu – i do Akademii Wychowania Fizycznego?*

– Jestem krakowianinem z urodzenia, zawsze tu mieszkałem i tutaj już pozostanę. Gdy chodziłem do III Liceum Ogólnokształcącego im. Jana Kochanowskiego, ktoś mnie zauważył i namówił do treningów właśnie w Wawelu. Pamiętam, że mój pierwszy wynik w biegu na 100 m to było 11,3 s.

Studenci-sportowcy otrzymują z reguły indywidualny tok studiów. Uczelnia stara się te osoby wspierać także w inny sposób, co nie oznacza bynajmniej jakichś szczególnych preferencji czy ulg

– *To – jak na pierwszy raz – wynik bardzo obiecujący...*

– Ale ostatecznie doszedłem jedynie do 11 s, zatem wielkich postępów nie zrobiłem. Nieco później biegałem także 400 m, gdzie osiągnąłem wynik 50,2 s. Tak więc najpierw był sport i to właśnie on zaprowadził mnie do AWF. Gdy ukończyłem polonistykę, a potem psychologię, spotkałem mojego trenera i zwierzyłem mu się, że poszukuję pracy. Zaproponował mi, abym

udał się do AWF, co też niebawem uczyniłem i po rozmowie z ówczesnym rektorem – prof. Stanisławem Pankiem – w roku 1973 r. zostałem zatrudniony. Dzięki Bogu, jestem tu już trzydzieści dwa lata i z wolna staję się żywym świadkiem odchodzących postaci, wydarzeń; pamiętam wiele osób, które już dawno nie żyją i w związku z tym mogę powiedzieć, że jestem tym, który łączy przeszłość ze współczesnością.

– Pan Profesor nie jest jedynym polonistą pracującym w Akademii Wychowania Fizycznego...

– Owszem. Jednym z nich jest prof. Andrzej Matuszyk, który kończył polonistykę w krakowskiej Wyższej Szkole Pedagogicznej (obecna AP) i przez kilka lat był tam zatrudniony w Instytucie Filologii Polskiej. Tutaj trafił natomiast do Zakładu Alpinizmu (był bowiem alpinistą), zdobył kolejne stopnie naukowe i wciąż u nas pracuje. Polonistą jest też prof. Edward Mleczeko.

– Pamiętam go jako znakomitego długodystansowca...

– O tak! Był on wybitnym sportowcem, reprezentował wielokrotnie barwy Polski podczas zawodów międzynarodowych, jego kariera niewątpliwie zwracała uwagę.

– Czy zechciałby Pan Rektor powiedzieć coś o swoich zainteresowaniach naukowych?

– Przez szereg lat zajmowałem się turystyką. Byłem prezesem Zarządu Głównego PTTK przez lat osiem (do września 2005 r.), przewodnikiem tatrzańskim, interesowała mnie bowiem psychologia turystyki. W tej chwili, wraz z kolegą Ryszardem Winiarskim, przygotowujemy

podręcznik z tego zakresu dla WSiP. Drugim obszarem moich zainteresowań jest sport. Przez dłuższy czas byłem psychologiem siatkarek Wisły Kraków; był to okres, kiedy zdobywały one mistrzostwo Polski. Wtedy w zespole grały takie zawodniczki, jak: Kisiel, Pypno, Kwaśniewska – one nadawały ton grze.

– Kwaśniewska powróciła do Wisły jeszcze kilka lat temu.

– Tak, ale wtedy była już osobą, jak na sportsmenkę, zaawansowaną wiekowo, chociaż sporo jeszcze potrafiła dać młodemu zespołowi. Gdy pracowałem z Wisłą grała także Magdalena Śliwa, obecna kadrowiczka trenera Andrzeja Niemczyka.

W tym drugim obszarze szczególnie interesują mnie relacje na linii: trener – zawodnik – psycholog, funkcjonowanie zespołu sportowego, tzw. „chemia zespołu”, czynniki, które decydują o tym, że drużyna jest zgrana, skuteczna itp.

Kolejne kwestie, które zajmują moją uwagę, to szeroko rozumiana biografistyka, szczególnie zaś „bieg życia ludzkiego”, będący nowym prądem w psychologii. W swoim czasie pisałem przewodniki po słynnym zakopiańskim cmentarzu, Pęksowym Brzyzku, a potem po nowym cmentarzu w Zakopanem (wraz z Maciejem Pinkwartem).

Mam jeszcze inne zainteresowania, ale te wymienione traktuję jako moją specjalizację.

– Bardzo dziękuję Panie Rektorze za rozmowę, życząc równocześnie, aby Akademia pod Pańskim przewodnictwem rozwijała się i zyskiwała na znaczeniu, zaś Panu osobiście dalszych sukcesów naukowych oraz dydaktycznych.

Rozmawiał Marek Karwala

Jan Blecharz

Praktyczna psychologia sportu



Historia psychologii sportu sięga przełomu XIX i XX w. Do prekursorów tej dziedziny należą: N. Triplett, E. W. Scripture, G. T. W. Patrick, R. Cummins (w Ameryce), H. Steinitzer (w Europie), S. Szuman (w Polsce). W początkowym okresie rozwoju psychologii sportu najczęściej stawiano pytanie: „dlaczego”? – albowiem badaczy interesowało przede wszystkim, dlaczego jedni zawodnicy osiągają zdecydowanie lepszy rezultat niż inni, mimo iż prezentują porównywalny poziom umiejętności? Dlaczego ludzie uprawiają sport? Dlaczego wybierają taką, a nie inną dyscyplinę?

W kolejnym etapie rozwoju psychologii sportu dominowało pytanie: „kto”? Np.: kim są ci, którzy podejmują określoną aktywność sportową? Co charakteryzuje ich osobowości? Przykładem mogą być badania polskich uczonych – M. Sokołowskiego czy też R. Kordysa – przeprowadzone wśród taterników.

Co prawda z roku na rok psychologia sportu umacniała się jako dyscyplina akademicka, jednak zawsze najistotniejszy był aspekt praktyczny. Nie dziwi zatem fakt, że współcześnie, a więc od końca lat 70. XX w., psychologowie sportu najczęściej odpowiadają na pytanie „jak”? Np. jak postępować, aby zwyciężyć? Jak radzić sobie z emocjami? Jak poprawić swoje osiągnięcia? Jak zwiększyć koncentrację uwagi?

Wynika z tego, że znaczenie i wartość psychologii sportu mierzone są przede wszystkim jej wkładem w podnoszenie efektywności działania. Co zrobić, żeby sprawniej funkcjonować, osiągać lepsze wyniki, przełamywać bariery własnych

możliwości, nauczyć się efektywnie działać w sytuacji stresu?

Na praktyczny aspekt psychologii sportu wskazuje również korzystanie z technik pozwalających na szybką interwencję w różnego rodzaju

Predyspozycje psychiczne, którymi charakteryzuje się sportowy mistrz, warto również kształtować u menedżerów, naukowców oraz osób wykonujących odpowiedzialne zadania

nagłych, czasem wręcz kryzysowych sytuacjach – tzw. *brief counseling*. Ma on na celu jak najszybsze zapanowanie nad nieprzewidywanymi okolicznościami. Proces ten przebiega w czterech następujących etapach: jasne zdefiniowanie problemu, weryfikacja proponowanych rozwiązań, określenie szczegółowych celów do zmiany, opracowanie dokładnego planu działania.

Kolejnym potwierdzeniem praktyczności psychologii sportu jest możliwość zastosowania jej

w innych dziedzinach aktywności. Przykładem może być wykorzystywanie technik psychoregulacyjnych stosowanych w pracy z zawodnikami w takich profesjach, jak: chirurgia, kontrola ruchu powietrznego, pilotaż samolotów wojskowych i pasażerskich – innymi słowy, wszędzie tam, gdzie nie ma miejsca na popełnienie błędu.

Od każdego sportowca wymaga się obecnie jak najlepszych wyników (*peak performance*). Prawdziwymi bohaterami zostają jednak ci, którzy potrafią powtarzać oraz poprawiać swoje osiągnięcia i to nie tylko na treningach, ale przede

Obecnie dostrzega się szereg podobieństw między funkcjonowaniem dobrze zorganizowanej firmy i funkcjonowaniem zwycięskiej drużyny

wszystkim podczas najważniejszych zawodów (*prime performance*). Poziom w sporcie wyczynowym jest dziś szalenie wyrównany i często o zdobyciu medalu decyduje czynnik psychiczny. W chwili startu zawodnik musi być w pełnej dyspozycji, zaprezentować najlepsze z możliwych wykonania. Niewątpliwie potrzebny jest do tego trening umiejętności psychologicznych, które sprzyjają osiągnięciu optymalnego stanu psychofizycznego, zwanego stanem *flow*. Zawodnik jest wówczas przekonany, że jego umiejętności są odpowiednie do czekających go wyzwań, jego cała uwaga skupia się na „tu i teraz”, na nic nie czeka, niczego nie wyprzedza myślą, a wykonywana czynność daje takie zadowolenie, że chce się ją wykonywać dla niej samej, nawet jeżeli jest trudna lub niebezpieczna. Niektóre aktywności – takie jak wspinaczka górską, taniec, żeglarstwo czy gra w szachy – zostały tak opracowane, aby ułatwiać uzyskanie stanu przepływu.

Aby osiągać stan optymalnego doświadczenia, gwiazdy współczesnego sportu muszą trenować nie tylko swoje ciało, ale też psychikę. Koncentracja uwagi, pewność siebie, odporność na stres to umiejętności, które można kształtować i doskonalić. Praca z zawodnikiem zaczyna się zazwyczaj od obserwacji treningu. Pozwala to zdiagnozować, jakie procesy psychiczne są naj-

istotniejsze w danej dyscyplinie sportu. Współczesny psycholog sportu korzysta ze środków audio-wizualnych oraz nowoczesnej aparatury diagnostycznej i monitorującej aktywność organizmu (np. aparatura do *biofeedbacku*). Rozmowa z zawodnikiem i zespołem trenerskim umożliwia zebranie informacji, które wraz z wynikami badań aparaturowych i kwestionariuszowych pomagają w trafnym sformułowaniu problemów do rozwiązania (np. problemy techniczne zawodnika, kłopoty z koncentracją uwagi, trudności w komunikacji na linii zawodnik – trener).

Każde oddziaływanie psychologiczne musi mieć swoje cele i uzasadnienie.

Ważne jest również, by techniki pracy były dostosowane do wieku oraz poziomu sportowego zawodnika. Inne jest bowiem oddziaływanie

na młodego sportowca, będącego jeszcze dzieckiem, a inne na zawodnika dorosłego, będącego u szczytu kariery. Trzeba również pamiętać, że kariera w sporcie wyczynowym, w porównaniu z innymi dziedzinami działalności, jest bardzo krótka. Wiek emerytalny sportowca to 30–35 lat. Od przygotowania psychologicznego zależy, jak zawodnik będzie sobie radził w dalszej części swojego życia. Czy zdominuje go rozczarowanie i porażka, czy też wykorzysta w pełni posiadane cechy i umiejętności, takie jak np. radzenie sobie ze stresem, dążenie do jak najlepszych wyników, dyspozycyjność itp.

Wydaje się, że doświadczenia wyniesione z praktyki psychologii sportu mogą być przydatne w innych dziedzinach psychologii stosowanej.

Obecnie dostrzega się szereg podobieństw między funkcjonowaniem dobrze zorganizowanej firmy i funkcjonowaniem zwycięskiej drużyny. Do zagadnień, które są przedmiotem zainteresowania zarówno psychologii sportu, jak też psychologii organizacji i zarządzania, należy motywacja. Można ją porównać do sprężyny, która wprowadza w ruch cały mechanizm wiodący do sukcesu. Bez pragnienia poprawy wyniku przez zawodnika, inne czynniki psychiczne (koncentracja uwagi, kontrola emocji czy wiara w swoje możliwości) będą na dłuższą metę bez większego znaczenia. Motywacja powinna mieć

charakter długofalowy, gdyż o wygranej w dużo większym stopniu decyduje nie to, co dzieje się w dniu rozgrywania zawodów, ale w dniach, tygodniach, a nawet miesiącach je poprzedzających. Motywacja mistrzowska to współodpowiedzialność zawodnika za poziom osiągnięć, a nawet więcej – to sposób na życie.

Jedno z podstawowych pytań związanych z motywacją dotyczy jej źródeł. Wyróżnia się motywację wewnętrzną i zewnętrzną. Pierwszą charakteryzuje radość z wykonywania czynności i samodoskonalenie. Druga jest wzbudzana przez czynniki zewnętrzne (pochwały, medale, trofea, nagrody finansowe). Często uważa się, że motywacja zewnętrzna niszczy motywację wewnętrzną, niezbędną do osiągnięcia poziomu mistrzowskiego. Warto jednak pamiętać, że to nie nagroda sama w sobie, lecz jej interpretacja oddziałuje na motywację wewnętrzną. Jeśli uświadomimy sobie, że kariera sportowa przypada na okres, który przeciętny młody człowiek wykorzystuje na zdobycie zawodu i osiągnięcie życiowej stabilizacji oraz że profesjonalne uprawianie sportu bardzo często wyklucza możliwość pracy zawodowej czy nauki, nie będzie nas dziwić, że sportowiec zadaje sobie pytanie: „Co ja z tego będę miał? Czy mi się to opłaci?”.

Dodajmy jeszcze, że z uprawianiem sportu wiąże się ryzyko odniesienia kontuzji, której skutki odczuwane są niekiedy przez resztę życia. Wielcy mistrzowie poszukują zewnętrznych gratyfikacji, aby dowartościować się i uzyskać potwierdzenie swojej klasy sportowej. Jednocześnie, w kluczowych momentach treningów i zawodów, potrafią oni izolować się od dystraktorów. Prawdziwi mistrzowie potrafią wzbudzać w sobie motywację wewnętrzną w celu osiągnięcia korzyści zewnętrznych. Potrafią być cierpliwi w odraczaniu gratyfikacji i ascetyczni. Znajdują radość w swojej działalności, gdyż wiedzą, że „smutni chłopcy przybiegają na metę jako ostatni”. Podobnie rzecz ma się z innymi dziedzinami ludzkiej aktywności. Nie potępiamy twórców muzyki, malarstwa czy też wybitnych aktorów, sprzedających swój kunszt za wielkie pieniądze. Wątpliwości budzą się wtedy, gdy sprzedawany jest kicz.

Osobiste cele, dążenie do samorealizacji przekładają się na ciekawe sposoby wzbudzania w sobie motywacji. Może to być na przykład pytanie zawieszone w pokoju na ścianie albo zapisane na kartce i trzymane w kieszeni: „Co zrobię dziś, aby być lepiej przygotowanym?”. Kolarze miewają przybite do kierownicy hasła, np. „Giro”. Skojarzenia z nimi związane stymulują do wysiłku, pokazując jednocześnie jego prawdziwy sens. Słynny kolarz amerykański, Lance Armstrong, podczas treningu przygotowującego go do startu w Tour de France usłyszał kiedyś, że w tym dniu już dalej nie pojedzie, ponieważ wysoko w górach pogoda jest zbyt kiepska. Armstrongowi zostało jeszcze 25 kilometrów do przejechania. Zamiast, jak inni, odpuścić sobie, zjechał w dół i ponownie powtórzył przedostatni odcinek. Z kolei Adam Małysz potrafi w pokoju hotelowym ćwiczyć samotnie w pełnym rynsztunku startowym pozycje dojazdowe...

We współczesnym świecie bardzo cenione są: dyspozycyjność, dążenie do jak najlepszych wyników, umiejętność efektywnego działania pod presją, kontrola emocji, radzenie sobie w sytuacji rywalizacji

Predyspozycje psychiczne, którymi charakteryzuje się sportowy mistrz, warto również kształtować u menedżerów, naukowców oraz osób wykonujących odpowiedzialne zadania.

Częstą przeszkodą w efektywnym działaniu jest lęk poznawczy. Jego treścią jest antycypacja różnego rodzaju negatywnych konsekwencji nieudanego działania oraz koncentracja na odbiorze własnej osoby przez otoczenie. Dobrą ilustracją tego, jak działa lęk poznawczy, mogą być dwie następujące sytuacje. Pierwsza dotyczy występu Carla Lewisa w finale biegu na 100 m podczas Igrzysk Olimpijskich w Seulu (1988). Lewis, który był zdecydowanym faworytem, przegrał nieoczekiwanie z Benem Johnsonem. Po biegu zapytał swojego psychologa: „Dlaczego przegrałem? Przecież jestem najlepszy!”. W odpowiedzi usłyszał: „Przegrałeś dlatego, że biegniesz po torze Bena”. Gdy zawodnik obejrzał

zapis wideo, zrozumiał sens tej wypowiedzi. Okazało się, że zamiast skupić się całkowicie na wykonywanym zadaniu – kilkakrotnie rzucił spojrzenie na tor swego konkurenta, co najprawdopodobniej było spowodowane obawą przed porażką. W konsekwencji tej dekoncentracji osiągnął gorszy wynik.

Druga sytuacja miała miejsce podczas Igrzysk Olimpijskich w Atlancie (1996). Dotyczy ona chińskiego zawodnika Wanga, który zdecydowanie prowadził w finale strzelania z pistoletu dowolnego. Miał do wykonania ostatni strzał. Aby zdobyć złoty medal wystarczyło oddać strzał o przeciętnej wartości. Zawodnik nie chciał oddać byle jakiego strzału, ale najlepszy, po prostu mistrzowski. Każde inne wykonanie uznałby za porażkę w oczach widzów. Tak długo przymierzał się i odkładał moment oddania strzału, że gdy w końcu musiał go wykonać pod presją uciekającego czasu, okazało się, że uzyskał bardzo słaby wynik i w ten sposób przegrał złoty medal. Gdy uświadomił sobie, co się wydarzyło – zemdlął i został na noszach zniesiony ze strzelnicy.

Lęk poznawczy może dotyczyć każdego, kto boi się konsekwencji ewentualnej porażki.

Jaka jest na to rada? Przede wszystkim trzeba przestać myśleć o wynikach, a skoncentrować się na działaniu i znaleźć osobistą satysfakcję z tego, co się robi.

Umiejętności oraz cechy kształtowane poprzez trening psychologiczny są bardzo przydatne również po zakończeniu kariery sportowej. We współczesnym świecie bardzo cenione są: dyspozycyjność, dążenie do jak najlepszych wyników, umiejętność efektywnego działania pod presją, kontrola emocji, radzenie sobie w sytuacji rywalizacji. Ważne jest, aby sportowiec zdawał sobie sprawę z tych walorów i umiał je wykorzystać w innych warunkach życiowych oraz innych wymaganiach. Ma temu służyć takie prowadzenie zawodnika, aby widział on siebie „w sporcie i poprzez sport”. Obecnie coraz częściej mówi się o *coachingu*. Oznacza to, że zawodnik powinien być nie tylko trenowany (tzn. doskonalić swoją fizyczną sprawność), ale również, poprzez aktywność sportową, kształtować swój charakter. Obserwując zmagania sportowców pamiętajmy, że człowiek jest jednością psychosomatyczną, a grecka *kalokagatia* – ideał etyczny łączący doskonałość duchową i cielesną – na szczęście nie straciła na aktualności.

Jan Blecharz

Staram się zawsze iść swoją drogą...

Rozmowa z Jerzym Engelem



Stanisław Skórka: – Chciałbym zacząć od problemu terminologicznego. Często, kiedy oglądamy transmisje z meczów, okazuje się, że na boisku mamy do czynienia nie tylko z piłkarzami czy sędziami, ale też z menedżerem, trenerem, selekcjonerem. Jaka jest różnica pomiędzy tymi funkcjami?

Jerzy Engel: – Olbrzymia. Jeśli chodzi o selekcjonera – jest to termin praktycznie zarezerwowany tylko i wyłącznie dla jednego trenera w Polsce, który prowadzi reprezentację narodową. Sama zaś reprezentacja, to jedyny zespół, gdzie nie trenuje się piłkarzy, lecz wybiera ich spośród najlepszych, opracowuje dla nich taktykę i przygotowuje do kolejnego meczu jedynie pod względem taktycznym i psychologicznym. W pracy selekcjonera nie ma sterowania treningiem. Trener to człowiek, który prowadzi cały proces szkoleniowy tak, by pomóc zawodnikowi uzyskać mistrzostwo sportowe – pojedynczo lub zespołowo. Menedżer natomiast odpowiada w klubie za szkolenie i za kompletowanie zespołu, a więc również za transfery i politykę kadrową.

S.S.: – Pytam o to nie bez powodu: byłem zdziwiony, gdy dowiedziałem się, że Jose Mourinho, słynny menedżer Chelsea Londyn, nigdy nie grał w piłkę nożną, a osiąga takie sukcesy...

J.E.: – Może tak być. Są osoby, które nigdy dobrze nie grały w piłkę nożną, a osiągnęły

sukcesy jako trenerzy z tego tylko względu, że są odpowiednio przygotowani. Mourinho wyszedł z domu piłkarskiego – jego ojciec był trenerem, a więc nasiąkał od dziecka tematyką piłkarską. Mój syn podobnie. Już jako dzieciak siedział w szatniach, kiedy były odprawy zawodników, bo on to uwielbiał – był w szatniach, kiedy się przegrywało i wygrywało; chłonał wszystkie napływające informacje o piłce nożnej. I chyba dzięki temu został szkoleniowcem. Mourinho musiał zaczynać podobnie.

S.S.: – W takim razie jakie cechy powinny charakteryzować trenera, a jakie menedżera drużyny?

J.E.: – Trener musi być człowiekiem fantastycznie wyedukowanym, jeśli idzie o metodykę szkolenia, a to z tego względu, że dostaje najróżniejszych piłkarzy do kształcenia. Trener szkoli ich właściwie od najmłodszych lat; mamy przecież grupy młodzieżowe: nastolatków i seniorów. I na każdym etapie potrzeba zupełnie innego rodzaju nauczania i szkolenia. Jest to działanie wielokierunkowe, na jednym spotkaniu niemożliwe jest omówienie wszystkich aspektów treningu. Wystarczy powiedzieć, że trzeba nauczać i techniki, i taktyki. Ponadto należy właściwie kształcić poszczególne cechy motoryczne, zauważone u konkretnych zawodników, bo budowa każdego mięśnia jest inna i każdy mięsień posiada inne predyspozycje

– albo szybkościowe, albo wytrzymałościowe. W związku z tym dla każdego zawodnika musi być dobrany indywidualny rodzaj treningu. Dla tego trener musi mieć olbrzymią wiedzę.

Jeśli natomiast chodzi o menedżera – ten musi mieć przede wszystkim fantastyczne oko, które pozwoli mu wyłapać najlepszych piłkarzy spośród obserwowanych i dopasować ich do powstającego zespołu. On odpowiada za politykę kadrową klubu, w związku z tym wie, kogo w najbliższym czasie trzeba będzie się pozbywać, a kogo i gdzie będzie można znaleźć, aby cały zespół zrobił kolejny krok naprzód. Bez wątpienia są to dwie zupełnie inne profesje.

S.S.: – Czyli wygląda to tak, że trener przygotowuje zawodnika, wykonuje tę „czarną robotę”, natomiast menedżer zwyczajnie korzysta z jego pracy – słowem „spija śmietankę”?

J.E.: – Tak, zgadza się. Także w Polsce trenerzy wykonują pracę Syzyfa. Nauczamy, szkolimy, przygotowujemy, a kiedy zawodnik jest gotowy – ucieka za granicę, gdzie interesują się nim lepsze kluby. Tak stało się z zawodnikami Wisły Kraków. Przecież oni wszyscy wyjechali i teraz trzeba tworzyć nową Wisłę od początku, nauczając, szkoląc i przyjmując takich piłkarzy, jakich mamy dzisiaj – póki co – niedouczonech. Za parę lat będą grali tak, jak ich poprzednicy, ale wtedy będą się nimi interesowały zupełnie inne kluby.

Marcin Kania: – Jako trener jest Pan nauczycielem kolejnych pokoleń zawodników. Ale jako nauczyciel sam Pan posiadał swoich mistrzów. Właśnie o nich chciałbym zapytać: kim byli, jak skłonili Pana do obrania tej drogi życiowej?

J.E.: – Muszę powiedzieć, że jeśli chodzi o piłkę nożną, nie miałem dobrych nauczycieli. Wychowywałem się w międzyszkolnym klubie sportowym Junak Włocławek. Chodziłem wtedy do Liceum im. Marii Konopnickiej, gdzie graliśmy z grupą zdolnych chłopaków. Był to biedny klub, zresztą jak wszystkie uczniowskie. Mieliliśmy tylko dwie piłki, a więc nie było mowy

o szkoleniu, ale i tak zaszliśmy bardzo wysoko, bo graliśmy w finałach mistrzostw Polski. Jako Junak Włocławek zajęliśmy siódme miejsce, a wspaniałe było to, że sami na ten wynik zapracowaliśmy, bez pomocy żadnego nauczyciela. Później, kiedy znalazłem się w trzeciogowym Kujawiaku Włocławek, trafiłem na Kazimierza Gurtatowskiego, rzeczywiście dobrego trenera. Ale to były zupełnie inne czasy, futbol spełniał całkiem odmienną rolę niż dzisiaj. Uczyłem się współpracować z zawodnikami, którzy na co dzień byli murarzami, cieślami, wykonywali tysiące innych rzeczy, a piłkę nożną traktowali jako dodatek do życia i do zarobków. I dopiero, kiedy zjawiłem się na AWF-ie, który miał wtedy trzeciogową drużynę w Warszawie, zaczęło się bardziej poważne traktowanie futbolu. Także wtedy złapałem bakcyła, który jest niezbędny, aby zakochać się w swoim zawodzie. Piłka nożna rzeczywiście mnie pochłonięła. Jerzy Talaga nauczył nas, żeby wszędzie szukać informacji na temat futbolu, ale póki co – a było to dobrych trzydzieści lat temu – nie w Polsce. Ponieważ mówiłem płynnie paroma językami – rodzice dbali bardzo o moją edukację – chłonałem tematykę niemiecką, bo książki stamtąd było nam dostać najłatwiej. Ówczesnym europejskim guru piłki nożnej był Helmuth Schoen, trener niemiecki, który prowadził najlepszą chyba reprezentację w historii Niemiec. Wygrywała ona wszystko, co było do wygrania – więc to na nim z początku wszyscy się wzorowaliśmy. Potem przyszła szkoła węgierska i tłumaczenia na język angielski podręczników węgierskich. Trzecią szkołą stała się szkoła rosyjska, na której najwięcej się uczyliśmy, bo – co tu oszukiwać – najwięcej materiałów szkoleniowych przysyłali nam właśnie Rosjanie. Ja sam jestem po takiej „ciężkoatletycznej” szkole, która uczyła nas przede wszystkim szybkiego budowania tkanki mięśniowej. Wyrazny zwrot w edukacji piłkarskiej miał miejsce – moim zdaniem – w momencie, kiedy za granicę zaczęli wyjeżdżać pierwsi nasi zawodnicy. Wracając przywozili zupełnie nowe teorie i materiały szkoleniowe. I rzeczywiście, od tego czasu powoli rysował się obraz systemu nauczania, który musiał być powiązaniem

Wschodu z Zachodem, bo przecież polskiej szkoły nauczania nigdy nie było.

M.K.: – *Ale czy dzięki temu nie wytworzyła się specyficzna szkoła, powiedzmy, „szkoła środka”?*

J.E.: – Polska była zawsze „papugą narodów”, tak więc chwytałyśmy trochę tu, trochę tam. Byliśmy oryginalni i nadal jesteśmy, jeśli chodzi o teorię. Nasi naukowcy rozpracowali metodologię kształtowania poszczególnych cech motorycznych wydolności człowieka, dzięki czemu polscy trenerzy są bardzo szeroko wykształceni z tej dziedziny. Polskie uczelnie – co zawsze podkreślam – przygotowują świetnych fachowców. Byłem na paru konferencjach międzynarodowych, gdzie prowadziłem wykłady, i sądzę, że naprawdę nie mamy się czego wstydić.

M.K.: – *W swojej książce: „Prosta gra. Mistrzostwa Świata w piłce nożnej 2002” napisał Pan: „Życie trenera jest jak bolid pędzący z ogromną szybkością do mety”. Proszę powiedzieć, w jaki sposób radzi Pan sobie z takim pędem, z takim życiem?*

J.E.: – Zawód trenera jest szalenie trudny, a to z tego względu, że tak naprawdę tego zawodu w Polsce zupełnie się nie szanuje. Jest za to ceniony za granicą. U nas osoby, które rządzą klubami, nauczyły się, że bez względu na trenera i tak niewiele się zmieni – zawodnicy raz zagrają lepiej, a raz gorzej – a przecież to zupełnie nie na tym polega. Musi być ciągłość szkolenia, ciągłość pewnej myśli szkoleniowej. Najszybciej zrozumieli to Anglicy, którzy właśnie wokół trenera skupiają cały rozbudowujący się sztab szkoleniowy i klub. W Wielkiej Brytanii trenerzy pracują po kilka, kilkanaście lat z jednym zespołem, mając znakomite wyniki. U nas, niestety, tak nie jest. Wystarczy przegrać jeden, dwa mecze i...

To jest właśnie ten bolid, który pędzi i nie wie, czy już jest na mecie, czy ta meta jest jeszcze daleko przed nim. W związku z tym musimy się

spieszyć. Ze wszystkim, co robimy. Nie możemy myśleć, że coś zostawimy na jutro. W naszym zawodzie tego nie ma – musimy pracować „na wczoraj”, a dziś muszą być wyniki, bo tego się od nas wymaga. To nie jest właściwe. Pracujemy pod wielką presją mediów: one kreują pewne zachowania i ustawiają przeciwko trenerom kibiców, zawodników, a czasami kluby i zarządy. W związku z tym, jeśli ktoś raz ulegnie mediom i odejdzie ze swojej ścieżki, to już nigdy na nią nie wróci. Ja staram się iść zawsze swoją drogą. Był taki czas, kiedy prowadziłem reprezentację narodową, wprowadzałem nowe metody szkolenia i w ogóle cały system pracy z kadrą, co nie było łatwe – i przez osiem miesięcy spotykałem się z ciągłą krytyką...

Zawód trenera jest szalenie trudny, a to z tego względu, że tak naprawdę tego zawodu w Polsce zupełnie się nie szanuje. Jest za to ceniony za granicą. U nas osoby, które rządzą klubami, nauczyły się, że bez względu na trenera i tak niewiele się zmieni – zawodnicy raz zagrają lepiej, a raz gorzej – a przecież to zupełnie nie na tym polega. Musi być ciągłość szkolenia, ciągłość pewnej myśli szkoleniowej

S.S.: – *Wtedy przegrywaliśmy...*

J.E.: – Ale nigdy nie zszedłem nawet na centymetr z raz obranej drogi. To, że codziennie ma Pan tysiące „doradców”, nie znaczy wcale, że trzeba ich słuchać. Wszyscy wiedzą lepiej, ale są to zawsze tzw. „trenerzy poniedziałkowi” – bo w poniedziałek każdy doskonale wie, co trzeba było zrobić na sobotnim czy niedzielным meczu. Gdyby raz człowiek zaczął słuchać kogokolwiek, gdziekolwiek, i uległ podpowiedziom, to rzeczywiście już nigdy nie wróciłby do tego, co robił. Staram się realizować słowa Mourinho: „Jestem taki, jaki jestem i koniec. Jak się komuś to nie podoba, to jest jego sprawa. Ja się nie zmienię”. Ja też się nie zmienię, bo po prostu wiem, co jest najlepsze dla poszczególnych graczy, wiem, co jest najlepsze dla zespołu, wiem, w jakim momencie jestem z zespołem i czego nam brakuje. Tego na pewno nie wiedzą ludzie, którzy oglądają mecz, który jest tylko wynikiem

pewnej pracy, natomiast nikt nie ocenia, na jakim etapie rozwoju znajduje się zespół. Ale takim już społeczeństwem jesteśmy, że właściwie nic nam się nie podoba. Wszystko jest u nas złe, a jeżeli ktoś zrobił coś lepiej od nas, trzeba go zmieszać z błotem. Nie jest to normalne, dlatego trzeba walczyć z chamstwem, z tym, że ludzie bez powodu starają się innemu zrobić krzywdę, poprzez najróżniejsze, pozasportowe historie.

Pracujemy pod wielką presją mediów: one kreują pewne zachowania i ustawiają przeciwko trenerom kibiców, zawodnikom, a czasami kluby i zarządy.

W związku z tym, jeśli ktoś raz ulegnie mediom i odejdzie ze swojej ścieżki, to już nigdy na nią nie wróci. Ja staram się iść zawsze swoją drogą

S.S.: – Skoro mowa o mediach... Po Mistrzostwach Świata w Korei prasa zaczęła domagać się Pana odejścia. Prezes PZPN początkowo zapewniał, że nie zamierza zmieniać selekcjonera. Wkrótce jednak Pana dymisja stała się faktem, niewątpliwie pod naciskiem mediów. Eliminacje do Mistrzostw Europy - prowadzone już pod wodzą Zbigniewa Bonka - wykazały, że był to zły ruch, bo nagle zmieniła się koncepcja przygotowań i gry, a na to, by przyniosła sukces, zabrakło czasu...

J.E.: – Zbigniewowi Bonkowi też się wydawało, że czeka go proste zadanie: zespół łatwo zwyciężać, pięknie grać, eliminacje do Mistrzostw Świata przeszły fantastycznie, bo choć grupa była trudna, poradziliśmy sobie. Boniek sądził, że w eliminacjach Mistrzostw Europy damy sobie radę, ponieważ wylosowaliśmy słabszych rywali. Myślałem, że już nauczyłem się wszystkiego, co obserwowałem w mojej pracy przez te kilka lat. Słyszałem, jak mówił w radiu, że chciał się sprawdzić jako selekcjoner, ponieważ we Włoszech mu nie wyszło. No i sprawdził się. Zobaczył, że to nie jest proste. Bo żeby prowadzić zespół na poziomie reprezentacji narodowej, trzeba jednak minimum dwadzieścia pięć lat spędzić „przy murawie”, zgromadzić багаż doświadczeń... Kadra narodowa to wielkie wyzwanie...

S.S.: – Nasza reprezentacja zakwalifikowała się trochę szczęśliwie, ale zasłużenie, do Mistrzostw Świata w Niemczech. Jednak słyszy się wszędzie, że mamy w piłce nożnej kryzys, zresztą już Pan o tym wspominał. Jak wytłumaczyć, że w czterdziestomilionowym kraju, gdzie na podwórkach i boiskach szkolnych bez przerwy gra się w piłkę, nie możemy doczekać się następców Laty, Deyny, choćby nawet Żurawskiego. Jak uzdrowić polską piłkę nożną?

Jaką miałby Pan na to receptę? Czy lekarstwem może być zatrudnienie zagranicznych trenerów do pracy z polską młodzieżą, czy może zwiększenie klubów, ognisk sportowych zajmujących się kształceniem? A może wszystko – z wyjątkiem – opiera się na pieniądzu?

J.E.: – Ludzie nie rozumieją, że sami zabijamy polski futbol. Zniknęło bardzo wiele małych klubów, które szkoliły młodzież. Po prostu nie stać dzisiaj nikogo na to, żeby takie kluby prowadzić. Kiedyś ktoś za to płacił. Teraz już nikt tego nie robi, bo wszystko musi być prywatne. A jeśli nie ma być prywatne i chcemy stworzyć inny system, to muszą zająć się tym samorządy. Jeżeli problemu szkolenia piłkarskiego młodzieży nie rozwiążą, polską piłkę nożną czeka poważny kryzys, chociażby dlatego, że coraz trudniej jest przyciągnąć młodzież do klubu. Dawniej, kiedy robiłem nabór do warszawskiej Legii, przychodziło około 1500 chłopców. Dzisiaj przychodzi 20–25, maksymalnie 50, a połowę z nich zmuszają do tego rodzice. I co najważniejsze – dawniej młodzież ćwiczyła za darmo. Chłopcy wszystko dostawali z klubu. Dzisiaj rodzic musi płacić od 30 do 50 zł, plus obozy po 500 zł itd. Tym samym godzimy się na to, że uciekają nam z klubu tysiące chłopców, których rodziców nie stać na związane ze szkoleniem wydatki. To kolosalny problem. Jeśli już zdarzy się, że ktoś prowadzi drużynę, robi to za naprawdę małe pieniądze, więc często nie zajmuje się tym poważnie.

Mam stronę internetową, którą odwiedzają tysiące dzieciaków. Piszą, żeby im pomóc, bo sami

trenują, sami ćwiczą, ale nikt się nimi nie opiekuje. Ale jak można im pomóc w całej Polsce? Dlatego uważam, że musi wreszcie zostać stworzony system, w ramach którego lokalne samorządy zatrudniać będą szkoleniowców prowadzących 20–30 osobowe grupy, skupiające młodzież w różnym wieku. I w takich grupach powoli będą się szkolić. W miastach, gdzie dominują blokowiska, nie ma już w ogóle małych boisk. Na szczęście opamiętano się i rozpoczęto akcję tworzenia małych boisk: o wymiarach 3x3 lub 5x5 – żeby młodzież mogła gdzieś grać. To jednak zdecydowanie za mało, żeby mówić o systemie, który stworzy młodzieżowe zaplecze współczesnej piłki, takie, z którego można będzie w przyszłości wyselekcjonować najciekawszych zawodników.

S.S.: – *A czy problem nie zaczyna się też w samej szkole? Mam na myśli redukcję godzin z wychowania fizycznego...*

J.E.: – Był już taki minister edukacji, który zredukował godziny wychowania fizycznego w szkołach. Sport musi być zaszczipiany od najmłodszych lat, żeby człowiek od dziecka przywykł do aktywności fizycznej. W Polsce zmiany mentalności zachodzą powoli; czasy komuny dawno minęły i ludzie znów próbują jakoś zagospodarować czas wolny. I to nie tylko, jeśli chodzi o sport, bo wydaje mi się, że rozwija się ogólna kultura społeczeństwa. A im wyższa kultura społeczeństwa, tym wyższy poziom kultury fizycznej.

S.S.: – *Podobną sytuację mamy na uczelniach, gdzie godzin wychowania fizycznego też jest niewiele. Ponadto wielu studentów nie uczęszcza na zajęcia, stara się czas zagospodarować inaczej; myślę więc, że przyszli nauczyciele już mają tę wadę – kończą studia z wykształceniem, w którym na sport nie zwraca się uwagi.*

J.E.: – Zdecydowanie tak! Ja w ogóle jestem przerażony, kiedy pomyślę, że kiedyś środowiska akademickie utrzymywały najwyższy poziom sportowy. Mało tego – oprócz faktu, że

sportowiec był świetnym zawodnikiem, posiadał wykształcenie. To wszystko zostało zabite i zredukowane do zera. Dzisiaj Ministerstwo Sportu winno odbudować całą strukturę. Oby jak najszybciej.

M.K.: – *Często się słyszy, że nasi sportowcy są nadmiernie rozpieszczeni, stają się medialnymi kukiełkami, a nie zawodnikami zdeteterminowanymi do walki. Czy mógłby Pan dokonać porównania dawnego piłkarza, na przykład z drużyny Kazimierza Górskiego, i współczesnego?*

J.E.: – Niewątpliwie czasy się zmieniły. Zupełnie inaczej żył Górski i jego ekipa, inaczej żyjemy my. Tamci sportowcy też byli rozpieszczani, tylko w zupełnie inny sposób. Dostać w latach siedemdziesiątych mieszkanie w Warszawie, to było coś, a przecież najlepsze zespoły takimi metodami przyciągały najlepszych graczy. Piłkarze byli rozpieszczani zawsze, bo to jest zawód, który trwa krótko, maksimum 10 lat, więc co człowiek zarobi – to jego. Tamta ekipa była o tyle łatwiejsza do prowadzenia, że miała zakaz wyjazdu za granicę. Górski robił zgrupowania po 14 dni, zbierał chłopaków, a na ten czas przerywano ligę i były świetne przygotowania do meczów reprezentacji narodowej. W tej chwili selekcjoner ma tylko 48 godzin na mecze towarzyskie, a na mecze o punkty – cztery dni. A więc jest to zupełnie inna praca selekcyjna.

S.S.: – *Czy nasi piłkarze są przygotowani do transferu – do pracy za granicą, czy np. uczą się języków? Przypominam sobie sprawę Kazimierza Deyny – legendy światowego futbolu, który dopiero po trzydziestce przeszedł do klubu zagranicznego, ale nie mógł się w nim odnaleźć, między innymi przez barierę językową.*

J.E.: – Z tym jest różnie – jedni tak, inni nie. Dobrze pan powiedział o Deynie, że poszedł, jak miał trzydzieści lat, ale właśnie takie były przepisy. Był zakaz wyjazdów w ogóle, potem

wolno było wyjechać po skończeniu 27 lat, ale i tak państwo nie zezwalało na opuszczenie kraju przez najlepszych sportowców. Niektórzy uciekali, tak jak Andrzej Rudy, który „zniknął” podczas wyjazdu z kadrą. Nie było to ładne. Ale wszystkie obostrzenia, żelazna kurtyna – to był zupełnie inny świat, inne życie. Sport opierano na ideologii narodowościowej, mówiło się, że trzeba, bo my Polacy, musimy się wykazać... Teraz jest inaczej, ponieważ Europa stała się jedną wielką wioską. Dzisiaj bez paszportu można jeździć po całej Europie. Młodzi ludzie nie rozumieją, że kiedyś, aby dostać paszport, trzeba było różnych cudów dokonywać. A gdy drużyna gdzieś jechała, to miała większą ekipę pilnującą niż liczbę zawodników. Stąd, grając przeciwko Anglikom, Holendrom czy innym drużynom narodowym, niektórzy z naszych zawodników cierpią na polski kompleks; sądzą, że nie potrafią sprostać tym osławionym drużynom. I myślę, że to jest właśnie powód wielu porażek.

Sport musi być zaszczepiany od najmłodszych lat, żeby człowiek od dziecka przywykł do aktywności fizycznej. W Polsce zmiany mentalności zachodzą powoli; czasy komuny dawno minęły i ludzie znów próbują jakoś zagospodarować czas wolny

S.S.: – Tak, właśnie ten „kompleks angielski”, chyba daje się nam mocno we znaki przez ostatnie dwadzieścia lat...

J.E.: – Każdy z tych chłopców marzy, żeby trafić do ligi angielskiej. Gdy ogląda gwiazdy grające w niej na co dzień, to grę w angielskim klubie uważa za szczyt marzeń.

S.S.: – Proszę nam opowiedzieć o swoim najważniejszym meczu w karierze.

J.E.: – Było takich parę, nie można mówić tylko o jednym. Kiedyś, na przykład, grałem z Legią ważny mecz, w pucharze UEFA, z Interem Mediolan na Saint Siro. Wynik bezbramkowy, mimo że w skład Interu

wchodziło siedmiu reprezentantów Włoch, dwóch reprezentantów Niemiec i jeden Argentynczyk. To była niesamowita drużyna. Uzyskaliśmy wtedy wynik 0:0 i w Warszawie – tak samo – ale na minutę przed końcem dogrywki straciliśmy gola. Na długo pozostał mi w pamięci. Inne, już z reprezentacją Polski, okazały się równie ciężkie, ale zakończyły się sukcesem; pierwszy był eliminacyjny mecz w Kijowie, nasi chłopcy nawet nie myśleli o porażce – i wygraliśmy 3:1 z Ukrainą. To rozpoczęło nasz marsz do Mistrzostw Świata. Fantastyczny mecz. Drugi, z Norwegami, graliśmy w Warszawie. Chociaż ludzie przypominają mi jeszcze wcześniejszy, wyjazdowy, zakończony wynikiem 3:2 dla Polski, to jednak w Warszawie ostatecznie przesądziłyśmy sprawę: 3:0. Chyba najcenniejszy z nich wszystkich. Równie ważne były dwa mecze w Korei: pierwszy, przegrany z Portugalią 0:4, bo praktycznie kończył nasz udział w mistrzostwach, i drugi wygrany w świetnym stylu – ze Stanami Zjednoczonymi (3:1). Ciekawy był też dwumecz z Panathinaikosem w Krakowie. Szkoda, że nie wyszedł do końca, ale zagraliśmy rzeczywiście na poziomie Panathinaikosu i to było dobre.

S.S.: – Jak się Panu pracowało w Krakowie?

J.E.: – Trudno. Krakowskie środowisko nie jest łatwe. Głównie z powodu „trenerów poniedziałkowych”. I to jest przedziwne, bo tutaj ludzie nie żyją na co dzień tak bardzo blisko siebie. Powiedziałbym, że w Warszawie żyje się bliżej, ludzie spotykają się znacznie częściej, są serdeczniejsi. Natomiast Kraków jest nieco zdystansowany, tutaj każdy czuje się wielkim indywidualistą, stąd trudno zintegrować środowisko sportowe.

S.S.: – Na zakończenie jeszcze jedno pytanie. Jak Pan sobie radzi ze stresem? Grał Pan mecze o wielką stawkę, z jednej strony ciężar

odpowiedzialności i kibice, z drugiej pracodawca, oczekujący wyników i media, które – zdarza się – są nieprzychylnie trenerowi...

J.E.: – Przede wszystkim nie wolno być monotonnym, to znaczy nie wolno robić tylko jednej rzeczy. Staram się nie myśleć tylko o futbolu. Trzeba mieć wiele innych dziedzin zainteresowań, które pozwalają całkowicie odejść od tego, co się robi. Ja uwielbiam dobry film, lubię pójść na dobrą sztukę teatralną, przeczytać ciekawą książkę... Sam je przecież piszę – ale już typowo szkoleniowe. Poza tym jestem hodowcą koni. Mam konie pełnej krwi angielskiej. Gdy rodzą się źrebaki, jeździmy z żoną do stadnin, staramy się być blisko nich, potem ścigają się na Służewcu. Jest więc mnóstwo dziedzin, którymi staram się odizolować od futbolu, bo gdybym cały czas żył w tym „kotle”, myśląc, że: wygrało się mecz, przegrało się mecz, napisali to czy tamto, a tutaj jeszcze prezesi – to rzeczywiście człowiek by zwariował. Życie natomiast jest piękne i tylko jedno, niestety, dla każdego z nas. Nie wolno tracić czasu na zmartwienia. Bo mamy ich za dużo w życiu. Ja również mam poważne zmartwienia z moimi rodzicami, którzy jeszcze są, że tak powiem, razem ze mną, ale już oboje w podeszłym wieku – mama prawie dziewięćdziesiąt, ojciec już po dziewięćdziesiątce – to są najpoważniejsze, życiowe zmartwienia, reszta się nie liczy. Trzeba powiedzieć, że to jest tylko sport. Tak samo jak teatr, kino, jak wszystkie inne rzeczy, które robi się dla ludzi. Bo my robimy widowisko dla ludzi, z tą tylko różnicą, że nasze widowisko, jest nieprzewidywalne do końca. Nawet Hitchcock by tego nie wymyślił, co my potrafimy poka-

zać czy w Atenach, czy gdziekolwiek. Trzeba umieć od tego odejść. Po ostatnim gwizdku sędziego mecz się kończy. Moja rodzina wie o tym doskonale, więc nie rozmawiamy już o futbolu; odjeżdżamy i koniec, zaczynamy myśleć o czymś innym. W czasie kolacji z przyjaciółmi rozmawiamy na zupełnie inne tematy.

S.S.: – Czy Pana przyjaciele też dostosowują się do tych reguł i nigdy nie mówią o ostatnim meczu?

J.E.: – Bardzo rzadko. Bez względu na wynik. Albo się cieszymy, albo się smucimy, ale i tak szybko odchodzimy od tematu, bo już wszyscy to przeżyliśmy i nie ma potrzeby wracać. Oczywiście, nie jest to takie jednoznaczne i takie proste, bo to w człowieku siedzi, jednak gdzieś tam zawsze tę analizę rozpoczyna się od samego siebie i pierwsze pytanie, jakie pan sobie zadaje następnego dnia, brzmi: gdybym miał zagrać ten mecz jeszcze raz, to czy zagrałby tym samym składem, tym samym systemem, czy te same zadania dałbym zawodnikom? itd. Wtedy zastanawiam się, czy zrobiłem jakieś błędy. Dopiero potem zaczynam analizę zawodników i zespołu. Dlatego zwycięstwo czy porażkę rozkładam zawsze na wszystkich. Rozpoczynając od siebie, kończąc na zawodnikach.

S.S.: – Serdecznie dziękujemy za rozmowę.

*Rozmawiali: Stanisław Skórka
i Marcin Kania
Fot. M. Więclawek*



Od lewej: J. Engel, S. Skórka, M. Kania

Andrzej Golonka

Taniec towarzyski w Polsce

Rok 2006 jest wyjątkowy dla ruchu tańca towarzyskiego w Polsce. W tym właśnie roku, obchodzimy 20. rocznicę śmierci prof. Mariana Wieczystego (zmarł 16 stycznia 1986 r.). Z tej okazji Dom Kultury „Podgórze” w Krakowie zorganizował XXXII Ogólnopolski Turniej Tańca Towarzyskiego o Puchar Mariana Wieczystego. Równocześnie tym konkursem Polskie Towarzystwo Taneczne rozpoczyna obchody 50-lecia Ruchu Tanecznego, którego twórcą w naszym kraju był właśnie wspomniany profesor

Ojciec Mariana Wieczystego był działaczem robotniczym, rewolucjonistą roku 1905 oraz członkiem Rady Robotniczej we Lwowie. Syn urodził się 1 września 1902 r. Podczas nauki w Gimnazjum Matematyczno-Przyrodniczym, aby przeżyć trudne dla rodziny chwile, pracował jako pomocnik kinooperatora w kinach lwowskich. W 1918 r. jako niepełnoletni wziął udział w obronie Lwowa w I p.p. Strzelców Lwowskich, za co otrzymał Medal za Wojnę 1918-21 oraz Krzyż Walecznych. Był członkiem Związku Obrońców Lwowa.

Po ukończeniu gimnazjum, z wynikiem wyróżniającym, pracował jako urzędnik w fabryce gipsu Franca, ponadto był Sekretarzem Wydziału Gier i Dyscyplin Okręgowego Związku Piłki Nożnej we Lwowie oraz sekretarzem klubów KS Pogoń i KS Lechia. Oprócz piastowanej funkcji grał tam również w piłkę nożną – podobnie resztą było w lwowskim KS Czarni. Ale poważna kontuzja kolana zamknęła przed nim drogę kariery sportowej. Na szczęście miał wrodzony talent do analizy ruchu; stąd drugą jego pasją – obok sportu – okazał się taniec.

Pojawił się w szkole Faliszewskiego, gdzie szybko okazał się znakomitym tancerzem. Tam również poznał swoją przyszłą żonę Cecylię, córkę baronówny z domu Antyny Werndl de Lehenstein i Jana Szpinetera. Cecylia skończyła szkołę baletową i już w 1924 r. uzyskała uprawnienia nauczyciela tańca. Wieczysty, choć odwiedzał szkołę tańca swoich przyszłych teściów, na początku zaczął uczyć tańca w szkole Irath-Brysovej.

W 1929 r. Marian i Cecylia wzięli ślub, zaś pod koniec roku urodził się syn Artur, który po latach stał się wielką dumą i chlubą państwa Wieczystych – był bowiem profesorem zwyczajnym i doktorem *honoris causa* Politechniki Krakowskiej, działaczem w Polskim Klubie Tanecznym, później w Federacji Stowarzyszeń i Klubów Tanecznych w Polsce, a także wielokrotnym Mistrzem Polski w tańcu towarzyskim.

W listopadzie tego samego roku Marian Wieczysty zdał egzamin w Zawodowym Związku Koncesjonowanych Nauczycieli Tańca Małopolski i otrzymał prawo nauczania tańców salonowych. Początkowo pracował u swoich

teściów, ale – jako że był osobą kreatywną, szukającą nowoczesnych rozwiązań metodycznych – postanowił otworzyć własną szkołę tańca, która powstała przy ul. Kopernika 16 we Lwowie. Szkoła ta szybko zyskała wielkie uznanie w środowisku.

W październiku 1935 r. złożył egzamin z Choreografii, Muzyki, Pedagogiki i Nowoczesnego Tańca i z tytułem profesora tańca został członkiem Międzynarodowego Związku Choreografów (Union International Choreographes) z siedzibą w Paryżu.

II wojna światowa nie przeszkodziła Wieczystym w prowadzeniu lekcji tańca, którzy organizowali ponadto pomoc dla wszystkich potrzebujących, lecz tuż po zakończeniu działań wojennych zmuszeni byli opuścić Lwów i przybyli do Krakowa, gdzie stworzyli własną szkołę tańca przy ul. Kościuszki 73. Bezpośrednio podlegała ona Ministerstwu Kultury i Sztuki.

W kraju funkcjonowało wówczas wiele szkół tańca – w samym Krakowie co najmniej cztery. Brakowało w nich jednak jednolitego programu nauczania, a żadna instytucja państwowa czy społeczna nie dbała o sprawy tańca. Stąd w 1946 r., z inicjatywy prof. Mariana Wieczystego, opracowano i przekazano memoriał do Ministerstwa Kultury i Sztuki o unormowanie spraw związanych z nauką tańca salonowego (towarzyskiego). Nie przyniósł on oczekiwanych efektów, ale zwrócił uwagę ministerstwa na powstające w naszym kraju nowe zjawisko kulturowe.

W szkole Wieczystych spotkać można było ludzi młodych i starszych, robotników i inteligencję, a wśród nich wielu krakowskich literatów (m.in.: Stefana Otwinowskiego, Konstantego I. Gałczyńskiego, Jerzego Waldorfa i Artura M. Swinarskiego). Organizowano kursy dla początkujących i zaawansowanych. Uczniowie, którzy zakochali się w tańcu, mieli możliwość po raz pierwszy uczestniczyć w nauce artystycz-

nego tańca towarzyskiego, nazywanego wówczas nowoczesnym tańcem towarzyskim – dziedziny do tej pory mało znanej w naszym kraju. Był to początek ruchu tańca turniejowego. Pierwszymi, którzy poddali się tej zaawansowanej nauce tańca, byli: Jan Nowicki, Halina Zajączkowska, Zdzisław Szafran, Cecylia Wieczysty, Artur Wieczysty, Marian Jabłoński wraz z żoną Lucyną, Janina Fialkiewicz i Lucyna Chrobak. Później do grupy dołączyli Halina Nykiel, Xenia Rumin, Barbara Fiali, Maria Klejdysz, Zbigniew Szwed, Andrzej Koronczewski i Juliusz Mysiński.

Pierwszy występ tej grupy, zorganizowany wiosną 1947 r. dla członków Związku Literatów Polski, zyskał pozytywne komentarze, w których, obok walorów artystycznych, podkreślono spore oddziaływanie wychowawcze.



Turniej Tańca Towarzyskiego o Puchar M. Wieczystego, Kraków 1991r.

Pierwsze Mistrzostwa Polski zorganizowano w krakowskim Domu Studenckim „Rotunda” w maju 1948 r., a wygrali je Zbigniew Szwed i Maria Klejdysz. W sierpniu tego roku para Andrzej Koronczewski i Halszka Nykiel jako pierwsi w Polsce wzięli udział w Mistrzostwach Środkowej Europy w Karlovych Varach, gdzie uplasowali się na piątym miejscu. Dało to wielkie nadzieje, jednak sytuacja w kraju stawała się coraz trudniejsza. Fraki i suknie balowe – w których tańczyli młodzi ludzie ze szkoły Wieczystego – uważano za przytyki burżuazji.

Już na jesieni 1948 r. żadna z par zagranicznych, zaproszonych na międzynarodowy turniej, nie otrzymała zgody na wjazd do Polski. Kiedy w roku 1950 przyszło zaproszenie do rozegrania czterech turniejów, pierwszego w Karlovych Varach z udziałem par z Austrii, Czechosłowacji i Węgier, to nawet specjalny pokaz, zorganizowany w Warszawie przez Związek Pracowników Sztuki i Kultury, nie przekonał decydentów do wydania zgody na udział polskich par w tej międzynarodowej inicjatywie.

Częste kontrole, wezwania, rozmowy ideowe, uniemożliwiały nauczanie tańca towarzyskiego, które uważano za krzewienie burżuazyjnej kultury wrogiej klasie robotniczej. W 1952 r. szkoła Wieczystego została zamknięta. „Sprytni”



Prof. Artur Wieczysty (pierwszy z prawej) wręcza zwycięskiej parze puchar M. Wieczystego, Kraków 1991 r.

przedstawiciele Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Krakowie zaproponowali prof. Marianowi Wieczystemu, aby w tej metropolii założył robotniczy zespół, na co Wieczysty się zgodził i wraz z życzliwymi mu osobami stworzył Spółdzielczy Zespół Pieśni i Tańca „Krakowiacy”, pełniąc funkcję kierownika artystycznego. Trzysobowy zespół, składający się z samych prawie robotników, w krótkim czasie zyskał szerokie uznanie u specjalistów i władz politycznych.

Wieczysty przyjął także kierownictwo artystyczne Zespołu Pieśni i Tańca Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. Po kryjomu uczył w tych zespołach nauki tańca towarzyskiego

i elementy te wykorzystywał w różnych widowiskach tanecznych – może z tego powodu podczas „pierwszej odwilży” krakowscy literaci zdołali przekonać decydentów do wznowienia nauki tańca. Wieczyści zostali zatrudnieni w Wojewódzkim Domu Kultury Związków Zawodowych (później Krakowskim Domu Kultury Pałac pod Baranami) przez dyrektora Leopolda Grzyba, dzięki którego życzliwości i opiece taniec mógł się w tym okresie rozwijać. W 1954 r. powstał Amatorski Klub Taneczny Krakowskiego Domu Kultury mający bardzo znaczący dorobek w okresie swojej działalności.

Należy wspomnieć jeszcze jeden, bardzo ważny dla naszego tańca występ wspomnianego klubu. Był to pokaz w Ministerstwie Kultury i Sztuki w Warszawie, zorganizowany 23 czerwca 1955 r. przez redakcję „Sztandaru Młodych” i Zarząd Główny Związku Młodzieży Polskiej. Wtedy to z ust sławnej baleriny, największego autorytetu i powagi w dziedzinie tańca klasycznego, w obecności decydentów, padły następujące słowa: „taniec towarzyski w tej formie jest wielką sztuką” – i to zadecydowało, że Wieczysty mógł dalej rozwijać swoją wizję rozwoju tańca towarzyskiego w naszym kraju.

Prof. Marian Wieczysty myślał jednak bardzo pragmatycznie: nie poprzestał tylko na prowadzeniu własnego interesu, lecz uparcie dążył do powołania organizacji o zasięgu ogólnopolskim.

I taka organizacja, w dniu 31 grudnia 1956 r., została zarejestrowana w Wojewódzkiej Radzie Narodowej w Krakowie pod nr. 366, jako stowarzyszenie taneczne pod nazwą Polski Klub Taneczny, którego celem było: upowszechnianie tańca towarzyskiego i kultury tanecznej wśród szerokich mas społeczeństwa, poprzez organizowanie kursów tańca z jednolitym programem nauczania, propagowanie kultury tanecznej w formie pokazów, prelekcji, wystaw itp.; rozwój amatorskiego ruchu artystycznego; powołanie klubów tanecznych; opracowanie systemu szkoleń par tanecznych; opracowanie m.in. systemu współzawodnictwa

artystycznego, regulaminów i przepisów; współpraca międzynarodowa w zakresie upowszechniania tańca i współzawodnictwa artystycznego – w tamtym czasie bardzo ograniczona; tworzenie kadry wychowawców: opracowanie programu i systemu nauczania, prowadzenie szkoleń dla nauczycieli, instruktorów i trenerów tańca towarzyskiego. Pierwszym prezesem tego Stowarzyszenia był Marian Kusza, kierownik Wydziału Miejskiej Rady Narodowej w Krakowie.

Polski Klub Taneczny (PKT) posiadał centralne biuro, oddziały i ośrodki taneczne. Pierwsze walne zebranie odbyło się 11 stycznia 1957 r., na którym status członka honorowego PKT nadano angielskim nauczycielom, a mianowicie Alexowi Moorowi i Franksowi Borrowowski oraz Marianowi Wiczystemu.

Następne oddziały wojewódzkie powstały w Poznaniu, Krakowie i Olsztynie. W ramach „Dni Krakowa” 20–21 maja 1957 r. PKT zorganizował międzynarodowy turniej tańca z udziałem par ze Szwecji, Niemiec, Finlandii, Belgii i Polski.

W 1957 r. powstał pierwszy akademicki klub taneczny pod nazwą Studencki Klub Taneczny przy Radzie Uczelnianej Zrzeszenia Studentów Polskich Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, którego prezesem został Witold Strzelecki. W tym samym roku w ramach ogólnopolskich eliminacji w celu wyłonienia reprezentacji Polski na VI Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów w Moskwie, Komisja Festiwalowa Ministerstwa zakwalifikowała zespół w składzie: Artur Wiczysty z żoną Barbarą, Zdzisław Szafran i Krystyna Rynkiewicz, Zbigniew Szwed i Anna Drozdowska, Tadeusz Bednarczyk i Maria Gęźba. Pary te przywiozły dwa srebrne medale (Barbara i Artur Wiczysty), dwa brązowe (Krystyna Rynkiewicz i Zdzisław Szafran) oraz wyróżnienia za pokazy układów tanecznych na cztery pary (tutaj należy nadmienić, że była to jedna z pierwszych formacji w Europie).

Opracowany przez Mariana Wiczystego 600-godzinny program szkolenia nauczycieli tańca został zatwierdzony przez Ministerstwo Kultury i Sztuki i już w lutym 1958 r. był w trakcie

realizacji. Szkolenie obejmowało 46 osób. W ramach PKT powołano Sekcję Nauczycieli Tańca oraz Sekcję Amatorskich Tancerzy Turniejowych. Na szczególną uwagę zasługuje Oddział Opolski, gdzie Kazimierz Michlik zorganizował liczne kluby taneczne poza aglomeracjami miejskimi.

W 1958 r. zorganizowane były już pierwsze turnieje eliminacyjne do Mistrzostw Polski. 28–29 grudnia 1958 r. odbył się I Ogólnopolski Turniej Tańca Towarzyskiego w hali krakowskiego Klubu Sportowego „Wisła”, w randze Mistrzostw Polski. Udział wzięło 90 par tanecznych w klasach z 21 klubów. Pierwszymi Mistrzami Polski została para: Barbara i Artur Wiczysty z Krakowa.

Obok Mistrzostw Polski dla amatorów zorganizowano turniej dla par zawodowych, w którym pierwsze miejsce zajęli Henryk Małyшко i Eleonora Blajer.

W 1962 r. PKT nawiązał współpracę z Międzynarodową Radą Tancerzy Amatorów (ICAD), a w 1964 r., z Międzynarodową Radą Tańca Towarzyskiego (ISBD).

Staraniem władz Zarządu Głównego PKT w 1965 r. przy Centralnej Poradni Artystycznej Ruchu Amatorskiego Ministerstwa Kultury i Sztuki, powołane zostało 4-letnie Studium Taneczne dające wykształcenie wyższe zawodowe.

Oprócz prowadzenia szkoleń na różnego rodzaju seminariach i kursach Polski Klub Taneczny wydawał liczne Biuletyny Szkoleniowe, opracowywane głównie przez prof. Mariana Wiczystego.

W 1966 r. Polski Klub Taneczny został przekształcony w Federację Stowarzyszeń i Klubów Tanecznych w Polsce. Celami strategicznymi dla tej organizacji było, m.in.: popularyzowanie tańca towarzyskiego w formie turniejowej oraz intensyfikowanie procesu upowszechnienia kultury tanecznej w społeczeństwie; podnoszenie poziomu podstaw ekonomicznych ruchu tańca towarzyskiego, jego uprawnień formalnych i swobód organizacyjnych.

Cele te realizowano m.in. poprzez: dążenie do zwiększania liczebności szeregów tancerzy turniejowych oraz jakości i intensywności ich

szkoleń; organizację licznych i atrakcyjnych imprez tanecznych; doskonalenie bazy szkoleniowej i warsztatu szkoleniowego; organizację szkoleń dla kadry nauczycieli i instruktorów tańca; dbanie o poziom zawodowej kadry nauczycieli tańca oraz zabieganie o pozyskiwanie opieki finansowej i prawnej ze strony organów społecznych, administracyjnych oraz jednostek gospodarczych.

Te szczytne cele realizowały szeregi ludzi, którzy z wielką pasją i zaangażowaniem do końca poświęcali swój czas tej prawdziwie społecznej sprawie. 2 i 3 marca 1985 r. Nadzwyczajne Walne Zgromadzenie Federacji Stowarzyszeń i Klubów Tanecznych w Polsce podjęło uchwałę nr 1 o zmianie statutu Stowarzyszenia już pod nową nazwą: Polskie Towarzystwo Taneczne (PTT) z siedzibą w Krakowie. Zmiany statutowe zostały zatwierdzone 21 marca 1985 r. i wpisane do rejestru stowarzyszeń i związków Urzędu Miasta Krakowa.

Dzisiaj Polskie Towarzystwo Taneczne jest największą organizacją taneczną w Polsce, nastawioną głównie na rozwijanie rywalizacji sportowej zarówno w tańcu towarzyskim, rock and roll'u, freestyle'u oraz innych formach.

PTT jest organizacją, w skład której wchodzi 16 okręgów, terytorialnie pokrywających się z obszarami województw. Należy do największych międzynarodowych organizacji tanecznych, m.in.: International Dance Sport Federation, World Rock and Roll Confederation oraz International Dance Organization. Jest członkiem wspierającym krajowego MKOL. Współpracuje z Polskim Zawodowym Stowarzyszeniem Tanecznym oraz z Federacją Tańca Sportowego.

W ramach PTT organizowanych jest rocznie około 300 różnego rodzaju turniejów tanecznych. Co roku odbywają się mistrzostwa okręgów, regionalne, Mistrzostwa Polski różnych form tanecznych. Towarzystwo organizuje również Puchary Europy i Świata oraz Mistrzostwa Europy i Świata

PTT zmierza do tego, by taniec – na poziomie wyczynowym – objęty był taką samą opieką jak inne dyscypliny sportowe. Najważniejsza jest pomoc finansowa podczas reprezentowania naszego kraju w różnego rodzaju zawodach międzynaro-

dowych, tj.: objęcie opieką zdrowotną wszystkich zawodników, prowadzenie różnego rodzaju badań naukowych dla uzyskania jak najlepszego wyniku sportowego oraz rehabilitację. W tym celu, w ramach tworzenia struktur sportowych, PTT powołało kolejno: w 1998 r. PTT SPORT, a w 2002 r. Federację Tańca Sportowego.

Rola tańca poszerzyła się znacznie w XXI w., jego znaczenie dostrzeżono przede wszystkim w edukacji, poprzez poznawanie poszczególnych tańców, ich historii oraz krajów, z których się wywodzą, a także poprzez naukę form i obyczajów towarzyskich. Taniec to rekreacja – zdobywanie różnego rodzaju odznak sprawności tanecznej, współzawodnictwa na poziomie hobby. Uważa się, że taniec jest również sposobem przywracania sprawności różnych aparatów ruchowych naszego ciała, a także równowagi emocjonalnej zaburzonej często różnymi sytuacjami życia (funkcja rehabilitacyjna). Może służyć integracji osób niepełnosprawnych i pełnosprawnych; uprawiają go ludzie w każdym wieku. Jest przede wszystkim sztuką – ruchem działającym na emocje – popularyzowaną przez prof. Mariana Wieczystego.

Dr inż. Andrzej Dura i prof. inż. Artur Wieczysty w swoim referacie pt.: *Problemy rozwoju Federacji Stowarzyszeń i Klubów Tanecznych w Polsce w latach 1966–1972* (Międzynarodowa Sesja Naukowa – Kraków 1977 r.) pisali: „Prof. Marian Wieczysty od zarania historii tańca towarzyskiego w Polsce był jego duszą, fantomem przelewającym weń coraz to nowe, pokaźne, nierzadko decydujące porcje energii. Przy swoim wrodzonym optymizmie, stanowczości i uporze potrafił z żelazną konsekwencją wspomagać ruch, zawsze w jego pierwszym szeregu i zawsze obecny na wielu frontach. Był jednym z głównych spoiw ruchu, położył zasługi fundamentalne. Jego nazwisko łączy się automatycznie z polskim ruchem tańca towarzyskiego, a za granicą stanowi jego najlepszą wizytówkę. [...] On to bowiem nadał oblicze Polskiemu Klubowi Tanecznemu, on też później tworzył Federację Stowarzyszeń i Klubów Tanecznych w Polsce... dla zapewnienia ruchowi lepszych merytorycznie i formalnie podstaw rozwojowi. W innych krajach naszego

obozu analogiczne ruchy nie mają podobnego autorytetu. On zresztą położył główne zasługi w utworzeniu ruchu tańca towarzyskiego w szeregu krajów naszego obozu. Na arenie międzynarodowej jest jedynym tak wysoce cenionym autorytetem z państw Bloku Demokracji Ludowej”.

Profesor Marian Wieczysty zmarł 16 stycznia 1986 r. w Krakowie. Pochowany został w Krakowie na Cmentarzu Rakowickim. W pamięci tych, co go znali, pozostał jako tytan pracy, całkowicie oddany tańcowi.

Wkład M. Wieczystego w rozwój tańca towarzyskiego w Polsce był ogromny. Usystematyzował on nauczanie tańca na poziomie tzw. użytkowym, stworzył system współzawodnictwa tanecznego, system kształcenia nauczycieli i instruktorów tańca towarzyskiego, nomenklaturę taneczną w zakresie nauczania tańca na poziomie współzawodnictwa artystyczno-sportowego. Organizując dzisiaj różnego rodzaju kursy kwalifikacyjne niejednokrotnie opieramy się o te definicje i pojęcia. Wykształcił rzesze nauczycieli i instruktorów, którzy rozpowszechnili taniec towarzyski w naszym kraju. Opracował wiele

materiałów metodycznych, był autorem dwóch książek.

Propagował w naszym kraju różne nowości oraz inne formy taneczne jak: rock and roll czy tańce, które dzisiaj nazywamy free style. Za swoją pracę był nagrodzony wieloma odznaczeniami, między innymi prestiżową nagrodą taneczną na świecie Carl Alan Overseas Award 81, wręczoną przez członka rodziny królewskiej w Wielkiej Brytanii oraz Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. Dzieło prof. Mariana Wieczystego w 2006 r. obchodzi 50-lecie istnienia.

Andrzej Golonka

Andrzej Golonka, członek Prezydium Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Tanecznego, sędzia PTT I kat., członek Imperial Society of Teachers of Dancing: Fellow Standard, Licencjate Latin, trener I kl. tańca sportowego, ukończył w zakresie tańca Studium Ministerstwa Kultury i Sztuki, wykładowca kursów kwalifikacyjnych Ministerstwa Kultury i Sztuki w zakresie tańca towarzyskiego, prowadzi Klub Tańca Towarzyskiego „Podgórze” w Krakowie. Główny organizator ogólnopolskiego turnieju tańca towarzyskiego o Puchar Mariana Wieczystego.



XXIII Ogólnopolski Turniej Tańca Towarzyskiego o Puchar M. Wieczystego, Kraków, styczeń 1997r.

Sport w telewizji

Ekspansja nowych technologii informacyjno-komunikacyjnych znacząco wpływa na oblicze współczesnego sportu w wielu płaszczyznach, które ogniskują uwagę medioznawców i filozofów¹. Związki między sportem a mediami posiadają również, a może przede wszystkim, wymiar praktyczny. Dzięki telewizji uzyskujemy relacje o sportach egzotycznych (np. rajdy samochodowe na pustyni) czy ekstremalnych (np. wspinaczka wysokogórska), do których przeciętny widz nie miałby dostępu. Telewizja, promując te dyscypliny, stwarza dla nich grupy wiernych fanów-entuzjastów, którzy – gromadząc się przed odbiornikami – ulegają złudzeniu uczestnictwa w niezwykle emocjonującym wydarzeniu. Ponadto dzięki takim atrybutom medium, jak złudzenie bezpośredniości i natychmiastowości transmisji, wzrasta jego zdolność wywoływania u widza emocji i zaangażowania w rzeczywistość prezentowaną na szklanym ekranie. Z kolei za sprawą wideo powstają zapisy najważniejszych rozgrywek sportowych, a techniki komputerowe są wykorzystywane do ich wizualizacji w celach szkoleniowo-treningowych.

Coraz częstszym zjawiskiem jest mediatyzacja sportu, a zatem nakładanie nań struktur telewizyjnej rzeczywistości, a przez to kreowanie sportowych widowisk medialnych. Dzięki temu programy sportowe zaliczają się bardziej do sfery rozrywki aniżeli informacji. Nie chodzi już o przestrzeganie reguł sportowej rywalizacji, ale wykreowanie widowiska sportowego, które – opierając się na tych zasadach – będzie zdolne przyciągnąć uwagę widzów. Zogniskowanie uwagi mas na wydarzeniu sportowym, na konkretnej

dyscyplinie, a nawet na wybranej drużynie lub zawodniku, należy do podstawowych zadań medialnych komunikatorów. Paradoksalnie do wzrostu zainteresowania sportem w mediach przyczynia się również wzrost występującej tam przemocy. „Sport i przemoc żyją sobie szczęśliwie, choć bez ślubu, w związku konsumowanym bądź na trawie, bądź na darni, parkiecie lub na lodzie, a zwłaszcza w telewizji” – z przekonaniem konstatuje Jennings Bryant². Chodzi nie tylko o boks czy hokej na lodzie, ale również o koszykówkę i mecze piłki nożnej. Dyskurs sportowy usprawiedliwia niektóre akty przemocy zaistniałe w trakcie rozgrywki, zwłaszcza gdy spotykają się one z aplauzem kibiców i podwyższają atrakcyjność samej gry. W tym kontekście warto również wspomnieć o wielce destrukcyjnych i antyspołecznych zachowaniach tzw. pseudokibiców, którzy wykorzystują rozgrywki sportowe jako pretekst do stosowania coraz bardziej wymyślnych i brutalnych aktów przemocy fizycznej. Tym samym agresja „schodzi” z boisk i tafl lodowisk na trybuny, a stamtąd poza granice stadionów sportowych, powodując częstokroć śmiertelne ofiary.

Te specyficzne spektakle służą równocześnie produkowaniu nowej kategorii idoli: piłkarzy, skoczków narciarskich czy chodźarzy, których wizerunki wykorzystywane są w celach reklamowych właściwie od początku ubiegłego wieku. „Producenci różnych dóbr ochoczo potrząsnęli kiesą – konstatuje Allen Gutmann – dzięki czemu na ekranie telewizyjnym rozgościło się wysportowane ciało, a towary reklamowali wybitni sportowcy. Coca-cola przetarła drogę już

w latach trzydziestych i czterdziestych, kiedy w jej reklamach pojawili się Johnny Weissmüller, Jesse Owens, Helen Madison i Alice Coachman – sami mistrzowie olimpijscy [...]. W czasach nam bliższych producenci bez mrugnienia płacą ogromne sumy za prawo do pokazywania Jima Palmera w bieliźnie, Bruce'a Jennera na pudełku płatków owsianych, Micheala Jordana w butach do koszykówki marki Nike [...]”³. Podobne przykłady można by oczywiście mnożyć. W polskiej rzeczywistości telewizyjnej pojawiał się często Adam Małysz reklamujący produkty czekoladowe czy Krzysztof Hołowczyc w roli amatora ziemniaczanych chipsów.

Postępująca profesjonalizacja sportu sprawia, iż dla samych zawodników przestaje być on (li tylko) zabawą i przyjemnością, a zaczyna być przede wszystkim źródłem (często ogromnych) dochodów finansowych, co z kolei determinuje korupcyjność instytucji i decydentów sportowych. W sporcie zawodowym widzowie, którzy biorą bezpośredni udział w oglądaniu rozgrywek (meczów, skoków narciarskich czy wyścigów samochodowych) zapewniają im podstawy materialne, kupując bilety na te widowiska. Telewizowie zgromadzeni przed swoimi odbiornikami funkcjonują jako adresaci reklam nadawanych w przerwach między transmisjami, a nawet w czasie ich trwania (na strojach sportowców, w postaci bannerów reklamowych na stadionach piłkarskich itd.). Tym samym stają się towarem sprzedawanym przez nadawców reklamodawcom. Dysponując określoną siłą nabywczą telewizorów występuje zatem w roli potencjalnego nabywcy (konsumenta) przedstawianych towarów i usług. Z punktu widzenia nadawców medialnych transmisja – nawet najbardziej atrakcyjnych rozgrywek sportowych – jest zaledwie koniecznym dodatkiem do bloków reklamowych. Te ostatnie z kolei pełnią rolę daniny, jaką muszą – w sensie symbolicznym – uiścić telewizorowi za możliwość oglądania ulubionego meczu czy zawodów lekkoatletycznych.

Media doprowadziły zatem do spektakularyzacji samego sportu i sportowców, przy okazji promując szereg innych produktów opartych na strukturze prawdziwej gry i jej ikonografii.

Wystarczy wymienić gry komputerowe poświęcone rozgrywkom piłkarskim, hokejowym czy popularnym w ostatnim czasie – skokom narciarskim. Z drugiej strony lokuje się kolorowa prasa popularna, w której obok przepisów kulinarnych, horoskopów i cudownych diet znajdują się wywiady z gwiazdami polskiego sportu oraz osobami z ich najbliższego otoczenia. Tą drogą dochodzi zatem do jego umasowienia i komercjalizacji; obok inwestycji w instytucje sportowe coraz więcej środków finansowych inwestuje się w reklamę i *publicity* wybranych dyscyplin sportowych oraz jej reprezentantów. „Kariera sportu w mediach – zwłaszcza w telewizji – wywiera wpływ zarówno na same media, jak i na kibiców, i w ogóle na cały świat sportu. [...] Nie tylko plany zawodów opracowuje się z myślą o widowni telewizyjnej, również reguły zmienia się tak, by ta widownia miała więcej emocji, niekiedy zaś samo istnienie jakiejś dyscypliny lub ligi zależy od wyeksponowania ich w telewizji”⁴. Dochodzi zatem do zjawiska spektakularyzacji sportu, czyli uczynienia zeń atrakcyjnego widowiska, które zdolne będzie skupić i przytrzymać uwagę coraz bardziej wymagających widzów. Telewizja zresztą umiejętnie podsycza te tendencje, organizując dodatkowo plebiscyty na najbardziej popularnego sportowca, a tym samym aktywizując telewidzów nie tylko w roli użytkowników medium, ale także decydentów (np. w głosowaniach audiotele).

Spektakularyzacja sportu w mediach i dzięki mediom prowadzi jednocześnie do jego estetyzacji. Wybitny współczesny estetyk, Wolfgang Iser, stawia w tym kontekście nawet pytanie, czy mowa jedynie o estetyzacji, czy wręcz sport nie funkcjonuje jako forma sztuki?⁵ Poszukując argumentów popierających tę tezę wskazuje między innymi na takie zjawiska, jak: wprowadzenie nowego stylu strojów sportowych, nacisk na estetyczne elementy pokazu (w tym takie działania, jak zmiana reguł gry umotywowana względami estetycznymi) czy gloryfikacja pięknych ciał sportowców i sportsmenek zarówno w trakcie rywalizacji, jak i po niej. Piękne ciało i fizyczność są wręcz utożsamiane w telewizji oraz reklamie wizualnej z ideałem męskości i kobiecości. Dla niemieckiego filozofa istotne są również

operacje konceptualne związane z przesunięciem granic kategorii samej „sztuki”. Tę część swojego wywodu konstatuje on znamienym stwierdzeniem: „Wydarzenia sportowe odgrywają najbardziej podstawowe cechy ludzkiego losu, a sposób, w jaki się to odbywa, jest zdumiewająco autokreatywny. Sport jest w swym działaniu semantycznie głęboki i istotnie artystyczny. Widzę w tym wszelkie powody do uznania go za sztukę”⁶. Jednocześnie Welsch zauważa, iż sport pełni funkcję sztuki przeznaczonej dla masowej publiczności. Tym samym chroni „prawdziwą” sztukę od ulegania popularnym gustom i potrzebom „społeczeństwa rozrywki i przyjemności”.

Spektakl sportowy jawi się zatem jako pewna medialna całość zbudowana z interakcyjnych reakcji widzów (bezpośrednich świadków rozgrywki, np. kibiców na stadionie piłkarskim) na poczynania zawodników. Telewizor odseparowany od wydarzenia, w którym może jednak dzięki medium uczestniczyć na odległość (teleobecność), doświadcza całkowicie innych emocji niż w tłumie bezpośrednich widzów. Przeniesienie meczu ze stadionu na ekran telewizora przynosi nie tylko istotne konsekwencje psychologiczne, ale również recepcyjno-odbiorcze. Po pierwsze, rozgrywka sportowa (np. mecz piłki nożnej czy skoki narciarskie) postrzegane są przez ich bezpośredniego widza ze stałego punktu widzenia oraz całościowo. Telewizor odbiera to samo wydarzenie fragmentarycznie zgodnie z kątem patrzenia, który narzuca mu ruch kamery. Ta ostatnia koncentruje się częściej na jednostkach (poszczególnych zawodnikach) oraz ich indywidualnych sukcesach, zarówno bieżących, jak i wcześniejszych dokonaniach. O tych ostatnich dowiadujemy się najczęściej z ust komentatora. W telewizyjnych relacjach wykorzystywane są również powtórki pokazywane z różnych punktów widzenia oraz zbliżenia zawodników wykonywane przy wykorzystaniu obiektywów długoogniskowych oraz celowych zwolnień przebiegu akcji⁷. Tym samym telewizor sytuowany jest na pozycji bezpiecznego obserwatora, który dzięki telewizyjnej kamerze zyskuje pogłębiony ogląd przebiegu rozgrywki.

Po drugie, na bieżąco korzysta ze wskazówek i interpretacji komentatora, który nie tylko

wpływa na udratyzowanie przebiegu akcji, ale również nadaje spójność całemu widowisku. Ważne jest także i to, że telewizyjna transmisja zwykle zaczyna się wcześniej niż sama rozgrywka. Komentator – albo ze studia, albo z miejsca, gdzie będzie odbywać się sportowa rywalizacja – udziela widzom wstępnych informacji na jej temat. Dotyczą one między innymi: składu drużyn, charakterystyki poszczególnych zawodników, panujących warunków atmosferycznych oraz ich wpływu na przebieg zawodów, a także oczekiwań kibiców oraz nastroju panującego przed rozpoczęciem gry⁸. Jak ważna jest funkcja komentatora może świadczyć fakt, iż „jedyne eksperymenty telewizyjne z pokazywaniem piłki nożnej bez komentarza – transmisja stacji NBC w 1980 r. – został uznany powszechnie za porażkę. Mogło się na to złożyć kilka przyczyn. Być może przedstawienie na ekranie ma dla futbolu równie istotne znaczenie jak sama gra. Być może również zasadnicza funkcja narracji jako komentarza w telewizji została uwypuklona za pomocą jego efektu – osadzenia materiału wizualnej rozgrywki”⁹.

W kontekście roli komentatora można pokusić się o przeprowadzenie jeszcze dodatkowej specyfikacji. Może on występować na „miejscu akcji” i stamtąd prowadzić dla widzów relacje w czasie rzeczywistym trwania rozgrywki, a także ewentualnie w przerwach między jej poszczególnymi częściami. Może też zasiadać w sportowym studio telewizyjnym, najczęściej w towarzystwie zaproszonych ekspertów. Są wśród nich byli i obecni zawodnicy, trenerzy, działacze sportowi i dziennikarze, profesjonalnie zajmujący się tą tematyką, także na potrzeby innych mediów, głównie prasy, radia i internetu. Coraz częściej w tej roli występują również znane osoby ze świata kultury, nauki a nawet polityki. Tym samym dochodzi niejednokrotnie do tzw. zjawiska przeniesienia autorytetu. Mowa o sytuacji, gdy jednostka rozpoznawana przez widzów i ciesząca się autorytetem w danej dziedzinie wypowiada się na temat innej (w tym przypadku sportu), korzystając z wcześniej wypracowanego kredytu publicznego zaufania.

Komentatorów sportowych można podzielić nie tylko ze względu na miejsce ich faktycznego

usytuowania wobec spektaklu sportowego (raz są jego elementem, innym razem zewnętrznym obserwatorem), ale również na funkcje samego komentatora. „Podczas gdy <<komentator od kolorowania>> sytuuje grę w jej perspektywie emocjonalnej i historycznej, <<komentator merytoryczny>> zapewnia narrację gry w czasie bieżącym. Jego zadaniem jest dostarczanie dyskursywnego podkładu dźwiękowego do wizualnej reprezentacji sportu, umożliwiającego rozproszonemu odbiorcy nadążanie za grą, a także przywoływanie go do ekranu w celu obejrzenia najważniejszych fragmentów”¹⁰. Należy jednocześnie pamiętać, że odbiór telewizji, np. w odróżnieniu od odbioru filmu w kinie, ma charakter rozproszony i nieciągły. Uwaga telewidza zwykle podzielona jest między wykonywanie różnych innych czynności. W związku z tym komentator pełni rolę narratora. Zwraca on uwagę odbiorcy na najważniejsze momenty gry oraz przypomina te jej wcześniejsze fragmenty, których z różnych przyczyn telewidz nie mógł oglądać. Ponadto komentator zapełnia swoimi wypowiedziami okresy „martwej ciszy”, kiedy na ekranie nic ciekawego się nie dzieje lub występuje przerwa w rozgrywce. Działa zatem w służbie fatyczności medium, ponieważ telewizja jest nastawiona przede wszystkim na podtrzymywanie kontaktu z widzami. W „gorących sytuacjach”, np. gdy napastnik zbliża się do bramki, komen-

tator podsyca natomiast atmosferę gry, wpływając tym samym na poziom jej emotywności.

Staje się całkiem jasne, że transmisje sportowe są współcześnie profesjonalnie wyreżyserowanymi spektaklami. Komercjalizacja i spektakularyzacja sportu to zjawiska, które z pewnością będą przybierać na mocy wraz z rozwojem samych mediów. Podstawowa wątpliwość, która się pojawia w ich kontekście, dotyczy możliwości zatracenia przez sport jego własnej istoty. Początki tego zjawiska dają się zaobserwować niestety już dziś...

Agnieszka Ogonowska

¹ Inspirującego przeglądu tych stanowisk dostarcza praca pod redakcją Andrzeja Gwóźdź, z której pochodzą artykuły wykorzystywane w tym opracowaniu: A. Gwóźdź, red., *Media, eros, przemoc. Sport w czasach popkultury*, Kraków 2003, 342 s.

² J. Bryant, *Przyjemność widza a przemoc w telewizyjnych transmisjach* [w:] A. Gwóźdź, op. cit., s. 156.

³ J. Guttman, *Lekkoatletyka. Eros i kultura popularna* [w:] A. Gwóźdź, op. cit., s. 115.

⁴ S. Birrell, J.W. Loy, jr., *Sport w mediach: gorący i zimny* [w:] A. Gwóźdź, op. cit., s. 230–231.

⁵ W. Welsch, *Sport przez pryzmat estetyki – a nawet widziany jako sztuka* [w:] A. Gwóźdź, op. cit.

⁶ W. Welsch, op. cit. s. 320.

⁷ M. Morse, *Sport w telewizji: powtórka i przedstawienie na ekranie* [w:] A. Gwóźdź, op. cit., s. 30.

⁸ B. Neitzel, *Półka nożna: grana i opowiadana* [w:] A. Gwóźdź, op. cit., s. 261.

⁹ M. Morse, op. cit., s. 40.

¹⁰ A. Rose, J. Friedman, *Sport telewizyjny jako zma(s)kulinizowany kult dystrakcji* [w:] A. Gwóźdź, op. cit., s. 64–65.

120 lat działalności Krakowskiego Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”

W 2006 r. sport krakowski będzie obchodził stulecie powstania pierwszych klubów piłkarskich: Cracovii i Wisły. W związku z tym rozpoczynamy cykl artykułów poświęconych tradycjom sportowym w naszym mieście. Kraków, jako ośrodek myśli naukowej, odegrał istotną rolę w rozwoju różnorodnych form wychowania fizycznego. Już w drugiej połowie XIX w. powstały stowarzyszenia, które rozwijały zdrowie i sprawność młodzieży polskiej, pogłębiały poczucie odrębności narodowej, rozwijały patriotyzm i przygotowywały do walki o niepodległość Polski. W bieżącym numerze przedstawiamy prekursora wychowania fizycznego i sportu w naszym mieście – Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół”

Początkowo ruch sokoli związany był ze środowiskiem lwowskim. Tam powstało w 1867 r. pierwsze Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół”, które przekształciło się w jedną z najliczniejszych i najpopularniejszych organizacji społecznych działających na ziemiach polskich. Dało ono początek ruchowi sokolemu, który ogarnął cały kraj, a także skupiska Polaków za granicą. Rozwój fizyczny i duchowy społeczeństwa polskiego traktowano w nim jako środek do osiągnięcia wyższych celów narodowych. Wychowanie w tym duchu młodego pokolenia Polaków, zdolnego w przyszłości do walki o wolność narodu, uznali „Sokoli” za najwyższą wartość społeczną i swoje posłannictwo.

Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół” we Lwowie, zwane później „Sokołem Macierzą”, przez okres 17 lat działało jako jedyne na ziemiach

polskich. Jako pierwsze poza Lwowem, zawiązały się w 1884 r. gniazda – filie w Tarnowie i Stanisławowie. Rok następny wzbogacił sokolstwo o cztery nowe, ważne placówki: w Przemyślu, Krakowie, Kołomyi i Tarnopolu. Szczególnie ważne okazało się powstanie silnej organizacji sokolej w Krakowie, która zaczęła aktywnie oddziaływać na powstawanie nowych gniazd w Galicji Zachodniej. Od chwili powstania, w roku 1885, Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół” w Krakowie odgrywało wielką rolę w całym ruchu sokolim i było, obok Lwowa, najsilniejszym ośrodkiem sokolim w Galicji.

Bezpośrednim impulsem do jego założenia stała się nader liczna wycieczka sokołów z Czech i ze Lwowa, goszcząca w Krakowie w połowie sierpnia 1884 r. Postawa jej uczestników, jednolicie umundurowanych i zdyscyplinowanych, dla

wielu krakowian okazała się dostatecznie przekonującym „dowodem korzyści, jakie osiąga się z gimnastycznych stowarzyszeń”. Stąd też myśl powołania „Sokoła” w Krakowie, która zrodziła się w gronie najbardziej postępowych studentów UJ, uzyskała poparcie grupy liczących się osobistości spośród inteligencji i bogatego mieszczaństwa, czemu towarzyszyła namiętna dyskusja prowadzona na łamach lokalnej prasy.

Już w miesiąc po ich wyjeździe, 21 września, z inicjatywy Teodora Riedla i dra Alfreda Opalińskiego, odbyło się w sali Rady Miejskiej zebranie chętnych do założenia towarzystwa gimnastycznego w Krakowie. W czasie owego zebrania wybrano czternastoosobowy komitet, na czele ze znanym komediopisarzem i prozaikiem Michałem Bałuckim, mający ułożyć statut i wystąpić o jego zatwierdzenie. Krakowski „Sokół” powstał jako towarzystwo niezależne od Lwowa, co podkreślano nawet różnicą w mundurze, wprowadzając jako jego element czapkę krakowską z pawim piórem. 23 lutego 1885 r. namiestnictwo zatwierdziło statut i dopiero wówczas można było zwołać zebranie założycielskie, które odbyło się 17 maja. Michał Bałucki poinformował zebranych, że do Towarzystwa przystąpiło już 250 osób, a następnie wybrano władze. Prezesem Towarzystwa został Michał Bałucki, wiceprezesem dr Stanisław Abłamowicz, a w skład Wydziału weszli dodatkowo: dr Lew Barański, Kazimierz Bartoszewicz, Mieczysław Białkowski, Alfons Borkowski, Mieczysław Głuchowski, Michał Gołąb, Jan Kozmiński, Jan Kwiatkowski (skarbnik), Emanuel Mirtenbaum, dr Alfred Opaliński, Tadeusz Romanowicz, Ferdynand Weigel i Andrzej Zarzycki (sekretarz).

Pierwszym problemem, przed jakim stanął „Sokół” w Krakowie, było znalezienie miejsca do ćwiczeń. Początkowo, z braku innych możliwości, urządzono boisko do ćwiczeń gimnastycznych w udostępnionym bezpłatnie przez Jana Kwiatkowskiego i Juliusza Przeworskiego ogrodzie położonym przy ówczesnym placu Latarnia (w pobliżu kościoła i klasztoru OO. Kapucynów). Ćwiczone tam, pod kierunkiem Kazimierza Homińskiego i Aleksandra Gędlka,

od lipca 1885 do późnej jesieni tego roku. Równocześnie Wydział poszukiwał budynku, w którym dałoby się urządzić salę gimnastyczną. Przy braku jakichkolwiek możliwości znalezienia odpowiedniego gmachu skorzystano z propozycji właścicieli browaru przy ul. Lubicz, Hugona i Alfreda Johnów. Udostępnili oni Towarzystwu obszerną szopę znajdującą się na terenach browaru, którą następnie przebudowano, przystosowując ją do funkcji sali gimnastycznej. Do tej sali przeniesiono przyrządy, które stanowiły wcześniej wyposażenie boiska gimnastycznego i odbywano tu ćwiczenia gimnastyczne od zimy 1885 do maja 1889 roku. W zajęciach, które kończyły się corocznie publicznymi popisami, uczestniczyli członkowie i członkinie „Sokoła”.

Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół” w Krakowie już w pierwszym roku swego istnienia liczyło 426 członków, w tym 95 ćwiczących. Uruchomiono również kursy dla uczniów szkół ludowych i średnich. W sprawozdaniu z pierwszego roku działalności krakowskiego „Sokoła” wspomniano, że „Myślą dobrą publicznego przejęcia, przekonani silnie o wysokim narodowym i społecznym znaczeniu instytucji, ufamy, że członkowie wytrwają pod sztandarem Sokoła w bratniej zgodzie i jedności”. W 1886 r. wybrano nowego przewodniczącego spoza grona Wydziału. Został nim prezes Krakowskiej Izby Adwokackiej - dr Wawrzyniec Styczeń. W grudniu 1886 r. nadzór nad ćwiczeniami gimnastycznymi objął na miesiąc, specjalnie przybyły ze Lwowa, Antoni Durski. Zaaprobował on w pełni program ćwiczeń przyjęty w Krakowie, a Wydział zgodnie z jego sugestią mianował nowym naczelnikiem (kierującym ćwiczeniami gimnastycznymi) studenta medycyny Teofila Tysszeckiego. W październiku 1888 r. Rada Miejska przekazała bezpłatnie „Sokołowi” działkę przy ul. Wolskiej (dziś J. Piłsudskiego). Prace budowlane rozpoczęto od przeniesienia prowizorycznego budynku „Sokoła” z ul. Lubicz na uzyskany plac. Komitet budowlany w składzie: Wawrzyniec Styczeń, Karol Szurek, Teodor Gajdzicz, Karol Knaus, Józef Niedźwiecki, Janusz Niedziałkowski, Jan Kwiatkowski, Leopold Reich, Jacek Matusiński, Wandali Beringer

i Teofil Tyszecki, zaaprobował plany budynku (sporządzone przez K. Knausa), w którym m. in. mieścić się miała sala gimnastyczna. Zgromadzone środki finansowe pozwoliły w maju 1889 r. rozpocząć budowę. Prace wykonywane przez firmę Jana Meyera przebiegały bardzo sprawnie i 18 listopada 1889 r. budynek został uroczystie oddany do użytku. W lecie 1890 r. wykończono go ostatecznie, ozdabiając między innymi salę gimnastyczną malowidłami wykonanymi przez Antoniego Tucha oraz hasłami obrazującymi ideały sokole: „Ze słabością łamać uczmy się za młodu; Razem młodzi przyjaciele – we wspólnym szczęściu wszystkich cele; Wspólna moc zdoła nas tylko ocalić; Odwaga, siła, wytrwałość, równość, męstwo, dzielność, karność, sokoli lot”.

Gmach był usytuowany przy ówczesnych granicach miasta, koło Błoń i szerokich, niezabudowanych terenów, co ułatwiało prowadzenie ćwiczeń na świeżym powietrzu. Nowy budynek pozwolił zintensyfikować ćwiczenia gimnastyczne. Liczba członków wzrasta do 1074 (1891 r.), w 1897 r. spada do 750, od tego roku wzrasta znowu i dochodzi do liczby 1290 (1909 r.). Liczba ćwiczących panów i pań od 95 w roku 1885 stale wzrasta i dochodzi do 719 w roku zlotu grunwaldzkiego (1910). Liczba uczniów i uczennic w roku 1885 wynosiła 220, a w roku 1909 dochodzi do 1286, zaś w 1913 r. ćwiczyło 1180 osób.

Z powodu takiej intensyfikacji działań nowo wybudowany budynek szybko okazał się niewystarczający dla ćwiczących. Dlatego też na przełomie roku 1894 i 1895 postanowiono go powiększyć według planów krakowskiego architekta druha Teodora Talowskiego. Zamiast dwóch dużych szatni uzyskano, usytuowaną na pierwszym piętrze, salę gimnastyczną o wymiarach 22 x 10 m.

Obok ćwiczeń fizycznych organizowano w „Sokole” wieczornice, głównie dla starszego pokolenia. Program każdej wieczornicy był starannie przygotowywany i łączył części oficjalne – przemówienia, śpiewy, deklamacje – z częścią rozrywkową: dobry bufet,

dowcipy, a od roku 1897 występy orkiestry smyczkowej pod batutą druha Urygi, wkrótce potem również orkiestry dętej. W 1898 r. urządzono czytelnię i bibliotekę dla członków, a na boisku ślizgawkę. W tymże roku powstaje strzelnica, dzięki czemu w roku 1908 wprowadzono dla członków obowiązkowe ćwiczenia w strzelaniu. Organizowano uroczystości narodowe, czczono rocznice powstań, szczególnie dni kościuszkowskie, a poza tym urządzano tradycyjne andrzejki czy opłatki, na które zapraszano znanych w Krakowie ludzi, także spoza „Sokoła”. Bywali na tych spotkaniach radni miejscy, posłowie, duchowieństwo i weterani powstania styczniowego.

W roku 1894 T. Tyszeckiego zastąpił na stanowisku naczelnika Szczepny Ruciński, z zawodu aptekarz, który sprawom sokołów poświęcił całe życie. W 1896 r. nastąpiła również zmiana prezesa Towarzystwa. W. Stycznia zastąpił Władysław Turski - inżynier, członek rady miejskiej i bliski współpracownik prezydenta miasta Juliusza Lea, który pełnił ją do wybuchu I wojny światowej.

Obok gimnastyki uprawiano w Towarzystwie cały szereg dyscyplin sportowych. Zaliczyć do nich należy wioślarstwo, jazdę konną, kolarstwo, szermierkę, turystykę, strzelectwo, zapasy, atletykę, lekką atletykę, pływanie i łyżwiarstwo.

W grudniu 1886 r. z inicjatywy Jana Mądrzykowskiego otwarto szkołę szermierki. Ćwiczyło w niej 30 osób. Zajęcia prawdopodobnie prowadził Kazimierz Przerwa-Tetmajer. Kształcili się w tej dyscyplinie wówczas członkowie Towarzystwa oraz grono nauczycielskie i starsi uczniowie szkół średnich. Lekcje udzielali dr med. Józef Łuszczkiewicz i słuchacz prawa UJ Michał Łuszczkiewicz oraz Stanisław Marian Tokarski i Szczesny Ruciński. W późniejszym okresie zajęcia prowadził fechtmistrz J. Biliński. Szkoła szermiercza „Sokoła”, a następnie Oddział Szermierczy, nie rozwinęły jednak szerszej działalności. Mała popularność szermierki w pierwszym okresie (1886-1903) wynikała z braku warunków lokalowych i finansowych, a w drugim okresie (1903-1912) chętnych odstraszały wysokie opłaty.

Oddział wioślarski powstał w 1891 r. jako odrębna jednostka organizacyjna i działał do I wojny światowej, został zorganizowany przez Józefa Rudnickiego (kupca) i Aleksandra Gędłkę. Oddział zbudował własną przystań na Wiśle. Dominujące miejsce w jego działalności zajmowała turystyka wioślarska, obok której organizowano regaty wioślarskie, kontynuowano nauczanie wioślarstwa i pływania. Ulubionym zajęciem wioślarzy było pływanie do Bielani i do Tyńca. Procesem nauczania techniki wioślarstwa oraz umiejętności pływania kierował początkowo nauczyciel A. Gędłek przy pomocy sterników M. Kuszy i T. Radwańskiego, a następnie szereg instruktorów: S. Sielski, S. Rudy, J. Rudnicki, i T. Łopuszański. W 1906 r. duże zasługi w nauczaniu wioślarstwa położył S. Czerniewicz, były członek klubu wioślarskiego w Gandawie.

W roku 1892 staraniem druhów doktora Juliusza Bandrowskiego i Wilhelma Rippera powstał oddział konny kierowany przez Ferdynanda Walza i korzystający wówczas z ujeżdżalni obok klasztoru Kapucynów. Działalność oddziału konnego przypada na lata 1892-1897 i 1912-1914. Powołanie oddziału uzasadniano rodzimymi tradycjami, walecznością Polaków oraz funkcją militarną, jaką może spełniać jazda konna. Kierunek wojskowy widać wyraźnie w okresie 1912-1914, co znalazło wyraz w utworzonej w 1913 r. konnej drużynie polowej. Po latach konni sokoli mieli współtworzyć szwadron legionów i szarżować pod Rokitną. Wkład Sokołów w formowanie, w okresie I wojny światowej, jazdy polskiej był ogromny. Według danych statystycznych tylko do roku 1895 w ramach sekcji konnej „Sokoła” szkoliło się 306 jeźdźców i 102 uczniów. W pierwszym okresie funkcję nauczyciela jazdy konnej pełnił Ferdynand Walz, w drugim – Kasper Kawa, R. Mandel, R. Polec.

Oddział kolarzy powołano w kwietniu 1895 r. pod przewodnictwem dra Michała Koya. Od samego początku swego istnienia prowadził szkołę jazdy na rowerach dla panów, kobiet i dziewcząt. Na czele szkoły jazdy stał nauczyciel mianowany corocznie przez zarząd oddziału.

W początkowym okresie funkcję tę pełnił J. Waszkiewicz. Obok szkoły jazdy uprawiano kolarstwo w formie wyczynowej, turystycznej i pokazowej. Pod koniec omawianego okresu wykorzystywano kolarstwo również do służby informacyjnej w ramach przygotowań wojskowych. Po udziale w jeździe rozstawnej Praga – Kraków, zorganizowanej przez kolarzy czeskich w 1899 r., urządziła jazdę rozstawną Kraków – Lwów w 1900 r. Przeciętnie organizowano kilkanaście wycieczek rocznie do różnych miejscowości zagranicznych i krajowych.

Barwny rozdział w życiu sokolim stanowiły wycieczki górskie, w których przodowały wspaniały taternik – Michał Kirkor. Terenem wycieczkowym były Tatry i Beskidy oraz szereg miejscowości podkrakowskich. W 1910 r. zorganizowano Oddział Turystyczny, najaktywniej działali w nim wspomniany M. Kirkor, E. Ku balski i W. Elias.

Towarzystwo „Sokół” odegrało ważną rolę w popularyzacji żyźwiarstwa, mimo że nie utrzymywało wyodrębnionego oddziału. Począwszy od 1898 r. organizowało rokrocznie dobrze wyposażone lodowisko. Niskie ceny biletów wstępu, wypożyczalna sprzętu na miejscu, bufet, ogrzewane szatnie oraz oświetlenie i orkiestra stanowiły dodatkowe czynniki przesądzające o powodzeniu lodowiska.

Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół” w Krakowie odegrało ogromną rolę w kształceniu instruktorów wychowania fizycznego. W 1891 r. przeprowadzono pierwszy kurs dla nauczycielek gimnastyki, w 1894 kurs dla nauczycieli, a także wprowadzono w życie gry i zabawy oraz ćwiczenia towarzyskie, zaś w latach 1900, 1904 i 1906 dalsze kursy dla nauczycieli i nauczycielek. W późniejszym okresie organizowano coroczne kursy, na których doskonalili się zarówno instruktorzy i naczelnicy „Sokoła”, jak i nauczyciele, którzy mieli uczyć gimnastyki w szkole.

Na szczególną uwagę zasługują zloty sokoliskie, gdyż były to pierwsze na ziemiach polskich w okresie zaborów, igrzyska sportowe dla szerszej publiczności. Były one nie tylko przeglądem sił fizycznych „Sokołów”, ich poziomu i osią-

gnąć w dziedzinie upowszechniania kultury fizycznej, ale miały przede wszystkim charakter patriotyczny. Krakowscy sokoli w liczbie 35 osób wzięli udział w I Zlocie Sokolów Słowiańskich w Pradze w 1891 r. Świetnie zaprezentowali się krakowscy szermierze rok później, na I Zlocie Sokolstwa Polskiego we Lwowie. Krakowski okręg „Sokoła” urządzał ponadto zloty w małych miasteczkach, takich jak: Skawina, Sucha, Oświęcim czy Chrzanów, a wiadomości i zawiadomienia o nich rozwozili cykliści z krakowskiego oddziału. Największy jednak zlot odbył się w Krakowie 14 – 17 lipca 1910 r. w 500 rocznicę zwycięstwa wojsk polsko-litewskich nad Krzyżakami w bitwie pod Grunwaldem. Był największą imprezą sokolstwa w Galicji. Uczestniczyło w nim 7097 Sokolów, w tym 781 osób z ziem zaboru pruskiego i rosyjskiego, z Rosji, Francji i Ameryki. Ze wszystkich zaborów przybyło 711 sokolic z oddziałów żeńskich. W zlocie uczestniczył również 70-osobowy oddział konny. W wolnych ćwiczeniach gimnastycznych, w dniu 16 lipca, brało udział 3116 sokolów, zaś 17 lipca – 3312 sokolów. Obok zawodów lekkoatletycznych odbyły się zawody pływackie, w strzelectwie, zapasach, szermierce, kolarstwie, jeździe konnej i wioślarstwie. Kierownikiem zawodów był Zygmunt Wyrobek. W czasie zlotu dokonano odsłonięcia Pomnika Grunwaldzkiego, który ufundował Ignacy Paderewski. Po raz pierwszy publicznie zaprezentowano w „Sokole” ćwiczenia z bronią. Sokoli pokazali pozorowaną walkę na bagnety z szarżującą kawalerią. Na zakończenie zlotu odbył się pochód, w którym brało udział ponad osiem tysięcy umundurowanych „sokołów” i „sokolic”, a ogółem liczba defilujących miała sięgać 90 tysięcy.

36 Dużą zasługą TG „Sokół” było roztoczenie opieki nad rodzącym się ruchem skautowym. W Krakowie bardzo aktywnie pracował Zygmunt Wyrobek. Dzięki jego staraniom powstały w 1911 r. pierwsze oddziały harcerskie. Ruch ten rozwijał się bardzo szybko. W tym samym roku istniały już trzy oddziały skupiające 225 uczniów, zaś w 1913 r. – 20 drużyn i 907 osób. Jedną z form

działalności ruchu skautowego była systematyczna gimnastyka, wycieczki, ćwiczenia polowe (patrolowanie, tropienie, obozownictwo).

W 1905 r. rozpoczęto wśród „sokołów” ćwiczenia wojskowe i datę tę możemy uznać za początek samorządnie powstających drużyn sokolich. W 1906 w krakowskim „Sokole” powołano Organizację Członków Mundurowych, która była początkiem późniejszych Stałych Drużyn Sokolich. Zjazd delegatów okręgu krakowskiego 1909 r. podjął uchwałę o ćwiczeniach z karabinami, co stało się wstępem do utworzenia polowych drużyn sokolich. Ostatecznie 10 grudnia 1912 r. na posiedzeniu Wydziału Związku zapadła decyzja o powołaniu Stałych Drużyn Sokolich. Od momentu powstania rozpoczął się proces ich rozwoju. Intensywnie rosła liczba członków w drużynach, odbywano ćwiczenia polowe, zakupywano broń i mundury. Sprawdzianem nabytych umiejętności były zloty doraźne, połączone z ćwiczeniami polowymi. Manifestacją sprawności organizacyjnej, patriotyzmu był zlot z okazji setnej rocznicy śmierci księcia Józefa Poniatowskiego, który odbył się 18 – 19 października 1913 r. w Krakowie. W ćwiczeniach polowych pod Kobierzynem wzięły udział Drużyny Sokole, Drużyny Bartoszwowe, Drużyny Podhalańskie i skauci. Jako oddział wywiadowczy wystąpili cykliści „Sokoła”. Po skończonych ćwiczeniach odbył się uroczysty pochód na Wawel z udziałem krakowskiego „Strzelca” i Polskich Drużyn Strzeleckich.

Od listopada 1912 r. w Krakowie reaktywowano Oddział Konny „Sokoła”, który prowadził dwa kierunki pracy: sportowo-gimnastyczny i przysposobienia wojskowego. Ćwiczone na błoniach i w ujeżdżalni. W ramach oddziału, z końcem 1913 r., powołano Stałą Drużynę Polową Konną. Celem tej drużyny było wyrobienie cech wojskowych oraz nabycie wykształcenia czysto militarne. W zakres programu wchodziły: ćwiczenia musztry, strzelanie, wykłady i udział z oddziałami pieszymi w ćwiczeniach polowych. Oprócz oddziałów konnych wprowadzono również szkolenie narciarskie. W tym

celu zorganizowano w grudniu 1913 r. w Zakopanem, wspólnie z Tatrzańskim Towarzystwem Narciarskim, kurs narciarski dla Stałych Drużyn Sokolich.

Wybuch I wojny światowej spowodował, że część członków drużyn sokolich wstąpiła do legionów i wzięła udział w walkach niepodległość Polski. Sokoli z okręgu krakowskiego wstąpili do Legionu Zachodniego w liczbie 988 druhów, z czego sformułowano 2-gi batalion II pułku. Komendę nad tym batalionem przydzielono S. Rucińskiemu. Pułk ten, wchodząc w skład II brygady, wyruszył z nią na front karpacki 30 września 1914 r. Z Oddziału Konnego Sokoła Krakowskiego (30 jeźdźców) utworzono 2-gi szwadron ułanów.

Najbardziej spektakularnym czynem bojowym była zwycięska szarża 2-go szwadronu 2 pułku ułanów pod dowództwem rotmistrza Zbigniewa Dunin-Wąsowicza pod Rokitną 13 czerwca 1915 r.

Po odzyskaniu niepodległości i zjednoczeniu Sokolstwa Polskiego władze państwowe nie uważały „Sokoła” jako organizacji kształtującej rozwój wychowania fizycznego. Wobec tych przemian w krakowskim „Sokole” powstają sekcje sportowe; strzelecka, tenisa, lekkiej atletyki, piłki nożnej, gier i zabaw, hokejowo-łyżwiarska, kajakowa. Wiodącą dyscypliną sportową była gimnastyka, w której odnoszono największe sukcesy. Najlepszą zawodniczką była Janina Skirlińska, mistrzyni Polski w latach 1933, 1935, 1937 i 1938 w wieloboju, brązowa medalistka mistrzostw świata w wieloboju i srebrna medalistka w ćwiczeniach na równoważni w Budapeszcie (1934 r.). Na mistrzostwach świata w 1938 r. w Pradze zajmuje 4 miejsce w wieloboju. Czołową gimnastyczką była też Irena Mikulska, czwarta zawodniczką w zawodach o Pierwszeństwo (odpowiednik mistrzostw Polski) w 1933 r. i 23 zawodniczką mistrzostw świata w wieloboju mistrzostw świata w 1934 r. Wśród mężczyzn - Tadeusz Daniel w zawodach eliminacyjnych przed Igrzyskami Olimpijskimi w Amsterdamie (1928) zdobył drugie miejsce i reprezentował Polskę w pokazie narodów na

też olimpiadzie. Był najlepszym gimnastykiem w Polsce w 1931 r. Czołowym zawodnikiem w skali kraju był również Jerzy Lewicki.

Krakowskiemu „Sokołowi” w latach międzywojennych przesowali: Władysław Turski (do końca 1919 r.), dr Stanisław Rowiński (1919–1932), dr Karol Bunsch. Za przesury tego ostatniego reaktywowano oddział konny, utworzono sekcję łuczniczą, zbudowano korty tenisowe. W roku 1935 obchodzono jubileusz 50-lecia powstania krakowskiego „Sokoła” uczczony Złotem Dzielnicowym w dniach 27 – 30 czerwca. W trakcie złotu odsłonięto tablicę pamiątkową ku czci poległych Sokolów w czasie I wojny światowej. Została ona usunięta w 1940 roku przez okupanta niemieckiego. 14 grudnia 1937 r. zorganizowano w krakowskiej sokolni obrady Sokolstwa Słowiańskiego. Aktywny udział krakowscy Sokoli wzięli w Zlocie Dzielnicy Małopolskiej we Lwowie w dniach 28–29 maja 1939 r., zaś 6 sierpnia w rocznicę wymarszu I Kadrowej zorganizowali patriotyczną manifestację.

Wybuch II wojny światowej przerwał działalność krakowskiego „Sokoła”. Po zakończeniu okupacji niemieckiej podjęto działania zmierzające do reaktywowania organizacji. Na ogólnopolskim zjeździe sokolstwa polskiego w Krakowie w dniu 9 września postanowiono założyć w Krakowie Tymczasowy Zarząd Związku jako kontynuację zniszczonego Centralnego Związku w Warszawie, powołując na jego prezesa Edwarda Kubalskiego. W krakowskim „Sokole” po rezygnacji Karola Bunscha wybrano prezesem dra Bolesława Rozmarynowicza. Nowy Zarząd przystąpił do remontu zniszczonego budynku sokolni i organizacji życia sportowego. Utworzone zostały sekcje: gimnastyki sportowej, piłki ręcznej, wioślarskiej, szermierczej, tenisa ziemnego, hokeja i łucznictwa. Powojenny żywot organizacji był krótki. 31 lipca 1947 r. przedstawiciele Urzędu Bezpieczeństwa opieczętowali budynek, odebrali dokumenty, pieczętunki, dowód rejestracji i zezwolenie na działalność sportową. „Sokół” został rozwiązany 3 lipca 1948 roku decyzją Urzędu Wojewódzkiego w Krakowie.

W latach 1956–57 i 1981–83 podejmowano próby reaktywowania krakowskiego „Sokoła”. Udało się to dopiero w rocznicę uchwalenia Konstytucji 3-go maja 1989 r. na zebraniu założycielskim wybrano tymczasowy zarząd Towarzystwa w składzie: prezes – Konrad Firlej, członkowie – Antoni Łopata, Andrzej Pawłowski, Jerzy Ziemistawski, Jerzy Zintel i Józef Grabowski. 5 lipca 1989 r. Sąd Wojewódzki w Krakowie wydał postanowienie o wpisaniu do rejestru stowarzyszenie pod nazwą: Polskie Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół” w Krakowie, przy czym terenem działania Towarzystwa objęty został obszar całej Polski.

I Walne Zgromadzenie Wyborcze odbyło się 20 października 1989 r. Wybrany został zarząd z prezesem Konradem Firlejem, wiceprezesem został Andrzej Pawłowski, sekretarzem Paweł Sobczyk, skarbnikiem Andrzej Łopata, naczelnikiem Stefania Solarz. Powołano również kapelana sokołego, którym został ks. Mieczysław Kozłowski. Zarząd podjął starania o odzyskanie budynku użytkowanego dotąd przez Klub Sportowy Cracovia, który dopiero we wrześniu 1990 r.

wrócił w ręce właścicieli. Wkrótce krakowski „Sokół” zorganizował zajęcia gimnastyczne dla dzieci, młodzieży i dorosłych, powołano sekcję tenisa ziemnego, karate kyokushinkai, kung-fu, narciarską i żeglarską. Po wznowieniu działalności, dla podkreślenia ważnych świąt narodowych i jubileuszy krakowski „Sokół” organizuje zloty oraz różnego rodzaju imprezy okolicznościowe. W 1994 r. zorganizowano I Światowy Zlot Odrodzonego Sokolstwa Polskiego, w 2000 r. Grunwaldzki Zlot Sokolstwa Polskiego. Od 1995 r. organizuje Dzień Sokoła, od roku 2001 Międzynarodowy Turniej w Gimnastyce Artystycznej o „Srebrnego Sokoła”.

Polskie Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół” w Krakowie oprócz działalności w zakresie kultury fizycznej (zajęcia z gimnastyki artystycznej, aerobiku, obozy narciarskie i turystyczne dla dzieci) organizuje również imprezy patriotyczne i kulturalne. W roku jubileuszu 120-lecia krakowski „Sokół” liczył 175 członków, zaś ogólna liczba ćwiczących to 468 osoby.

Czesław Michalski

Adam Bańdo

O sporcie i Pałacu Prasy...

Część I. „Ilustrowany Kurier Codzienny”

Problematyka kultury fizycznej na łamach „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” w latach 1918–1939 charakteryzowała się ogromnym bogactwem formy i treści. W okresie I wojny światowej wiadomości sportowe, tak jak i pozostałe informacje z dziedziny kultury, ustąpiły miejsca sprawom doczesnym, egzystencjalnym. Wraz z odzyskaniem niepodległości kolumny dziennika zaczęły stopniowo zapępniać się relacjami z różnego rodzaju imprez i zawodów sportowych. W pierwszych latach odrodzonej Polski łamy „Ikaca” stały się kroniką powstawania struktur organizacyjnych narodowego sportu: związków, organizacji, klubów i towarzystw. W tym aspekcie pismo stanowi dziś cenne źródło dokumentacyjne dla współczesnych badaczy

W latach 1919–1926 dział sportowy pisma podlegał stopniowym, ale znaczącym przeobrażeniom. Początkowo tematykę kultury fizycznej reprezentowały głównie krótkie wiadomości z różnych dyscyplin sportu, które to wiadomości zamieszczano nieregularnie w stałych rubrykach: „Ze sportu” i „Kurier sportowy”. Przeważały w nich wyniki meczów piłkarskich i enigmatyczne sprawozdania z rozgrywanych zawodów. Z biegiem czasu zaczęły pojawiać się szersze informacje w coraz bardziej zróżnicowanej postaci – tak też w 30. rocznicę istnienia oddziału wioślarskiego krakowskiego „Sokoła” w piśmie ukazał się felieton sportowy¹.

Pierwsze istotne przeobrażenia w dziale sportowym dokonały się w 1922 r., gdy miejsce rubryki „Ze sportu” zajęła kolejna – „Kurier sportowy”. Zmiana tytułu nie miała wyłącznie charakteru kosmetycznego; towarzyszyło jej zwiększenie częstotliwości (w 1922 r. ukazywała się niemal codziennie) oraz powierzchni. Ta metamorfoza została niejako wymuszona faktem ukształtowania się struktur narodowego sportu. Sprzyjała jej także ilość wydarzeń sportowych. Rubrykę „Kurier sportowy” w kształcie z 1922 r. można też potraktować jako zapowiedź powołania dodatku sportowego, a w późniejszym czasie samoistnego pisma o tej tematyce.

Odrębne artykuły poświęcone problematyce sportowej, zamieszczane pośród innych informacji, należały jeszcze do rzadkości. Lecz na takie wyróżnienie zasługiwały już te o międzynarodowych sukcesach polskich reprezentantów, np. ekipy polskich oficerów z Henrykiem Dobrzańskim i Kazimierzem Szoslandem na czele, która wygrała konkurs hippiczny w Londynie (prestiżowy turniej „Horse Show” w hali londyńskiej Olimpii)².

Następny przełom w dziale sportowym dokonuje się w 1925 r., gdy obok tygodniowego, wtorkowego dodatku i stałej rubryki „Kurier sportowy” problematyka kultury fizycznej trafia nierzadko na pierwsze strony dziennika. Zazwyczaj były to fotografie i ryciny, przedstawiające sportowców oraz sceny z zawodów, zaopatrzone w tytuł i krótką notkę. Trzeba przyznać, że redakcja bardzo starannie dokonywała wyboru materiału na pierwszą kolumnę swego pisma. Dominowały tutaj przeważnie sportowe ciekawostki, np. fotografie przedstawiające norweskiego księcia, Olafa, podczas zawodów w Oxfordzie, finał turnieju tenisowego o puchar DAVIS, czy Wacława Badurskiego, kanoniera i słynnego w owym czasie siłacza. W ten sam sposób prezentowano także rzadkie, wręcz egzotyczne dyscypliny, np. wyścigi na łożdach z trzciny bambusowej lub naprawdę doniosłe wydarzenia ze świata sportu, jak międzynarodowe zawody żaglowców w Monako czy zawody pływackie o Mistrzostwo Polski. Z fascynacją pisano o paryskim sukcesie polskiego boksera wagi średniej, Wiktora Junoszy-Dąbrowskiego.

Sport i sportowcy byli też częstym tematem karykatur znanego grafika Antoniego Wasilewskiego, jednego z głównych ilustratorów „Ikaca”.

W latach 1927–1939 w dziale sportowym przeważały nadal bieżące informacje w postaci sprawozdań z imprez i zawodów sportowych, zamieszczanych w kolumnie „Kurier sportowy”. Jednak jej zawartość w tym czasie przedstawiała się wyjątkowo imponująco. Takiej ilości fotoreportażów, wywiadów i felietonów sportowych do tej pory w piśmie nie odnotowano. Na podkreślenie zasługuje fakt, że w przeciwieństwie do

innych działów, np. filmowego czy kobiecego, problematyka sportowa nie tylko nie znikła z łamów gazety wraz z ukazaniem się dodatku tematycznego oraz samoistnego pisma „Raz, dwa, trzy”, ale nastąpił jej dalszy rozwój.

W 1927 r. czytelników „Kuriera” ekscytowały spektakularne wyczyny lotników i bicie przez nich rekordów w przelotach nad Atlantyką. Nazwiska asów lotnictwa praktycznie nie schodziły z kolumn gazety. Ich osiągnięcia stały się tematami dnia. Często też zamieszczano je na pierwszej stronie, ilustrowano fotografiami i mapami. Największego rozgłosu nabrały dokonania sławnego kapitana, Richarda Evelyn Byrda, autora pierwszego oficjalnego lotu pasażerskiego i pocztowego nad Oceanem Atlantyckim (Nowy Jork–Paryż).

Z wyjątkową dumą odnotowywano zwłaszcza sukcesy polskich asów lotnictwa, Zbigniewa Babińskiego (Paryż–Warszawa w 7 godzin i 10 minut bez lądowania) oraz Ludwika Idzikowskiego i Kazimierza Kubali.

Doniosłym wydarzeniem roku stało się 20-lecie Karpackiego Towarzystwa Narciarskiego we Lwowie. Przy tej okazji obszernie relacjonowano konkurs skoków narciarskich na skoczni na Zniesieniu. Artykuł dopełniała rycina przedstawiająca ten obiekt. W innym miejscu relacjonowano obrady II Polskiego Kongresu Sportowego w Warszawie.

Na początku 1928 r. informacje sportowe zdominowane zostały przez wiadomości z St. Moritz (Szwajcaria), miejsca zimowej Olimpiady. Cała Polska z entuzjazmem świętowała sukcesy Bronisława Czecha w biegu na 18 kilometrów. Przeglądano się także przygotowaniom Kubali i Idzikowskiego do lotu przez ocean (w samolocie „Marszałek Piłsudski”). Z równym zainteresowaniem śledzono perypetie niemieckiej załogi samolotu „Bremen” oraz losy japońskiej wyprawy dookoła świata, śladami Juliusza Verne’a. Redakcja skrupulatnie uwieczniała kolejne podboje krainy wiecznych lodów, których bohaterami stali się: wspomniany już Richard Byrd (wyprawa na Biegun Południowy na statku „The City of New York”) i australijski lotnik,

George Hubert Wilkins (przelot nad Biegunem Północnym).

Najważniejszymi wydarzeniami sportowymi 1929 r. były: międzynarodowe zawody narciarskie FIS w Zakopanem, katastrofa samolotu „Marszałek Piłsudski” (śmierć Ludwika Idzikowskiego, Kazimierz Kubala ciężko ranny), a także nowe rekordy: Louisa Bleriota, który w 12 minut pokonał Kanał La Manche oraz wyczyny załogi aeroplanu „Question Mark” (nowy rekord długości lotu). W 1930 r. bohaterami czytelników „Kuriera” stali się ponownie: komandor Byrd, lotnik Kinsford Smith i radiotelegrafista John Stannage, którzy w samolocie „Krzyż Południa” pokonali Atlantyk. Podziw budziła też zuchwała Amy Johnson, pierwsza kobieta pokonująca samotnie trasę z Londynu do Australii. Najwięcej emocji wywołał jednak sukces polskiego „asa asów”, pułkownika Jerzego Kossowskiego, zwycięzcy konkursu lotniczego w Bukareszcie. Jego triumf stał się jednocześnie sukcesem polskich konstruktorów samolotu PZL P 1/II. Lotnictwo „królowało” także w latach następnych. W 1931 r. odbył się w Krakowie I Krajowy Meeting Lotniczy. Popularność tego sportu zwiększały informacje o wciąż nowych dokonaniach, np. o przelocie bezsilnikowym samolotem nad Kanałem La Manche czy przygotowaniach 26-letniej amerykanki, Laury Ingalls, do pokonania Atlantyku (specjalny wywiad dla „IKC”)³. Największe zainteresowanie wywołała jednak wyprawa lotnicza dookoła Afryki kapitana Stanisława Skarżyńskiego. W dzienniku ukazywały się obszernie relacje z poszczególnych etapów przelotu, a po jego zakończeniu – cykliczne wspomnienia bohatera pt. *Polski samolot nad Afryką*.

Poza lotniczymi podbojami interesowano się również m.in.: biciem rekordów szybkości na motocyklu, w samochodzie czy podczas wyścigu samochodu i motocykla z samolotem. Doniesienia sportowe z tego okresu najlepiej oddaje tytuł jednego z artykułów: *Szybciej! szybciej!*⁴. Relacjonowano też największą imprezę samochodową w Polsce, rajd na trasie Zakopane–Morskie Oko.

Niezmiennym powodzeniem cieszyły się również sporty zimowe. W sezonie zimowym relacje

z Zakopanego i Krynicy często gościły na łamach pisma. Odnotowano na przykład Mistrzostwa Świata w hokeju (Krynica 1931) czy konkursy jazdy figurowej na lodzie w Krynicy.

W 1932 r. odbyły się III Zimowe Igrzyska Olimpijskie w Lake Placid. „Ikac” szeroko informował o ich przebiegu. Szczególną uwagę skupił na polskiej reprezentacji hokejowej. Dużo miejsca poświęcono także entuzjastycznemu przyjęciu Polaków przez amerykańską Polonię. Nadal wiele miejsca zajmowały próby przelotów nad Atlantykiem, np. Amelii Earhart. Wszystkie te wydarzenia pozostały jednak w cieniu zwycięstwa Franciszka Żwirki i Stanisława Wigury w Challenge’u (1932 r.), a następnie ich tragicznej śmierci.

W 1933 r. stała rubryka „Kurier Sportowy” rozrosła się do całostronicowego przeglądu aktualności sportowych ilustrowanych fotografiami. Pojawiły się w niej obszernie sprawozdania i reportaże, m.in. z Międzynarodowego Turnieju Hokejowego w Krynicy czy zawodów konnych w Zakopanem (o nagrodę „IKC”). Wiele emocji i protestów, nie tylko w świecie sportu, wywołała decyzja MKOL-u o przyznaniu prawa organizacji XI Olimpiady stolicy hitlerowskich Niemiec. Konsekwentnie informowano o kolejnych laurach polskich lotników: Zofii Mikulskiej (I miejsce w Okrężnym Locie Lombardzkim), Stanisława Skarżyńskiego (samotny przelot przez Atlantyk) i Jerzego Bajana (zwycięzca w międzynarodowym zlocie gwieździstym do Wiednia). „Ilustrowany Kurier Codzienny” był pierwszym pismem ujawniającym szczegóły trzeciego lotu do stratosfery. Zamieścił też wywiad z Paulem Kipferem, asystentem słynnego prof. Auguste’a Piccarda⁵. Specjalnie dla czytelników „Ikaca” swe przeżycia z polskiej ekspedycji polarnej opisywał jej uczestnik, Stanisław Siedlecki⁶.

Rok 1934 był pasmem triumfów polskich sportowców. Głośnym echem odbiło się zwycięstwo naszej ekipy w zawodach balonowych o Puchar Gordona Bennetta (Franciszek Hynek i Władysław Pomaski w balonie „Kościuszko” oraz Zbigniew Burzyński w balonie „Warszawa”). Informowano także o sukcesie Janusza Ku-

socińskiego (3. miejsce w biegu na 1500 metrów) podczas Mistrzostw Europy w lekkoatletyce oraz o wyprawie polskich alpinistów w góry Wysokiego Atlasu. Rekordy popularności wciąż były jednak wyczyny lotników – tym razem Jerzego Bajana i Stanisława Płonczyńskiego, zwycięzców Challenge'u 1934. Ich portrety dostały się na pierwszą stronę „Ikaca”. Podobnie było w roku następnym, gdy Z. Burzyński i W. Wysocki zdobyli na stałe dla Polski Puchar Gordona Benneta.

Wydarzeniem 1936 r. w świecie sportu okazała się XI Olimpiada w Berlinie. Na ten czas rubryka, a właściwie cały „Kurier sportowy” przybrał tytuł „Kurier olimpijski”. W wiadomościach z Igrzysk Olimpijskich najwięcej uwagi poświęcono sukcesom Stanisławy Walasiewiczówny i Józefa Noji.

Mniej emocji niż przed laty wywoływały próby bicia rekordów w lotnictwie. Do najsłynniejszych należał lot sowieckiego pilota, Zygmunta Lewoniewskiego, na trasie Ameryka–Moskwa (przez Biegun Północny). Do kolejnych, spektakularnych wyczynów dochodzi rok później, m.in.: wyścigi na trasie: Istres–Damaszek–Paryż, nowa próba przelotu Lindbergha z Anglii do Egiptu czy samotny lot Maryse Bastie (Paryż–Dakar). Z uwagą przyglądano się także startowi Hynka, Burzyńskiego i Janusza w zawodach o puchar Gordona Benneta. Sukcesem zakończyła się wyprawa w Andy Justyna Wojsznisa, Stefana Osieckiego, Jana Szczepańskiego i Witolda Paryskiego.

W 1938 r. na pierwsze strony dziennika trafiła wiadomość o następnym polskim triumfie w zawodach Gordona Benneta. Dużo miejsca

poświęcono wizycie w Warszawie słynnego amerykańskiego asa lotnictwa, Charlesa Lindbergha.

Tematyka sportowa pojawiała się również poza „Kurierem sportowym” i pierwszymi stronami pisma, np., gdy pisano o karierze słynnego zapaśnika, Władysława Taluna⁷ czy o baronie Piotrze de Coubertin, twórcy nowożytnych igrzysk olimpijskich⁸.

W 1939 r., wobec natłoku informacji politycznych, problematyka sportowa została ograniczona do kolumny „Kurier sportowy” i dodatku tygodniowego. Na „czołówkę” trafiały jedynie doniesienia z najważniejszego wydarzenia w polskim sporcie, tj. zawodów FIS w Zakopanem oraz wiadomość o triumfach polskich sportowców, Andrzeja Marusarza i Jana Kuli.

Powyższa, krótka charakterystyka nie wyczerpuje tematu. Zachęcam więc do lektury drugiej części, poświęconej roli koncernu i jego właściciela, Mariana Dąbrowskiego w promowaniu kultury fizycznej.

Adam Bańdo

¹ *Felieton sportowy. Pod białą-błękitną banderą.* „IKC” nr 265 z 30 IX 1921 r.

² *Sukcesy polskich oficerów...* „IKC” nr 185 z 8 VII 1925 r.

³ *Kobieta, która pragnie przelecieć przez Atlantyk.* „IKC” nr 239 z 30 VIII 1931 r.

⁴ „IKC” nr 10 z 10 I 1931 r.

⁵ *Jak się odbędzie trzeci lot do stratosfery?* „IKC” nr 1 z 1 I 1933 r.

⁶ *Trzech z Wyspy Niedźwiedziej.* „IKC” nr 40 z 9 II 1933 r.

⁷ *Blaski i cienie kariery zapaśniczej.* „IKC” nr 242 z 2 IX 1938 r.

⁸ *Serce twórcy olimpiady spoczęło na Olimpie.* „IKC” nr 90 z 31 III 1938 r.

Barbara Gołąb



Urodziła się w Tłustem w powiecie Zaleszczyki (dawnie Kresy Wschodnie). Wykształcenie średnie uzyskała w Łańcucie, następnie studiowała w krakowskiej Wyższej Szkole Wychowania Fizycznego, gdzie obroniła w 1963 roku pracę magisterską napisaną pod kierunkiem wybitnego szkoleniowca piłki ręcznej, Władysława Stawiarzkiego. Po uzyskaniu tytułu magistra wychowania fizycznego w dalszym ciągu podnosiła swoje kwalifikacje zawodowe, zdobywając szereg specjalizacji: z piłki ręcznej, piłki koszykowej, piłki siatkowej, narciarstwa, jazdy figurowej na lodzie, rehabilitacji ruchowej, tenisa ziemnego i stołowego.

Karierę sportową rozpoczynała w Klubie Sportowym Stal Łańcut i szybko zaczęła odnosić sukcesy sportowe w tenisie ziemnym. Występowała również w drużynie piłki koszykowej. Największymi jej sukcesami sportowymi było zdobycie tytułu Mistrzyni Polski w gimnastyce artystycznej w 1963 r. oraz mistrzostwo okręgu małopolskiego w tenisie ziemnym. Przez wiele lat była najlepszą zawodniczką w mistrzostwach uczelni w tenisie ziemnym i stołowym.

Po ukończeniu studiów podjęła pracę w Powiatowym Szkolnym Ośrodku Sportowym, pełniąc przez okres 10 lat funkcję dyrektora. Za osiągnięcia organizacyjne i sportowe w 1970 r. otrzymała nagrodę III stopnia Ministra Oświaty i Wychowania.

W Studium Wychowania Fizycznego i Sportu Akademii Pedagogicznej w Krakowie pracuje od 1973 r. należąc do wzorowych nauczycieli wychowania fizycznego. Prowadziła badania naukowe z zakresu sprawności fizycznej według testu Pilicza, trenowała zespoły klubu Uczelnianego AZS w piłce ręcznej, piłce siatkowej i tenisie stołowym. Współorganizowała Mistrzostwa Polski Wyższych Szkół Pedagogicznych w Krakowie,

Mszanie Dolnej i Zakopanem, kierowała obozami wędrownymi dla studentów w Beskidzie Śląskim i Żywieckim, Bieszczadach, Pieninach i Sudetach.

Od ponad 30 lat trenowała sekcję tenisa stołowego uczelnianego klubu AZS, odnosząc szereg zespołowych i indywidualnych sukcesów na mistrzostwach Polski Szkół Pedagogicznych i akademickich mistrzostwach Krakowa. Najlepszymi zawodniczkami sekcji były: Marta Piłka, reprezentantka kraju, uczestniczka mistrzostw Europy, wielokrotna mistrzyni Polski Szkół Pedagogicznych, Jadwiga Mianowska, Adrianna Chływa, Anna Furtak, Aneta Barcińska, Barbara Golonka, Magdalena Walas – medalistki Mistrzostw Polski. Wśród mężczyzn wyróżniającymi się zawodnikami byli: Zbigniew Hadała, Janusz Sejmej (obecnie dziennikarz TVP), Piotr Tutak, Marek Karwala (adiunkt w Instytucie Filologii Polskiej).

Sukcesy szkoleniowe osiągała również w innych dyscyplinach sportowych. Prowadząc uczelniany zespół w piłce ręcznej zdobyła z nim tytuł wicemistrza Polski Szkół Pedagogicznych w 1976 r. w Olsztynie.

Mąż Stanisław Gołąb jest profesorem zwyczajnym antropologii, pracuje na krakowskiej Akademii Wychowania Fizycznego. Syn Wojciech jest trenerem narciarstwa, pływania, snowboardu, windsurfingu, żeglarstwa i pracuje w Młodzieżowym Domu Kultury.

Boguchwał Fulara

Wieloletni kierownik Studium Wychowania Fizycznego i Sportu, piłkarz ręczny, wybitny trener piłki ręcznej



Swoją przygodę sportową rozpoczął w Liceum

Pedagogicznym w Tarnowie, gdzie uprawiał narciarstwo i piłkę ręczną. Od 1953 r. był zawodnikiem MKS Tarnów. Po rozpoczęciu studiów w Wyższej Szkole Wychowania Fizycznego w Krakowie trafił do pierwszoligowego zespołu AZS Kraków, w którym występował w latach 1959–1970. Największe sukcesy sportowe w tamtym okresie, odniósł pod wodzą znakomitego trenera i pedagoga gier zespołowych, Władysława Stawiarskiego: tytuły akademickich Mistrzów Polski, piąte miejsce wśród najlepszych polskich zespołów w 1962 r. Będąc jeszcze zawodnikiem rozpoczął pracę szkoleniową, zaczynając od prowadzenia zespołu juniorów AZS Kraków, z którym zdobył trzecie miejsce w mistrzostwach Polski w roku 1964. W latach 1964–1975 trenował zespół piłki ręcznej WKS Wawel Kraków, wprowadzając go do pierwszej ligi i do zdobycia w 1973 r. Pucharu Polski. W latach 1975–1981 i 1986–1989 był trenerem Hutnika Kraków zdobywając z nim trzykrotnie tytuł mistrza Polski (1978, 1979, 1980) oraz Puchar Polski (1976).

B. Fulara był jednocześnie trenerem reprezentacji Polski juniorów i kadry młodzieżowej w latach 1969–1974, należał do sztabu szkoleniowego I reprezentacji Polski (1972–1978). Był również drugim trenerem reprezentacji Polski, z którą brał udział na Olimpiadzie w Moskwie w roku 1980. Mimo bojkotu olimpiady przez kraje zachodnie, oprócz zespołu Republiki Federalnej Niemiec, wystąpiła cała czołówka światowej piłki ręcznej a sam turniej stał na bardzo wysokim poziomie. Mimo iż Polska należała do grona faworytów, po pierwszym meczu zremisowanym z Węgrami, przyszła niespodziewana porażka z zespołem NRD – zespół nie wytrzymał psychicznie i w efekcie zdobył tylko siódme miejsce.

W latach 1994–1997 ponownie został drugim trenerem reprezentacji Polski. W 1995 r. prowadzony przez niego zespół zdobył piąte miejsce w Akademickich Mistrzostwach Świata w Izmirze (Turcja). Z zespołów krakowskich trenował również piłkarki ręczne Cracovii, awansując z nimi na początku lat dziewięćdziesiątych do I ligi. Trenował też sekcje piłki ręcznej kobiet

i mężczyzn naszego Klubu Uczelnianego AZS, z którymi osiągnął wiele sukcesów sportowych na Mistrzostwach Polski Szkół Pedagogicznych i w lidze akademickiej środowiska krakowskiego.

Do największych swoich sukcesów szkoleniowych zalicza wychowanie brązowych medalistów olimpijskich z Montrealu (1976) Jana Gmyrka (męża naszej uczelnianej zawodniczki w piłkę koszykową, a następnie pracowniczki Instytutu Geografii Magdaleny Gmyrek) oraz nieżyjącego już Alfreda Kałuzińskiego, medalistów Mistrzostw Świata z 1982 r. w RFN: Jerzego Garpiela i Zbigniewa Gawlika.

Osobny rozdział w jego karierze trenera piłki ręcznej stanowi praca z zespołami zagranicznymi. W latach 1981–1985 był trenerem reprezentacji Egiptu, z którą zdobywał mistrzostwo Afryki juniorów w roku 1982 i młodzieżowe mistrzostwo Afryki w 1985 r. Z reprezentacją Egiptu był na Mistrzostwach Świata w Portugalii i Norwegii. W latach 1989–1991 był trenerem pierwszoligowego austriackiego zespołu UHC Stockerau, zdobywając z nim w 1990 r. Puchar Austrii.

Jak sam mówi, sport pozwolił mu zwiedzić niemal cały świat. Z krajów europejskich nie odwiedził tylko w Walii. Gdyby dane mu było raz jeszcze wybierać, niewątpliwie powtórzyłby decyzję o wyborze kariery sportowej i szkoleniowej.

Jerzy Szymczyk

Starszy wykładowca Studium Wychowania Fizycznego i Sportu, siatkarz, olimpijczyk, mistrz Polski.

Swoje zainteresowania do sportu wyniósł z domu rodzinnego. Matka była po wojnie nauczycielką w Piotrkowie Trybunalskim i uczyła m.in. wychowania fizycznego. Gdy odbywała zajęcia w terenie często zabie-



rała go ze sobą. Jak wspomina: „Tak mi się to spodobało, szczególnie, gdy grali w dwa ognie, w siatkówkę, że postanowiłem dorównać tym najlepszym”. Już w szkole zaczął uprawiać lekką atletykę, piłkę ręczną, siatkówkę, koszykówkę. Gdy rodzice w 1956 r. przenieśli się do Tomaszowa, uprawiał lekką atletykę, zaczął grać w siatkówkę, wówczas koszykówki nie uczono w szkołach. W latach 1958–1959 grał w piłkę siatkową w Lechii Tomaszów, zdobywając z zespołem tytuł mistrza i wicemistrza Polski juniorów. W 1959 r. rozpoczął studia na Akademii Wychowania Fizycznego w Warszawie i zaczął grać w zespole, który kształtował oblicze tej dyscypliny sportu, dzierżąc przez wiele lat prymat w kraju. W roku 1960 AZS Warszawa zdobył po wojnie, po raz 10. pod rząd, tytuł mistrza Polski, w swojej kolekcji ma złoty medal z tej okazji. Z zespołem tym, trenowanym przez Zygmunta Krausa, zdobywał dwukrotnie tytuł Mistrza Polski i trzykrotnie tytuł wicemistrza Polski.

W roku 1961 zadebiutował w reprezentacji Polski w meczu z Japonią, w tym samym roku grał na Uniwersjadzie w Sofii zdobywając 4 miejsce.

Po ukończeniu studiów w 1964 r. przeniósł się do Krakowa, rozpoczynając pracę nauczyciela wychowania fizycznego, uprawiając nadal

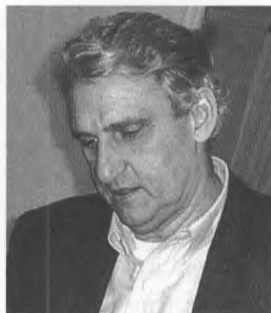
siatkówkę. Przez kolejne 10 lat grał w zespole Hutnika Kraków zdobywając dwukrotnie tytuł Mistrza Polski.

Występował w reprezentacji Polski, która zaczęła wówczas odnosić międzynarodowe sukcesy. Za pierwszy sukces należy uznać brązowy medal na mistrzostwach Europy w Istambule (1967) – otwierający Polakom drogę do finału olimpijskiego, II lokatę w Pucharze Świata w (1965), 6. miejsce w Mistrzostwach Świata w Pradze (1966). W roku 1968, na Igrzyskach Olimpijskich w Meksyku zdobył 5. miejsce, identyczny wynik reprezentacja powtórzyła na Mistrzostwach Świata w Sofii w 1970 r. Kontuzja kolana sprawiła, iż musiał przerwać karierę zawodniczą na kilka miesięcy. Po wznowieniu treningów wyjechał do Włoch jako zawodnik i trener. Do reprezentacji już nie wrócił, rozegrał w niej 135 meczów międzypaństwowych. Do dziś za największą swoją porażkę uważa ostatni mecz na Olimpiadzie w Meksyku, który Polska rozegrała z Niemiecką Republiką Demokratyczną o III miejsce. Przegrana pozbawiła Jerzego Szymczyka renty olimpijskiej, którą otrzymują tylko medaliści olimpijscy.

Opracował Czesław Michalski

Nie lubię słowa „fikcja”...

Rozmowa z Bogusławem Wołoszańskim



Bogusław Wołoszański - dziennikarz, autor telewizyjnego cyklu programów popularnonaukowych Sensacje XX wieku, licznych książek faktograficznych o tematyce II wojny światowej i czasów powojennych (m.in. Ten okrutny wiek – cz. 1 i 2, Tamten okrutny wiek, Tajna wojna Hitlera, Tajna wojna Stalina, Władcy ognia) a także powieści sensacyjnych: Twierdza szyfrów i Operacja Talos

Piotr Krywak: Pojawił się Pan w Krakowie jako gość Drugiego Festiwalu Kryminału, mimo że przecież Pan kryminałów nie pisze. Nawet „Twierdza szyfrów” jest raczej powieścią sensacyjną, thrillerem, niż utworem takim, jakie tworzyli Agatha Christie czy Raymond Chandler. Jak więc wytłuma- czyć Pana obecność na tym festiwalu?

za popularyzację wiedzy historycznej, za literaturę faktu, teatr faktu, widowiska faktu. I tu pojawia się pytanie: do jakiego stopnia Pana opowieści są prawdziwe? Gdzie i czy w ogóle jest w nich miejsce na zmyślenie, na fikcję? A może literackość, która wydaje się być cechą nawet Pańskich książek popularnonaukowych, to tylko kwesta formy?

Bogusław Wołoszański: Bardzo prosto – każda okazja jest dobra, by odwiedzić Kraków. Staramy się z żoną co najmniej trzy razy w roku tutaj przyjeżdżać, głównie po to, aby odetchnąć atmosferą tego miasta. Wyrwać się z Warszawy, z codziennego kołowrotu, jest niezmiernie trudno. Festiwal stał się właśnie taką okazją, zatem z prawdziwą przyjemnością przyjąłem nań zaproszenie, wiedząc, że będę mógł przyjechać do Krakowa, poznać ciekawych ludzi, spotkać się z panem Witoldem Beresiem. I jestem.

Fikcja kojarzy mi się z fałszem lub z pewną nierzetelnością, może nawet niezamierzoną, ale jednak będącą jej siostrą. W swoich książkach beletrystycznych sprzedam czytelnika, że dając mu powieść, daję mu fikcję. To jest dla niego zabawa. Chcę, by on tym tropem poszedł dalej

P.K.: Właściwie to, co Pan robił przed napisaniem „Twierdzy szyfrów”, można uznać

B. W.: To też jest popularyzacja historii. Trzeba ją popularyzować na najrozmaitsze sposoby, poczynając od formuły bardzo elitarniej – rozmowy czy dyskusji historyków – aż po powieści sensacyjne. Swoje utwory staram się oprzeć na faktach i one są bardzo twardo w realiach minio-

nego czasu osadzone. Jeżeli natomiast pojawiają się w nich postacie fikcyjne, to zostają wpisane w bardzo wiernie odtworzoną rzeczywistość historyczną. Akcja *Twierdzy szczyfrów* trwa od stycz-

Od momentu, w którym człowiek ułamał gałąź, istnieje technika. Myślę, że nie wolno mówić czy pisać o człowieku, równocześnie jej nie pokazując. Realizujemy nasze zamiary, plany właśnie za pomocą techniki. Takie są nasze możliwości, jaką mamy technikę. Bez zrozumienia techniki, bez zrozumienia, czego dokonano, dokąd zmierzano – prezentacja historii jest po prostu niemożliwa

nia do maja 1945 r. i jest dokładnie wpleciona w to, co ówczesnie działo się na Dolnym Śląsku, gdzie trwała ofensywa Armii Czerwonej, gdzie działała Grupa Armii „Środek” Schörnera... I to właśnie jest historia. Tyle, że uprzedzam czytelnika dużym napisem na okładce: to powieść oparta na faktach, a nie same fakty. To jedna z form popularyzowania historii, wciągania w nią czytelnika. Uważam, że im więcej dusz uda się wciągnąć do „piekła historycznego”, tym Polska będzie silniejsza.

Marcin Kania: Odnoszę wrażenie, że w swoich wypowiedziach unika Pan słowa: „fikcja”, zastępując je terminem: „hipoteza”. W jaki sposób w Pana powieściach kształtuje się linia demarkacyjna pomiędzy fikcją a jej oprawą faktograficzną?

B.W.: Tak, wolę termin: „hipoteza”. Fikcja kojarzy mi się z fałszem lub z pewną nierzetelnością, może nawet niezamierzoną, ale jednak będącą jej siostrą. W swoich książkach beletrystycznych uprzedzam czytelnika, że dając mu powieść, daję mu fikcję. To jest dla niego zabawa. Chcę, by on tym tropem poszedł dalej, żeby zaczął odkrywać, iż rzeczywiście był Howard Compaigne, rzeczywiście toczyły się boje o Lauban (Lubań).

Bo co to jest fikcja? Weźmy chociażby postać z mojej powieści, oficera Andrzeja Czernego. On

właśnie jest fikcją. Być może istniał człowiek o tym nazwisku, ale ten, o którym opowiadam, został stworzony tylko przeze mnie. Jego osobowość jest fikcją, jego skąpstwo jest fikcją.

Natomiast historia, w którą zostaje wprowadzony – począwszy od wymiany więźniów pomiędzy NKWD a Gestapo, poprzez drogę do Londynu, która była drogą dziesiątków tysięcy polskich żołnierzy – to fakty niepodważalne. Konstruujać tę postać sięgam po rzeczywiste przykłady z historii, np. przywołuję osobę pani Haliny Szymańskiej i jej kontakty z admirałem Wilhelmem Canarisem. Biorę autentyczne kamienie, i osadzam je w murze, który jest już

powieścią. Czy to jest fikcja? Jeśli powiemy: Andrzej Czerny nie istniał – tak, to jest fikcja. Jeśli stwierdzimy: w czasie II wojny światowej działał oficer, którego Rosjanie jako jeńca oddali Niemcom, i który później został włączony do gry, jaką prowadził Canaris – stwierdzimy: to jest fakt.

P.K.: Zna pan na pewno określenie: praesens historicum – wypowiedź o przeszłości w gramatycznym czasie teraźniejszym. Czy typ popularyzowania historii w formach literackich i w widowiskach historycznych, jakie Pan tworzy, można w jakiś sposób do tego pojęcia odnieść? Czy w grę wchodzi unaocznienie historii? W średniowieczu pisywano kroniki, wprowadzając do nich elementy fikcji, cytowano na przykład niewygotowane w rzeczywistości mowy autentycznych wodzów. Może, więc jest to współczesna wersja takiej kroniki epoki multimediów?

B.W.: *Praesens historicum* – ja tego nie lubię. Czystość odbioru wymaga, żeby wszystko miało swoje miejsce i żeby czytelnik, czy też widz się nie gubił. To, co jest historią, niech historią pozostanie, gdyż postępując w inny sposób można zakłócić wnioski, do jakich może dojść czytelnik. Zawsze staram się prowadzić grę z widzem i czytelnikiem; grę, która zaczyna się od pewnego

manewru: przede wszystkim od „schwywania” czytelnika, zwłaszcza młodego. Już sam tytuł *Sensacje XX wieku* to haczyk, celowe zagranie. Gdybym ten program nazwał: *Dyskusje na temat historii*, nikt by nie włączył telewizora. Proszę jednak pamiętać, że termin „sensacje” 20 lat temu miał inny odbiór. Najważniejsza jest walka o wciągnięcie. Następnie rzetelnie pokazuje się pewne mechanizmy historyczne, aż w końcu zostawia czas na refleksję – na zabawę widza z własnym umysłem. I sądzę, że mi się to udaje.

P.K.: Mówi pan o faktach, o ludziach, ale też o wykorzystywanej przez tych ludzi technice. To są bardzo różne zjawiska. Panu się to doskonale udaje.

B.W.: Od momentu, w którym człowiek ułamał gałąź, istnieje technika. Myślę, że nie wolno mówić czy pisać o człowieku, równocześnie jej nie pokazując. Realizujemy nasze zamiary, plany, właśnie za pomocą techniki. Takie są nasze możliwości, jaką mamy technikę. Bez zrozumienia techniki, bez zrozumienia, czego dokonano, dokąd zmierzano – prezentacja historii jest po prostu niemożliwa. Dlatego w moich książkach faktograficznych zamieszczam rysunki, zdjęcia i opisy czołgów, samolotów, raket, aby czytelnik nie słyszał tylko pustych nazw, np. V-2, ale żeby zobaczył tę raketę, przeczytał o niej, żeby zrozumiał, czym ta broń była w planach politycznych. Najważniejsza jest polityka, ideologia, ale ideologia bez techniki zawsze musi polec.

M.K.: Dokonał Pan rzeczy niezwykłej – pokazał Pan młodzieży oblicze historii od najciekawszej strony. Ale na pewno istnieje grono historyków, które krytykuje sposób jej prezentowania, oskarżając Pana na przykład o populizm czy brak obiektywizmu...

B.W.: Oczywiście... Jakże by nie. Jesteśmy w Polsce proszę pana, zatem nie można inaczej.

Są ci, z którymi współpracuję, a którzy okazują się bardzo pomocni, pomagają rozwiązać wiele problemów, np. wspomniały profesor Tadeusz Rawski. Są też tacy, którzy nienawidzą mnie, bo uważają, że odniosłem sukces, którego oni nie odnieśli. To też jest część ludzkiej psychiki. Są również i tacy, którzy mnie atakują, kopiąc po kostkach... Dzieje się tak w momencie, gdy wychodzi się gdzieś wyżej, gdy staje się obok tłumu. Wtedy natychmiast ktoś nam coś zarzuca. Traktuję to jako rzecz normalną, choć to przykra strona mojej działalności. Ale – niestety – konieczna. Nie przejmuję się tym. Każdy popełnia błędy, każdemu może zdarzyć się pomyłka, a tytuł naukowy o niczym nie przesądza. Błąd jest rzeczą ludzką. Ja także się mylę. Chciałbym jednak zawsze spotykać się z konstruktywną krytyką, przed którą chylę głowę. Gdy widzę złośliwość i głupotę, po prostu jest mi przykro i idę dalej.

P.K.: W jaki sposób udaje się Panu gromadzić równie atrakcyjny materiał historyczny, dotyczący tak różnych dziedzin: człowieka, zdarzenia, przedmiotu?

B.W.: Powiem tak: nie ja to robię – zrobiła to za mnie historia. Ja tylko sięgam po gotowe.

Czystość odbioru wymaga, żeby wszystko miało swoje miejsce i żeby czytelnik czy też widz się nie gubili. To, co jest historią, niech historią pozostanie, gdyż postępując w inny sposób można zakłócić wnioski, do jakich może dojść czytelnik. Zawsze staram się prowadzić grę z widzem i czytelnikiem; grę, która zaczyna się od pewnego manewru: przede wszystkim od „schwywania” czytelnika

Uważam, że to sprawa wyczucia. Tak jak z lekarzem – przychodzi pan do jednego, który dysponuje takim samym aparatem diagnostycznym jak jego kolega, ale pierwszy dokładnie określa, co panu jest, natomiast drugi błądzi. Ja po prostu czuję, że coś jest istotne, ciekawe i warte drążenia; że warto się tym zająć. I to jest początek drogi, którą zmierzam.

P.K.: Można powiedzieć, że wypracował Pan własną metodę ukazywania historii. Czy widzi Pan w Polsce swoich naśladowców bądź konkurentów?

B.W.: Bardzo chciałbym. Miałem kilku współpracowników, być może jednak jestem lepszym popularyzatorem niż pedagogiem, gdyż nie udało mi się wychować naśladowców, którzy zajmowaliby się tym, co ja. Uważam, że im więk-

Historię trzeba popularyzować na najrozmaitsze sposoby, poczynając od formuły bardzo elitarnej – rozmowy czy dyskusji historyków – aż po powieści sensacyjne. Swoje utwory staram się oprzeć na faktach i one są bardzo twardo w realiach minionego czasu osadzone

szę będzie zainteresowanie historią, im więcej programów o tematyce historycznej, takich jak *Sensacje XX wieku*, tym lepiej dla nas, Polaków. Szkoda, że tak nie jest, szkoda, że na antenie TVP nie ma żadnego programu, który dotykałby ostatnich czasów PRL-u. Nie widzę żadnych cyklicznych programów dotyczących Polski po-wojennej, lat, w których rodził się komunizm,

a które wciąż są wielką, białą plamą. Bardzo liczę na to, że takie programy powstaną.

M.K.: Mamy nadzieję, że wróci Pan do telewizji...

B.W.: Odszedłem z telewizji, której byłem pracownikiem etatowym od 1971 r., w proteście przeciwko biurokracji. Straszliwej biurokracji. Czy mój protest coś zmieni – nie wiem, w każdym razie z telewizją nadal współpracuję, ale na innych zasadach, bo serial oparty na fabule *Twierdzy szefów*, który aktualnie realizuję, jest tworzony dla Telewizji Polskiej i za jej pieniądze. Natomiast rozmowa, jaką przeprowadziłem z prezesem Dworakiem, wskazywała, że mniej więcej we wrześniu 2006 r. *Sensacje XX wieku* wrócą na antenę.

P.K.: Serdecznie dziękujemy za rozmowę.

*Rozmawiali Piotr Krywak i Marcin Kania
Fot. M. Kania*



P. Krywak i B. Wołoszański

Piotr Krywak

Fikcja jako ilustracja hipotezy

Kilkanaście kilometrów od Gryfowa Śląskiego, o godzinę marszu od leżącej na zachód stąd Leśnej, na cyplu z trzech stron otoczonym wodą, wznosi się okazała, z dala widoczna budowla. Skaliste stoki wzniesienia, na którym ją posadowiono, zdają się naturalnie przedłużać część ścian, opadając stromo ku tafli Jeziora Leśniańskiego – sztucznego rozlewiska spiętrzonej zaporą Kwisy. Zachowane do dziś mury obronne, wieża, most, łukowe bramy i rozległy dziedziniec sprawiają, że obiekt, mimo późniejszego przekształcenia go w pałac, wciąż robi wrażenie tego, czym pierwotnie był: średniowiecznej warowni. To jedna z najsłynniejszych polskich twierdz: zamek Czocho

Powstał najprawdopodobniej w II połowie XIII w.¹ Był wtedy fortyfikacją broniącą granicy Czech, ale szybko, bo w XIV w., przeszedł we władanie Piastów śląskich, później zaś – w ręce niemieckie. W wyniku licznych modernizacji, jakim poddawano go w kolejnych stuleciach, stał się tworem eklektycznym, z dominacją cech gotyckich i renesansowych. Zachowany w doskonałym stanie (tylko wyposażenie wnętrz zdewastowano i rozsabrowano po wojnie) wciąż imponuje. Lecz jego dzisiejszy, budzący romantyczne nastroje kształt, tyleż jest skutkiem długiej i barwnej historii, co i gruntownej przebudowy, jakiej sędziwe zamczysko uległo na początku XX w.

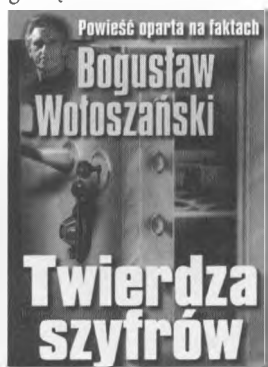
Świetnie wkomponowany w malowniczy, z lekka pofałdowany teren Pogórza Izerskiego, zdaje się dziś być wymarzoną sceną dla wydarzeń niezwykłych, dramatycznych i tajemniczych, a doskonale wyczuwalny, znany miłośnikom powieści gotyckich klimat tego miejsca, wzmacnia

legenda o duchu Białej Damy. Nic zatem dziwnego, że miejsce to trafiło do filmu. Tu i w najbliższej okolicy Tadeusz Chmielewski realizował sceny wojennej komedii *Gdzie jest generał*.

W czasie II wojny światowej zamek był rezydencją rodziny von Gutschow. Mówi się, że odwiedzał go wtedy twórca niemieckich rakiet V-2, Werner von Braun, późniejszy projektant amerykańskich pojazdów kosmicznych. Krążą wieści, że właściciel pałacu, Ernest von Gutschow, oddał mu na biuro część pokoi, gdyż w pobliskiej Leśnej prowadzono rzekomo badania nad pociskami V-1 i V-2, bronią uranową, a może tylko nowymi silnikami lotniczymi. Eksperymentom miało towarzyszyć powstawanie tak silnego pola elektromagnetycznego, że w czasie ich trwania w samochodach gasły silniki².

Jeśli więc szukać w Polsce miejsca, w którym mogłaby toczyć się akcja rodzimego *thrillera*, osadzonej w historycznych, choć nieodległych

realiach, sensacyjnej powieści, to Ziemię Odzyskane, a zwłaszcza Dolny Śląsk nadają się do tego najlepiej. To przecież u podnóża Gór Sowich, w okolicach Walimia znajdują się – zatopione i wciąż niezbadane – podziemne budowle o tajemniczym przeznaczeniu. Zawalone gruzem korytarze pod zamkiem w Książu koło Wałbrzycha świadczą o prowadzonych tu kiedyś z wielkim rozmachem pracach budowlanych i nadal czekają na tego, kto rozwiąże ich zagadkę. Takich miejsc jest na Dolnym Śląsku co najmniej kilka, a wśród nich Czocha, stary zamek, nie wiadomo dlaczego chroniony w latach wojny przez liczne stanowiska artylerii przeciwlotniczej. Z pewnością nie strzeżono go tylko dlatego, że był zabytkiem, a i pozycja rodu von Gutschow sprawy dostatecznie nie tłumaczy... Coś ważne go się w nim działo... Ale co?



Na to pytanie usiłuje odpowiedzieć w swym powieściowym debiucie Bogusław Wołoszański, znany dotąd jako świetny popularyzator historii najnowszej, autor telewizyjnego cyklu widowisk *Sensacje XX wieku* i licznych

książek z kręgu literatury faktu. W *Twierdzy szyfrów* (Warszawa 2004) podejmuje się nowego wyzwania: po raz pierwszy próbuje swych sił jako beletrysta.

Opowieść Wołoszańskiego wyrasta ze skojarzenia ze sobą dwóch zdarzeń. Pierwsze z nich wiąże się z przełomem lat 40. i 50. minionego stulecia, kiedy to amerykańskie służby kontrwywiadowcze wykryły i w krótkim odstępie czasu aresztowały wielu radzieckich szpiegów działających na terenie Stanów Zjednoczonych. Drugie – to ukazanie się wspomnień oficera wywiadu USA, komandora Howarda Compaigne'a. Znalazła się w nich szokująca, nieznana dotąd informacja, iż wiosną 1945 r. w niemieckiej miejscowości Rosenheim Amerykanie

zdobyli urządzenie dekodujące tajną, radziecką korespondencję radiową. Aparat, nazywany „rybą-mieczem”, umożliwiał niemożliwe, gdyż Rosjanie używali tzw. szyfrów jednorazowych, z założenia więc nie do złamania.

Jak mogło do tego dojść? Szyfr jednorazowy, co wyraźnie sugeruje nazwa, tworzy się po to, by utajnić jeden tylko dokument i właśnie niepowtarzalność kodu zapewnia sekretowi bezpieczeństwa. Sukces kryptologa zależy bowiem od istnienia materiału porównawczego: innych depesz zakodowanych w taki sam sposób. Tylko wtedy można dostrzec regularności w sekwencjach znaków i – analizując je – odtworzyć klucz. Skoro jednak nie ma czego porównywać...

W tym miejscu otwiera się pole do snucia hipotez. Wołoszański tłumaczy to w sposób następujący: po zerwaniu paktu Ribbentrop-Mołotow i ataku hitlerowskich Niemiec na ZSRR szyfry jednorazowe, używane dotąd tylko w dyplomacji, zaczęła stosować także Armia Czerwona. Zapotrzebowaniu na nie twórcy kodów nie mogli sprostać. Bałagan, lekceważenie zasad bezpieczeństwa, a może wynikająca z niedostatecznej podaży konieczność doprowadziły do tego, że identycznych szyfrów poczęto używać wielokrotnie, co umożliwiło ich złamanie.

Niezwykłe pomocny dla uprawdopodobnienia owej teorii okazał się fakt trzeci: przejście przez Niemców archiwum NKWD w Charkowie. W zdobytym mieście działał bowiem uprzednio radziecki ośrodek łączności. Przechowywano tam kopie zaszyfrowanych depesz wysyłanych do Moskwy przez radzieckie przedstawicielstwa dyplomatyczne jeszcze w latach trzydziestych. Pojawiła się więc szansa porównania ze sobą bieżącej korespondencji radiowej Rosjan z pochodzącą sprzed kilku – kilkunastu lat. Charkowskie archiwa trafiły zrazu do siedziby RSHA w Berlinie, lecz gdy bezpieczeństwo stolicy Niemiec zostało zagrożone, ewakuowano je do Fürstenstein Schloß (Książ), który od Leśnej (w tamtych czasach Marklissy) i zamku Czocha (Tzschocha) dzieli zaledwie 100 kilometrów. Droga do sukcesu niemieckich kryptologów stanęła otworem.

Wystarczy teraz, oddawszy wodze wyobraźni, łączyć wszystko ze sobą, by wniosek nasunął się sam: przejęty w Rosenheim niemiecki aparat uruchomiono zaraz po wojnie w USA i przy jego pomocy odczytano treść korespondencji dyplomatycznej ZSRR z ostatnich kilkunastu lat. Nakreślona hipoteza tłumaczy logicznie, skąd wzięły się nagle sukcesy Amerykanów w walce z rosyjskimi szpiegami, ale też i wydarzenia o znacznie większym znaczeniu historycznym, jak zaostrenie się stosunków między Wschodem i Zachodem u progu lat 50. minionego wieku: zawartość rozszyfrowanych dokumentów, obnażwszy rzeczywiste plany, brak lojalności i obłudę niedawnego sojusznika, zdeterminowała kształt przyjętej wobec Związku Radzieckiego polityki.

Dorzućmy jeszcze nieco fikcji: kilka postaci wzorowanych na autentycznych ludziach lub tylko ich wojennych losach i kilka innych, znanych z historii. Powiązmy je ze sobą i zapłączmy w skomplikowaną grę wywiadów, prowadzoną w ostatnich tygodniach II wojny światowej na Dolnym Śląsku, w strefie przyfrontowej, na krótko przed, w trakcie i tuż po kwietniowej ofensywie Armii Czerwonej z 1945 r. Grę, której celem jest bezcenny dla zachodnich aliantów wynalazek: dekoder radzieckich szyfrów, uruchamiany właśnie przez niemieckich kryptologów w zamku Tzschocha. Zaangażujmy w intrygę polski, przedwojenny wywiad i cichociemnych. Czegóż więcej trzeba, by stworzyć atrakcyjny, wolny od niezamierzonej śmieszności *thriller* z patriotycznymi akcentami? By zrobić coś, co nikomu się dotąd nie udało, bo sukcesy rodzimych, literackich herosów na tle tych, jakie odnoszą w dreszczowcach agenci prawdziwych mocarstw, wyglądają zawsze żałośnie, okazując się kompensacją narodowych kompleksów i odbiciem megalomańskich „słów o potęgze”?

Zansę na uniknięcie błędów, jakich dopuszczali się polscy naśladowcy Toma Clancy'ego, Wołoszański niewątpliwie wykorzystał, choć – takie odniosłem wrażenie – tylko częściowo. Miał świetny pomysł i bez wątpienia znakomity materiał na powieściową fabułę. Spójrzmy

jednak, co z nich powstało, gdy zamieniły się w książkę.

Podczas lektury *Twierdzy szyfrów* nieodparcie nasuwa się pytanie: co właściwie czytamy? Z pewnością nie literaturę faktu, choć takie skojarzenie zrazu się narzuca: za wiele tu fikcji. A zatem – powieść. Tylko jaką? Może historyczną, bo prawie wszystko, o czym opowiada narrator, opiera się właśnie na sprawdzonych, udokumentowanych faktach? Nie, bo wizja historii, jakkolwiek sugestywna, a nawet przekonująca, pozostaje niedowiedziona hipotezą: tak mogło być, lecz bynajmniej nie musiało. A może to odmiana fantastyki, historia alternatywna? I na to pytanie należy odpowiedzieć przecząco, gdyż żadne ze znanych zdarzeń opisanych w utworze nie przebiega w fikcyjnym świecie inaczej niż w realnym. Proces dziejowy zachowuje niezmienioną postać, zaskakuje tylko efektowne połączenie jego ogniw: interpretacja. Z kolei, jak na klasyczny dreszczowiec, trochę za mało tu dramaturgii, suspensu i widowiskowych scen, które – współdziałając ze sobą – czynią *thriller* lekturą atrakcyjną dla czytelnika.

Wobec trudności ze sklasyfikowaniem utworu Wołoszańskiego porzucmy refleksje genologiczne. Powieść lokuje się najwyraźniej na styku literatury faktu, beletrystyki historycznej, fantastycznej historii alternatywnej i dreszczowca, nie będąc do końca ani jedną z wymienionych form. By jednak precyzyjniej wskazać, na czym polega jej odmienność, umieścmy ją na chwilę w nietypowym kontekście.

Ewolucja różnych odmian fantastyki zdaje się ujawniać następującą prawidłowość: o powołeniu nowego gatunku decyduje zrazu odmienność przedstawionego w nim świata od rzeczywistości obiektywnej. Z biegiem czasu, gdy odbiorca do konwencji przywyknie, owa inność zaczyna go jednak razić, twórcy szukają więc metod skutecznie osłabiających wrażenie dziwności i nieprawdopodobieństwa. Cuda z baśni tradycyjnej, magia i czary zostają tedy we współczesnej *fantasy* uprawdopodobnione dzięki odwołaniu się do realizmu. Jego zasady determinują psychikę bohaterów, stosunki między nimi,

obyczajowość itp. Skutkuje to ograniczeniem dydaktyzmu baśniowej poetyki, podporządkowanej dotąd regule: postacie muszą być moralnie jednoznaczne, a dobro winno zwyciężyć. Autor niby buja w obłokach, lecz tu i ówdzie wraca do rzeczywistości. Fantastyka grozy przeszła podobną metamorfozę i dziś albo straszy dzięki niedopowiedzeniu, sugerując tylko istnienie sił nadprzyrodzonych, lecz ich nie ukazując, albo kieruje się w stronę *science fiction* i tworzy dla nich pozornie naukowe motywacje. Jak zaś radzi sobie z problemem fantastyka naukowa, wie doskonale każdy czytelnik Lema, który w *Opowieściach o pilocie Pirxie*, *Solaris* i *Niezwykłym* do perfekcji doprowadził system uwiarygodniania tego, co jest owocem wyobraźni.

historie przyszłości w rodzaju *Kotta* Larry'ego Bonda, czy równie modne historie alternatywne, reprezentowane np. przez *Wodza i przeklętych* Colina Forbesa lub *Vaterland* Roberta Harris. W tych ostatnich, ukazujących niezgodne z prawdą warianty procesu historycznego, przeinaczone fakty zostają zepchnięte na dalszy plan i uprawdopodobnione dzięki naciskowi, jaki kładzie się na psychologiczne i obyczajowe realia oraz dynamikę i dramaturgię zdarzeń. „Inna historia” jest dla nich tylko tłem.

Wołoszański nie opisuje wszakże alternatywnych dziejów, nie opowiada o tym, co by było, gdyby... Mówi za to, jak mogło być. Zdarzenia autentyczne są dlań niepodważalne. On je tylko interpretuje, sugerując istnienie między nimi oficjalnie nieuznawanych, lecz możliwych i zarazem ważnych powiązań. Robi więc niemal to, co – nie układając fabuły – od lat czyni van Dāniken: tworzy hipotezę, choć mniej ryzykowną. Hipotezę, której ilustracją okazuje się powieść. Do tego potrzebuje fikcji. Ta jednak, podobnie jak fantazja, jest – co by nie powiedzieć – zmyśleniem, które kojarzy z fałszerstwem. To mu się, jako poszukiwaczowi historycznej prawdy, nie podoba. Mniema więc, że tak jak w fantastyce fantastyczność domaga się uprawdopodobnienia, tak do niego woła

o nie fikcja. I ulega jej woli. Środkiem zaś, do którego się w tym celu ucieka, jest granicząca z pedanterią, perfekcyjna dbałość o każdy szczegół historyczny. Dbłość miłośnika dziejów, biografy, popularyzatora wiedzy. Człowieka, któremu o to idzie, by autentyzm osłabił ułudę fikcji. Gdy więc wprowadza nową postać, natychmiast wchodzi w rolę biografy i opowiada jej życiorys. Nie zawsze potrzebny i być może fikcyjny... Ale osadzający bohatera w konkretnych



Zamek Czocha

Fot. P. Krywak

Wyraźnym sygnałem, świadczącym o zawracaniu gatunków fantastycznych w stronę realizmu jest tendencja znajdująca dziś wyraz w formach zwanych „fantastyką bliskiego zasięgu”, tj. takich, których czas akcji nie odbiega zbyt daleko od współczesności i pozwala budować wizję przyszłego świata ze składników niesprzecznych z ludzkim doświadczeniem. Jej przykładem jest choćby Lemowy *Katar*, ale także liczne książki z kręgu *political fiction*, swoiste

i ponad wszelką wątpliwość zgodnych z wiedzą o przeszłości realiach... By była wiarygodna.

Cóż z tego, że Andrzej Czerny a zapewne i Hugo Jörg nie są postaciami autentycznymi, skoro ich biografie odzwierciedlają aż nazbyt typowe, wojenne losy Polaków? Cóż z tego, że naprawdę nie było Joanny, skoro można się w niej doszukać rysów Haliny Szymańskiej, agentki polskiego wywiadu, uczestniczki sekretnych rozmów między aliantami a szefem Abwehry, admirałem Wilhelmem Canarisem? Był za to Howard Compaigne, był Meredith Gardner, istnieli komandosi, działali cichociemni... Stał zamek Tzschocha i Schloß Fürstenstein, istniały Marklissa i Hirschberg (Jelenia Góra). Był kwiecień 1945 r. i ofensywa Armii Czerwonej, toczyły się boje o Lubań (Lauban), kontratakował Schörner, a tuż za przesuwającym się frontem trwało wielkie polowanie na niemieckie wynalazki, technologie, specjalistów. To wszystko historia.

Miłośnik i popularyzator dziejów najnowszych, jakim niewątpliwie jest Wołoszański, walczy w powieści z beletrystą. Pierwszy ma wiedzę i czuje powołanie do roli jej krzewiciela, drugi – pomysł, pasję i entuzjazm odkrywcy. Jeden chce prawdy i tylko prawdy, drugi zaś czuje, że nie da się jej ujawnić bez fikcji. Na to znów żyjemy się pierwszy... Dodajmy: silniejszy.

W tej sytuacji fikcja, najważniejszy składnik powieści, sprowadzona zostaje do roli narzędzia i jej znaczenie maleje. Dla autora okazuje się – wobec historii – drugorzędna. Widać to zwłaszcza w scenach o walorach widowiskowych i większym dramatyzmie, jak choćby te, w których ukazano tragedię komandosów na polu minowym pod Czochą czy atak „szturmowików” na niemiecki konwój wojskowy. Twórca specjalizujący się w *thrillerach* zbudowałby je i wykorzystał inaczej. Dobrze to, czy źle? Wszystko zależy od intencji autora. Jeśli Bogusław Wołoszański chce zostać beletrystą i pisać dreszczowce, nie może lekceważyć fikcji, przewidując dla niej tylko role drugoplanowe. Jeśli natomiast szuka nowej formy, „powieści opartej na faktach”, jak *Twierdzę szyfrów* nazywa się w reklamowych anonsach, jest na dobrej drodze, choć celu jeszcze nie osiągnął, skoro między historyczną prawdą a literackim zmyśleniem widać napięcie i brak równowagi. Jej znalezienie jest jeszcze przed nim.

Nie mam zamiaru wybrzydząć. *Twierdza szyfrów* nie zasługuje na złą ocenę. Sądzę jednak, że znakomity замысел nie do końca się pisarzowi powiódł. To powieściowy debiut, a popularyzatorowi i twórcy literatury faktu trudno z dnia na dzień wystąpić w nowej roli. Przywykł do dawnej i ta daje o sobie znać. Musi pokochać fikcję, bo bez niej nie ma powieści...

A co z hipotezą? Prawdę autor głosi, czy mamy czytelnika? Póki dla historyków niedostępne są archiwa, jednoznacznej odpowiedzi nie będzie. Za właściwy komentarz do przypuszczeń Wołoszańskiego niech więc posłuży tytuł, jaki fragmentowi *Muzy dalekich podróży* nadał Teodor Parnicki; cóż – *Mogło być tak właśnie...*

Piotr Krywak

¹ Informacje, jakie znalazłem o Zamku Czocha, określają czas jego powstania na pierwszą lub drugą połowę XIII stulecia. Są jednak i takie, w których mówi się o początkach XIV w. Nie ma też zgody, co do osoby jego fundatora. Najczęściej wskazuje się króla czeskiego Wacława II, jakkolwiek brani są także pod uwagę książęta świdnicko-jaworowscy.

² Bednarek, J. (2003-2005) *Leśna. Zamek Książęcy Czocha* (<http://www.zamkipolskie.com/czocha/czocha.html>)

Marcin Kania

Johann E.

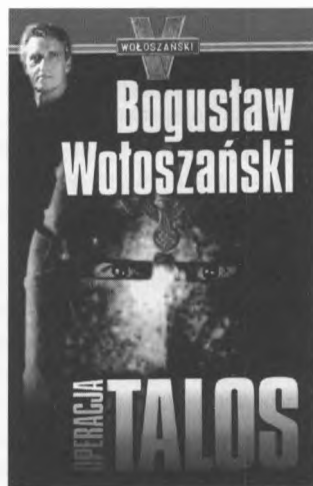
– historia i hipotezy

– Wybrałem – oznajmił Plötner, nie przedstawiając się, gdyż uznał, że sekretarka i tak poinformowała szefa, kto dzwoni.

– Kto to?

– Stolarz, cieśla, mechanik, kiedyś członek Czerwonego Frontu, samotny – szybko liczył podstawowe cechy. – Przyjrzałem się jego zdjęciu. Mogę przyjąć, że to dobry materiał

(Operacja Talos, s. 31)



Tak mogła brzmieć rozmowa pomiędzy doktorem Kurtem Plötnerem – naukowcem prowadzącym w obozie koncentracyjnym w Dachau eksperymenty na ludziach, a standardenführerem SS Wolframem Sieversem, szefem tajnej komórki wywiadu i kontrwywiadu III Rzeszy oraz sekretarzem generalnym stowarzyszenia o nazwie: Niemieckie Dziedzictwo Przodków (Ahnenerbe)¹. Cel operacji, do której Plötner wybrał cieśla z Kolonii: Johanna Georga Elsera, wciąż pozostawał niejasny. Zresztą taki miał być, albowiem nad jego całkowitym utajnieniem czuwał dowódca SS i gestapo – Heinrich Himmler.

Rok później, w listopadową noc 1939 r., 10-kilogramowy² ładunek wybuchowy ukryty w filarze monachijskiej piwiarni Bürgerbräukeller spowodował eksplozję, zabijając lub raniąc kilkudziesięciu faszystowskich dostojników partyjnych, przybyłych tu w celu świętowa-

nia rocznicy tzw. „puczu monachijskiego” – nieudanej próby przejęcia przez Hitlera władzy w Niemczech, w roku 1923. Planowany cel zamachu nie został osiągnięty. Spiesząc do Berlina Adolf Hitler skrócił swoje wystąpienie o około pół godziny, opuszczając salę kilkanaście minut przed zaplanowaną eksplozją. Nie zawiódł ani precyzyjny mechanizm zegarowy³, ani umysł Johanna Elsera. Jedyne wola przypadku sprawiła, że kanclerz III Rzeszy uniknął śmierci.

Zamach wywołał kontrowersje. Dlaczego cieśla znad Jeziora Bodeńskiego podejmuje decyzję o opuszczeniu rodzinnego miasta – Konstancji, i prawie trzy miesiące, noc w noc, przekrada się do sali jadalnej piwiarni Bürgerbräukeller, by tam, w filarze nośnym pomieszczenia, drążyć otwór – miejsce późniejszego ukrycia bomby? W jaki sposób zwykły rzemieślnik potrafi skonstruować tak precyzyjny mechanizm zegarowy? Czy działał sam? Czy działał z własnej woli?

„Z czego żyje, gdzie mieszka, dlaczego nikt w Monachium nie interesuje się stolarzem, który nigdzie nie pracuje?” (s. 237).

Pytania można mnożyć, właściwych hipotez jest niewiele. Te, które przedstawia Bogusław Wołoszański w książce *Operacja Talos*, kolejnej po *Twierdzy szyfrów* „powieści opartej na faktach”, wydają się przekonywujące i prawdopodobne, choć ocena ich prawdziwości nie leży w zakresie kompetencji autora niniejszego szkicu. Wołoszański – badacz i popularyzator wiedzy historycznej o XX w., twórca wielu książek faktograficznych (m.in. *Ten okrutny wiek* – część 1 i 2, *Tajna wojna Hitlera*, *Tajna wojna Stalina*), ma pełne kompetencje do tego, by stawiać tezy trudne, nawet kontrowersyjne, jednakże – znając zaangażowanie autora w meritum zagadnienia – czytelnik wierzy, iż są one możliwe do udowodnienia.

Akcja *Operacji Talos* rozpoczyna się 28 lipca 1938 r., w dniu „likwidacji” przez gestapo informatora polskiego wywiadu, oficera SS z Dachau: Rudigera Kraussa. Krauss miał przekazać informacje dotyczące tajnych badań laboratoryjnych prowadzonych w obozie. Choć nie zdążył dokończyć swojej misji, jego śmierć uaktywnia kolejnego polskiego agenta: Michała Sosnowicza (Michaela Sosnowitza). Ten – mimo wysokich kwalifikacji szpiegowskich – ma przed sobą zadanie niełatwe: poznać prawdę o okolicznościach śmierci Kraussa, a także o tym, co informator z Dachau chciał przekazać Drugiemu Oddziałowi Sztabu Głównego, tj. wywiadowi polskiemu. A była to informacja ściśle chroniona przez Plötnera, Sieversa i samego Himmlera.

Hipoteza, jaką Bogusław Wołoszański proponuje swoim czytelnikom, jest następująca: w Dachau prowadzono pseudonaukowe badania medyczne, których celem było stworzenie „żołnierza doskonałego”: istoty bez uczuć i woli, całkowicie podległej swoim twórcom. Prototypem owego „Talosa” miał się stać właśnie Johann Elser. Człowiek ów, w trakcie okrutnych eksperymentów (z użyciem narkotyków, hipnozy oraz tortur – psychicznych i fizycznych) został „zaprogramowany” w celu przeprowadzenia zamachu na Adolfa Hitlera, w listopadzie

1939 r. Nie był jednak – według Wołoszańskiego – faktycznym autorem tej operacji, lecz jedynie narzędziem w grze, jaką prowadził niechętny tzw. „zachodniej” polityce Hitlera (tj. planowaniu inwazji na Holandię, Belgię i Francję), Heinrich Himmler.

Gdyby pokusić się o wykres fabuły *Operacji Talos*, zarówno postać Elsera, jak i listopadowy zamach na kanclerza III Rzeszy byłyby tylko ramami konstrukcyjnymi utworu. Wewnątrz – spośród budulca powieściowego – czytelnik może wyodrębnić jeszcze wiele innych, równie istotnych wątków fabularnych, obrazujących m.in.: walkę wywiadów, inwazję hitlerowskich Niemiec na Polskę (z przejmującą sceną ataku niemieckich samolotów na konwoje cywilne, wkroczenie Armii Czerwonej na Kresy Wschodnie, pracę wywiadowczą Stewarta Menziesa, wymianę jeńców między NKWD a III Rzeszą i wiele innych wydarzeń historycznych, które zostały włączone w kompozycję utworu.

W prozie Wołoszańskiego, żaden z bohaterów nie działa sam. Gdy znika jeden, w polu widzenia czytelnika natychmiast pojawia się kolejny – fikcyjny bądź autentyczny. Oba typy postaci wzajemnie się uzupełniają, lecz – co należy podkreślić w kontekście rozważań nad powieścią historyczną – bohaterowie fikcyjni nie zostają wyposażeni przez autora w możliwość znaczącego wpływu na wydarzenia historyczne. Są jedynie elementem obrazującym ich sens, istotami nadającymi prozie atrakcyjność (np.: zmysłowa kelnerka z *Twierdzy szyfrów*; uwodzicielska agentka z *Operacji Talos*) i wymiar beletrystyczny. Mimo iż próbują wypełnić swoje misje – gdyż do tego zobowiązuje je fabuła – żelazną zasadą powieści staje się całkowite poddanie tychże bohaterów wydarzeniom ich czasów. Tylko elementy składające się na cechy osobowościowe (przywyczenia, wygląd, upodobania), zostają podporządkowane wyobraźni autora. Równowaga pomiędzy fikcją a rzeczywistością zostaje przez Bogusława Wołoszańskiego zachwiana na korzyść faktów. Należy jednak podkreślić, iż – w przeciwieństwie do *Twierdzy szyfrów* – fikcja, wciśnięta w gorset wierności historii, w *Operacji Talos* oddycha odrobinę swobodniej.

Książka zaskakuje nie tylko bogactwem faktograficznym i erudycją pisarza. Pod względem narracyjnym, skonstruowana jest o wiele lepiej niż jego powieściowy debiut. Cechuje ją przede wszystkim szerszy rozmach epicki oraz swobodniejsze podejście do procesu przekształcania konkretnych danych naukowych w formę beletrystyczną. Dla porównania: narrator *Twierdzy szyfrów* kurczowo trzyma się swojej roli prelegenta i historyka, wprowadzając w dynamiczną akcję powieści sporą ilość biografistyki i faktografii, która – mimo niepodważalnych wartości naukowych – spowalnia fabularny tok opowieści. *Operacja Talos* została pozbawiona tego sposobu mówienia o historii, przy czym nie traci nic z autentyczności i wierności prawdzie. To, co czytelnik ma wiedzieć na temat danej postaci lub wydarzenia, zostaje przekazane mu w sposób o wiele subtelniejszy. Aby poprzeć tę tezę przykładem, nie trzeba szukać zbyt długo. W podrozdziale piątym części pierwszej (s. 32–37), pojawia się postać reichsführera SS Heinricha Himmlera. Jednakże Himmler nie od razu zostaje nazwany „szefem gestapo i Schutzstaffeln, ministrem spraw wewnętrznych III Rzeszy”. We wstępnym opisie, czytelnik obserwuje anonimowego, przeciętnego urzędnika biurowego, biorącego wieczorną kąpiel, czeszącego włosy, oglądającego w lustrze swoją – nie pozbawioną ułomności – sylwetkę. Dopiero w następstwie rozwoju narracji, ów „urzędnik” zostaje nazwany po imieniu – oto Heinrich Himmler. Ale nawet wtedy narrator wstrzymuje się z prezentacją biograficzną. To, co czytelnik ma wiedzieć o tej postaci, zostanie powiedziane w kolejności zgodnej z dalszymi wydarzeniami. Rzec można – korzystając z terminologii Michaiła Bachtina – dobry „chwyt” literacki.

Mimo wielu zalet, w *Operacji Talos* wyczuwa się pewien niedosyt w opisanu osoby Johanna Elsera. We wspomnianej zbiorowości brakuje tego bohatera, jego przeżyć, przemyśleń. Szkoda, bo Elser to przecież postać-klucz. Widać jednak, że Wołoszańskiemu nie chodzi o napisanie książki psychologicznej, lecz powieści o machinie politycznej, która Elserem sterowała. Zminimalizowana rola jednostki jest, być

może, rzeczą zamierzoną, a nie przeoczoną. Ale skąd to zastrzeżenie? Nazwisko: Johann Georg Elser nawet po wojnie było Niemcom nieznane. Milczały o nim encyklopedie⁴. Sytuację zmienił dopiero film Klausa Marii Brandauera: *Georg Elser. Einer aus Deutschland* (1989), przedstawiający sylwetkę i losy zamachowca. Powieść Bogusława Wołoszańskiego na pewno jest ważnym ogniwem w badaniu historii cieśli znad Jeziora Bodeńskiego i tajemnic związanych z jego pobylem w Bloku „E” obozu koncentracyjnego w Dachau.

Wołoszański żegluguje „pod prąd” zaakceptowanej przez polską powieść historyczną (do czasów Teodora Parnickiego i Hanny Malewskiej) tradycji Waltera Scotta i Aleksandra Dumasa-ojca – tradycji, która powodowała, iż postacie historyczne nie pełniły „rol bohaterów powieściowych [...] a [...] zespół wydarzeń historycznych nie wypełniał fabuły”⁵. Autora *Operacji Talos* interesują fakty, ludzie realnie istniejący i mechanizmy ich poczynañ. Kreacja bohaterów niehistorycznych, stanowi w tym przypadku rzecz marginalną – ważną, lecz tylko służebną. Książka staje się zatem widowiskiem historycznym, przeplatany od czasu do czasu elementami fikcyjnymi, w proporcjach 90% do 10%, na korzyść faktów. Specyficzna to metoda w beletrystyce, ale ciekawa i bardzo indywidualna. W niej bowiem objawia się pasja autora do tropienia konkretnych zjawisk, wydarzeń i mechanizmów. Bogusław Wołoszański szuka własnego, autorskiego sposobu pisania o historii najnowszej, co jest rzeczą niełatwą. Podejmuje to wyzwanie i realizuje je z pełną konsekwencją, w sposób wysoce precyzyjny.

Marcin Kania

¹ Więcej o Ahnenerbe zob.: Ł. Orlicki, *Nazistowskie Archiwum X Łowcy czarownic*, <http://forum.wprost.pl/at/?O=420560&NZ=28> (dostęp 17.01.2005)

² E. Guz, *Zapomniany zamach na Hitlera*, „Przegląd” 2004, nr 46.

³ B. Wołoszański, *Operacja Talos*, Warszawa 2005, s. 327.

⁴ E. Guz, *Zapomniany...*, j.w.

⁵ H. Bursztyńska, *Scottowskie i dumasowskie dziedzictwo Sienkiewicza*, „Prace Historyczne Uniwersytetu Śląskiego” 1976, nr 99, s. 81.

Iwona Tomasiuk

Z obrad Senatu



Zanim omówię prace Senatu, chciałabym przypomnieć, że w jego skład wchodzi: 46 osób z głosem stanowiącym, wybieranych przez całą społeczność Uczelni w bieżącym roku i 5 osób z głosem doradczym. Głos doradczy mają w Senacie: po jednym przedstawicielu z trzech związków zawodowych, kvestor oraz dyrektor Biblioteki Głównej. W Senacie zasiadają reprezentanci wszystkich grup pracowniczych: 20 osób to samodzielni pracownicy nauki – profesorowie i doktorzy habilitowani, 9 osób to pozostali nauczyciele akademicy – adiunkci, st. wykładowcy, wykładowcy, zaś siedmiu studentów reprezentuje społeczność studencką. Swoich przedstawicieli (po jednym) mają pracownicy naukowo- i inżyniersko-techniczni oraz administracja i obsługa. W Senacie z urzędu zasiadają także: Rektor, trzech Prorektorów i czterech Dziekanów Wydziałów. Po raz pierwszy obowiązki Senatora sprawuje 13 osób.

Pierwsze posiedzenie nowej kadencji Senatu odbyło się 26 września 2005 r. Przed rozpoczęciem obrad prof. Bronisław Górz – przewodniczący Uczelnianej Komisji Wyborczej – wręczył członkom Senatu powołania na Senatorów na kadencję 2005–2008.

Pierwszy punkt obrad dotyczył inauguracji nowego roku akademickiego. Rektor H. Zaliński przedstawił program uroczystości i poinformował, że 14 października br. rozpoczną się obchody Jubileuszu 60-lecia naszej Akademii. Kolejnym punktem obrad było przyjęcie *Planu posiedzeń Senatu w roku akademickim 2005/2006*. Zawiera on tematy, które będą omawiali członkowie Senatu na kolejnych posiedzeniach. Plan ten został przyjęty jednomyślnie przez Senat. Następnym punktem obrad dotyczył nadania tytułu

doktora *honoris causa* Akademii Pedagogicznej w Krakowie Panu prof. Markowi Waldenbergowi, który – należy to szczególnie podkreślić – ma ogromne zasługi w promowaniu młodej kadry naukowej. Wielu pracowników naszego Instytutu Politologii jest jego uczniami.

Powołanie Senackich Komisji: Budżetowej, Statutowej i do spraw Regulaminu Studiów na czas kadencji 2005–2008 to kolejna kwestia, którą zajął się Senat w czasie posiedzenia. Następnie Prorektor E. Wachnicki omówił sprawy rekrutacji na studia. Senat zgodził się na uruchomienie w roku akademickim 2006/2007 dwóch nowych specjalności nienauczycielskich: biologia z ochroną środowiska oraz biologia z gospodarką łowiecką i wędkarstwem. Uchwalono również zmiany w zasadach decentralizacji finansowania wynagrodzeń w Akademii Pedagogicznej.

Tematem obrad tego posiedzenia były sprawy personalne. Senat pozytywnie zaopiniował wnioski w sprawie mianowania: prof. Marii Filek na stanowisko profesora nadzwyczajnego na stałe, dr. hab. inż. Stanisława Warkockiego na stanowisko profesora nadzwyczajnego na czas nieokreślony, dr. hab. Henryka Kąkła na stanowisko profesora nadzwyczajnego na czas nieokreślony oraz dr. hab. Helenę Wronę-Polańską na stanowisko profesora nadzwyczajnego na czas określony.

Senat jednomyślnie wyraził zgodę na podpisanie porozumienia z Komendantem Miejskim Policji w sprawie przeciwdziałania narkomanii na terenie Akademii Pedagogicznej w Krakowie.

W październiku odbyło się kolejne posiedzenie Senatu poświęcone sprawom personalnym. Senat wyraził zgodę na mianowanie na stanowisko profesora zwyczajnego prof. Tadeusza Winiarskiego, a także pozytywnie zaopiniował

mianowanie dr hab. Barbary Obtulowicz na stanowisko profesora nadzwyczajnego na czas określony.

Z kolei pierwszym punktem obrad w listopadowym posiedzeniu Senatu było powołanie Senackich Komisji: ds. Nauki, ds. Kadry Naukowo-Dydaktycznej, Dyscyplinarnej dla Nauczycieli Akademickich, Wydawniczej, ds. Etyki, Dyscyplinarnej dla Studentów, Odwoławczej Komisji Dyscyplinarnej dla Studentów, Dydaktycznej, ds. Realizacji Założeń Deklaracji Bolońskiej.

Kolejny punkt obrad dotyczył Jubileuszu 60-lecia Uczelni. Prorektor ds. Nauki, prof. Tadeusz Budrewicz – przewodniczący Komitetu Organizacyjnego Jubileuszu 60-lecia Uczelni – przedstawił program „centralnej” uroczystości, która odbędzie się 11 maja 2006 r. Profesor zaprezentował Senatorom materiały promocyjne, które z tej okazji zostały zamówione m.in: teczki, podkoszulki, czapeczki, zegarki, długopisy, podkładki pod myszy, „smycze” na klucze i wiele innych. Na wszystkich tych gadżetach jest logo jubileuszowe. Z okazji naszego Jubileuszu na antenie TVP3 zostanie pokazany film o Uczelni, do którego obecnie zbierane są materiały i kręcone zdjęcia. wydany zostanie także specjalny album o Akademii.

Senat stwierdził, że program obchodów jest bogaty i interesujący, lecz brak w nim inicjatywy i imprez studenckich. Zastanawiano się również,

czy Jubileusz uczelni nie byłby doskonałą okazją do zmiany nazwy Akademii na Uniwersytet.

Następnie Senat zajął się nowelizacją uchwały Senatu z dnia 21 marca 2005 r. w sprawie rekrutacji na studia stacjonarne i niestacjonarne w roku akademickim 2006/2007.

Modernizacja stołówki w DS „Krakowiak” przy ul. Armii Krajowej 9 to kolejna kwestia, którą rozpatrzył Senat. W wyniku dyskusji postanowiono, że pomieszczenia, które obecnie zajmuje stołówka wraz z zapleczem, zostaną zaadaptowane na dwie sale (ok. 136 m² i 83,5 m²) dydaktyczno-konferencyjne. Z kolei sala konferencyjna znajdująca się na parterze w „Krakowia-ku” zostanie zamieniona na stołówkę.

W trakcie posiedzenia Senat wyraził zgodę na mianowanie prof. dr. hab. Mariana Huczka na stanowisko profesora zwyczajnego. Pozytywnie zaopiniował także wniosek o mianowanie dr. hab. Jacka Wasilewskiego na stanowisko profesora nadzwyczajnego na czas określony.

Umowy międzynarodowe w sprawie współpracy były ostatnim punktem obrad tego posiedzenia. Senat wyraził zgodę na podpisanie umów o współpracy z: Uniwersytetem w Czerniowcach na Ukrainie, Uniwersytetem Nancy 2 i Francuską Akademią Nauk oraz z Uniwersytetem w Hradec Kralove w Czechach.

Ustalono, że ostatnie posiedzenie Senatu w 2005 r. odbędzie się 19 grudnia br.

Marcin Pawłowski

Dyplomy 2005



Fot. S. Skórka

Uroczyste otwarcie wystawy *Dyplomy 2005*

60

9 listopada br. w „Galerii Centrum” Nowohuckiego Centrum Kultury przy Placu Centralnym została otwarta wystawa Instytutu Sztuki – *Dyplomy 2005*. To pierwsza w ponad 25-letniej historii Instytutu zbiorowa prezentacja fragmentów prac dyplomowych, zrealizowanych w 2005 r. przez absolwentów studiów zawodowych i magisterskich kierunku Edukacja artystyczna, w zakresie sztuk plastycznych. Około 140 eksponowanych prac 46 autorów stanowi reprezentatywny przekrój wielości specjalizacji i dyscyplin artystycznych, funkcjonujących

w programie studiów. Adam Panasiewicz i Aleksander Pieniek, pracownicy instytutu bezpośrednio odpowiedzialni za realizację wystawy i jej ostateczny kształt, stanęli wobec bardzo trudnego zadania: w złożonej przestrzeni nowohuckiej galerii dokonać kompozycji prac malarskich, rysunkowych, graficznych, fotograficznych, rzeźbiarskich i dotyczących projektowania wizualnego.

Szczegółowy scenariusz wystawy był efektem zastosowania demokratycznej zasady typowania najlepszych prac przez ich promotorów. Trudno

jednoznacznie ocenić, czy ta zasada okazała się słuszna i skuteczna. Jak zwykle w takich sytuacjach wiele jest ocen i opinii skrajnie różnych. Niewątpliwie można, lub wręcz należy, próbować w przyszłości skorzystać z innych pomysłów na znalezienie bardziej doskonałego klucza wyboru autorów.

Bez względu na to, według której metody zostaną dobrani uczestnicy, znaczenie tego typu wystaw jest w oczywisty sposób szczególne. Są one świadectwem poziomu prowadzonej w naszym Instytucie dydaktyki, informują o możliwościach twórczych studentów – jej uczestników, ale kto wie, czy nie w większym stopniu o kondycji, możliwościach dydaktycznych i poglądach naszych pracowników.

Osobiście nie przeceniam wartości tego rocznego pokazu. W krótkim wystąpieniu na otwarciu wystawy pozwoliłem sobie na uwagę, że trochę inaczej ją sobie wyobrażałem. Dziś mogę wskazać wręcz na rozczarowanie jej

ostatecznym kształtem. To opinia wynikająca z oceny poziomu artystycznego często tych samych zestawów dyplomowych, ale oglądanych w całości w momencie dyplomowej obrony; przemawiających pełnią i bogactwem swojego wyrazu, rozbudowaną strukturą, wzajemnym kontekstem jej elementów, również ich wielością, a więc czysto fizyczną skalą swoich rozmiarów. Mam pewność, że zdecydowana większość prac prezentowanych na wystawie w okrojonej formie (przeważnie w drastyczny sposób), w rzeczywistości reprezentuje o wiele wyższy poziom. Jeżeli piszę więc o rozczarowaniu, to jest ono wynikiem właśnie takiej obserwacji i refleksji; prace dyplomowe naszych studentów w rzeczywistości (w ich pełnym kształcie) są po prostu o wiele lepsze.

Jak w przyszłości pokazać tę ich rzeczywistą wartość, a więc wartość naszej (studentów i pracowników) pracy, to przedmiot dyskusji, do której – mam nadzieję – już niedługo dojdzie w Instytucie Sztuki.



Fot. S. Skórka

Dyplomy

Po pierwsze: wrażliwość. Ona jest punktem wyjścia i celem wszelkich działań dydaktycznych. Wrażliwość młodych jest nieskażona nawykami i uprzedzeniami, jej potencjał jest ciągle obiecujący, jak każdy powracający cykl wiosenny w naturze. Tej świeżości towarzyszy zawsze entuzjazm i optymizm. Młodzi mają nadzieję, a nawet pewność, że to, co w sztuce najważniejsze, jest jeszcze do odkrycia i to właśnie jest ich zadaniem. I mają rację. Nie należy im w tym przeszkadzać. Nie należy czynić z nich zgorzkniałych starców, którzy wiedzą wiele i wątpią we wszystko.

Po drugie: pasja. Pracownicy Instytutu Sztuki to twórcy, dla których dydaktyka artystyczna jest pasją. Różnorodne postawy artystyczne tworzą dla studentów ofertę bogatą i zróżnicowaną. To widać wyraźnie także w pracach dyplomowych.

Po trzecie: bez doktrynerstwa, chociaż o to najtrudniej. Każdy młody człowiek jest indywidualnością, której nie powinno się zafałszowywać natrętną indoktrynacją. Współpraca ze studentami dla artysty pedagoga jest doznawaniem zawsze świeżych i nowych zachwytów nad bogactwem i wielorakością osobowości.

Po czwarte: młodzież. Młodzież z Krakowa i najodleglejszych zakątków kraju. Zdarzają się także studenci z zagranicy. Młodzież uzdolniona i poszukująca spełnienia swych aspiracji

artystycznych. Kierunek studiów nazywał się do niedawna po prostu Wychowaniem plastycznym, teraz nosi wyszukane miano Edukacji artystycznej w zakresie sztuk plastycznych. Absolwenci tychże studiów to dobrze przygotowani pedagodzy w zakresie plastyki, animatorzy kulturalni i popularyzatorzy sztuki. Nierzadko uprawiają twórczość własną i biorą udział w wystawach oraz w życiu artystycznym środowisk twórczych. Nauczyciel powinien być przynajmniej wyrobionym koneserem sztuki i mieć, jak to się mówi, oko. Powinien także dysponować podstawowym warsztatem krytycznym, aby być zdolnym do profesjonalnego opisu zjawisk artystycznych.

Sztuka nie może być dla osobowości nauczyciela tylko czymś zewnętrznym. Nie może on być ignorantem, ale jego wiedza powinna mieć inny charakter niż wiedza historyka sztuki. To wiedza sprawdzana poprzez oko i warsztat. Poznawanie w ciągłym dyskursie z mistrzami i twórcami współczesnymi. Zawsze w drodze i zawsze w poszukiwaniu istoty rzeczy. Nieskrępowany rozwój osobowości twórczej sprzyja otwartej i krytycznej postawie wobec zjawisk sztuki współczesnej. Realizacja własnych aspiracji twórczych pozostaje czynnikiem priorytetowym towarzyszącym dydaktyce artystycznej, warunkuje ją i uprawomocnia.

Anna Roczyna, Bartosz Ochoński

Wieczór autorski prof. Bolesława Faron

16 grudnia 2005 r., na krótko przed godziną dziewiętnastą, w kawiarni „Jama Michałika” przy ulicy Floriańskiej 49 w Krakowie, w miłej, przedświątecznej atmosferze, odbył się wieczór autorski prof. Bolesława Faron, połączony z promocją książki *Bezdomne psy* Petera Skrzyneckiego. Wśród gości znaleźli się m.in.: prof. Stanisław Stabro z Uniwersytetu Jagiellońskiego, prof. Maria Zarębina, prof. Adam Kulawik, dr Bogusław Gryszkiewicz, dr Jerzy S. Ossowski, dr H. Czubała z Akademii Pedagogicznej. Ponadto pojawili się poeci Józef Baran i Julian Kawalec...

Gospodarz wieczoru z sympatią witał przybyłych gości, najpierw prywatnie, później – wspólnie z prof. Jagodą Cieszyńską, pełniącą również funkcję konferansjerki – już bardziej oficjalnie. Przypominając historię „Jamy Michałika”, miejsca szczególnego, ze względu na tradycje i unikatowe pamiątki po młodopolskiej cygaretki, prof. Faron zaprosił zebranych do podróży, której celem miało być „oglądanie świata w przestrzeni” i udowodnienie, że „zbiór opracowań naukowych może być również przyjemną i interesującą lekturą”.

Okruchy. Szkice o literaturze i kulturze XX wieku to tytuł najnowszej, sygnowanej przez Wydawnictwo Edukacyjne, książki prof. Bolesława Faron, stanowiącej bogaty zbiór publikowanych w wielu źródłach artykułów. Autor przyznaje, iż jego założeniem było stworzenie obiektywnych rozpraw dotyczących literatury minionego stulecia, które pozwalałyby zrozumieć, że o ludziach z nią związanych pisać można w rozmaitych formach. Profesor opowiedział więc zebranym, jak kształtowało się jego myślenie



A. Roczyna i prof. B. Faron

o pojęciu naukowości – wierzył kiedyś, że polega ona na używaniu *pluralis maiestaticus* i zarzucaniu czytelnika coraz to wymyślniejszymi przypisami; dziś zaś wie, że naukowość może się objawiać w każdej formie – także pod postacią parareportażu.

Podróż rozpoczęła się od Krakowa, którego magię i niezwykłość podkreślano tego wieczoru niejednokrotnie.

Na wstępie fragment książki profesora odczytała utalentowana aktorka Alicja Kabała, po czym głos zabrała prof. Cieszyńska, już bezpośrednio zwracając się do autora *Okruchów* z zapytaniem, skąd wzięt się pomysł na tak niecodzienny tytuł. Odpowiadając, Bolesław Faron sięgnął po wspomnienia z młodości – podzielił się myślą, iż życie

nauczyło go, by nie marnować ani okruszyny chleba. Tę prostą, acz smutną mądrość przeniósł na grunt refleksji krytycznoliterackiej, skąd wyciągnął wniosek, że każde, nawet najdrobniejsze słowo w dyskusji naukowej okazuje się niezwykle cenne. Krytyka wobec tego wcale nie musi polegać na opisywaniu najznamienitszych postaci z kręgów literackich – może skupić się chociażby na osobach aktualnie tworzących, które dzisiaj ceni się i szanuje.



Prof. B. Faron

Po krótkiej przerwie muzycznej – na gitarze grał Paweł Kwaśny z krakowskiej Akademii Muzycznej – nie zabrakło opowieści o historii samego lokalu, którą przytoczył gospodarz spotkania, autor cenionego *Przewodnika po „Jamie Michalika”*, puentując swą wypowiedź rozumianym autoironicznie wierszem Tadeusza Boya-Żeleńskiego *Pochwała wieku dojrzałego*. Na pianinie zagrał tym razem, zresztą nie po raz ostatni tego wieczoru, Bartosz Sosnowski z Zespołu Państwowych Szkół Muzycznych.

W dalszej części rozmowy zgromadzona publiczność mogła dowiedzieć się o roli, jaką w życiu profesora odegrały słynne europejskie miasta: Wiedeń – za czasów pełnienia w tamtejszym Instytucie Polskim funkcji dyplomatycznych, oraz Sztokholm i Wilno. Mówiąc o austriackiej stolicy Bolesław Faron docenił rolę wiedeńskich bibliotek i innych ośrodków kulturalnych, głównie teatru i filharmonii, które pozwoliły mu lepiej zrozumieć przemiany kulturowe całego XX w., a także przyczyniły się do jego wewnętrznego rozwoju – stąd sam pobyt w Wiedniu nazwał „sanatorium po warszaw-

skim epizodzie”. Następnie rozmowa toczyła się wokół wileńskich i sztokholmskich podróży Bolesława Farona. Szczególnie interesująca wydała się zwłaszcza ta druga, podczas której badacz literatury miał okazję dokładnie zwiedzić Bibliotekę Noblowską i znaleźć w niej ciekawe informacje o polskich noblistach. Wspomnił o batalii, jaka rozegrała się między Elizą Orzeszkową a Henrykiem Sienkiewiczem; wyjawił, że wbrew temu, co mówiły szkolne podręczniki, autor *Trylogii* nie dostał Nagrody Nobla tylko za *Quo Vadis*, ale za całokształt twórczości. Profesor opowiedział ponadto o kulisach przyznania nagrody Czesławowi Miłoszowi w 1980 r. – starania o nią już w 1976 r. miał podjąć Jerzy Giedroyc.

Po aglomeracjach europejskich przyszła kolej na Sydney – miasto, które Bolesław Faron odwiedził przy okazji opublikowania w Wydawnictwie Edukacyjnym książki mało znanego jeszcze w Polsce Petera Skrzyneckiego. Profesor poznał go osobiście, a wielkie przy tym – jak mówił – było jego zdziwienie, gdy tamten pokazał mu wspólne zdjęcia z legendarnym założycielem „Piwnicy pod Baranami”. Pobyt w krainie kangurów okazał się satysfakcjonujący z innego jeszcze powodu – profesor spotkał w Australii kilkoro swoich dawnych studentów¹.

Nie zabrakło fragmentu *Bezdomnych psów*, wspaniale zinterpretowanego przez Alicję Kabałę. Łatwo było w nim dostrzec wątki autobiograficzne wplecione przez Petera Skrzyneckiego oraz wątki tęsknoty starszego pokolenia za Ojczyzną.

Na sam koniec uroczystości, utrzymanej w niezwykle ciepłej atmosferze, zebrani mieli okazję wysłuchać *Scherzo* Chopina, który to motyw stał się miłym podkreśleniem przedświątecznego nastroju oczekiwania.

Po części oficjalnej obie książki można było zakupić po cenach promocyjnych, a także skosztować wyśmienitych ciastek serwowanych przez obsługę „Jamy Michalika”.

Anna Roczyna, Bartosz Ochoński

¹ Szerzej w reportażu B. Farona *List z krainy kangurów* drukowanym w niniejszym numerze „Konspektu” s. 102.



Veraikon z ptakami, 1974, akryl na desce z kredensu, 54 x 189 cm

EMUCHA.



Spacer, 1999, olej/plótno, 122 x 142 cm



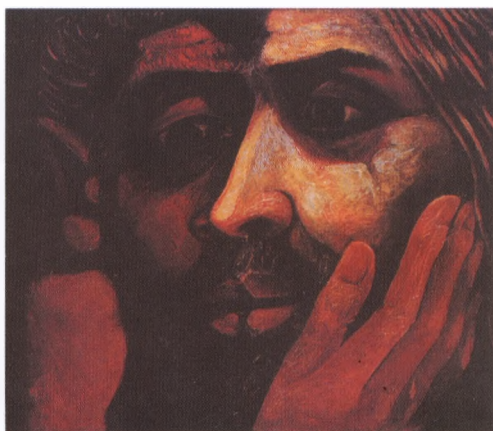
Boże Narodzenie, 1972, olej/plótno, 150 x 128 cm



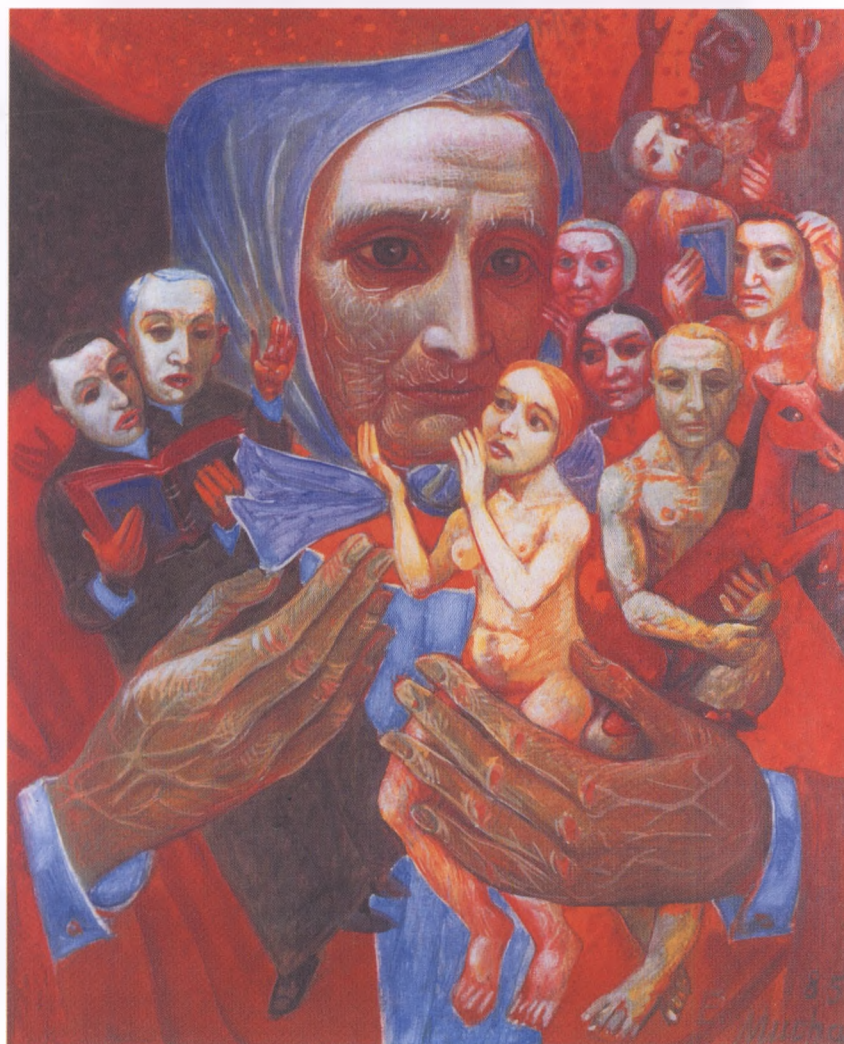
Siewcy, 1986, olej na desce (dwustronny), 84 x 170 cm



Wino, 2000, olej/płótno, 92 x 74 cm



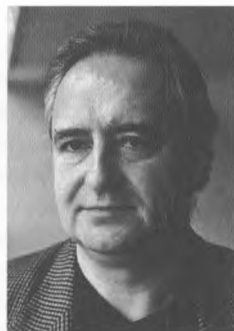
Pocałunek Judasza, 1986,
olej/płótno, 100 x 115 cm



Matka, 1986, olej/plótno

Marek Karwala

O artystycznych peregrynacjach Eugeniusza Muchy



Ostatnio sporo mówi się o relacjach pomiędzy sztuką a odpowiedzialnością. Postulat odpowiedzialności artysty oraz jego dzieła pozostaje wszak często jedynie sloganem. W przypadku twórczości Eugeniusza Muchy (zarówno malarstwa sztalugowego, jak i ściennego) spójność ta jest swoistym imperatywem działania. Parafrazując znane powiedzenie: „Żyj tak, jakbyś miał umrzeć następnego dnia”, Mucha zwykł mawiać: „Obraz powinno się tworzyć tak, jakby następnego dnia miało się umrzeć”¹. To nie przypadek, że artysta stawia znak równości między życiem a tworzeniem, dla niego bowiem życie oznacza uprawianie sztuki, która staje się w równej mierze: pracą, uniesieniem, modlitwą... On nigdy nie staje przed płótnem bez wcześniejszego przygotowania, bez owego zaplecza myślowego, które jest skutkiem wewnętrznego

zmagania się podczas bezsennych nocy lub w trakcie samotnych wędrówek, kiedy przygląda się naturze, podziwiając jej porządek. To również efekt wielu lektur, do których zalicza przede wszystkim *Biblię*; chętnie sięga po pisma Edyty Stein i innych filozofów, wyczytuje się w żywoty świętych (sporo zawdzięcza św. Franciszkowi), zachwyca go postawa mistyczna św. Teresy z Lisieux, zwanej Mniejszą. Mówiąc krótko – praca przy płótnie lub malowanie fresków to dla Muchy ostatni etap tworzenia, skutek wcześniejszych przemyśleń.

Eugeniusz Mucha

Urodził się w 1927 r. w Niewodnej. Absolwent Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Krakowie. Studia w latach 1949-1955 na Wydziale Malarstwa Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie w pracowniach prof. Wacława Taranczewskiego, prof. Wojciecha Weissza, prof. Adama Marczyńskiego. Dyplom w pracowni prof. Tadeusza Łakomskiego. Zajmuje się malarstwem ściennym i sztalugowym. Zrealizował polichromie w kościołach w Niewodnej, Łętowni, Lutczy, Lubińcu Starym, Niechobrze, Oleszycach Potoku Jaworowskim, Zapolańcu, Rzeszowie i Lublinie. Jest autorem ponad 20 wystaw indywidualnych w Polsce i za granicą. Brał udział w około 70 wystawach zbiorowych malarstwa w kraju i za granicą.

Prace artysty znajdują się w zbiorach muzeów w Krakowie, Radomiu, Lublinie, Rzeszowie, Opolu, Toruniu, Bydgoszczy, Szczecinie oraz w zbiorach prywatnych na całym świecie.

W 2005 r. został laureatem prestiżowej Nagrody Okręgu Krakowskiego ZPAP im. Witolda Wojtkiewicza



Artysta unika konsekwentnie – wyłączając krótkie uwikłanie się w pierwszej połowie lat 50. w złudną ideologię socrealizmu – tematów związanych z polityką, którą postrzega jako podległą relatywizmowi. Co prawda pojawiają się niekiedy postacie ze świata polityki, ale w kontekstach zgoła nie politycznych. Tak jest chociażby na obrazie *Emaus* (w jednej z jego wersji, jako że Mucha zwykle kilka lub kilkanaście razy rozwija ten sam temat), gdzie uczniów, którym objawił się Chrystus w drodze do Emaus zastępują anty-uczniowie: Lenin i Hitler... Chociaż Jezus objawia się nieustannie poprzez swoją naukę, człowiek nie chce Go dostrzegać lub jawnie Mu się przeciwstawia.

Na przeciwnym dla polityki biegunie widzi Eugeniusz Mucha metafizykę i właśnie jej poświęca większość swoich prac. Wychodzi z założenia, że świat realny jest tylko parawanem wymiaru wiecznego i trwałego. Mówi: „Człowiek jest kimś tak niepozornym, jak mrówka, a jednocześnie kimś wielkim. Wystarczy, że pomyśli o Kosmosie i w pewnym sensie już tam jest; pomyśli o Bogu i zbliża się do Niego”². Wiele tematów Muchy ma proveniencję biblijną: była już mowa o *Emaus*, bodaj najważniejsze w tym kręgu są sceny Bożego Narodzenia, znanych jest kilka przedstawień *veraikonu*, *piet*, ukrzyżowania św. Piotra, wygnania z Raju, siewcy, pocałunku Judasza i in. Chociaż kilka razy posądzono artystę o obrazoburczość, jego prace z pewnością takimi nie są. Przeciwnie, wydaje się, że można je określić jako modlitwy, chociaż wznoszone są one nie z perspektywy „na kolanach”. Tutaj Pan Bóg nie musi Muchy upominać, tak jak niegdyś – wedle znanej anegdoty – Matka Boska upomniała malującego Stykę: „Przestań malować mnie na kolanach, a zacznij malować dobrze”. *Sacrum* należy do przestrzeni z natury swej nienazywalnej. Wyrażanie jej często graniczy z... niewyraźnością. Jakże trudno określić słowami obiekt, który nie poddaje się ludzkiej, a więc racjonalnej percepcji! Jeszcze trudniej wypowiedzieć go środkami ikonicznymi. Artyście wszak udaje się wypełnić to zadanie w znacznym stopniu, chociaż zastosowane środki niekiedy wzbudzają (lub raczej wzbu-

dzały) kontrowersje. Taki los spotkał głośny obraz z 1974 r. *Boże Narodzenie*, na którym spomiędzy nóg nagiej Matki Bożej wyłania się Chrystus Ukrzyżowany. Krytyka skupiła się na tym, co zewnętrzne, a nie potrafiła dostrzec teologicznej głębi tej sceny, akcentującej nierozzerwalność Betlejem i Golgoty, życia i śmierci... dla dalszego życia. To – bodaj najgłośniejsze płótno artysty – zostało docenione i w pełni rozpoznane dopiero w latach 80.

Łagodna natura twórcy, jego autentyczna życzliwość i zwykła ludzka dobroć tylko z pozoru pozostają w sprzeczności z dynamiką, napięciami egzystencjalnymi i dramatycznymi pytaniami, które zdominowały płótna (warto wszakże pamiętać, iż walka ta z reguły kończy się zwycięstwem, bowiem artysta odnajduje rozwiązania dręczących go dylematów). Ważnym narzędziem warsztatu Muchy jest kontrast, wyrażający się zarówno w sferze ideowej, jak i formalnej. Problematyka sakralna oraz ziemską (tematy: *Matka*, *Ojciec*, *Spacer* i in.) wyznaczana jest granicami antynomicznych par: miłości–nienawiści, życia–śmierci, radości–cierpienia, prawdy–fałszu, dobra–zła. Do świetlistego oblicza Chrystusa zbliża swoją, wyłaniającą się z cienia ciemną twarz zdrajca Judasz; mrocznym „maskom” Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina (plakatowy cytat) przeciwstawiona zostaje jasna, szczerą twarz papieża Jana XXIII. Wśród kolorów – często bardzo odważnie zestawianych – dominują czerwienie, czernie, błękity, zielenie i żółcie. W rozmowie z poetą Józefem Baranem artysta akcentował wagę znaczeń symbolicznych stosowanych przez siebie barw: „Lubię czerwienie, bo kryje w sobie tajemnicę ludzkiej fascynacji krwią. Obraz jest jak rana [...]. Po zielenie sięgali często malarze ludowi. Zieleń symbolizuje nadzieję, uspokojenie”³. Kontrast ujawnia się także w planie kompozycyjnym, gdzie widoczna jest hierarchiczność skali malowanych obiektów (może jest to wpływ tradycji staroegipskiej lub średniowiecznej?).

Sacrum i śmiech to z pozoru wykluczające się obszary. Już jednak barokowy poeta, Józef Baka, potrafił łączyć komizm z metafizyką; znakomicie czynił to ks. Jan Twardowski,

którego wiersze Eugeniusz Mucha ceni szczególnie. On sam na jednym z veraikonów ukazuje uśmiechniętą twarz Chrystusa (w taki sposób Bóg-Człowiek podziękował Weronice za jej gest?, a może chciał pozostawić ludzkości znak – tylko przez cierpienie możliwe jest osiągnięcie wiecznej radości?). Zatem uśmiech w miejsce patosu? Zwykłość w służbie niezwykłego, a immanentne odbiciem Transcendencji? Twórca udziela takiej odpowiedzi: „jak się nie może problemu rozwiązać wysoko, to trzeba szukać rozwiązania nisko [...]. Kiedyś, gdy malowałem polichromię, wleciał do kościoła ptak. Latał, latał bardzo wysoko, nie wiedział, że drzwi są otwarte i zginął. Myślę, że robimy taki sam błąd...”⁴. Owych prostych rozwiązań Mucha poszukuje w Ewangelii oraz w tym, co zwyczajne i naturalne, m.in. w sztuce ludowej.

Artysta często przedstawia swoje postaci nagie, ale – co charakterystyczne – w jego obrazach nagość nie narzuca się. Jest prawie niewidoczna, niekiedy spowija ją cień; mówią natomiast twarze, a przede wszystkim oczy – myślące, refleksyjne, wyraziste. Szczęśliwe oczy Chrystusa, widzące nawrócenie łotra po prawicy; smutne, zatroskane oczy „wielorekiej” matki (krytyka doszukuje się tutaj akcentów autobiograficznych), obawiającej się czy zdoła ogarnąć ciepłem wszystkie swoje dzieci; zaleknione oczy Ewy i nieco zbuntowane Adama, gdy oboje wypędzani są z Raju; opiekuńcze oczy rodziców, którym rosną skrzydła, kiedy mogą zrealizować się w macierzyństwie... Nagość zaś symbolizuje zwykle szczerość, czystość, miłość, zjednoczenie z naturą (św. Franciszek prosił przed śmiercią, aby go pogrzebano nago). Być może wybór nagości jest także w jakiejś mierze efektem wyprawy artysty do Indii, zetknięcia się z tamtą kulturą, w której

nagość uchodziła (i niekiedy jeszcze uchodzi) za jedną z form ascezy, jest efektem odrzucenia stroju jako symbolu próżności i przywiązania do spraw doczesnych...

W świecie kreowanym przez Eugeniusza Muchę *sacrum* i *profanum* zbliżają się do siebie niemal na wyciągnięcie dłoni. Ten rodzaj widzenia relacji pomiędzy światem boskim a ludzkim jest zgodny z duchem współczesnej teologii. Ową bliskość akcentuje też poezja (m.in. wspomniany ks. Jan Twardowski, Józef Baran, Tadeusz Nowak). Dwaj ostatni, podobnie jak Mucha, uprawiając tzw. lirykę „wysoką”, profesjonalną, odwołują się do chłopskich korzeni, do prywatnego rodowodu, w którym szukają zasady rozumienia świata. Ludowość Muchy, formalna i tematyczna, wynika jak się wydaje z podobnego artystom ludowym stosunku do *Pisma Świętego*, będącego dla nich ostatecznym źródłem wartości i absolutnie wiarygodnym punktem oparcia. Sztuka ludowa wyrasta nie z wyrachowania i dystansu, lecz z pasji oraz szczerości. Podobnie malarstwo Eugeniusza Muchy nasycone jest właśnie pasją emocjonalną wywołaną autentycznymi przeżyciami, ale też głęboką refleksyjnością.

Marek Karwala

¹ Fragment rozmowy pomiędzy autorem, E. Muchą i S. Tabiszem odbytej na początku lipca 2000 roku w pracowni artysty.

² Ibidem.

³ *Aby człowiek zaistniał jako cud* (rozmowa z Eugeniuszem Muchą). W: J. Baran, *Autor! Autor! Rozmowy z ludźmi pióra i palety*, Warszawa 1986, s. 156, *passim*.

⁴ *Powrót do rzeźbienia* (z Eugeniuszem Muchą... rozmawia Krystyna Czerni), te „kst drukowany był w katalogu Eugeniusz Mucha. Malarstwo. Kraków 2000, *Znak* 1996, nr 10, s. 174, *passim*.

Tekst drukowany był w katalogu *Eugeniusz Mucha Malarstwo*, Kraków 2000

Sport w sztuce

Początków wyobrażeń sportu w sztuce możemy dopatrywać się w przedstawieniach sprawności fizycznej człowieka oraz w ukazywaniu jego rozmaitych zabaw i gier. W prehistorycznym malarstwie naskalnym myśliwi – w formie narysowanych, uproszczonych sylwet – polują na zwierzyńę strzelając z łuku bądź rzucając doń dzidami. W starożytnej kulturze mykeńskiej, na polichromiach ściennych, możemy odnaleźć schematyczne figury tancerek. Antyczna Grecja, na powierzchniach ceramiki okresu czarnofigurowego i czerwonofigurowego wyobraża atletów – są oni przykładami malarzskich wizualizacji proporcjonalnej budowy ciała, zgodnej z klasycznym lub hellenistycznym kanonem piękna. Apollo, Eros, Artemida – to łucznicy posiadający szczególne strzeleckie umiejętności. Pierwszy, choć był „lekarzem duszy i ciała” (J. Parandowski, *Mitologia. Wierzenia i podania Greków i Rzymian*, s.72, Wyd. Puls, Londyn 1992), potrafił ze złości zabić; drugi pokazywał się rażenia strzałami miłości. Obaj posiadali dar wprowadzania wybrańców w stan swojszcja rozumianej harmonii, idylli i pocucia obcowania z pięknem. Artemida natomiast święciła swe triumfy w krainie dzikiej zwierzyny; jako personifikacja matki natury symbolizowała wieczną płodność.

Powierzchnia naczyń greckich jest „areną” sportowych upodobań Hellady. Zapaśnicy, dyskolobowie, biegacze, powożący rydwanami, uczestnicy żeglarskich wyścigów, biorący udział w cyklicznych igrzyskach – Wielkich Panatেনajach i w pierwszych starożytnych olimpiadach (od VIII w. p.n.e. do IV w. n.e.), przechodzą do historii w momencie zaprzestania wszelkich bi-

tew i wojen. Zdobyć lauru zwycięstwa w imię szlachetnej rywalizacji było bowiem ważniejsze od chwały oręża na polu bitewnym. Wieniec wawrzynu zdobyty przez sportowca był równie ceniony jak laur poety – w naszym rozumieniu artysty.

Chwała wielkości sportowca przechodziła zarazem na twórcę jego przedstawienia. Dyskobol Myrona (V w. p.n.e.) jest bezimiennym gigantem swej dyscypliny. Harmonię kształtu i ruchu zawodnika wspomaga nieprześcigniona doskonałość rzeźbiarza. Około trzech, czterech wieków później, w rzeźbie rodyjskich artystów, dramatyczna walka trojańskiego kapłana Laokona i jego synów z węzami znacznie mocniej eksponuje piękno ekstremalnej walki. Piękno już nie majestatyczne, ale zdaje się konwulsyjne, bliższe etosowi współczesnego zapaśnika (wg Pliniusza byli to twórcy ze szkoły pergamońskiej: Agesandros, Polidoros i Atenodoros).

O motywach sportowych możemy mówić zresztą nie tylko w sztukach pięknych. Należy wspomnieć o obecności wielkiej sztuki w miejscu kultu związanym ze sportową rywalizacją. W świątyni olimpijskiej znajdował się monumentalny, osmiokrotnie większy od wzrostu dorosłego człowieka pomnik Zeusa, dłuta Fidiasza, wykonany ze złota i kości słoniowej, uznany za jeden z siedmiu cudów świata. Powstał około V w. p.n.e., nie dochował się do czasów dzisiejszych. Natomiast architektura hipodromów, amfiteatrów czy rzymskich term, gdzie również znajdowały się obiekty sportowo-rekreacyjne (np. baseny), jest pierwowzorem obecnych stadionów. Użytkowość tych miejsc w starożytnym Rzymie idzie

w parze ze stylowym pięknem architektonicznych elementów: rytmami łuków i kolumn, filarów oraz właściwymi ich proporcjami.

Podział na widownię i na arenę był zarazem granicą różnych celów i oczekiwań. Publiczność rzymskich amfiteatrów w oczekiwaniu silnych emocji żądała ofiary krwi od gladiatorów. Na obrazie XIX-wiecznego artysty G. Courbeta widzimy ich bój o życie. Wzajemnie splątani w morderczej walce są jednak samotni wobec widowni. Ukazują prawdę sportowej rywalizacji. Wygrywają za sprawą własnych możliwości, niezależnie od wiatów widzów. Choć szczęścia w zwycięstwie nie można lekceważyć, cnota męstwa i wytrwałości w drodze do sukcesu sportowego może być alegorią ludzkiego losu w tradycji przedstawiania sportowych zmagania. W obrazach renesansowych Herkules na rozstaju dróg, mityczny bohater z maczugą w ręku, otoczony jest personifikacjami cnoty i przyjemności. W obrazie A. Carraci'ego pierwsza wskazuje mu drogę trudną, wyboistą, na końcu której znajduje się świetlany cel: skrzydlaty koń – Pegasus; druga zaś kusi do życia łatwego, przyjemnego, gdzie – o ironio – znaleźć można symbole uprawianych sztuk: muzyki, poezji, teatru.

W obrazach wieków średnich i renesansu ubrani w zbroje nieustraszonego rycerza: św. Michała, walczącego z diabłem o ludzką duszę, i św. Jerzego, zmagającego się ze smakiem, są wspomnieniami mitycznych bohaterów. W malarstwie tablicowym i miniaturowym odnajdujemy model dzielnego rycerza, sceny z rycerskich turniejów i pojedynków. W Niderlandach w obrazach H. Boscha – „działania siłowe”: wymyślne tortury na Sądzie Ostatecznym stają się przestrogą, przypomnieniem nieuchronnego losu naszej doczesności.

U Rafaela czy Tintoretta bezwzględność walki św. Jerzego, uzbrojonego w miecz i dzidę, może być dla współczesnych prototypem szermierzy, bokserów, karatek czy mistrzów amerykańskiego *wrestlingu*. Zmaganie się ze smakiem to zawody typu *mortal combat*. W ikonograficznych ujęciach krew leje się tu strumieniem, ryk pokonanego potwora oznajmia porażkę sił nieczystych.

Sąd Ostateczny Michała Anioła z Kaplicy Sykstyńskiej posiada swą dramaturgię za sprawą potężnej postaci Chrystusa. Gestem umiśnionej ręki Syn Boży strąca do piekieł grzeszników. Umieszczeni po lewicy, wprowadzeni w ruch spadania w piekielną otchłań, jak również ci – po prawicy, wznoszący się w górę, dopuszczeni do niebiańskiej wieczności, prezentują nadzwyczajną fizyczną tężyznę. Prorocy, Sibille, osoby biblijne, nadzy młodzieńcy z pozostałych fresków kaplicy, jak również postacie – alegorie czasu z Kaplicy Medyceusz w Florencji, to potężni giganci o atletycznych proporcjach. Niewolnicy wyzwajający się z więzów są siłaczami ponad miarę, godnymi projektu nagrobka papieża Juliusza II w Rzymie, przedstawionego pod postacią marsowego Mojżesza. Niedokończone rzeźby z Akademii Florenckiej (w przeciwieństwie do wypracowanych z Luwru) są metaforą zmagania się z oporną materią, z losem. Widzimy jak forma i struktura dzieła stają się środkiem szczególnego ekspresyjnego wyrazu, ekwiwalentem rzeczywistej akcji, czy fizycznej przemiany.

Spektakl śmierci na arenie corridy, triumf lub przegrana toreadora, ofiarę byka, z nakazu człowieka obciążonego ciemną stroną istnienia, widzimy w cyklu grafik *Tauromachia* F. Goi. Atmosferą bliskie są emocjom sportowych widowisk. Choć walka toczy się tu z bykiem na piasku areny, zachowania tłumu powyżej, na widowni, zbliżone są w wymowie do graficznych przedstawień zawartych w *Okropnościach wojny*. Dotknięty politycznymi okolicznościami hiszpański artysta ukazuje nam drastyczne „zawody ludzkiego zwyrodnienia” towarzyszące każdej wojnie i przemocy.

W dziełach sztuki napotykamy przedstawienia sportowych sprawności jako naturalny ślad akceptacji i umiłowania codziennego życia. W protestanckiej, XVII-wiecznej Holandii malarze ukazują zabawy na lodzie, jazdę na sankach i ślizgi łyżwiarzy, z których część to początki hokeja. W tych rodzajowych przedstawieniach wyczuwamy sielską atmosferę zabawy i rekreacji, której szczególną afirmację zobaczymy na obrazach rokokowych salonów, gdy damy załotnie pokazują swe wdzięki na huśtawkach, a panowie

– swój rycerski heroizm, demonstrowany bardziej tanecznymi i zabawowymi skłonnościami.

Z czasem, na przełomie XVIII i XIX w., aktywność sportowa staje się częścią zrytualizowanego życia towarzyskiego. W twórczości M. Gieryskiego mamy przykłady polowań, łączących w sobie umiejętności strzeleckie i konne gonitwy. Motywy rekreacji i sportowego wypoczynku to częste tematy obrazów impresjonistów i postimpresjonistów. Odważne kompozycyjnie konne wyścigi ukazuje E. Degas. Zakochane pary wioślują w łodziach, w świetle barwnych refleksów u C. Moneta. Plażujący i kąpiący się w niedzielę na wyspie Grand-Jatte na przedmieściach Paryża stają się pretekstem do malarskich poszukiwań w pointylistycznych obrazach G. Seurata. L. Wyczółkowski poświęca uwagę również graczom w krykieta, nacisk kładąc na chromatyczne kontrasty, wyrażające ulotność chwili. Motyw szpadzisty wykorzystuje L. Chwistek do formistycznych eksperymentów w przedstawieniu symultanicznego i dynamicznego ruchu.

W krzewieniu kultury fizycznej w XX w. szczególnie rolę odegrały pierwsze nowożytnie igrzyska olimpijskie w 1896 r. Należy przypomnieć, że w Polsce połowy XIX w. przyczyniła się do tego m.in. organizacja towarzystw gimnastycznych „Sokół” (pierwsze towarzystwo założone było we Lwowie w 1867 r.). Rozwój nauk przyrodniczych na przełomie XVIII i XIX w. oraz nowe środki transportu sprzyjały rozwojowi turystyki i krajoznawczym wycieczkom. Często były to peregrynacje szlakiem narodowych pamiątek, zabytków określonych regionów. Wytyczanie górskich szlaków w Tatrach czy zainteresowanie

Huculszczyną zbiegło się z młodopolskimi zainteresowaniami rodzimym pejzażem, miejscami malowniczymi i barwnymi kulturowo. Krajoznawcze motywy malarzy tego okresu powstawały w dużym stopniu dzięki plenerowym wypadom, wielogodzinnym wędrówkom o różnych porach dnia i roku. „Bycie w terenie” zainspirowało pejzażowe i rodzajowe obrazy A. Kotsisa, J. Stanisławskiego, F. Pautscha, T. Axentowicza, W. Jarockiego i K. Sichulskiego.

Motywy sportowe nie były tylko obrazowaniem ludycznych potrzeb, ukazywaniem szlachetnej rywalizacji i bezinteresownej walki. Wysiłek oraz sportowy kunszt bywał w dużym stopniu obciążony ideologią systemu politycznego, oczekiwaniami sprawujących władzę. W XX-wiecznych ideologiach totalitarnych, gloryfikacja siły i ciężyny staje się częścią propagandy kształtowania systemu opartego na indoktrynacji i przemocy. Stylizacje doskonałego modelu człowieka, młodego i silnego, „właściwej rasy”, zgodnego z założeniami nazizmu, w filmach Leni Riefenstahl: *Triumf woli* (1933) czy *Olimpiada* (1939) przypominają kanon greckich herosów i olimpijczyków. Przodownicy pracy, traktorzystki, pływaczki, biegaczki, ukazane na obrazach doby socrealizmu w sztuce polskiej czy radzieckiej, wyrażają podobny rys ikonograficzny. Monumentalny realizm, czasem geometryzacja lub hieratyzacja formy, estetyzacja koloru – sprzyjać tu mają ukazaniu tego, co wzniosłe, pozornie doskonałe, w zasadach konstrukcji kanoniczne i niezmiennie.

Romuald Oramus

Szczesny Wroński

Poeta, prozaik, aktor, reżyser, animator kultury.
 W latach 1980–1981 prezes Koła Młodych KO
 ZLP. W latach 1981–1985 asystent reżysera,
 współpracownik literacki i artystyczny, kierownik
 studia aktorskiego w krakowskim Teatrze STU.
 Współtwórca – wraz ze Zbigniewem Zagajewskim
 – Warsztatów teatru magicznego (1989–1995).
 Twórca działającego od 1996 r. (w ramach
 Stowarzyszenia Dialog) Teatru Promocji Poezji,
 realizującego spotkania z cyklu „Rozmawiajmy
 wierszami” oraz turnieje czytania własnego wiersza.
 Autor zbiorów poetyckich: *Nadzieja matka głupich*
 (1980), *Przenikanie* (1997), oraz powieści: *Praktyki* (1984), *Potwór nieopisany*
 (1999). *Wolna miłość* (I nagroda w ogólnopolskim konkursie im. M. Reja z Nagłowic,
 2000 r.). Publikował w prasie literackiej, m.in. w: „Życiu Literackim”, „Studencie”,
 „Przemianach”, „Ikarze”, „Trwaniu”, „Suplemencie”, „Miesięczniku Kraków”.
 Od marca 2005 r. jest prezesem Krakowskiego Oddziału Związku Literatów Polskich



Fot. M. Kania

* * *

mam skórę wieloryba
 obrastam mułem doświadczenia
 zwisają ze starej sterty pudry
 koniki na biegunach wózki
 inwalidzkie szczęki zasuszone listki
 ławki szkolne pocałunki lusterka
 połykane jak pigułki przed snem
 wygniecione ortaliony szeleszczą
 sukienka z satyny uda ukochanej
 otwierają się na zawsze palce
 w rozkurczu miłosnym świecące oczy
 [fosforyzująco
 garby przyszłych obowiązków i inne zajady

ale płynę płynę W przód płaskim nosem
 [wieloryba
 w oceanie wrażeń i zatrzęsnięć
 każdy zatrzask to maleńki haczyk

pana boga zagadki co na górze
 szkieletów wielorybich z wędką
 odpowiedzi Tak

czekam tak z oczami złożonymi w mętnej
 [wodzie

albo płynę nie czekając
 z pompy pragnień wydmuchuję słupy wody
 darmo Skrzące Tęczą w Słońcu
 jestem mechanizmem niezwykle
 [skomplikowanym

nie potrafię naprawić zdechłych pomp
 pragnienia umierają brak tęczy
 pali brak rąk nóg pod skórą

ale płynę płynę wieloryb uśmiechnięty
 (w morzu łyzy nie mają sensu)
 nieforemna pulsująca trumna
 w czekaniu swego harpunnika
 opieram się nawałnicom ryb

rekinów pazury szlifują mnie na
[głębokościach
pożeram błyszczący plankton Obrastam
w sztylety pantofle Nadzieje
o chwiejnych ramionach wiecznie żywej
[meduzy

czasem ciała dziewcząt siadają mi na wargach
liżę je miękkim nadzwyczaj delikatnym
[jęzorem
potem strącam lekko do planktonowego
[ścieku

Debiut prasowy, „Życie Literackie” 1977

* * *

pies bez ulubionej
kości

orangutan z zawiązanymi
rękami

kosmonauta w nowym skafandrze

wszyscy

Z debiutu książkowego *Nadzieja matka głupich*,
Kraków 1980

Zaklinanie zebra

wciąż powracam do pierwszej dziewczyny
którą w zagłębieniu wzgórza wielbiłem
pod krzakiem dzikiej róży

to nie żadna kalkomania lecz wzgórze
[Wzgórze
krzak Krzak dla mnie gorejący jak obojętność
mijającego mnie chrapąszcza

twoje wyłuskane spod bluzki piersi
rozkołysały we mnie nocy moc
A jeszcze wczoraj podkładałem nogi
[przechodzącym
dziewczynkom

teraz składam głowę u twoich stóp szepcząc
[depcz mnie miła
otwórz wejść w to miejsce
zębrem się stań

2005

Małgorzata Lebda

Wiersze



Studentka drugiego roku Informatyki Naukowej i Bibliotekoznawstwa Akademii Pedagogicznej. Laureatka III miejsca XII edycji konkursu poezji „O Złoty Kalamarz i Złamane Pióro” za wiersz spółka. Związana z licznymi grupami poetyckimi działającymi na terenie Krakowa

Gosha

przed użyciem kilkakrotnie
spojrzeć w oczy
właściwości i działania:

przeciwdepresyjne
rozweselające
przy czym działanie
rozpoczyna się
już po dotknięciu
i utrzymuje beczasem

przeciwwskazania:
osoby z ortostatycznymi
zaburzeniami krążenia

uwagi:

nie stosować równocześnie
z blondynkami i innymi kobietami
może to wywołać powikłania
i uszczerbek na zdrowiu

data produkcji:

widnieje na dołączonym
dowodzie

dawkowanie:

zwykle raz na dobę
lub co drugi dzień
przed posiłkami
w zależności od stanu pacjenta
jeśli konieczne szybkie działanie
celowe jest zwiększenie dawki
w razie powikłań zgłosić
niezwłocznie Bogu

przechowywać w miejscu
nieдоступnym
dla innych mężczyzn

brak danych o przeciwwskazaniach
do prowadzenia
pojazdów mechanicznych
i obsługi maszyn

spółka

dusza & spółka
usługi budowlane
solidne ciała
ściany utwardzane
powietrzem

Debiuty

dodatkowa warstwa
stepowego wiatru

okna przeszklone lodem

naturalnie naturalne oświetlenie
100 woltowym
żukiem

trwałe solidnością
gwarancji

polecane po śmierci
na przyszłość

zapas

nasuszyłam anioły
jak znalazł na zimowy kompot

skandyzowałam modlitwy
słoikami zniebieszczonej próżni
beczki za puste na Nic

idę nakopać Boga

zadzień

zadzień zakończę
poniedziałkiem
w zaponiedziałek
wdziergam
odwtorkowany środą
czwartek

w niedzieli potopię
smutki popiątkowej soboty

wieczorem
poranka coś powiem
rok wieczności
wiosłując
w gęstych styksach
chrzcielniczej wody

zatygodniem chwili
się zbudzę

Wojciech Wiercioch

Szkice o aforystyce (2)

Pochwała aforyzmu

Metodą prób i błędów ludzie zdobywali wiedzę o świecie – o tym, które owoce są jadalne, które rośliny są trujące, a które posiadają właściwości lecznicze. Przez długie bolesne doświadczenia odkrywali granice między tym, co dobre a co złe. Wzbogacali swoje wiadomości i umiejętności – i przekazywali je swoim dzieciom. Najpierw były to jednostkowe, szczegółowe, nieuporządkowane informacje – później wiązano je w twierdzenia ogólne, bardziej abstrakcyjne (metoda indukcyjna). Żeby ten przekaz międzygeneracyjny mógł być skuteczny (a więc pozbawiony deformacji) – pouczenia i dyrektywy prakseologiczne zawierano w formie przysłów i porzekadeł – a więc w atrakcyjnej formie ułatwiającej zapamiętanie (wykorzystywano rytm, rym i inne techniki mnemotechniczne). Transfer międzypokoleniowy tych nauk odbywał się drogą ustną.

Wynalezienie pisma stanowiło przełom kulturowy, mentalny, duchowy. Zaczęła się wykształcać elita intelektualna (mędrcy, kapłani, władcy, wysocy urzędnicy państwowi, nauczyciele mądrości, pisarze, szamani, prorocy). Zaczęto tworzyć literaturę dydaktyczną i mądrościową (sapienціальną). Forma starszych nauk była stosunkowo prosta (rady, pouczenia, nakazy, zakazy); z czasem właściwe nauki wzbogacono elementami rozbudowanych porad, stanowiących rodzaj barwnych ilustracji do pouczeń.

Pisma dydaktyczne i mądrościowe, których istotnymi elementami były przysłowia i aforyzmy, stanowiły podwaliny filozofii – całościowego systemu wiedzy o ludzkiej egzystencji.

Redukcjonizm naukowy (*vide*: scjentyzm) sprawia, że poszczególne segmenty ludzkiej wiedzy stwarzają własną terminologię i tracą ze sobą kontakt. Suma potężnej liczby informacji o świecie, nauka zamknięta w poszczególnych dyscyplinach – to nie jest mądrość – to jeszcze nie umiejętność zrozumienia złożoności współczesnego życia. Potrzebna jest więc interdyscyplinarność – twórcza synteza.

Warto się zastanowić, jak w kreatywny sposób inspirować się odkryciami starożytnych mędrców. Nowych, twórczych dróg poszukuje ezoteryka i antropozofia (*vide*: R. Steiner), postmodernizm i egzystencjalizm (*vide*: M. Bierdiajew), memetyka i cybernetyka (*vide*: J. Trąbka). Również aforystyka proponuje swoje metody i postulaty. Aforyzm, wyrażając odkrywcze treści w oryginalnej formie, łączy sztukę z filozofią i mistykę z informatyką, pozwala dotrzeć do ukrytych sfer rzeczywistości i zrozumieć tajemnicę człowieka.

„Istnieją dwie, ząbione, ale nie identyczne, historie aforyzmu. Termin pojawia się w starożytności jako tytuł – *aphorismoi* – zbioru reguł medycznych wchodzących w skład *Corpus Hippocraticum*. Znaczy tyle, co <<określenie granic>>, <<oddzielenie>>, <<definicja>>. Przejęli go w późniejszych wiekach autorzy spisujący rezultaty dociekań z zakresu astronomii, fizyki, polityki, etyki, teologii. Ale aforyzm nie służył tylko wiedzy i pragmatyce życiowej, próbował również wyrazić niewyraźne. Dla autorów średniowiecznych, później Pascala czy Simone Weil – okazał się doskonałą formą zapisu doświadcze-

nia mistycznego. Te dwa sprzeczne dążenia stale przypominają, że aforyzm bierze swój początek w błogosławionej epoce przedspecjalizacyjnej, nim z religii wyłoniła się filozofia, a z niej nauki szczegółowe i literatura. Nawet aforyzm współczesny, w tym aforyzm Leca, zanurzony w pospolitości i dotkliwej detaliczności dnia codziennego, ale pozbawiony ostrożności filozofii, pedanterii nauki i dogmatyczności religii, zachowuje zdolność docierania jednym skokiem do pierwotnej pełni znaczenia” (Lidia Kośka).

Kierkegaard twierdził, że paradoks jest dla myśliciela źródłem namiętności – a myśliciel pozbawiony paradoksu jest jak kochanek bez uczucia; jest lichą miernotą.

Najwyższym paradoksem jest próba odkrycia czegoś, czego myśl nie może pojąć. „Tam gdzie zawodzi logiczne dowodzenie, obiektywizująca systematyzacja, tam rozciąga się królestwo aforystryki, tam zaczyna krzewić się paradoks. To, co jest prawdziwie nowe, ma często w sobie coś paradoksalnego” (Cezary Rowiński). Aforysta – korzystający z siły i sugestywności paradoksu – posiada umiejętność odkrywania nowych aspektów bytu oraz przedstawiania tych odkryć w nowatorski sposób (synteza treści i formy). Paradoks jest bowiem twierdzeniem niezgodnym z ogólnie przyjętymi mniemaniami, negującym to, co oczywiste, stawiającym pod znakiem zapytania powszechnie uznaną prawdę. Jest więc paradoks sposobem na uwolnienie się od myślowych szablonów i językowych stereotypów.

Socjologia posługuje się pojęciem „kalka” (*cliché*), które odnosi się do pewnych sposobów (schematów) myślenia lub upraszczającego opisu rzeczywistości. Kalka – to odwołanie się do stereotypów i autostereotypów funkcjonujących w obrębie danej zbiorowości. Uproszczony obraz struktury społecznej wykorzystywany jest w różnych ideologiach do mobilizacji społecznej i dokonania zmiany. Z tego względu kalki stanowić mogą dogodne narzędzie manipulacji „*Cliché* funkcjonuje przez maskowanie jakiegoś stanu rzeczy. To zaś jest równoznaczne z fałszerstwem o tyle, o ile maskuje się jakiś stan rzeczy spodziewając się, że ujawnienie go nie doprowadziłoby do wyboru zgodnego z zamysłami

osoby posługującej się *cliché*” (J. P. Stern). Tego typu manipulacja występuje często w sferze języka propagandy politycznej oraz reklamy.

Aforyzm może stanowić remedium na te przypadłości i choroby społeczne. Aforysta – posługując się paradoksem, prowokacją artystyczną, eksperymentem psychologicznym – może dokonać szokującej dekonstrukcji schematów myślenia, mówienia i działania. To może służyć wykształcaniu w odbiorcach postawy otwartości, krytycyzmu, docieklivosti. Tego typu intelektualna przekora daje do myślenia, zmusza do weryfikacji wiedzy narzuconej społecznie, wyrabia postawę sceptyczną, nieufną wobec uproszczonych sądów i szablonowych nawyków. Więcej: ta przewrotność heurystyczna nie tylko sprawdza i wzbogaca wiedzę, lecz również trwale rozwija zdolności poznawcze. Jest to terapia szokowa (dekonstrukcja, deautomatyzacja, dezintegracja pozytywna). Do tej metody można również zaliczyć gry słów (*vide*: gry językowe wg Wittgensteina), ironiczną sokratejską technikę nauczania i dyskursu filozoficznego oraz paradoksalną poetykę i paralogikę aforyzmów.

Mirosław Karwat pisze: „Paradoks jest szczególnie płodną metodą poznawczą. Zakłada bowiem podważanie opinii obiegowych, potocznego (zdroworozsądkowego lub zabobonnego) poczucia oczywistości, wymusza weryfikację utrwalonych – nadmiernych i uproszczonych uogólnień, naukowych i pseudonaukowych oraz religijnych dogmatów i schematów ideologicznych. Formuły pozornie tylko żartobliwie przewrotne i przekorne okazują się odkrywcze, gdyż nie tylko burzą (podobnie jak ironia sokratejska) „pewność”; ale ujawniają przy tym niedostrzegane wcześniej zależności między zjawiskami, prawidłowości”.

Metoda aforystyczna – to jedna z dróg dochodzenia do prawdy, wyzwiania się z krainy cieni (*vide*: alegoria jaskini u Platona), z labiryntu złudzeń i urojeń. Aforyzm wprowadza nie odsłania gotowej prawdy, ale w jednym przeblasku pozwala ująć pewien jej – dotychczas niedostrzegany – aspekt. „Aforyzm jest nie tyle ideą, co nagłym skokiem: myśl, która staje się zbyt ciężka, w końcu wymyka się myślicielowi”

(Richard Schaukal). Tak rodzi się iluminacja, *satyry* – gwałtowna zmiana stanu ducha. Struktury czynnościowe mózgu (*vide*: Antoni Kępiński), które uprzednio zostały zdeintegrowane, nagle przekształcają się, stwarzając nowy, oryginalny układ. Konsekwencją tego oświecenia (objawienia) jest bardziej przenikliwy wgląd w rzeczywistość – a w rezultacie: odmienny, bardziej kreatywny sposób postrzegania rzeczywistości wewnętrznej i zewnętrznej.

„Jeśli aforyzm rodzi się nagle, jakby w nagłym olśnieniu, to jednak takie olśnienie nawiedza człowieka tylko wtedy, gdy ma poza sobą długie chwile medytacji i refleksji, gdy poprzedzają je wieloletnie doświadczenia. W tym sensie aforyzm przypomina górę lodową, której niewielka część wystaje ponad wodami oceanu. S. J. Lec podkreślał, że aby wyłoniła się myśl w formie aforyzmu, potrzebna jest wielowiekowa tradycja. Pisał on: „Pytasz się, piękna pani, jak długo legną się moje myśli. Sześć tysięcy lat, o uroczą”. „Prawdziwe, wielkie aforyzmy, o ponadczasowej ważności wzrastają w pracy odwiecznej mądrości, w twórczości indywidualnej nabierają ciała w swojej najwyższej formie werbalnej” – wyjaśnia Cezary Rowiński.

Sentencje (maksymy, aforyzmy) zawierają idee, które wypływają z dwóch źródeł. Są idee wyrastające z odkrywczej obserwacji rzeczywistości społecznej, z odkrywania tego, co jest kamuflowane przez mechanizmy obronne osobowości oraz inne techniki samooszukiwania się (np. ukryte intencje i motywy). Są także idee, które rodzą się z obserwacji języka. A dopiero później są konfrontowane z obiektywną prawdą i rzutowane w przestrzeń interpersonalną.

Pomiędzy światem a językiem istnieje współzależność: rzeczywistość kształtuje język – język kreuje rzeczywistość. Fakt jest istnieniem stanów rzeczy, a zdanie (wyrażające pewną myśl) jest obrazem logicznej struktury faktów (Wittgenstein I). Jednak zdanie pojęte jako odbicie rzeczywistości komunikuje coś dopiero wtedy, gdy umieszczone jest w pewnej grze językowej (Wittgenstein II). „Pojęcie gry językowej łączy w sobie język z aktywnością, w której wyrażenie jest uwikłany. Każda gra językowa (tzn. każdy

społecznie ukształtowany i akceptowany sposób mówienia) należy do jakiegoś sposobu życia, pojętego jako faktyczny, kulturowo i przyrodniczo uwarunkowany sposób zachowania się ludzi, który nie podlega uzasadnieniu” (Andrzej Przyłębski). Racjonalność ma więc sens jedynie w kontekście danej gry językowej...

Gra słów jest często tylko niewinną zabawą na usługach salonowej konwersacji, ale może być również narzędziem mędrca. Aforystyka – operująca grą słów, będąca kontynuacją starożytniej tradycji mądrości – jest terenem twórczej egzystencji mędrca, który jawi się jako oponent filozofa akademickiego (*vide*: konsekwencje i rygory, jakie akademizm filozoficzny narzuca myśleniu).

Karl Kraus (mistrz Karola Irzykowskiego, który był mistrzem Stefana Kisielewskiego, który jest moim mistrzem) pisał: „Gra słów, godna pogardy sama w sobie, może być na usługach artystycznego zamiaru najszlachetniejszym instrumentem, który przedstawia duchową ideę w skrócie. Można spiętrzyć w jednym epigramacie całą krytykę społeczeństwa”. Metodę Krausa tak pojmował Max Horkheimer: „Demaskował społeczeństwo za pomocą języka. W porównaniu z jego analizami języka, narzędzia oficjalnej socjologii są toporne i nieudolne. Nauki, jakie socjologia języka może znaleźć u Krausa, są niewyczerpane”.

Komizm (humor i satyra) pełni nie tylko funkcje rozrywkowe, psychoterapeutyczne czy propagandowe (wychowawcze, marketingowe). Istotna jest również jego funkcja poznawcza: daje do myślenia, rozwija krytycyzm i przenikliwość umysłu. Dowcip aforysty – to patrzenie na świat poprzez demistyfikujące deformacje krzywego zwierciadła (*vide*: *Po drugiej stronie lustra*). „Autentyczny aforysta prowadzi podjazdową walkę z tym, co banalne, głupie, zarozumiałe, nadęte; odsłania kłamstwa i absurdy ideologii oraz propagandy. Wojna ta prowadzona jest poprzez język i w materiale języka. Artysta czerpie z bogatego arsenału środków językowych: gra słów, eksploatowanie wieloznaczności na niespodziewanych płaszczyznach, igranie semantycznymi konotacjami, pokazywanie drugiego dna

utartych komunałów. Czasami proste odwrócenie truizmu daje aforyzm o zastanawiającej głębi znaczeń” – Cezary Rowiński: „Humor, nie będąc dla aforysty celem samym w sobie, staje się nieodłącznym składnikiem poznawczej gry toczącej się między człowiekiem, językiem i ludzką rzeczywistością. Dlatego autentyczny aforysta jest nie tylko obserwatorem człowieka, społeczeństwa, świata, ale przede wszystkim obserwatorem języka swoich czasów, języka, którym posługuje się jego otoczenie”.

Umberto Eco (wielbiciel aforystyki Krausa, Wilde’a i Leca) przekonuje, że „aforyzm występuje gwałtownie przeciwko opinii potocznej” lub przynajmniej próbuje „zgłębić kwestię, która w potocznej opinii wydaje się zbyt powierzchowna, i ją pogрузić”. Jednak ten włoski pisarz, publicysta, estetyk i semiolog ostrzega nas przed twórczością pseudoaforystów – kalamburzystów, którzy w błyskotliwy sposób wyrażają oklepne frazesy i „taśmowo” produkują aforyzmy zrakowaciące: „Aforyzm rakowaty jest nośnikiem prawdy zaledwie częściowej, i często, kiedy podda się już zrakowaceni, ujawnia, że żadna z obu proponowanych perspektyw nie jest prawdziwa: wydawała się prawdziwa tylko dlatego, że aforyzm był dowcipny”.

Mass media są środowiskiem, które nas otacza – i które wywiera na nas wpływ (choć często sobie tego nie uświadamiamy). Warto więc wsłuchać się w to, co mówi do nas Herbert Marschal McLuhan – a wypowiada się on stylem aforystycznym, powołując się na sentencję F. Bacona: „Wiedza zawarta w aforyzmach i obserwacjach... jest rozwojem”. Aforystyczna technika umożliwia bowiem przedstawienie kilku poziomów świadomości jednocześnie. Wczytajmy się w myśli myśliciela: „Pasywny odbiorca pragnie gotowych opakowań, ale ci – mówi Bacon – którym zależy na nabywaniu wiedzy i poszukiwaniu przyczyn, wolą aforyzmy po prostu dlatego, że są one niekompletne i wymagają pełnego zaangażowania”.

McLuhan twierdzi, że forma przekazu (komunikatu, informacji) jest także jego treścią. Z tego wynika, że każda treść ma swoją najbardziej optymalną formę – dlatego istnieją takie treści, które mogą zostać wyrażone jedynie

w określonej formie. Wobec tego istnieją treści, które może wyrazić jedynie aforyzm. Tak więc ignorowanie tego gatunku literackiego deformuje i redukuje naszą rzeczywistość.

Środowisko społeczne – wypełnione informacjami – możemy zrozumieć tylko poprzez odwołanie się do antyśrodowiska, tak jak język rozumiemy lepiej poprzez kontrast z antyjęzykiem (np. język obcy, język urzędowy, język artystyczny). „Artysta wytwarza dla nas antyśrodowiska, dzięki którym możemy zobaczyć środowisko” (McLuhan). W świecie rozwlekłości i gadaniny (*vide*: M. Heidegger) zwiąży styl aforyzmu może być lekarstwem duchowym. Rozumny irracjonalizm aforyzmu (*vide*: H. Elzenberg) – połączenie racjonalności z intuicją – może wnieść stosowną dawkę wiary i sceptycyzmu w nasz chaotyczny, niespójny świat.

Memetyka jest dziedziną integrującą wiedzę o przepływie, przetwarzaniu i przetrwaniu informacji. Mem jest podstawową jednostką transmisji kulturowej; jest analogiczną do genu porcją informacji, która wpływając na przebieg określonych wydarzeń, przyczynia się do powstania swoich kopii w umysłach innych ludzi. Interakcja, replikacja i transformacja memów – to podstawowe mechanizmy transmisji kulturowej.

Skrzydlate słowa są jednym z rodzajów memów, które – przechodząc z ust do ust i z pokolenia na pokolenie – wywołują mody intelektualne, a nawet swego rodzaju epidemie semantyczne. O tym, czy dana fraza stanie się skrzydlatym słowem, decyduje nie zawsze jej wartość ideowa, intelektualna czy artystyczna. O tym, by daną wypowiedź zakwalifikować jako skrzydlate słowo, decyduje wyłącznie rozpowszechnienie i powtarzalność użycia. Paradoksalnie, literackie aforyzmy, o głębokiej treści i wyrafinowanej formie, w mniejszym niż można by przypuszczać stopniu, stają się skrzydlatymi słowami. „Fruwający mem” posiada bowiem właściwości zbliżone do sloganu propagandowego (w reklamie czy polityce): musi być krótki, dowcipny, oryginalny – ale jednocześnie na tyle prosty i oczywisty, by mógł trafić do mas... w przeciwieństwie do subtelного aforyzmu, który apeluje do elity intelektualnej.

Henryk Markiewicz i Andrzej Romanowski piszą, że nazwa „skrzydlate słowa” (pochodząca z *Iliady* i *Odysei*) – to „metafora szybkości, z jaką słowa przenoszą się z ust mówiącego do uszu słuchającego”. Owe „latające cytaty” można scharakteryzować jako „rozpowszechnione i często przytaczane wypowiedzenia, których autorstwo lub pochodzenie można ustalić”. Kryterium to odróżnia je więc od anonimowych przysłów, wyrażań, zwrotów i sloganów (*vide*: graffiti).

O głębi myślowej i sprawności warsztatowej pisarza decyduje umiejętność syntetycznego myślenia i lapidarnego wyrażania swoich przemyśleń. „Cechą wielkich umysłów jest wyrazić wiele w kilku słowach, tak jak cechą umysłów miernych jest w wielu słowach nie powiedzieć nic” (La Rochefoucauld). „Zwięzłość słowa daje głębię myśli” (Jean Paul).

Z powyższych przesłanek wynika konkluzja, którą ciekawie i dobitnie wyraził Jan Miodek: „miarą merytorycznej wielkości i atrakcyjności stylistycznej właściwie każdego wytworu językowego – wiersza, powieści, wykładu, kazania, jakiegokolwiek przemówienia – jest stopień nasycenia go konstrukcjami o charakterze aforyzmów. Większość innych wypowiedzianych słów nieuchronnie przecież ulatuje z pamięci, one – pozostają na dłużej, często na zawsze, wpisując się w rejestr skrzydlatych słów”.

O trwałości i sile oddziaływania tego gatunku literackiego pisał również Fryderyk Nietzsche: „Dobra sentencja jest za twarda na ząb czasu, nie pożra jej tysiące lat, choć zawsze służy za pokarm”. „Dobry aforyzm nie zużywa się przez stulecia, służąc umysłom wszystkich epok”.

Niekiedy aforyzm zostaje odseparowany od tekstu, którego integralną część stanowił – niekiedy zaś ma miejsce sytuacja odwrotna: sentencja czy maksyma, która żyła własnym, odizolowanym życiem, zostaje wkomponowana w dłuższy tekst, zrastając się z nim bardzo ściśle... niczym przeszczepiony narząd.

„Czasem zastanawiam się, ile aforyzmów powstało w dziejach gatunku *homo sapiens*. Sądzę, że kilka milionów. Wiele z nich przetrwało w społecznej pamięci, stając się przysłowiami czy powtarzаныmi przez pokolenia maksymami”

– Andrzej Wiszniewski: „A sporo aforyzmów zostało zagubionych lub zapomnianych, by czasem po wielu latach pojawić się ponownie, często już pod nazwiskiem innego autora. Zresztą, niemało aforyzmów powstaje jako <<produkt uboczny>> przemówień, tekstów literackich czy artykułów prasowych. I dopiero potem, niekiedy bez wiedzy autorów, zaczynają żyć własnym życiem”.

Aforyzmy wzbudzają śmiech, skłaniają do zadumy i refleksji, stymulują celność i oryginalność patrzenia na świat. Obok tych funkcji teoretycznych – pełnią też rolę pragmatyczną. Potwierdza to praktyka prof. Wiszniewskiego: „Dla mnie, zawodowo zajmującego się układaniem, a niekiedy wygłaszaniem przemówień, aforyzmy bywają wręcz narzędziem pracy. Uważam, że nic tak nie ubarwia publicznego wystąpienia, jak zacytowanie dowcipnego i stosownego aforyzmu. Nic tak nie trafia do wyobraźni słuchaczy, jak refleksyjna nutka zamknięta w jednym aforystycznym zdaniu. Bowiem cytowany przez mówcę aforyzm można porównać do punktowego reflektora, oświetlającego jakąś część ciemnej sceny teatralnej. Oczywiście, nie wyraża on całej prawdy, tak jak reflektor nie rozświetla całej sceny. Skupia wzrok widzów na małym, oświetlonym krążku, tym bardziej kontrastującym z otaczającym go mrokiem. Ten kontrast może wyolbrzymiać proporcje, może tworzyć złudzenia, ale zawsze zmusza do zwrócenia uwagi na oświetlony fragment, który w przeciwnym razie ginąłby w masie dekoracji. To może być postać wielkiego artysty, albo jeden z rekwizytów, który, choć zrobiony z papieru, w tym oświetleniu zdaje się być szczerym złotem. Doprawdy, potęga aforyzmu jako figury retorycznej jest ogromna. Słuchacze często zapominają treść przemówienia, a wypowiedziany aforyzm może stać się dla mówcy przepustką do historii”.

Również prof. Miodek zwraca uwagę na perswazyjną moc tych retorycznych perełek: „szczerze polecam aforyzmy wszystkim mówcom. Uczyniwszy z nich oś konstrukcyjną takich czy innych rozważań, dochodzi się na ogół do wytworów myśli odznaczających się mocą prawd systemowych, uniwersalnych”.

Stanisław Mika, wybitny psycholog społeczny, przedstawił oryginalną koncepcję: „Jednym z pierwszych podejść do pracy nad sobą jest podejście, które nazwałem aforystycznym. Aforyzm określa się zwykle jako krótkie zdanie zawierające pewną interesującą myśl ogólną, która może się odnosić do jakiegokolwiek interesującej autora sprawy. Najczęściej aforyzmy są poświęcone szeroko rozumianym problemom humanistycznym, a w tym humanistycznej wiedzy o człowieku, i dlatego można wśród nich znaleźć takie, które mniej lub bardziej bezpośrednio odnoszą się do problematyki pracy nad sobą czy samodoskonalenia. Bywają również aforyzmy niezwykle długie, jak to ma miejsce chociażby u Schopenhauera, kiedy to jeden aforyzm zajmuje wiele stron i bynajmniej nie ogranicza się do jednego zdania. Tak więc podejście aforystyczne charakteryzuje się tym, że autor w dość ogólny sposób wygłasza opinie dotyczące natury człowieka, celów, do których powinien on dążyć lub dąży, cech, które powinien mieć lub ma, a niekiedy – niestety rzadko – sposobów kształtowania tych cech. Poznanie tego rodzaju opinii może, w jakimś stopniu, przyczynić się do prowadzenia pracy nad sobą i właśnie dlatego warto poświęcić im nieco uwagi, mimo że język aforyzmów może się współczesnemu czytelnikowi wydawać nieco przestarzały”.

Do takiej pracy samokształceniowej można wykorzystać np. myśli i aforyzmy Antoniego Kępińskiego, wybitnego polskiego psychiatry. Metoda aforystyczna znajduje zastosowanie również w terapii paradoksalnej: „Metody paradoksalne szybko awansowały do pozycji jednego z najważniejszych podejść w terapii rodzinnej i psychoterapii ostatnich lat. Jest ono niezwykle atrakcyjne, gdyż stanowi formę terapii krótkoterminowej, podczas której zmiany zachodzą niemal jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Prawdę mówiąc, pionierzy tego podejścia czasami przedstawiani są jako cudotwórcy” (Gerald R. Weeks). Jako pierwszy techniki paradoksalne opisał i zastosował – zainspirowany aforyzmami Nietzschego – Alfred Adler. Uważał on myślenie dialektyczne za *modus operandi* swojej psychologii. Także Victor Frankl – twórca logoterapii

– wykorzystywał technikę paradoksalnego zamiaru. Stwierdził, że kontekst humorystyczny stanowi najważniejszy czynnik umożliwiający pacjentowi nabranie dystansu do własnego neurotycznego stanu.

O zastosowaniach aforystyki w psychologii pisze również Zbigniew Pietrasiński: „La Rochefoucauld wyrażał swe spostrzeżenia w postaci aforyzmów pełnych głębokiej treści. Ich błyskotliwa forma wiele zawdzięcza zamiłowaniu francuskiej arystokracji owych czasów do salonowych konwersacji skrzących się polotem i do aforyzmu jako formy wyrazu. Wydane przez La Rochefoucauld w 1665 r. *Maksymy* zyskały popularność i stały się swego rodzaju podręcznikiem skondensowanej wiedzy o tajnikach psychiki i błędach samowiedzy ludzi, których obserwował; i nie tylko ich”. „Mądrość nie musi iść w parze z formułowaniem spostrzeżeń w takiej obfitości i w tak jędrnej formie, jak to obserwujemy u wybitnych myślicieli i aforystów. Czy nie jest wszakże tak, że jednym z przejawów mądrości jest dokonywanie nadprzeciętnie trafnych uogólnień na podstawie niepełnej wiedzy? Uogólnień, które dają lepszą orientację w rzeczywistości, a traktowane z sokratejską ostrożnością – są podatne na modyfikacje lub nawet odrzucenie... Mogą też służyć za hipotezy pomocne w obserwacji sceny życia”.

Także socjologia znajduje zastosowanie dla aforyzmu. Osiągnięcie iluminacji (ośnienia, ekstazy) jest możliwe na drodze wykraczania poza uznawane za oczywiste, rutynowe procedury społeczne (dystans roli) – poprzez wykorzystywanie paradoksów i gier językowych. Peter L. Berger twierdzi, że „pewne rodzaje treningu intelektualnego i pewne typy aktywności mogą prowadzić do ekstazy”.

Jan Szczepański, znany polski socjolog, zastanawia się, w czym tkwi siła oddziaływania aforystyki: „Na czym polega urok tej literatury? Nie przynosi ona bowiem usystematyzowanych wywodów o mądrości ludzkiej, o życiu przez mądrość kierowanym, o sprawach ludzkich spiętrzających się w dramaty. Ale każdy aforyzm jest jakby esejem czy nawet traktatem skondensowanym w jednym lub kilku zdaniach. Każdy z nich stawia problem, formułuje go w sposób

wywołujący pewne napięcie, wynikające czy to z otwarcia niespodziewanych perspektyw, czy wywołania nieoczekiwanych skojarzeń, zawiera intelektualne czy emocjonalne <<uderzenie>>, żeby na koniec rozładować napięcie zaskakującym olśnieniem. We wszystkich tych elementach składowych aforyzmu przejawia się mądrość operująca na krawędzi ryzyka logicznego. Ale mądrość wyrażona w aforyzmach nie jest wiedzą naukową, nie jest też informacją o faktach. Rozgrywa się w innym, bardziej abstrakcyjnym wymiarze intelektualnym. O nią upomina się T. S. Eliot w pytaniu-sentencji: <<Gdzież jest nasza mądrość, utracona na rzecz wiedzy; gdzież nasza wiedza, utracona na rzecz informacji?>>”.

Filozofia nie może być czystym racjonalizmem (*vide*: B. Pascal) – a logika nie powinna być jej jedynym instrumentem; również instynkt, intuicja, imaginacja biorą udział w poznawaniu prawdy. Nie tylko intelekt rozwikłuje zagadki rzeczywistości: człowiek – jako całość – stwarza światopogląd. „W twórczości filozoficznej biorą udział wszystkie siły duchowe człowieka, pełne napięcie całego ducha do wyrwania się ku sensowi świata, ku wolności świata” – M. Biediajew: „W poznaniu filozoficznym wyrwa się na wolność twórcza intuicja. Twórcza intuicja w filozofii, jak i w sztuce, nie jest samowolą. Nie można jednak dowierzać każdej intuicji. Przecież i w sztuce twórczość nie jest samowolą” (por. H. Bergson).

Poznanie filozoficzne musi posiadać komponentę emocjonalną. Autentyczny filozof jest człowiekiem zakochanym (nieraz aż do szaleństwa) – bo filozofia jest miłością, umiłowaniem prawdy.

Mądrość (oraz ezoteryka i mistyka) jest syntezą doświadczenia i refleksji. Mędrcy przedstawiają treść swojego wtajemniczenia w formie wniosków, których często nie da się udowodnić, gdyż pojawiają się w stanie olśnienia (iluminacji), gdyż sumują one to, co racjonalne i irracjonalne, rozumowe i uczuciowe (połączenie pamięci, wyobraźni, intuicji, fantazji). Mistyka i ezoteryka (szamanizm, magia, gnoza, alchemia, parapsychologia) są próbami dotarcia do tego, co ukryte, transcendentne. Można

je sprowadzić do etapów procesu twórczego: 1) preparacja (racjonalny, świadomy wysiłek); 2) inkubacja (relaks, kontemplacja, aktywność odmienna od prac przygotowawczych pierwszej fazy); 3) iluminacja (olśnienie, oświecenie, objawienie, satori, ekstaza twórcza, nagłe rozwiązanie postawionego problemu teoretycznego lub praktycznego, emergencja, transgresja); 4) weryfikacja (sprawdzenie sensowności i prawdziwości odkrycia, twórczej koncepcji).

Rezultatów tak intensywnego procesu twórczego nie można wyrazić w języku logicznym, dyskursywnym, jasnym, jednoznacznym. Nie powinno więc dziwić, że wielu adeptów nauk tajemnych korzystało z formy paradoksu, aforyzmu. Przykłady: Kohelet, Lao-tse, mistrzowie zen, Mistrz Eckhart, święty Jan od Krzyża, święty Ignacy Loyola, Böhme, Swedenborg, Blake, Angelus Silesius, Edyta Stein, Simone Weil, Thomas Merton, Rudolf Steiner.

Również autentyczni filozofowie – a nie akademicy niewolnicy redukcjonizmu i scjentyzmu – byli aforystami: Heraklit z Efezu, Marek Aureliusz, Seneka, Franciszek Bacon, Blaise Pascal, Artur Schopenhauer, Fryderyk Nietzsche, Søren Kierkegaard, Mikołaj Biediajew, Ludwig Wittgenstein, Stanisław Ignacy Witkiewicz, Henryk Elzenberg.

Blaise Pascal ustalił trzy podstawowe cechy poetyki fragmentu – stylu aforystycznego: maksyma powinna być krótka (zmusza do precyzji), symetryczna (skłania autora do wyczerpania tematu) i skonstrastowana (zachęca do samokrytycyzmu). „Połączenie tych trzech zasad stwarza efekty perspektywy, wiru, zawrotu, które prowadzą umysł w górę i sprawiają, że zaczyna się myśleć poprzez tekst, a nie w obrębie tekstu” (Jacques Attali).

Mikołaj Biediajew świadomie kształtował – w opozycji do dyskursywnego stylu uprawiania filozofii – swoje myślenie intuicyjne i aforystyczne. W jego genialnej *Autobiografii filozoficznej* czytamy takie wyznanie: „Moja maniera pisanja jest aforystyczna, chociaż ta właściwa mi forma nie jest dostatecznie wypracowana i nie jest konsekwentna. Aforyzm jest według mnie mikrokosmosem myśli, w nim, w skróto-

formie, obecna jest cała moja filozofia, dla której nie istnieje nic cząstkowego i odrębnego. Jest to filozofia konkretno-integralna”.

Aforyzm – posługując się paradoksem, grą słów, żartem językowym – przynosi nie tylko doznania ludyczno-estetyczne, ale i wielką satysfakcję intelektualną. Stanowi więc skuteczny instrument autentycznej, twórczej filozofii. „Czyż ks. prof. Józef Tischner zrębów swego systemu etyczno-historiozoficznego nie zbudował z najcelniejszych, aforystycznych wypowiedzi Cypriana Kamila Norwida? Czyż myślenie z głębi metafory nie było źródłem całej Tischnerowej działalności naukowej i duszpasterskiej? A czy myślenie z głębi metafory – zapytajmy teraz uogólniająco – nie stanowi istoty aforyzmu? A że myślenie z głębi metafory do istoty bytu sięga, odślaniając to, co w codziennej ludzkiej komunikacji jest niezauważalne, możemy – trawestując Martina Heideggera – powiedzieć, że aforyzm, pisany językiem istoty, do istoty języka i bytu prowadzi” (Jan Miodek).

Aforyzm, mimo bardzo długiej tradycji, jest gatunkiem nowoczesnym – a nawet... ponowoczesnym.

Aforystyka XXI wieku kształtowana jest przez różne kierunki artystyczne i koncepcje filozoficzne. Żyjemy (czy tego chcemy... czy nie; czy sobie to uświadamiamy... czy nie) w epoce postmodernistycznej. Postmodernizm jest zjawiskiem kulturowym (formacja plus postawa), będącym specyficzną reakcją na kult nowoczesności – i wywierającym wpływ na sposoby myślenia i działania, na style życia, na różnorodność form i języków wyrazu. Jak każdy nowy nurt w kulturze – wyzwala mody intelektualne i artystyczne.

Jakie relacje łączą postmodernizm z aforystyką? Różne... Niezbędny jest dystans czasowy, by opisać i ocenić współdeterminowanie się różnych zjawisk kulturowych. Zostawmy więc ten problem historykom literatury, filozofii, kultury... Zastanówmy się, czy postmodernizm może być inspiracją dla współczesnego aforysty...

Postmodernizm głosi konieczność dekonstrukcji schematycznych sposobów myślenia, pisanie i działania. Dekonstrukcja (*vide*: J. Derrida) jest metodą mającą na celu zanegowanie

i rozbicie dotychczasowych konstrukcji teoretycznych, stereotypowych interpretacji ludzkich działań. Dekonstrukcjonizm – to kierunek filozoficzny pragnący dokonać dekonstrukcji pojęć i koncepcji filozoficznych. Efektem ma być podważenie podstawowych „humanistycznych mitów”. Dekonstrukcja jest atakiem na istotę filozofii akademickiej i wyrasta z dążenia do traktowania filozofii jako specyficznej „gry językowej”.

Dekonstrukcja posługuje się paradoksem i paralogizmem (w destrukcji schematów myślenia) oraz ironią, parodią, pastiszem, kolażem, iluzją (w rozbijaniu tradycyjnych form sztuki). Rysuje się więc interesująca analogia pomiędzy aforystycznym dezintegracjonizmem a postmodernistycznym dekonstrukcjonizmem.

Aforyzmy są „subtelną zabawą intelektualną, sprawiającą wrażenie obcowania z głęboką mądrością. Zaskakują paradoksalnymi rozwiązaniami dramatów ludzkich w kilku zdaniach” – Jan Szczepański: „Aforyzmy mienią się pięknymi słowami, budzą różne skojarzenia, jakby wskazywały wiele pokładów rzeczywistości schodzących w nieokreśloną głębię. Dlatego chyba ludzie układają aforyzmy – dla zabawy nad tymi głębiąmi, dla jej możliwości sugerowania skojarzeń i nastrojów w sposób nieobowiązujący, poza kontrolą metod rygorystycznych – czy to naukowych, czy filozoficznych, zawsze przyjmowanej przez czytelników z wdzięcznością. Aforyzm jest wieloznaczny. Stosuje się do wielu zróżnicowanych sytuacji życiowych, daje rozwiązania inne niż filozoficzne i naukowe, pozwalające na różne interpretacje, uderzające silnie sugestywnym sformułowaniem myśli, możliwością wywoływania zadumy. Czytelnik maksymalnie sam sobie może odpowiadać, znajdować w nich usprawiedliwienie dla siebie i swoich poczynań, czy dla swojej beczynności. Autor nie jest kontrolowany przez nikogo. Jego aforyzm może być na granicy nonsensu, jeżeli jest dowcipny, ironiczny i zawierający zaskakujące zestawienia wyobrażeń. Jest to twórczość operująca mądrością przechodzącą na teren, gdzie logika nauki jest bezsilna”.

Czytanie aforyzmów rozszerza horyzonty, pogłębia skalę doznań. Pisanie aforyzmów jest

jeszcze bardziej inspirującym doświadczeniem egzystencjalnym. „Wydaje się, że taka twórczość jest swoistym odcinaniem się od rzeczywistości, jest próbą połączenia intelektualnego wysiłku skierowanego ku zrozumieniu jakichś zjawisk z ironicznym stosunkiem i do tych zjawisk, i do własnego umysłu, i odślonięciem niemożności wytłumaczenia – paradoksalnym sformułowaniem”.

Na zakończenie mojej pochwały aforyzmu postawię taką (kontrowersyjną?) tezę: **AFORYZM BĘDZIE GATUNKIEM LITERACKIM XXI WIEKU!** Dlaczego? Niezwykłą atrakcyjność i siłę oddziaływania zawdzięcza aforyzm następującym cechom: zwięzłość, zwartość, uniwersalność, wieloznaczność, paradoksalność, oryginalność, humor, właściwości mnemotechniczne. Aforyzm jest formą czarującą i czarodziejską (*vide*: magia myśli, alchemia słowa, hipnotyczność oddziaływania) – aktywną wobec tworzywa językowego i krytyczną wobec stereotypowego obrazu świata.

Aforyzmy są instrumentem lingwistyczno-logicznym, umożliwiającym postrzeganie świata jako gry sprzeczności i przeciwieństw, pozwalającym na ujmowanie rzeczywistości w formie dialektycznych spięć i przewartościowań. Aforyzmy są zwięzłym i wyszukany sposóbem posługiwania się subiektywnością (*vide*: S. Kierkegaard), dowcipem (*vide*: H. Bergson), intuicją (*vide*: C. G. Jung), paradoksem i antytezą. „Ich ranga nabiera szczególnej mocy w cywilizacji współczesnej – dosłownie przysgniecionej lawiną słów miałkich, głupich, powierzchownych, w społeczeństwach – ciągle bombardowanych takim natłokiem informacji, że coraz trudniej o ich rozsądną, funkcjonalną i co najważniejsze – aksjologiczną selekcję. Aforyzm przywraca wartość wartościom, bo nierozmyte w potoku zbędnej gadaniny – w jego zwartej formie jaśniej one światłem samej prawdy. Jest wreszcie aforyzm idealnym gatunkiem piśmienniczym na obecne czasy wiecznego pośpiechu, rozpędzenia, migotliwości zjawisk otaczającej nas rzeczywistości. Dlatego i ja – człowiek zabiegany, zanurzony w to wszystko, co cywilizację współczesną stanowi – głoszę z coraz większym przekonaniem

pochwałę aforyzmu, upatrując w nim ten gatunek literacki, który się oprze ekspansji przekazu obrazkowego” – promuje Jan Miodek.

Wiek XXI będzie wiekiem informacji – więcej: będzie wiekiem zalewu informacji, pełnym szumu informacyjnego i semantycznego bełkotu. Internet (multimedia) stanie się terenem walki – zapanuje „darwinizm” informacyjny: przetrwają najlepiej przystosowane memy (w klasycznym darwinizmie i socjologii konkurują ze sobą geny). Nowe formy przesyłania informacji (e-mail, SMS) będą preferowały zwięzłość, przewrotność, dowcip, oryginalność (analogia: aforyzmy – skompresowane pliki). Słuszność postawionej przeze mnie tezy zdają się potwierdzać wyniki najnowszych (i nieco starszych) badań: filozofia (Bergson, Biediajew, Wittgenstein, Derrida, Elzenberg, Tischner), ezoteryka (Gurdziejew, Steiner, Trąbka), teologia (Wojtyła, Twardowski, Życiński), socjologia (Mika, Szczepański), psychologia (Pietrasiński, Koziński), psychiatria (Jung, Adler, Frankl, Kępiński, Dąbrowski), cybernetyka i teoria chaosu (Trąbka), językoznawstwo (Mioddek, Markiewicz, Pisarek), paremiologia (Bystron, Krzyżanowski), marketing i reklama (Bralczyk, Głowiński), traktowana interdyscyplinarnie teoria komizmu (Bergson, Bystron, Dziemidok, Witwicki).

Sens każdego aforyzmu jest sumą nonsensów, które stanowią o życiu. „Czasy ruchliwe i pragnące ożywionej nowości lubują się w aforyzmach. Stąd Nietzsche i moderna” (Robert Musil). A ponieważ żyjemy w czasach pełnych absurdu, niejasności, pośpiechu, rywalizacji, w świecie przewartościowań i dekonstrukcji, informacyjnego chaosu i semantycznego wrzasku – tylko w aforyzmie znajdziemy... Co? Szukajcie – a znajdziecie!

Aforyzm najbłyszkościej i najprecyzyjniej opisuje życie; bo życie – jak aforyzm – jest krótkie i wieloznaczne, pełne antytez i paradoksów.

Wojciech Wiercioch

Józef Sowa

Ku dobrej, nowoczesnej szkole



W dzisiejszym świecie proces kształcenia winien polegać nie na pamięciowym przyswajaniu wiedzy, lecz na rozumieniu. Bardziej niż kiedykolwiek potrzebne są umiejętności odnajdywania informacji, ich selekcji, doboru i kojarzenia, a także autonomia myśli. Warto zatem zapytać, czy szkoła polska jest przygotowana do tej nowej roli, w czasach, kiedy ogromna wiedza jest dostępna w mgnieniu oka, dzięki zastosowaniu informatyki? Pytanie to rodzi następne: czy trzeba bezwzględnie wymagać od uczniów, by zapamiętali informacje, które szybko ulegną dezaktualizacji, i czy – w związku z tym – nie lepiej uczyć ich oceniania i wartościowania informacji i zjawisk?

Determinanty procesu edukacyjnego dzieci i młodzieży

Cele edukacji na szczeblu podstawowym długo pozostawały niezbyt skomplikowane: nauczyć czytać, pisać, liczyć oraz wpoić podstawowe kanony wiedzy humanistycznej, przyrodniczej i obywatelskiej. Od początku XXI w. cele te znacznie się zmieniły, lecz szkoła nie zawsze umie przystosować się do postępującej ewolucji. Wobec zalewu wiadomości programy wszystkich przedmiotów były przeładowane, a uczniowie przeciążeni. W rezultacie ci ostatni niepotrzebnie gromadzili wiadomości zamiast nauczyć się myślenia.

Najpoważniejszy zarzut wobec szkolnych pro-

gramów odnosi się do ich encyklopedyczności. Zawierają one setki pojęć, które uczeń powinien zapamiętać, ale nie wyjaśniają mu związków przyczynowo-skutkowych. Tę ułomność systemu oświatowego próbuje usunąć rozpoczęta przez resort edukacji reforma programowa. Programy nowej szkoły mają kłaść nacisk nie tylko na wiadomości, ale i na umiejętności i sprawności posługiwania się nimi. Nie można wtłaczać samych faktów, ale raczej nauczać ich selekcjonowania i oceniania. Również dzisiejszy podział na przedmioty szkolne jest już archaiczny i odzwierciedla podział na dyscypliny akademickie. Tymczasem poruszanie się w świecie na co dzień wymaga łączenia wiedzy z różnych dziedzin – a więc integracji. Jeszcze nie tak dawno nauczyciel był jedynym dawcą wiedzy – objaśniał,

a uczniowie słuchali i zapisywali. Teraz musi uczniów zaciekać, wejść z nimi w kontakt – dialog edukacyjny, zmienić metody pracy na aktywne, wychodzić naprzeciw ich potrzebom, a nie tylko wymagać posłuchu i układności.

Zasadniczym problemem dzisiejszej edukacji jest zjawisko nadmiernego uprzedmiotowienia dzieci i młodzieży w systemie szkolnym. Problem ten dotyczy nie tylko uczniów, ale i nauczycieli. Ubezwłasnowolnienie i ograniczenie swobody nauczyciela to zaszłość z mijającej epoki. Tkwią one jeszcze w samej strukturze systemu oświatowego i tworzą niepotrzebne ograniczenia dla jego samodzielności. Przyczyny tego zniewolenia tkwią m.in. w samej konstrukcji programów szkolnych. Ograniczenie wolności w działaniu powoduje bowiem redukcję poczucia odpowiedzialności. Rozumienie wyboru jako elementu proponowanej w reformie strategii pedagogicznej nie może być jednak spłycone.

Sytuacja wyboru nie była eksponowana w pedagogice XIX i XX w., ponieważ obowiązywał wówczas schemat, w którym wychowujący był podmiotem, a uczeń przedmiotem decyzji. Antropologia współczesna wie doskonale, że jednym z istotnych atrybutów dojrzałości człowieka jest zdolność do odpowiedzialnego podejmowania decyzji, czyli dokonywania określonych wyborów, i że w umiejętność tę trzeba dziecko wprowadzać stopniowo, już od bardzo wczesnego wieku. Pora więc, żeby nasze szkoły zaczęły naprawdę, a nie tylko deklaratywnie, uwzględniać w swej pracy to zagadnienie.

Modernizacja koncepcji kształcenia ogólnego

Dotychczasowe przeładowanie naszych programów szkolnych ma swoje źródło w tradycyjnym sposobie rozumienia, czym jest kształcenie ogólne. Dzisiaj, choćby najbardziej ogólne streszczenie w programie szkolnym tego, co osiągnęło poznanie naukowe, jest już zwyczajnie niemożliwe. Zatem kształcenie ogólne musi zaprzestać beznadziejnego pościgu za postępem

wiedzy naukowej i przestawić się na proponowanie uczniom takiego wyboru wiedzy, który pozwoli współczesnemu człowiekowi osiągnąć zdolność do korzystania z dorobku współczesnej cywilizacji.

Nowy program powszechnego kształcenia ogólnego musi stać się programem edukacyjnego wyposażenia młodego człowieka na dalsze życie. Ogólny regres współczesnej szkoły jest niewątpliwie pochodną przerostu funkcji dydaktycznej nad innymi funkcjami. Poprawa wychowawczej i dydaktycznej funkcji szkoły nie nastąpi więc, jeśli nie uwolni się jej od nadmiaru zadań dy-

Nasz system oświatowy nie może „produkować” raz na zawsze ekonomistów, informatyków, inżynierów czy przyrodników. Musi kształcić ludzi otwartych na potrzeby nowoczesnej gospodarki – umiających się stale do niej przystosowywać

daktycznych. Dzisiejszy nauczyciel najczęściej zamiast uczyć, realizuje program nauczania. Ta powierzchowność, a niekiedy pozorność szkolnych działań, nie pozostaje bez wpływu na uczniów, którzy też w nich uczestniczą. Dlatego odrodzenie wychowania i nauczania szkolnego zależy od tego, czy uda się zlikwidować przeładowanie programów.

Według już częściowo wdrażanych, nowych założeń, nauczyciele mają możliwość wyboru programów oraz podręczników. Programy zatwierdzone do użytku szkolnego będą musiały zawierać treści określone przez Ministra Edukacji Narodowej w dokumencie pt. *Podstawy programowe obowiązkowych przedmiotów ogólnokształcących*. Treści te autor każdego programu będzie mógł uzupełnić i zakomponować zgodnie ze swoją koncepcją nauczania przedmiotu. Zestaw programów przedstawionych nauczycielom będzie stale otwarty, co pozwoli sukcesywnie wzbogacać państwową ofertę programową. Dzięki temu będzie to system znacznie bardziej sprzyjający rozwojowi twórczości w dziedzinie programów nauczania. Odejście od centralistycznego decydowania o programach nauczania i równocześnie stworzenie warunków do większej różnorodności

w tej dziedzinie było i jest postulowane przez wiele środowisk edukacyjnych.

Specjaliści od organizacji rynku pracy mówią, że w nowoczesnej gospodarce trzeba się stale dokształcać. Twierdzą nawet, że uczący się dziś młody człowiek może w swoim życiu nawet trzykrotnie zmienić zawód. Świat idzie bardzo szybko do przodu i nie wolno nam pozostawać w tyle, gdyż jest wiele do nadrobienia.

Dlatego nasz system oświatowy nie może „produkować” raz na zawsze ekonomistów, informatyków, inżynierów czy przyrodników. Musi kształcić ludzi otwartych na potrzeby nowoczesnej gospodarki – umiejących się stale do niej przystosowywać. Absolwenci powinni wyciągać ze szkół porcję wiedzy i zasób niezbędnych umiejętności w jakiejś grupie zawodów (tzw. kształcenie szerokoprofilowe). Przede wszystkim zaś powinni wynieść umiejętność ciągłego dokształcania się.

Uogólnienie – cele kształcenia

W nowej koncepcji programów nauczania zasadniczym celem kształcenia ma być wspomaganie i ukierunkowanie rozwoju dzieci i młodzieży jako jednostek funkcjonujących w wybranym przez siebie systemie wartości, zdolnych do życia w ramach różnego rodzaju grup społecznych (tzw. „małych Ojczyzn”).

W kształceniu ogólnym chodzi więc o rozwój człowieczeństwa, a nie tylko o rozwój cech instrumentalnych – w szczególności sprawności intelektualnej.

Najistotniejsza zmiana we wdrażanej reformie polegać ma na tym, że w nowej koncepcji kształcenia ogólnego już nie wiedza naukowa, ale uczeń, jako człowiek w procesie rozwoju, ma stać się zasadniczym punktem odniesienia przy konstruowaniu programu i doborze treści kształcenia. Zmiana ta pozwala uwolnić się, przy układaniu programu kształcenia ogólnego, od uwarunkowań i rygorów, jakie narzuca swoisty systematyczny i uporządkowany sposób naukowego opisu świata. Umożliwia ona prawidłowy dobór informacji szczegółowych, zarówno ze względu na ich ogólną ilość, jak i z punktu widzenia ich merytorycznej przydatności w kształ-

ceniu ucznia jako człowieka – osoby.

W zmienionej koncepcji kształcenia ogólnego wiadomości i umiejętności, które muszą zdobywać uczniowie, powinny zostać wybrane według innych niż dotąd kryteriów i znacznie bardziej selektywnie koncentrować uwagę uczniów wokół czterech głównych zadań rozwojowych, przed którymi staje każdy młody człowiek przygotowujący się do samodzielnego i odpowiedzialnego życia.

Nowe kształcenie ogólne powinno zatem zaoferować uczniom na różnych poziomach edukacji przede wszystkim te informacje, umiejętności oraz sprawności, w oparciu o które będą oni potrafili: odnajdywać harmonię i równowagę wewnętrzną (żyć w zgodzie z samym sobą) czy współistnieć w naturalnym związku z przyrodniczym środowiskiem w skali mikro i makro (zamiast dotychczas dominującej postawy rabunkowej w procesie eksploatacji zasobów naturalnych ziemi). Równocześnie istotne jest, by mogli efektywnie współdziałać w ramach różnego rodzaju grup i wspólnot w skali środowiska lokalnego i regionalnego (w rodzinie, szkole, miejscu pracy, zamieszkania i społeczeństwie), ale też korzystać z zasobów informacyjnych naszej cywilizacji w skali makro (docierać bez przeszkód do potrzebnych informacji).

W tej perspektywie programowo-organizacyjnej reformy oświatowej rozwój fizyczny, intelektualny i moralno-społeczny oraz wrastanie w dziedzictwo kultury narodowej i ogólnowsiatkowej, są pierwszorzędnymi przesłankami realizacji zadań rozwojowych, wobec których stoi każdy uczeń teraz i w najbliższej przyszłości.

Na zakończenie należy odpowiedzieć na wcześniej postawione pytania: jaka ma być ta reformowana szkoła przyszłości, by pomagała uczniowi osiągnąć przyszłe cele? Po pierwsze – powinna dać kanon podstawowej rzetelnej wiedzy. Wiedza ta powinna być zintegrowana, a nie dzielona na poszczególne przedmioty. Po drugie – uczyć różnego stosowania posiadanych wiadomości. Zamiast podawać i egzekwować schematy, pokazywać jak można wyjść poza nie. Po trzecie – powinna nauczyć, jak samemu zdobyć wiedzę potrzebną w jakimś momencie

kariery szkolnej czy zawodowej. Przygotowywać do samodzielnego selekcjonowania informacji i opanowania nowych umiejętności. Po czwarte – powinna zaakceptować i wdrożyć nowoczesną technikę nauczania.

Szkoła polska, by sprostać wyzwaniu przełomu trzeciego tysiąclecia, musi nauczyć swoich uczniów jak się samodzielnie uczyć przy jej wsparciu i doradztwie.

Józef Sowa

Literatura

- R. J. Arends, *Uczymy się nauczać*, Warszawa 1994.
- K. Denek, *Wartości i cele edukacji szkolnej*, Poznań – Toruń 1994.
- K. Denek, *Ku dobrej edukacji*, Toruń – Leszno 2005.
- Gdy osobowość horyzontem wychowania* (red. J. Homplewicz), WSP, Rzeszów 1997.
- J. Homplewicz, *Aksjologiczne podstawy edukacji i jej reform*, [w:], *Dylematy przemian oświatowych* (red. A. Zajac), Rzeszów, T. 1, 1997.
- T. Lewowicki, *Przemiany oświaty. Szkice o ideach i praktyce edukacyjnej*, Warszawa 1994.
- T. Lewowicki, *Przemiany oświaty*, Warszawa 1995.
- T. Pilch, *Główne kierunki reform systemu edukacji w Polsce*, [w:] *Przemiany w edukacji* (red. A. Zajac), Przemysł 1995.
- Podstawy programowe obowiązkowych przedmiotów ogólnokształcących*. Załącznik do zarządzenia Ministra Edukacji Narodowej z dnia 15 maja 1997 r. (Dz. Urz. MEN Nr 5 prz. 23).
- Projekt zarządzania w sprawie zasad i warunków przeprowadzenia działalności innowacyjnej i eksperymentalnej przez szkoły i placówki publiczne* [Minister Edukacji Narodowej], Warszawa, 1997 (do dyskusji).
- S. Sławiński, *Raport o Reformie Szkolnej 1991–1993*, Warszawa 1994. (Informator).
- Standardy osiągnięć szkolnych* [Ministerstwo Edukacji Narodowej], Warszawa 1997 r. (Materiał do dyskusji).
- B. Śliwerski, *Reformowanie edukacji w toksycznym systemie oświatowym* [w:] *Dylematy przemian oświatowych* (red. A. Zajac), Rzeszów T. I, 1997.
- R. Towilson, *W poszukiwaniu istoty i sensu nauki szkolnej*, Szczecin 1995.

Najsłabsze ogniwo

Gra o przyszłość bibliotek szkolnych

*Prawdziwym wyzwaniem stojącym przed nami
nie jest nowa technologia
lecz odpowiedź jak jej używać*
Peter Drucker¹

Nie trzeba nikogo przekonywać, że nowe metody gromadzenia, opracowania i przekazywania informacji radykalnie zmieniają dotychczasowe sposoby kształcenia oraz funkcjonowania bibliotek wszystkich typów. Ta zmiana nie będzie polegała jedynie na zainstalowaniu nowych komputerów w bibliotekach i szkołach oraz podłączeniu ich do sieci – choć jest niewątpliwie warunkiem koniecznym do wszelkich dalszych działań modernizacyjnych

Dziś wiemy już, jakie są nowe zadania szkoły przygotowującej młodzież do sprawnego funkcjonowania w społeczeństwie, gdzie niezbędne są umiejętności komunikacyjne, informacyjne i informatyczne stosowane w procesie samokształcenia. Przypomnę – umiejętności, które nie powinny ograniczać się jedynie do znajomości technicznych sposobów obsługi urządzeń i programów komputerowych.

Tym celom służy reforma oświaty, a biblioteka szkolna może aktywnie je wspierać. Opracowano już kilka modeli funkcjonowania nowoczesnej, skomputeryzowanej biblioteki szkolnej, odbiegających od tradycyjnego wzoru zakurzonej

wypożyczalni lektur. Nowa wizja pojawia się w koncepcjach biblioteki szkolnej jako „centrum multimedialnego”, „szkolnego centrum informacji”, „centrum informacji multimedialnej i internetowej”. Wizje te łączy przekonanie, że biblioteka powinna stanowić ważny, centralny element szkoły, w którym będą świadczone usługi informacyjne, instruktażowe i dydaktyczne dla uczniów, nauczycieli i środowiska lokalnego.

W bibliotece, w odpowiednio przystosowanych pomieszczeniach (wyposażonych w minimum cztery komputery i projektor multimedialny), podczas godzin zapisanych w harmonogramach klas (nie po lekcjach czy

w czasie przerw) odbywałyby się zajęcia polegające na opracowaniu interdyscyplinarnych projektów pod kierunkiem nauczycieli przedmiotowych i bibliotekarza.

Aby szkolne centrum informacji mogło konkurować z innym placówkami oferującymi informacyjne usługi, musi być odpowiednio wyposażone; aranżacja przestrzeni i kolorystyka wnętrza powinna stwarzać przyjemny klimat oraz budzić chęć dłuższego tam przebywania.

W tych koncepcjach biblioteka jest warsztatem pracy ucznia. Przyjaznym miejscem, gdzie bibliotekarz udziela wskazówek, jak samodzielnie poszukiwać informacji i jak włączać je do indywidualnego systemu wiedzy.

Centrum informacji, dzięki atrakcyjnym zbiorom (nowych i drogiej książek, na które nie stać większości uczniów) oraz nowoczesnym komputerom, będzie mogło wyrównywać szanse młodzieży z uboższych rodzin i rozwijać umiejętności korzystania z technologii informacyjnych.

Do nowych zadań bibliotekarza należałoby: przygotowanie drukowanych i elektronicznych materiałów informacyjnych, krótkich instrukcji informujących o technikach pracy umysłowej, szybkiego czytania, notowania, zapamiętywania, pomoc uczniom w opracowaniu elektronicznej gazetki szkolnej, uczniowskiej części informacyjnego serwisu szkoły na stronach WWW oraz dostarczanie nauczycielom zestawień tematycznych i kopii dokumentów wykorzystywanych na lekcjach.

Nauczyciel-bibliotekarz w związku z wprowadzeniem nowych technologii ma również nowe zadania dydaktyczne do zrealizowania. Powinien nauczyć swoich czytelników racjonalnego korzystania z dokumentów i programów dostępnych w bibliotece i w internecie, zapoznać z zasadami skutecznej selekcji, gromadzenia i opracowania informacji do celów edukacyjnych oraz prowadzić zajęcia umożliwiające humanistyczną refleksję nad społecznymi, kulturowymi, psychologicznymi i historycznymi aspektami rewolucji informacyjnej. Dopiero tak szeroki zakres działań czyni z biblioteki centrum informacji, bo na pewno nie zmiana nazwy po zainstalowaniu dwóch komputerów.

Do takich właśnie prac przygotowani są studenci informacji naukowej i bibliotekoznawstwa, jednak najczęściej nie mają możliwości wykorzystania swojej wiedzy i umiejętności w bibliotekach szkolnych, które w nowych technologiach nie dostrzegają szansy przetrwania dla siebie i jak dinozaury narażają się na wyginięcie. Obserwujemy już niepokojące objawy tego procesu – poza bibliotekami tworzone są gminne centra informacji lub regionalne ośrodki informacji lokalnej i europejskiej w nowych lokalach, z przypadkową i najczęściej nieprofesjonalną kadrami.

Na pytania, dlaczego tak się dzieje i jak temu zaradzić, poszukiwano odpowiedzi na wielu konferencjach, sesjach, warsztatach², organizowanych przez Instytut Informacji Naukowej i Bibliotekoznawstwa Akademii Pedagogicznej. Prawdziwie „złota myśl”, że po pierwsze, po drugie i po ostatnie potrzebne są pieniądze, nie jest „jedynie słuszną” receptą na rozwiązanie tego złożonego problemu.

Dlaczego tak trudno osiągnąć sukces w przekształcaniu tradycyjnej wypożyczalni w nowoczesną bibliotekę szkolną?

O tym, że „nic nie jest tak trudne do rozpoczęcia, niebezpieczne do przeprowadzenia i niegwarantujące powodzenia jak wprowadzenie nowego porządku rzeczy”, przestrzegał niecierpliwych reformatorów autor *Księcia*, Niccolò Machiavelli.

Sukces można osiągnąć tylko wówczas, gdy zostanie spełniony zespół warunków – jak w przypadku sejfu otwieranego za pomocą szyfru, składającego się z długiej kombinacji cyfr i liter. Nie zależy to wyłącznie od zaangażowania i pasji, umiejętności organizacyjnych i informacyjnych samych bibliotekarzy, choć indywidualne motywacje odgrywają w tym procesie istotną rolę.

Zmianę, podobnie jak wykonanie każdego działania, należy zaplanować, podzielić na etapy. Istnieje już bogata wiedza na temat zarządzania zmianami – jednak polska rzeczywistość sprawia wrażenie, jakby nikt z decydentów o niej nie słyszał. Szczególnie dużo pretensji można mieć do władz oświatowych wszystkich

szczebli i władz samorządowych. Jakakolwiek zmiana nie dokonuje się samorzutnie; nie pomagają prośby, nawoływania i odwoływanie się do poczucia obowiązku i odpowiedzialności za przyszłe niepowodzenia czy trudności wychowanków polskiej szkoły.

Aby zmiana mogła się dokonać, konieczne jest pozytywne, czyli zwieńczone sukcesem, zakończenie kolejnych etapów jej wprowadzania, twierdzi John P. Kotter, autor wielu książek i artykułów poświęconych zarządzaniu zmianami³. Ten długotrwały i wymagający pieniędzy proces rozpoczyna zespołowo wypracowana diagnoza sytuacji, czyli zgodne stwierdzenie, że biblioteka w dotychczasowym kształcie dłużej funkcjonować nie powinna, że jej model, ukształtowany po wojnie i przystosowany do walki z analfabetyzmem, pomagający w społecznym awansie dzieciom robotników i chłopów, musi się zmienić. Aby przygotowywać młodzież do życia w nowym społeczeństwie informacyjnym, biblioteka musi być miejscem atrakcyjnym dla niej w pierwszej dekadzie XXI w.

Kolejny etap, który został już zakończony przy udziale teoretyków i praktyków informacji naukowej i bibliotekoznawstwa, to stworzenie wizji nowoczesnej biblioteki oraz jej upowszechnienie. Odbyna się to przez organizację konferencji naukowych, na łamach czasopism fachowych, w książkach, a także w tych informacjach, które umieszczane są w portalach edukacyjnych i na stronach instytutów. Jednak to nie wystarcza do zbudowania silnej koalicji na rzecz zmiany.

Na tym etapie konieczne jest lansowanie wizji w środkach masowego komunikowania (programy telewizyjne, artykuły w prasie wysokonakładowej, filmy instruktażowe i reportaże z wzorcowych placówek), ogłoszenie konkursów architektonicznych na projekt centrum informacyjnego szkoły, na najciekawsze formy pracy takich centrów, na książki o charakterze metodycznym, poradniki oraz przygotowanie kursów *online*.

Jak łatwo się domyślić, na takie działanie trzeba mieć pieniądze, a nie liczyć na to, że

„judymowie” i „siłaczki” zrobią wszystko za darmo, kosztem czasu wolnego oraz własnych pieniędzy.

Silna koalicja na rzecz zmiany to nie tylko nauczyciele-bibliotekarze entuzjaści i pasjonaci, ale również rodzice, dyrektorzy, grono pedagogiczne, a przede wszystkim przedstawiciele władz oświatowych i samorządowych, którzy właściwymi swoim urzędem metodami zechcą podjąć i wykonać konieczne zadania, czyli stworzyć impuls dla zmiany. Takim impulsem może być wprowadzenie w życie (poprzez wydanie odpowiednich rozporządzeń), opracowanych przez ośrodki akademickie i stowarzyszenia, standardów wyposażenia i funkcjonowania szkolnych centrów informacji. Standardy jako obowiązujące i egzekwowane systematycznie normy szybciej doprowadzą do pożądanych zmian niż życzenia, prośby i nawoływania. Umożliwią przydzielenie szkołom określonych kategorii w zależności od jakości informacyjnego warsztatu. Z kolei uzyskanie kategorii na podstawie zgodności ze standardami lub oceną parametryczno-punktową określi wysokość subwencji dla szkoły i nagród dla pracowników uczestniczących w procesie przemian.

Zdecydowanie korzystniejsze jest pozytywne motywowanie pracowników do działań poprzez nagradzanie szkoły, dyrektorów i bibliotekarzy za pokonanie kolejnego etapu modernizacji biblioteki niż jakiekolwiek formy restrykcji. Specjaliści od zarządzania zmianami twierdzą, że bardzo ważne na tym etapie jest zaplanowanie szybkich sukcesów, gdyż duży wysiłek zaangażowanych w zmianę osób musi jak najszybciej znaleźć jakąś formę gratyfikacji – musi dokonać się zwieńczenie, zamknięcie etapu. Wprowadzenie zmiany kończy jej instytucjonalizacja, czyli nadanie tym strukturom i procedurom ram przyjętych w danej organizacji.

Proces zmiany jest procesem społecznym i powinien przejść przez kolejne fazy – od zaangażowania się w zmianę, poprzez poradzenie sobie z trudnościami i naturalnym oporem przed zmianą, do rozwinięcia nowych kompetencji i przebudowy procedur. Nie możemy

również zapominać, że nauczyciele-bibliotekarze są podmiotem, a nie przedmiotem zmiany, która ma być przeprowadzona głównie dzięki ich staraniom.

Aby bibliotekarze mogli działać inaczej, muszą najpierw sami się zmienić, a jest to proces trudny i czasem bolesny. Musimy rezygnować z rutynowych zachowań, podjąć dodatkowy wysiłek, nauczyć się wykonywać nowe zadania, zwiększyć ofertę usług świadczonych szkolnemu środowisku.

Psychologiczne i socjologiczne źródła oporu wobec zmiany wskazywał znany i ceniony amerykański socjopsycholog Kurt Lewin. W swoich pracach dowodził, że w początkowym okresie większość z nas nie akceptuje zmian, gdyż nie identyfikuje się z nimi. Dla wielu osób to jedna z przyczyn oporu, działania wbrew lub biernego przeczekiwania, aż sprawy wrócą wreszcie do „normy”.

W kolejnej fazie minimalizujemy znaczenie zmiany, podważamy jej celowość, atakujemy lub ośmieszamy gorliwych. W fazie depresji godzimy się z faktami, lecz mocno to przeżywamy, spada nam nastrój, jesteśmy rozdrażnieni, zirytowani lub przygnębieni. Faza sprawdzania nowych możliwości, to okres, gdy ostrożnie badamy jak to „nowe” działa. Jeśli potrafimy trzeźwo analizować skutki i korzyści wynikające ze zmiany, nastąpi faza tworzenia swojej nowej strategii działania. W fazie inter-

nalizacji zmieniamy się wewnętrznie, pojawiają się nowe idee i postawy.

Te fazy następują jedna po drugiej i niezależnie od tego, czy chcemy zmienić swoje drobne przyzwyczajenia, czy przebudować polskie szkolnictwo, zawsze są trudne a nawet bolesne.

Sądzę, że przedstawione tu w ogromnym skrócie ustalenia specjalistów od zarządzania i organizacji pozwolą wyjaśnić postawy znanych bibliotekarzy i przyczyny wielu naszych niepowodzeń. Uważam, że młode pokolenie specjalistów do spraw informacji, nauczycieli i bibliotekarzy będzie potrafiło korzystać z istniejących już doświadczeń i wiedzy, przez co sprawniej niż moje pokolenie zrealizuje wszystkie ambitne zadania, jakie sobie wyznaczy.

Barbara Kamińska-Czubała

¹ P.F. Druker: *Spółeczeństwo pokapitalistyczne*, Warszawa 1999, s.158–170.

² H. Batorowska, B. Kamińska-Czubała: *Szkolne centrum informacji*. Kraków 2002; B. Kamińska-Czubała: *Motywacje w działalności informacyjnej* [W:] *Nauczanie ku przyszłości w szkolnym centrum informacji*. Kraków 2002; H. Batorowska: *Technologia informacyjna w kształceniu ogólnym*. Kraków 2001; B. Kamińska-Czubała: *Formy pracy szkolnego centrum informacji. Metoda projektu*. Dokument elektroniczny. Tryb dostępu: <http://biblioteka.ociizk.waw.pl/referaty/czubała/html>

³ J. P. Kotter: *Winning at Change. "Leader to Leader"* 1998, s.27–33. Dokument elektroniczny. Tryb dostępu: <http://leadertoleader.org/leaderbooks/L2L/fall98/kotter.html>

Język przekazu wizualnego

Elementem współczesnej edukacji jest koncepcja kształcenia multimedialnego zakładająca wykorzystanie mediów edukacyjnych. Główną zaletą takiego kształcenia jest wielozmysłowe i aktywizujące angażowanie ucznia w proces nauczania. Jest ono przekazem wielokodowym, w którym przepływ informacji odbywa się w wielu językach: symbolicznym (uwzględniającym komunikaty słowne i graficzne), obrazów wizualnych, słuchowych i audiowizualnych lub w języku działań (obejmującym media interaktywne)¹.

W tradycyjnej edukacji media były ilustracją treści werbalnie przekazywanych przez nauczyciela. Obecnie, w dobie technologicznych możliwości, celem edukacji medialnej jest przygotowanie do świadomego i krytycznego odbioru komunikatów medialnych. Przekaz informacji trafia bowiem do odbiorcy o określonych kompetencjach kulturowych. W zasadzie nic się tutaj nie zmieniło: najpierw trzeba kształtować osobowość i przygotowywać ją do odbioru treści. I jest to, tak jak przed laty, zadanie współczesnej edukacji.

Od najdawniejszych czasów informacja, będąca fundamentem więzi społecznej, odgrywała zasadniczą rolę w życiu wszystkich społeczeństw. Natomiast jej tworzenie, przetwarzanie i kontrolowanie należało do elity społecznej. Można

wyliczyć za T. Goban-Klasem: „kapłan, czarodziej, wódz, następnie mędrzec, filozof, retor, nauczyciel, to pierwsi przedstawiciele zawodów intelektualnych”². Komunikowanie międzyludzkie zawsze posługuje się pośrednikami. Bowiem swoje doznania, myśli i uczucia musimy najpierw zobiektywizować, dostosować do możliwości postrzegania innych ludzi. Najbardziej naturalną formą komunikowania pośredniego jest mowa, mimika, postawa ciała i wykorzystywane w tym celu środki naturalne, jak: głos, ręka, twarz. Cywilizacyjne wynalazki techniczne w dalszej kolejności stworzyły cały zasób środków ułatwiających komunikowanie międzyludzkie. Za ich pomocą można szybciej i dokładniej przekazać informacje (dźwięki mowy i muzyki, obrazy), bądź to wyprodukować nowe komunikaty (obraz, film, fotografia, holografia).

W tym szerokim aspekcie problemów chciałam zastanowić się nad tym, w jaki sposób przekaz obrazowy może oddziaływać na odbiorcę komunikatu. To obraz, będąc bardziej perswazyjny od słowa, stanowi priorytetowy element w komunikacji. Analiza jego roli w komunikacji międzykulturowej pozwoli na lepsze wzajemne zrozumienie, zwłaszcza w dobie wszechobecnej tzw. kultury obrazowej.

Autorka jest absolwentką Historii Szuki UJ, doktorantka w Katedrze Europeistyki Instytutu Studiów Regionalnych UJ, pracownik dydaktyczny AP w Pracowni Technologii Nauczania

Spółeczeństwo informacyjne, w którym media elektroniczne zmniejszają odległość między ludźmi, podając te same informacje w różnych częściach „globalnej wioski” (McLuhan), zmierza jednak w kierunku cywilizacji „trzeciej fali” (Toffler)³, gdzie ma nastąpić odmasowanie i decentralizacja. Ta swoista „globalizacja różnorodności”, dzięki informacji i wolności wyboru ułatwi porozumiewanie się i powszechne korzystanie z kultury. W wielojęzycznej Wieży Babel język obrazów, z całym swoim zapleczem ikonograficznym, ułatwi ludziom kontakty międzykulturowe.

Jednak komunikowanie się nie jest zjawiskiem prostym i jednoznacznym. W relacji między nadawcą i odbiorcą zachodzi wiele zjawisk uzależnionych od czynników kulturowych i emocjonalnych. Brak wiedzy u osoby odbierającej informację, wpływ środowiska kulturowego, w którym dokonuje się odbiór komunikatu oraz sama budowa obrazu (kodu) – to czynniki powodujące niejednoznaczne rozumienie tego samego przekazu.

Obraz może pomagać wzajemnemu rozumieniu. Dzieło sztuki zaraz po powstaniu jest częścią zbioru już istniejących dzieł, wytworzonych przez twórców pochodzących z konkretnego środowiska, regionu, społeczeństwa. Jeżeli zostanie uznane przez tę zbiorowość za reprezentatywne dla siebie, stanie się wówczas wytworem nawiązującym do ich tradycji kulturowej; może nawet wspierać dumę narodową, w zależności od siły poczucia tożsamości tej społeczności. W rzeczywistości jednak, tradycja narodowa, którą ma ono reprezentować, nie jest wynikiem pracy tego i tylko tego społeczeństwa. Jednym słowem, dzieło dołącza do „historycznego procesu tworzenia wartości kulturowych”⁴. Jest to cecha swoista każdego dzieła sztuki i jako taka wspomaga wzajemne zrozumienie między ludźmi i społeczeństwami.

W procesie tym zachodzą pewne zagrożenia wynikające z percepcji estetycznej obrazu przez odbiorcę, i jak to bywa w komunikacji, z jego intelektualnymi możliwościami odbioru. Nie można przewidzieć, jaki rodzaj refleksji nasunie się odbiorcy w kontakcie z dziełem sztuki

i jakie skojarzenia wywoła w nim przekazany komunikat. Dotyczy on, jak twierdzi E. Mistryk, tylko pewnej części tradycji kulturowej i jeżeli ta część wplecie się w analogicznie pojmowany ciąg rozumowy i pojęciowy odbiorcy, to dobrze. W przeciwnym razie dochodzi nawet do tak spektakularnych aktów jak, na przykład, akcje przedstawicieli LPR w stosunku do przekazów Doroty Nieznańskiej czy innych współczesnych twórców. Komunikat, oparty przecież na wspólnej dla autora i odbiorcy tradycji kulturowej, rzucił negatywne światło na inne wartości, powodując odrzucenie i wykluczenie. Incydent zakończył się wyrokiem sądowym dla twórcy (mimo możliwości zastosowania prawnego kontratypu⁵), później wprawdzie uchylonym, ale pozostał na zawsze negatywnym przykładem zakłócenia procesu przekazu ze względu na kulturowe ograniczenia interpretacyjne i tym samym możliwości jego zrozumienia.

Obrazu, który powstał w oparciu o indywidualne kryteria interpretacji rzeczywistości, wzbudzającego nasze uprzedzenia, nie możemy uznać za przyczynę tych uprzedzeń, bo wywoła to posądzenie o nietolerancję wynikającą z braku wiedzy. Jak uczy przykład D. Nieznańskiej, nie możemy też żądać od odbiorcy bezwarunkowej akceptacji formy i treści. Niemniej – biorąc pod uwagę zjawisko, oddziaływania dzieła sztuki na naszą psychikę, które nam samym ma dawać sygnał, informację – pokaz obrazów i ich pogrom w Gdańsku to wydarzenia do siebie nieprzystawalne.

Do negatywnych reakcji powstałych w wyniku przekazu informacji poprzez obraz (dzieło sztuki wizualnej) należy zaliczyć również ksenofobię. Sztandarowym przykładem niech będzie tutaj stosunek do kultury Afryki. Początkowy negatywny jej odbiór i odrzucenie przez Europejczyków, wynikał z nieznaności uwarunkowań historyczno-społecznych, determinujących powstawanie tak specyficznych form obrazowania rzeczywistości, ignorancji wobec materialnego i duchowego dorobku jej twórców oraz niedojrzałości intelektualnej odbioru.

Jednak na początku XX w., między innymi dzięki kubistom, Europa przejęła formy, kolor i treści występujące w tej kulturze, włączając jako część własnego dorobku do tradycji kulturowej. Rzeźby murzyńskie stały się przyczynkiem do stworzenia filozofii powrotu do źródeł cywilizacji, nieskażonej nowoczesnością. Tak więc ostatecznie sztuka afrykańska, oddziałująca poprzez formę, kolor i treść wsparła empatię w stosunku do przedstawicieli swej kultury, rozbudziła chęć komunikowania się w celu zrozumienia jej przekazów obrazowych.

Informacja jest kodem. Dla wzajemnego rozumienia kultur ważne jest poznanie odpowiednich kodów, którymi się one posługują. Zazwyczaj jednak uczenie się kodu powinno następować równolegle z poznawaniem treści. Jeżeli nie odbywa się to jednocześnie, wówczas traci sens, jak w przypadku przytoczonych wyżej rzeźb murzyńskich, których posiadanie bez pogłębienia treści kulturowych jest dla Europejczyków zwykłym estetycznym snobizmem.

I odwrotnie, wypowiadanie analogicznych treści za pomocą odmiennych kodów prowadzi do absurdów, ponieważ różne kody wyrażają różne informacje. Wyobraźmy sobie opisywanie magii afrykańskiej za pomocą symboli i znaków chrześcijańskich. Podczas spotkania dwóch tożsamości kulturowych, w procesach komunikacji masowej, porozumiewanie się będzie zawsze polegać na odczytaniu informacji przekazanej jasnym dla nas kodem, nierozłącznym z samą informacją.

W przypadku sztuki wizualnej funkcja obrazu-kodu jest jeszcze bardziej wyrafinowana. Dzieło sztuki wchodzi w wiele relacji kulturowych, oddziałując na psychikę odbiorcy, zmienia ją. Stan jednego fenomenu osobowościowego stanowi bodziec do zmiany innego fenomenu. Już nigdy nie będziemy tacy, jak *przed chwilą*; każda *chwila* uboga nas przez percepcję rzeczywistości, szczególnie wizualną. Świadomość tego procesu oddziaływania dowodzi jak wielką moc może mieć obraz w komunikowaniu międzykulturowym – pozytywną, ale też negatywną.

Głównym kryterium akceptacji bądź negacji postrzeganego obrazu jest wartościowanie.

Wartościowanie zaś związane jest z kontekstem kulturowym dzieła. Przyjmuje się, że obraz jest kulturowym artefaktem odzwierciedlającym poprzez formę (kod) pewne idee (informacje)⁶.

W kontekście kulturowym oznacza to, że obraz – jako obiekt kulturowy – jest zaangażowany w naszą kulturę, działalność kulturową i wówczas oceniamy jego pozycję zarówno w strukturze kultury, jak i naszego życia osobistego. Jesteśmy świadomi jego pozycji, niekoniecznie pozytywnej, i akceptujemy ją. Może być ona odmienna od zamierzonej przez twórcę, ale my, odbiorcy, mamy prawo do takiego hierarchizowania. Problem polega właśnie na tym, że odbiorca wystawia swą opinię niezależnie od pozycji dzieła, jaką zajmuje ono w innej kulturze lub w przeszłości w społeczeństwie, a to powoduje nieadekwatność ocen. Jedynym rozwiązaniem jest poznanie wszystkich aspektów komunikatu przekazywanego za pomocą obrazu. I do tego właśnie może skłonić dzieło sztuki, poprzez swoją moc oddziaływania.

W dobie wszechobecnej kultury obrazowej warto pokusić się wreszcie o określenie funkcji obrazowego przekazu. Przeszły, dzisiejszy i przyszły świat przedstawiany jest i rozumiany za pomocą obrazów. Rysunki naskalne naszych przaprzodków nie tylko pokazywały zastany świat, ale również pomagały pojąć jego magię. *Biblia Pauperum* stała się synonimem etyki świata dla społeczeństwa u progu współczesnej cywilizacji.

Tryb przekazu informacji i jednocześnie oblicze naszego społeczeństwa ponowoczesnego oddaje prosty schemat: *Nadawca – Komunikat – Odbiorca*, (gdzie komunikat nadawany jest przez medium-obraz)⁷. Jednak porozumienie między ludźmi jest możliwe tylko wtedy, gdy przynajmniej w pewnym stopniu ich systemy znaczeń dla określenia pojęć są zbieżne. W średniowieczu znaczenia te, określone obrazami *Biblia Pauperum*, stały się uniwersalne. W dobie posmodernistycznej fascynacji różnorodnością scalenie systemu znaczeń wartościujących naszą rzeczywistość jest niezmiernie trudne. Niesie jednak ze sobą niebanalne przesłanie pokonania barier różnicujących zrozumienie odmiennych kultur, znalezienie takiej

płaszczyzny pojmowania „małych narracji”⁸, aby świat archetypów, symboli i mitów, od zawsze używany w komunikacji wizualnej, stał się znany powszechnie razem z całym swoim zapleczem intelektualnym.

Małgorzata Wieczorek-Tomaszewska

¹ W. Strykowski, *Media i edukacja w tworzeniu współczesnego społeczeństwa*, [W:] *Media i edukacja w dobie integracji*, Poznań 2002.

² T. Goban-Klas, *Zarys historii i rozwoju mediów*, Kraków 2001.

³ A. Toffler, *Trzecia fala*, Warszawa 2001.

⁴ E. Mistrik, *Dzieło sztuki i jego funkcje w komunikacji międzykulturowej*, [W:] *Integracyjna i dezintegracyjna rola artystycznych środków przekazu w kształtowaniu tożsamości narodowej i jednoczeniu Europy*, Gdańsk 2001.

⁵ Kontraryp sztuki – sztuka stanowi okoliczność wyłączającą bezprawność, czyli gdy artysta tworzy sztukę, to zgodność i niezgodność z prawem jego postępowania podlega szczególnej ocenie właśnie przez wzgląd na to, że tworzy sztukę; prawne uznanie specyfiki działalności artystycznej; ocena postępowania artysty tworzącego sztukę podlega innej interpretacji prawniczej, *Encyklopedia Prawnicza*, Warszawa 2000.

⁶ W. Tatarkiewicz, *Definicja sztuki*, [W:] *Wstęp do historii sztuki*, Poznań 1993.

⁷ T. Goban-Klas, *Komunikowanie i media*, [W:] *Dziennikarstwo i świat mediów*, Kraków 2000.

⁸ Z. Bauman, *Wieloznaczność nowoczesna. Nowoczesność wieloznaczna*, Warszawa 1995.

Zbigniew Długosz, Sławomir Kurek

Starzenie się ludności w Polsce na tle regionów Unii Europejskiej

Starzenie się społeczeństw, polegające na zwiększaniu się udziału ludzi starszych w stosunku do ogółu populacji, jest jednym z podstawowych problemów dzisiejszych czasów. Zjawisko to jest procesem o charakterze dynamicznym i wiedzie do stanu statycznego, zwanego starością demograficzną. Jej podstawowym miernikiem stosowanym w literaturze jest udział ludności w wieku 60 (65) lat i więcej w stosunku do ogółu populacji danego obszaru. Z kolei miarą dynamiki tego procesu jest najczęściej przyrost ludności w najstarszych grupach wieku, bądź punktowe zmiany w ich udziałach. Wiedząc, że na poziom starzenia się społeczeństw ma wpływ nie tylko liczebność ludności starej, ale także zmiany w liczebności grupy najmłodszej (0–14 lub 0–19 lat), często w analizach stosuje się iloraz tych dwóch grup wiekowych, znany jako współczynnik obciążenia bądź indeks starości demograficznej (Długosz 1997, Kurek 2001).

Proces starzenia się ludności jest wynikiem przeobrażeń ilościowych i jakościowych zachodzących w relacjach pomiędzy poszczególnymi grupami wieku ludności, uwarunkowanych szeregiem czynników demograficznych i społeczno-ekonomicznych. Do bezpośrednich należą: rodność, umieralność i migracje ludności (Rosset 1959, 1967). W zakresie ruchu naturalnego natężenie urodzeń ma najważniejszy wpływ na po-

ziom i dynamikę starzenia się ludności. Wzrost liczby urodzeń przyczynia się do wzrostu udziału dzieci w strukturze populacji, a tym samym do obniżenia udziału ludności najstarszej. Z kolei spadek liczby urodzeń prowadzi do zmniejszenia udziału najmłodszych grup wiekowych, a tym samym do postarzenia ludności przez wzrost udziału roczników najstarszych, natomiast wpływ poziomu umieralności (przy ustabilizowanym współczynniku zgonów niemowląt) nie jest jednoznacznie określony. W zależności od natężenia zgonów w poszczególnych grupach wieku, zmiany w tym zakresie mogą wpływać hamująco bądź przyspieszająco na proces starzenia się ludności. Jeżeli zmniejsza się umieralność wśród niemowląt, to tym samym zwiększa się udział roczników młodych. Spadek umieralności w tej grupie powoduje zatem obniżenie się odsetka ludności najstarszej. Wydłużanie się przeciętnej trwania życia i spadek umieralności w starszych grupach wieku powoduje natomiast wzrost odsetka populacji najstarszej, co prowadzi do postarzenia się społeczeństw w układach globalnych (kraj) i wewnątrzregionalnych.

Istotnym czynnikiem, wpływającym na stan zaawansowania i dynamikę starzenia się społeczeństw, są także migracje ludności. Największe znaczenie mają tu przemieszczenia ludzi młodych, które ze względu na wiek migrantów,

w znaczący sposób mogą stymulować strukturę demograficzną obszarów emigracyjnych i imigracyjnych, a tym samym wpływać na stan i zmiany w starzeniu się ludności.

Pośrednio na zjawisko starzenia się ludności wpływają także m.in.: poziom zamożności społeczeństwa, lansowany model rodziny, aktywność zawodowa kobiet, poziom opieki społecznej i ochrony zdrowia, wykształcenie ludności oraz polityka społeczna państwa. Obszary objęte procesem starzenia się podlegają nie tylko przemianom demograficznym, ale także ekonomicznym i społecznym. Wyrazem tego są zmiany struktury konsumpcji, wzrost zapotrzebowania na niektóre usługi (np. w dziedzinie ochrony zdrowia, opieki społecznej), zmniejszenie aktywności zawodowej, zwiększenie wydatków na utrzymanie rosnącej grupy poprodukcyjnej, zmiany struktury siły roboczej, rodziny i gospodarstw domowych. Wymusza to wiele działań ze strony państwa w zakresie dostosowania infrastruktury i nakładów finansowych na różne dziedziny życia społeczno-gospodarczego.

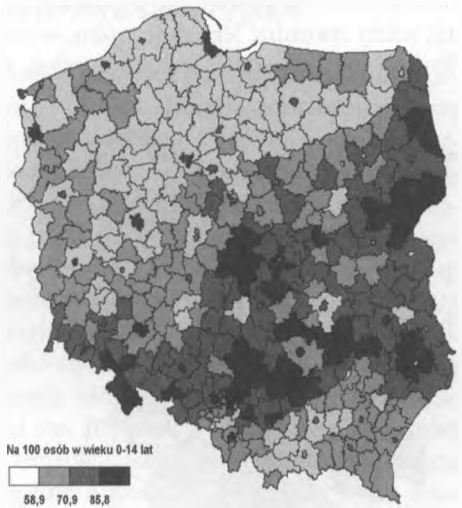
Proces starzenia się ludności zaznaczył się najwcześniej, bo już w drugiej połowie XIX w., w rozwiniętych krajach Europy Zachodniej, obejmując z czasem prawie cały kontynent oraz niektóre kraje pozaeuropejskie. Zjawisko to jest wynikiem przejścia demograficznego ze społeczeństw o wysokiej stopie urodzeń i zgonów do populacji charakteryzującej się niską rodnością i umieralnością. Prezentowany problem pojawił się także w krajach rozwijających się, gdzie mimo stosunkowo niewielkiego udziału procentowego ludzi starszych, ich liczba wzrasta w sposób znaczący (postęp cywilizacyjny i wydłużanie się przeciętnej trwania życia).

W Polsce zjawisko starzenia się społeczeństwa zaznaczyło się po raz pierwszy na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych XX w. Istotnymi czynnikami wpływającymi na skalę i prze-strzenne zróżnicowanie tego zjawiska w naszym kraju były powojenne migracje wewnętrzne oraz „przesuwanie się w piramidzie wieku” kolejnych grup roczników wyżowych i niżowych, a także „wyrw” spowodowanych kataklizmami wojen światowych. W okresie 1950–2003 udział lud-

ności w wieku powyżej 64 lat dla Polski ogółem wzrósł dwuipółkrotnie z 5,3% do 13,0%, jednocześnie zmalał udział dzieci (0–14 lat) z 29,5% do 17,2%. Tendencje te spowodowały wzrost wartości indeksu starości demograficznej z 18,0 aż do 75,6.

Celem niniejszego artykułu było przedstawienie terytorialnego zróżnicowania stanu zaawansowania procesu starzenia się ludności w Polsce w układzie powiatów oraz w krajach Unii Europejskiej w układzie regionalnym. Jako miernik stanu zaawansowania starością demograficzną przyjęto współczynnik obciążenia demograficznego ludności w wieku 0–14 lat ludnością w wieku 65 lat i więcej.

W 2003 r. wartość indeksu starości demograficznej w Polsce kształtowała się od 34,8 w powiecie grodzkim Żory (woj. śląskie) do 174,2 w powiecie grodzkim Sopot. W 23 powiatach zanotowano wartość wskaźnika obciążenia powyżej 100, co oznacza, że udział ludności starszej przewyższył odsetek dzieci. W grupie



Rys. 1 Wskaźnik obciążenia ludności w wieku 0-14 lat ludnością powyżej 64 lat w 2003 r.

tej znalazły się największe ośrodki miejskie kraju (Warszawa – 141,0; Łódź – 139,5; Wrocław – 121,8; Kraków – 108,0; Poznań – 107,4; Szczecin – 103,1; Gdańsk – 101,2). Spośród powiatów ziemskich najwyższym obciążeniem

dzieci i młodzieży ludnością starszą charakteryzował się powiat hajnowski (woj. podlaskie) – 144,6. Ujmując ogólnie, najwyższym stanem zaawansowania starością demograficzną charakteryzowały się obszary środkowej i wschodniej Polski, natomiast najniższym obszary położone w regionach północnych i zachodnich kraju (rys. 1). Demograficzna przeszłość ziem północnych i zachodnich, spowodowana ich zasiedlaniem po II wojnie światowej, do dzisiaj odzwierciedla ich młodszą strukturę wieku w porównaniu z ludnością „ziem dawnych”. Wyjątkiem jest tu obszar Sudetów, którego wyludnianie zapoczątkowane już w latach 80. spowodowało znaczące przemiany w strukturze demograficznej. Dodatkowo upadek i restrukturyzacja wielu zakładów przemysłowych, w ostatnim okresie przemian gospodarczych (zwłaszcza w rejonie Wałbrzycha i Nowej Rudy), spowodowały masową emigrację ludności z tych terenów.

Rozpatrując zjawisko starzenia się ludności w skali regionów Unii Europejskiej (w przypadku Polski do analizy wzięto województwa, a dla pozostałych krajów regiony statystyczne Eurostatu), należy stwierdzić jego duże zróżnicowanie. Wartości indeksu starości w 2003 r. wahały się

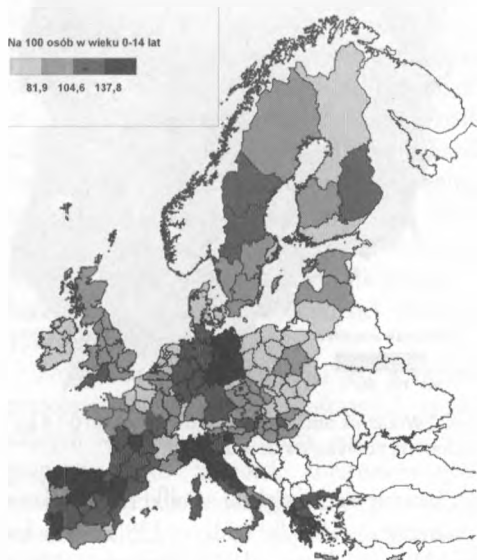
od 48,5 w regionie Vyhodne Slovensko (Słowacja) do 241,6 w regionie Liguria (Włochy), gdzie odsetek ludności starszej ponad dwukrotnie przewyższał odsetek ludności młodej. Podobna sytuacja zaznaczyła się w hiszpańskiej Asturii (215,6). W układzie przestrzennym największym poziomem starości demograficznej charakteryzowały się regiony położone w obszarze śródziemnomorskim (płn. Hiszpania, płn. Włochy, pd. Grecja) oraz regiony wschodnich Niemiec (rys. 2). Z kolei relatywnie najmłodsza struktura wieku zaznaczyła się w nowo przyjętych krajach UE z obszaru Europy Środkowo-Wschodniej.

Pomimo wewnętrznego zróżnicowania, poziom starości demograficznej w Polsce na tle regionów Unii Europejskiej należy uznać za stosunkowo niewysoki, niemniej jednak, obserwowany w Polsce w ostatnich latach gwałtowny spadek urodzeń, na dłuższą metę prowadzić będzie do spotęgowania tego procesu, co już obserwuje się np. w Czechach i na Węgrzech.

Zbigniew Długosz, Sławomir Kurek

Literatura:

- Z. Długosz, *Stan i dynamika starzenia się ludności Polski*, „Czasopismo Geograficzne” 1997, z. 2, s. 227-232.
Z. Długosz, S. Kurek, Poland and European countries in the light of population ageing, [w:] *Geografie a Proměny Poznání Geografické Reality*, Ostravská Univerzita v Ostravě, Česká Geografická Společnost, Ostrava 2004, s. 63-67.
S. Kurek, *Wybrane metody i kierunki badania starzenia się ludności w świetle literatury problemu*, „Studia Demograficzne” 2001, nr 1/139, s. 97-113.
E. Rosset, *Proces starzenia się ludności. Studium Demograficzne*. Warszawa 1959, s. 763.
E. Rosset, *Ludzie starzy. Studium demograficzne*. Warszawa 1967, s. 467.



Rys. 2 Wskaźnik obciążenia ludności w wieku 0-14 lat ludnością powyżej 64 lat w 2003 r.

Piotr Daszkiewicz

Afrykańskie badania i kolonialne wyprawy Jana Dybowskiego

Niedoceniony w Polsce podróżnik

Jan Dybowski (1856–1928) jest dzisiaj podróżnikiem nieco zapomnianym, w Polsce praktycznie nieznanym. Często myli się go ze sławnym bratem stryjecznym – Benedyktem Dybowskim (1833–1931), wybitnym zoologiem i badaczem Syberii. Jan Dybowski należy jednakże do najwybitniejszych podróżników i eksploratorów Afryki, a zwłaszcza jej części zależnej w XIX w. od Francji.

Ojciec Jana, oficer z czasów powstania listopadowego, zdołał uniknąć rosyjskiej niewoli i dotrzeć do Francji, gdzie spędził resztę życia. Jan, choć urodzony na emigracji, doskonale władał językiem polskim i zawsze podkreślał swoje pochodzenie. Po ukończeniu najbardziej prestiżowej francuskiej wyższej szkoły rolniczej w Grignon, Dybowski pracował w jej katedrze ogrodnictwa. Swojej ogrodniczej pasji pozostał wierny do końca życia, prowadząc liczne doświadczenia

polowe i publikując szereg bardzo poczytnych podręczników z zakresu ogrodnictwa.

Wyprawa saharyjska

Młodego naukowca pociągały jednak dalekie podróże. W 1889 r. Dybowski odbył swoją pierwszą wyprawę do Algierii. Choć kraj ten był od przeszło sześćdziesięciu lat kolonią francuską, to jednak bardzo niewiele wiadano o jego południowej części. Zadaniem ekspedycji Dybowskiego było zbadanie tych terenów, sporządzenie map i sprawdzenie możliwości wykorzystania Sahary dla celów rolniczych i przemysłowych. Podróżnik bardzo szybko zrozumiał, że jedyną możliwością rozwoju rolnictwa i gospodarki jest rozwinięcie sieci oaz. Przygotował zatem szczegółowy raport na temat budowy studni artezyjskich. W trakcie pobytu w Algierii Dybowski zebrał bogate zbiory przyrodnicze i etnograficzne. Opracowana wówczas przez niego fauna ssaków Algierii jest po dzień dzisiejszy cytowana przez specjalistów,

a zebrana kolekcja ptaków saharyjskich należy do najważniejszych na świecie zbiorów awifauny pustynnej. Badaczowi udało się także wyjaśnić, bardzo dyskutowaną w tamtych czasach, tajemnicę obecności ryb w oazach. Dybowski wykazał, że narybek przenoszony jest przez ptaki i obalił przekonanie o istnieniu podziemnej sieci wodnej, łączącej saharyjskie oazy.

Wyprawa do Afryki Centralnej

Rezultaty saharyjskiej wyprawy Dybowskiego zostały bardzo wysoko ocenione we Francji. Nic więc dziwnego, że podróżnikowi powierzono kolejną ekspedycję. Zdarzyło się, że przez kilka miesięcy nie docierały do Francji żadne wiadomości na temat wyprawy kierowanej przez Paula Crampela (1864–1891), badającego tereny leżące w dorzeczu rzeki Kongo. Dybowski miał za zadanie odnaleźć uczestników wyprawy Crampela, a także zbadać ostatnie, całkowicie nieznane Europejczykom obszary Afryki. Ekspedycja ta miała także ważny cel polityczny. Chodziło o to, aby eksplorowane tereny dostały się pod francuską kontrolę. Wobec rosnących żądań niemieckich, silnej presji angielskiej i belgijskiej, Dybowski jako pierwszy miał przejść ziemie pomiędzy Kongiem a Czadem i w ten sposób zalegalizować na arenie międzynarodowej francuskie aspiracje kolonialne w Afryce Środkowej. Ekspedycja wylądowała w Loango w Afryce Zachodniej, by poprzez Brazzaville kontynuować marszrutę wzdłuż rzeki Kongo, następnie prawym brzegiem Uubangi i częściowo brzegami rzek: M'Pokou i Ombela.

Wyprawa zakończyła się ogromnym sukcesem. Dybowski ustalił losy wyprawy Crampela, rozbił przez mużulmańskie bandy z północy, nękające dodatkowo miejscową ludność. Zdołał nawet zlikwidować bazy wypadowe odpowiedzialnych za masakrę bandytów. Ustalono bieg rzek i działły wodne centralnej Afryki, przywieziono nadzwyczaj bogate zbiory przyrodnicze i etnograficzne, m.in. wystawianą dzisiaj w paryskim Cité de la Musique kolekcję instrumentów – głównie harf oraz ogromną kolekcję tubylczej broni, narzędzi i ozdób. Przeprowadzono obserwacje i badania

antropologiczne m.in. na temat występowania rzadkich chorób genetycznych, medycyny naturalnej, tubylczego rolnictwa i hodowli, zwyczajów i stosunków międzyplemiennych, rozwiniętego niewolnictwa, handlu kobietami czy też zwyczaju „tuczenia niewolników” przez kanibali. Badania archeologiczne i analiza rozwiniętego handlu narzędziami, pozwoliły na stwierdzenie istnienia rud żelaza. Dybowski odnalazł złoża i przesłał do Francji próbki itabiryty.

Ponadto przeprowadził badania szczególnie ważne dla tropikalnego rolnictwa. Odkrył nieznaną w Europie gatunek zboża z Sudanu, nowe rośliny kauczukodajne; określił również możliwości uprawy herbaty we francuskich posiadłościach w Afryce. Wreszcie, w obliczu chorób plantacji kawowych, odnalezienie przez niego w Kongo gatunku kawy, odpornego na pasożyty trapiące hodowlane odmiany drzewa kawowego, miało duże znaczenie ekonomiczne.

Ekspedycja Dybowskiego odniosła także duży sukces informacyjny. Cała francuska prasa oczekiwała wiadomości z kolejnych etapów jego marszruty. Nastrój towarzyszący Dybowskiemu dobrze oddają słowa opublikowane przez „La Nature”: „Czarny Kontynent już niedługo odkryje przed nami wszystkie tajemnice, niedostępne jeszcze kilka lat temu. Nasi podróżnicy dotarli do prawdziwego serca Afryki. Nie zniechęciły ich ani trud podjętego zadania, ani czyhające na każdym kroku niebezpieczeństwa. Gdy tylko jeden z nich ginie, kolejny podejmuje jego dzieło. Zanim nawet dotarła wiadomość o śmierci Crampela, pan Dybowski wyruszył na wyprawę do Czadu”.

W służbie nauki i administracji kolonialnej

Zarówno sukcesy odnoszone na wyprawach, jak i prace naukowe prowadzone we Francji sprawiły, że Jan Dybowski uznawany był we Francji za najwybitniejszego znawcę tropikalnego rolnictwa i spraw kolonialnych. Nic więc dziwnego, że powierzano mu funkcje Naczelnego Inspektora Kolonii, kierownika Katedry Botaniki Tropi-

kalnej w Narodowym Instytucie Rolnictwa, dyrektora Rolnictwa i Handlu Tunezji. Zlecono mu również zorganizowanie we Francji Ogrodu Kolonialnego. Instytucja ta, dzięki znakomitej organizacji, szybko stała się jedną z najważniejszych francuskich instytucji naukowych, zajmujących się tropikalnym rolnictwem. O rozmachu prowadzonej przez ogród z Nogent sur Marne działalności świadczyć może fakt, że miesięcznie wysyłano stąd do różnych kolonii przeszło 40 tysięcy nasion i sadzonek roślin. Prawdziwym wydarzeniem stała się także, zorganizowana przez Dybowskiego w 1905 r., wystawa kolonialna. W jej otwarciu wziął udział prezydent Francji i wielu gości, m.in. król Kambodży.

Dykowski wierzył, że kolonizacja Afryki wzmocni pozycję Francji i doprowadzi do gospodarczego rozwoju kolonii. Stanowczo przeciwstawił się niemieckiej ekspansji w Afryce.

Jan Dybowski w Polsce

W okresie I wojny światowej Dybowski zaangażował się w pomoc dla polskiej akcji niepodległościowej. Po wojnie starał się zainteresować polskie władze projektami kolonialnymi, a na arenie międzynarodowej zabiegał o przyznanie Polsce przez Ligę Narodów mandatu kolonialnego. W 1921 r. przybył do Polski, aby przygotować raport na temat stanu rolnictwa. Trzy lata później, zaproszony przez polskie władze, został kierownikiem działu ogrodniczego w Państwowym Naukowym Instytucie Gospodarstwa Wiejskiego w Puławach. Bardzo zabiegał o rozwój francusko-polskiej współpracy. Tragiczna śmierć w 1928 r. przerwała jego niezwykle pracowite życie.

Piotr Daszkiewicz

Bolesław Faron

List z „krainy kangurów”

Wśród absolwentów WSP w Australii



1

Podczas krótkiego pobytu na tym kontynencie – przełom lata i jesieni 2005 – spotkałem ich czworo: w Sydney (Nowa Południowa Walia) Mariannę i Bronisława Łacków, absolwentów geografii (1961-1966); w Adelaidzie (Południowa Australia) księdza Krzysztofa Matała, po pedagogice opiekuńczej (1989-1993) oraz polonistkę Lilę Pukiewicz (1966-1971), moją magistrantkę. Pokazują mi swoje indeksy i dyplomy ukończenia uczelni, zabrane ze sobą w daleką drogę do Australii. Wszystkim się przydały. Przetłumaczone na język angielski wywierały wrażenie na tutejszych władzach oświatowych i uniwersyteckich. Nawet „kultura języka”, przedmiot, który wówczas obowiązywał w szkolnictwie wyższym na różnych kierunkach, wpisany przed lektorem z angielskiego spowodował, że magister geografii Marianna Łacek uczy z powodzeniem Australijczyków języka angielskiego w państwowej szkole, a jej mąż – języka polskiego w tzw. szkole sobotniej.

Lila Pukiewicz przed dwoma laty otrzymała etat nauczyciela-bibliotekarza w tamtejszej szkole, pracuje również w komisjach egzaminacyjnych z języka polskiego, zaś ksiądz Krzysztof Matała został bez problemu przyjęty na studia doktoranckie na jednym z uniwersytetów w Adelaidzie, okazując dwa dyplomy: z seminarium duchownego i z Wyższej Szkoły Pedagogicznej im. Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie. W innym przypadku (brak dyplomu z uczelni

nauczycielskiej) musiałby przejść odpowiednią procedurę kwalifikacyjną.

Z rozrzwinięciem wspominają czasy spędzone na Straszewskiego 22, w Rynku Głównym nad Hawelką, na Podchorążych 2 czy Ingardena 4 (wówczas ul. Karasia). Pokazują wyblakłe już, białoczarne zdjęcia z rajdów i domów studenckich (m.in. na ul. Mazowieckiej, gdzie dzisiaj mieści się Instytut Sztuki). Pytają o swoich profesorów – czy żyją?, czy pracują? Wśród wymienianych padają m.in. nazwiska: prof. Jana Flisa, dr. Tadeusza Ziętary, dr. Władysława Nowaka, prof. Józefa Kuźmy, mgr Magdy Szpyrko, dr. Romy Kwiecińskiej, doc. Antoniego Jopka, prof. Wincentego Danki, prof. Stanisława Sierotwińskiego i doc. Władysława Szyszkowskiego. Uczelnia – w tym są zgodni – poza solidnym przygotowaniem merytorycznym dała im dobrą wiedzę metodyczną, która się przydaje nawet tu, w innych warunkach cywilizacyjnych, kulturowych i oświatowych.

2

22 sierpnia, z 20 minutowym opóźnieniem (około 15.30 tutejszego czasu) ogromnych rozmiarów Boening 777 ląduje na lotnisku w Sydney. Jestem w nim chyba jedynym pasażerem z polskim paszportem, gdyż bardzo zainteresowałem swoją osobą służby celne (może miała w tym udział również moja żółta walizka, która już kiedyś –

w Izraelu – została szczegółowo zbadana. Zostałem zatem poddany szczegółowej kontroli: najpierw torba podręczna, potem owa nieszczęsna waliza. Celnik dokładnie dotykał jakimś aparatem każdego przedmiotu kosmetycznego, wkładał ręce do kieszeni garnitur. Kartkował książki, czasopisma i puste notatniki, aż dotarł do tomu opowiadań *Bezdomne psy*, australijskiego pisarza, wydane go po polsku w Krakowie przez Wydawnictwo Edukacyjne. – Kto to napisał, skądś znam to nazwisko? – zapytał – Wasz pisarz, Peter Skrzynecki. – A te słowa na okładce, to pana? – Tak. – Co pan robi w Polsce? – Jestem profesorem literatury. – OK. – stwierdził. Odstąpił od kontroli i skrzętnie spakował walizkę.

– Jest pan w porządku – mruknął na pożegnanie.

nia), nie mogę jednak ominąć okazji rzutu okiem na miasto malowniczo położone nad zatoką. Jedziemy przez centrum. Kolonialne i federalne niskie domy z końca XIX i początku XX wieku, w które wtapiają się monumentalne wieżowce z boomu budowlanego w latach osiemdziesiątych. Nad morzem słynny gmach Opery i stary metalowy most Harbour. Naszym celem jest punkt widokowy Dover Highst, skąd można zobaczyć miasto w promieniach zachodzącego słońca. Moją uwagę od miejskich krajobrazów raz po raz odrywa barwna opowieść pana Bronisława o ich emigracyjnych losach, o emigracji nie tyle z wyboru, co z przypadku.

Zadecydowały o niej w pewnym sensie studia geograficzne na WSP. Kiedy pod koniec lat sześćdziesiątych wuj Marianny, od wojny zamieszkały

w Australii, odwiedził po raz pierwszy Kraków, spotkał się z ówczesną studentką geografii. Podczas rozmowy przy obiedzie u Hawelki okazało się, że bardzo dużo wie ona o tym kontynencie. Był zaskoczony. – Musisz zobaczyć to, czego cię nauczono. Dotrzymał słowa. W 1971 r. Marzanna otrzymuje zaproszenie. Po sześciu tygodniach rejsu włoskim statkiem dociera do Sydney. Rok później wysyła zaproszenie do kolegi ze studiów, Bronisława



W domu Marianny i Bronisława Łacków

W holu niecierpliwie oczekuje na mnie Bronisław Łacek. Jako znak rozpoznawczy trzyma książkę: *Powrót do korzeni*. U nich mam zamieszkać podczas pobytu w Sydney. Zamiast do domu, który znajduje się w dzielnicy Ashfield przy ul. Elizabeth 16, proponuje mi rundę samochodem po mieście. Jestem mocno zmęczony podróżą (ponad dwadzieścia godzin lotu z Wied-

Łacka. Dokładnie w swoje imieniny otrzymuje list z Australii. Znajomości w ówczesnych urzędach pomogły, dostaje paszport i urlop ze szkoły.

Ona pochodzi z Olkusza, on z Łady na Lubelszczyźnie (ojciec – „kułak” w tamtejszych czasach, posiadał 15 hektarów ziemi). Oboje na studiach byli aktywni społecznie. Wtedy nawet

nie sympatyzowali ze sobą, gdyż Bronisław opiekował się dziećmi swojej siostry i dziewczyny sądziły, że ich kolega jest żonaty, albo podąża do parku krakowskiego ze swoim nieślubnym dzieckiem. Do partii nie należeli, udzielali się w ZSP i w Kole Naukowym Geografów wraz ze Zbyszkiem Reguckim i Arkadiuszem Pilarzem

Po studiach oboje podjęli pracę nauczycielską i wychowawczą w internacie Technikum Budowlanego w Nowej Hucie. Marianna została potem zatrudniona w I Liceum Ogólnokształcącym im. Nowodworskiego w Krakowie, a Bronisław w Szkole Podstawowej nr 102 w Nowej Hucie. Tak wiedli spokojny nauczycielski żywot, który był ich pasją. Po maturze ruszył „w świat”, trafił do Kamienia Pomorskiego, gdzie objął posadę nauczyciela, nie mając żadnych kwalifikacji. Uzupełniał je w Szczecinie, w Liceum Pedagogicznym. Po paru latach znalazł się w Krakowie dzięki siostrze, która tu pracowała jako pielęgniarka. Długo po terminie zgłosił się na studia geograficzne. Rozumny dziekan, prof. Jan Flis, zainteresował się jego nauczycielską przeszłością i mimo opóźnienia papiery przyjął.

Nie zamierzali emigrować. Ich celem było zwiedzić Australię, podeperować nieco nauczycielską kasę i wrócić do Polski. Początkowo nie otrzymali tutaj zgody na pracę, natomiast przyznano im pozwolenie na stały pobyt. Rozpoczęły się trudne dni i miesiące na obczyźnie, pogłębione brakiem znajomości języka angielskiego. Okazało się jak mało dał, lekceważony przez studentów, lektorat. Bronisław musiał porzucić ambicje nauczycielskie. Zajął się malowaniem mieszkań i porannym roznoszeniem mleka w dzielnicy Ashfield. Tutaj się pobrali. Urodziło im się trzech synów i jedna córka. Marianna pracowała najpierw na taśmie w wytwórni telewizorów, po czterech latach, intensywnych staraniach i konsekwentnej postawie otrzymała etat nauczyciela. – Oczywiście – wspomina – pamiętam tamten pierwszy dzień w szkole. Szczególnie utkwiło mi w pamięci zdumienie, że mówię do nich po angielsku, a uczniowie mnie rozumieją. Aha, jeszcze jedno! Zapomniałam sprawdzić w słowniku,

jak nazywa się znak równości. Zapytałam więc uczniów: Słuchajcie, to jest lewa strona równania, to jest prawa strona, a w środku? – *Sign of equality* – odpowiedzieli chórem.

Uczyła matematyki, później geografii, a obecnie języka angielskiego i polskiego w szkole sobotniej. Początki były – jak widać – trudne. Najpierw wynajmowali pokój w starym domu z początku XX w., u wuja Marianny, potem, kiedy urodziło się pierwsze dziecko, dwa pokoje, a w końcu kupili cały budynek, spłacając go przez jakiś czas.

Dom przy Elizabeth Street 16 – jak wspominałem – liczy ponad sto lat. Parterowy, otoczony tutejszą roślinnością, z korytarzem przez środek, od którego są wejścia do poszczególnych pokoi. – Wygodny – śmieje się syn Piotr – skoro rodzice wychowali w nim naszą czwórkę.

Ma swoją „duszę”. Stare urządzenia sanitarne, zabytkową wręcz umywalkę, solidne meble, ale to, co mnie zainteresowało szczególnie, to mocne akcenty polskie: reprodukcje obrazów Stanisława Wyspiańskiego, kilimy z motywami Krakowa, ze wzorami góralskimi, akwarela z widokiem na Giewont i góralem na pierwszym planie, fotografia Jana Pawła II, a przede wszystkim mnóstwo polskich książek, od literatury pięknej przez opracowania historyczne, po przegląd podręczników do nauczania języka polskiego w kraju (m. in. *To lubię!*) i za granicą (wydawnictwa Universitas).

Do kraju Łackowie postanowili wrócić na początku lat osiemdziesiątych. W Krakowie wpłacili odpowiednią kwotę na mieszkanie spółdzielcze. Paszport konsularny, a może inne okoliczności, stanęły na przeszkodzie, że należnego im lokalu nie otrzymali. Wypadki sierpniowe i późniejszy rozwój wydarzeń – stan wojenny – spowodowały, że w Australii pozostali niejako wbrew swojej woli.

Synowie, wykształceni na Wydziale Ekonomicznym Uniwersytetu w Sydney, zajmują poważne stanowiska audytorów finansowych w różnych przedsiębiorstwach. Znakomicie władają językiem polskim, działają w harcerstwie, w zespołach artystycznych, są wychowani we-

dług tradycyjnych zasad patriotycznych. Znają historię i kulturę ojczystego kraju rodziców, odwiedzają Kraków, Warszawę i inne miejsca w Polsce. – Świadom naszych wad – powiada ojciec – starałem się przekazać dzieciom pozytywny obraz kraju, uczyć ich szacunku dla naszej przeszłości, dumi z tego, że są Polakami. To nam się udało. Efekty? m.in. to, że Ewa, urodzona i wychowana w słonecznym Sydney, wyszła za mąż za Polaka i od roku mieszka na Śląsku, tuż obok parku w Chorzowie. Uczy w Katowicach języka angielskiego. Marianna podkreśla, że córka w Australii przerwała karierę muzyczną, by wyjechać do Polski i chociaż czasem tęskni za morzem i słońcem Sydney, w kraju czuje się szczęśliwa. Teraz namawia braci, by poszli w jej ślady. Trochę są tą perspektywą strwożeni. Czyżby, o ironio, mieli tutaj pozostać sami? Chyba jednak najstarszy syn Tomek do Australii przywiezie żonę znad Wisły.

– A może myśmy nigdy z kraju nie wyemigrowali? – zastanawia się Marianna – Fakt, wyjechalśmy! Ale, czy między wyjazdem a emigracją można postawić znak równości? Gdyby mi ktoś powiedział w ten styczniowy mroźny wieczór 1971 roku, że wyjeżdżam z Polski na stałe, to pieszo bym wróciła z pierwszej stacji, na której zatrzymał się pociąg relacji Warszawa - Wiedeń, do którego wsiadłam w Katowicach. W Australii żyje się o wiele łatwiej, to prawda. Ale o ileż ciekawiej żyje się w Polsce! – powiedziała Ewa w wywiadzie radiowym dla polskojęzycznego programu w Sydney.

3

Do Adelaidy przyleciałem 2 września. Z księdzem Krzysztofem Matalą spotykam się pierwszy raz. – Jak się rozpoznamy? – zapytałem przez telefon. – Mam czarną brodę. Sądzę, że nie będę miał w tym względzie na lotnisku konkurentów – odparł żartobliwie. Potwierdziło się. Zanim poznałem tego wysokiego, korpulentnego, 40-letniego mężczyznę, wiedziałem od jego znajomych, że się urodził w Zagórzanach koło Gorlic, że jego ojciec był wierniczym naftowym,

że pisał pracę magisterską u prof. Józefa Kuźmy na temat *Praca jako czynnik wychowawczy w poglądach Bronisława Markiewicza*. Po studiach założył Dom Dziecka w Pawlikowicach koło Wieliczki i podobną placówkę w Prankowcach pod Przemysłem.

Rozmawiamy w jego mieszkaniu przy lampce wyśmienitego australijskiego wina, którego Krzysztof jest smakoszem i największym znawcą jakiego tu poznałem. Na pytanie o motywy studiów odpowiada szczegółowo o swoich doświadczeniach szkolnych, koleżeńskich z uczniami z okolicznego domu dziecka.

– Imponowali mi swoją postawą, martwiła ich samotność. To był pierwszy etap mojej decyzji życiowej, studia w Seminarium Michalitów, a więc zakonu, którego celem jest m.in. niesienie pomocy dzieciom. – Kiedy rozpocząłem naukę w seminarium, postanowiłem uzupełnić wiedzę na temat wychowania w uczelni świeckiej, stąd wybór pedagogiki opiekuńczej. Wspomina, że ówczesny prorektor – prof. Michał Śliwa – potraktował jego i kolegę życzliwie, że nie przeszkadzała mu ich kapłańska droga życiowa.

– A praca misyjna za granicą?



Ksiądz Krzysztof Matala

– Jej motywy sięgają chyba mojego dzieciństwa. Naczytałem się wówczas książek podróżniczych, m.in. o Papuasach. Postanowiłem ujrzeć ten świat na własne oczy. Podróże zresztą zawsze były moją pasją. Napisałem zatem pismo do władz kościelnych i w odpowiednim czasie otrzymałem zgodę. Najpierw była Australia. Tu, w Brisbane roczna nauka języka angielskiego, potem dwa lata Papua–Nowa Gwinea, gdzie pracowałem w parafii Minj, małym miasteczku, które zamieszkiwało 12000 katolików.

Oprócz głównego kościoła miał jeszcze 30 kaplic, do których trzeba było dojeżdżać. Kontakty z tubylcami bardzo dobre. Jedyne niebezpieczeństwo, napady rabunkowe na białych, go ominęło. Do jego obowiązków należało uczenie o Bogu, nauczanie higieny, prac ogrodniczych, pomoc w szkole, m.in. w organizacji cystern na wodę. Po dwóch latach wraca do Australii.

Mimo rozlicznych zajęć udaje mu się wygospodarować trzy dni, by pojechać ze mną do Mount Gambier, gdzie przez trzy lata pełnił posługę kapłańską. – Warto z autopsji poznać warunki naszej pracy – powiedział na zakończenie wieczornej pogawędki. Wyjazd, zaplanowany na niedzielę w południe, opóźnia się nieco. Ojciec Matała otrzymuje bowiem nagły telefon od przyjaciela Polaka. Zmarła mu niespodziewanie w szpitalu 47-letnia siostra, potrzebna pomoc w zorganizowaniu pochówku.

Do Mount Gambier jest ponad 450 km. Droga szybkiego ruchu, przy ograniczeniu prędkości do 110 km, której tu nikt nie przekracza i prawie pustej szosie, to tylko niecałe 4 godziny. Krajobraz urozmaicony, im bliżej morza tym bardziej równinny, z wszędobyłskimi eukaliptusami. Mamy przegląd różnych form uprawy roli: najpierw rozległe winnice z kantynami, w których degustuje się wino, później pastwiska ze stadami krów i owiec, tuż przed celem naszej podróży gospodarka leśna, ogromne połacie sosny – sprowadzonej ze Stanów Zjednoczonych.

Mount Gambier, główne miasto i ośrodek handlowy regionu, wybudowano na zboczach wygasłego wulkanu o tej samej nazwie. W dwóch kraterach powstały jeziora. Odwiedzamy Błękit-

ne Jezioro (Blue Lake), które podczas tutejszego lata jest niebieskie, a od marca do listopada przyjmuje szarą barwę. Mamy szczęście, również dzisiaj, na początku września, widać błękitne refleksy. Obok park dzikiej przyrody, kilkukilometrowa promenada, na której urządzamy codziennie poranne marszobiegi. Jeszcze dwie jaskinie w środku miasta, spacer prawie pustymi ulicami tej, liczącej 22 tysiące mieszkańców, aglomeracji. Życie toczy się tu wolno, leniwie. Później szybka wycieczka nad morze do Port Macdonnell, rzut oka na poszarpane klifowe wybrzeże, na zatopioną jaskinię i powrót do miasta, gdzie wraz z Krzysztofem udajemy się do jego parafian.

Wie o nich wszystko. Często odwiedzał ich w domach, w szpitalu, rozmawiał, spowiadał, pocieszał. Najpierw zachodzimy do Antonio, Włocha ożenionego z Holenderką. Oboje witają nas bardzo serdecznie. Ksiądz przywiózł im z Adelaidy wianuszek wiejskiej kielbasy, wykonanej domowym sposobem przez jakiegoś Polaka. Częstoują nas kaczka z boczkim, a przede wszystkim znakomitym winem, które Antonio sam produkuje. Pokazuje nam swoją *Cantine*, w której, z zakupionych winogron, wytwarza co roku około 800 litrów wina, zresztą nie tylko wina, również różnego rodzaju *grappy* z ziołami. Antonio jest już na emeryturze, jego żona przyjęła włoską kulturę i obyczaje. Są bardzo gościnni, zachęcają, wręcz zmuszają do jedzenia. Widać, że ksiądz Krzysztof jest przez nich lubiany i szanowany. Ze wzruszeniem nas żegnają.

W następnym domu atmosfera podobna. Tym razem u Polaka, mojego imiennika, urodzonego w okolicach Łucka na Kresach Wschodnich. W wieku 15 lat został wywieziony na roboty do Niemiec. Po 1945 r. służył w kompanii wartowniczej u Amerykanów, chciał wyjechać do USA. Po wojnie ożenił się z Niemką. Jakieś biurokratyczne przeszkody – bodajże zbyt małe dziecko (kilka miesięcy) uniemożliwiły ten wyjazd. Wyemigrował więc do Australii z nadzieją na spokojne życie. Swoje – jak powiada – tutaj przeszedł. Teraz jest szczęśliwym emerytem. Kiedy przed dwoma laty żona uległa wypadkowi (wybuch oleju w kuchni) i cudem dało się ją ura-

tować, to właśnie ojciec Krzysztof odwiedzał ją w szpitalu, udzielał sakramentu komunii, rozmawiał, pocieszał, podtrzymywał na duchu. Są mu za to bardzo wdzięczni. Na pożegnanie Bolesław wyjmuję z lodówki „wyborową”. – Musicie się ze mną napić... – proponuje.

Od „wyborowej” rozpoczyna się też wizyta u kolejnego Polaka, Ignacego. Życiorys bardzo podobny do Bolesława, z jedną tylko różnicą. Urodził się w okolicach Szczekocin na Kielecczyźnie. W tym samym roku i w tym samym wieku, co poprzednik został wysłany na roboty do Niemiec, pracował u dwóch bauerów. Robota była ciężka. Traktowali go jako tako. Po wojnie krótki pobyt we Włoszech i ... Australia. Tu przeszedł podobną drogę jak wszyscy emigranci dipisi. Określenie to odnosiło się do Europejczyków, którzy po wojnie nie chcieli lub nie mogli wracać na tereny zajęte przez ZSRR, czy będące pod jego wpływem. Znajdowali się oni głównie na terenie Niemiec i Austrii. Najpierw pobyt w obozie, praca w mleczarni, potem przy wyrębie drzewa. Pierwszą robotę wspomina bardzo przykro. Australijczyk pochodzenia angielskiego źle odnosił się do Polaków. Z księdzem rozmawiają o nieżyjącej od roku żonie, o jego pasjach: wędkowaniu i myślistwie. Opowiada o pladze królików, która w latach pięćdziesiątych nawiedziła Australię. Ze wzruszeniem żegna księdza. Namawia Krzysztofa do powrotu do Mount Gambier.

Kolacja w restauracji „Bon Giorno” u kolejnej parafianki, tym razem Włoszki Marii, urodzonej tutaj, wpatrzonej w księdza jak w obrazek. Towarzyszą nam jej trzy córki i miejscowy lekarz. Włoska kuchnia i australijskie wino. Atmosfera jak w *Cantinach* na obrzeżach Rzymu, choć konsumentów Włochów stosunkowo mało. Ksiądz czuje się tutaj jak ryba w wodzie. Przy każdym stoliku ma znajomych parafian. Jest rozrywany. Każdy chce z nim zamienić parę słów. Widać, że jest z nimi żyty. Traktują go jak brata.

4

Jeszcze jedna krótka wizyta na obrzeżach Adelaidy. Tym razem u Lili Pukiewicz z domu Zimo-



Lila Pukiewicz

lą. Mieszka wraz z mężem 50 km od centrum, w miejscowych górach, w buszu. Obszerny, solidny dom z przeszklonymi ścianami, przez które widać eukaliptusy i nieprzebrany las. Cisza absolutna, przerywana od czasu do czasu głosem papug. Nocą obejście, chyba dwuhektarowy busz, odwiedzają kangury. Ich ślady co rano odnajdujemy tuż przed domem. Deszcz nie pozwala nam na większe wyprawy, więc całe niedzielne przedpołudnie poświęcamy na zwiedzanie ich posiadłości. Dariusz ze znanstwem opisuje mi każde drzewo (twierdzi, że eukaliptusów jest w Australii ponad 300 odmian), każdego ptaka, każdy krzew i trawę. Z dumą mówi o swoich ekologicznych działaniach (niszczy jeżyny, które zabijają busz, sadi natomiast tutejsze rośliny). Na pytanie, kiedy upora się z tym zadaniem odpowiada – Liczę na czas emeryta. Wówczas bez reszty poświęcę się kontaktom z przyrodą.

Długie nocne rozmowy prowadzimy przy wybornym winie. Lila we wspomnieniach wraca do czasów studiów na WSP, pokazuje indeks, m. in. z moimi podpisami, przypomina koleżanki – Ninę Zdyb, Ewę Łubieniewską, Andrzeja Gurbiela. Opowiada o swojej pracy nauczycielki w Nowym Targu, w Krośnie Odrzańskim na Śląsku i w Siedlcach. Wyemigrowali z Polski

w 1997 r., najpierw do Niemiec, potem do Australii. Po siedmiu latach bez stałej pracy (okazjonalnie uczyła m.in. języka hiszpańskiego), obecnie otrzymała etat nauczyciela bibliotekarza, pracuje też w komisjach egzaminacyjnych z języka polskiego. Są sami. Dorosła córka wyjechała w podróż dookoła Australii. Ukończyła wydział prawa na tutejszym uniwersytecie. Przez jakiś czas była adwokatem. Mąż Lili pracował

w Polsce jako sędzia, później radca prawny. Tutaj jest zatrudniony w jakimś przedsiębiorstwie w dziale informacji. Z zaciekawieniem pyta o przypadający w 2006 r. jubileusz 60-lecia WSP (AP). Chętnie wybrałaby się na te uroczystości, gdyby odbywały się jakieś zjazdy absolwentów...

Bolesław Faron



Piotr Pacholarz

Lanckorońska terapia



Informacje ogólne

Niezbyt odległa jest Lanckorona od Krakowa – niespełna 30 km dzieli obydwie miejscowości. W pogodne dni – chociażby ze wzgórza św. Bronisławy lub z wierzchołka Kopca Kościuszki – widać niezbyt wysoką, ale wyróżniającą się spośród łagodnego górskiego krajobrazu, Górę Lanckorońską. Według geografów jest to wzgórze należące jeszcze do Pogórza Wielickiego, o zaznaczającej się asymetrii stoków, które po stronie północnej nachylone są bardziej niż od południa. Z krakowskiej perspektywy, Lanckorońska Góra jawi się jako wzgórze silnie załesione, patrząc natomiast od południa – nawet z daleka – widoczne są zabudowania podchodzące prawie pod sam jej wierzchołek.



Okolice Lanckorony

Lanckorona jest stosunkowo niewielką miejscowością – mieszka tu nieco ponad 2000 osób. Dziś wydaje się lekko zmarginalizowaną, jednak w przeszłości odgrywała znacznie ważniejszą

rolę. Powstała najprawdopodobniej jako osada obsługująca załogę wzniesionego na tutejszym wzgórzu zamku. Nieprzypadkowo właśnie w tym miejscu, albowiem tuż poniżej – od strony zachodniej – przebiegała granica państwa, której bezwarunkowo należało strzec. Za nią leżał Śląsk, wielokrotnie realizujący, pomimo swego piastowskiego rodowodu, przedsięwzięcia sprzeczne z polską racją stanu. Był więc zamek lanckoroński rodzajem strażnicy.

Ważną datą w dziejach Lanckorony okazał się rok 1366 – za sprawą Kazimierza Wielkiego nadano jej prawa miejskie (magdeburskie). Jednakże miasto nie wykazywało specjalnej dynamiki pod względem rozwoju terytorialnego, ludnościowego czy gospodarczego. Również i przesunięcie granicy państwa bardziej na zachód przyczyniło się do spadku znaczenia tutejszego zamku. Po raz ostatni Lanckorona zaistniała silniej w całej Rzeczypospolitej dzięki Konfederacji Barskiej. Tu właśnie obwarowali się konfederaci – niejednokrotnie stacząc zwycięskie potyczki z wojskami rosyjskimi. Ich przegrana – symbolicznie rzecz ujmując – zbiegła się z rozbiorem Rzeczypospolitej...

Choć jeszcze cesarz austriacki nadał Lanckoronie nowy herb, to już cały wiek XIX był tylko okresem wegetacji tego miasta, nazywanego tak tylko ze względów prawnych. Pożar, jaki miał miejsce w 1869 r., praktycznie dokończył dzieła zniszczenia. Budowa pensjonatów z początku XX w. nie powstrzymała procesu dezurbanizacji tej miejscowości, która w 1933 r. ostatecznie utraciła prawa miejskie.



Ruiny zamku

Cóż takiego jest jednak w Lanckoronie, że warto się nią zainteresować? Pozwolę sobie wypunktować niektóre z jej walorów.

Położenie. Jest to miejscowość niezwykle malowniczo położona. Nawet z rynku (podobno jednego z najbardziej nachylonych w Polsce) widoczne są góry Beskidu Makowskiego, zaś z uliczek biegnących nieco wyżej dostrzec można i Beskid Wyspowy, a także królującą w polskich Beskidach Babią Górę (Beskid Żywiecki). Patrząc zaś od przeciwnej strony jawi się Lanckorona jako osada złożona z niewysokich budynków z wyraźną dominantą w postaci kościoła pw. św. Jana Chrzciciela – uroczo „przyklejonych” do stoków Lanckorońskiej Góry (545 m n.p.m.).

Zabytki sakralne. Wspomniany wcześniej kościół był wielokrotnie przebudowywany. Wprawne oko dostrzeże jednak elementy stylu gotyckiego, który zachował się głównie w prezbiterium. Ponadto odnaleźć tam można elementy barokowe i rokokowe. Zwieńczenie kościelnej wieży to z kolei styl pseudoromański. Od zewnątrz,



Kościół św. Krzyża

na ścianie kaplicy, znajduje się interesująca płyta nagrobna (mocno już zatarta) z napisem w języku niemieckim. To ślad po dawnych osadnikach, którzy przybyli tu z Niemiec. I choć nastąpił proces całkowitej ich asymilacji, po tym okresie została przecież nazwa. Lanckorona to spolszczenie częstej w Niemczech nazwy zamków rycerskich „Landskrone”. Notabene góra o takiej nazwie znajduje się w mieście Goerlitz, zaraz za graniczną z Niemcami Nysą Łużycką.

Śladem po dawnym przedmieściu jest neogotycki kościół pw. św. Krzyża. Stanowi on teraz rodzaj kaplicy cmentarnej – we wschodniej części Lanckorony. Jeszcze dalej, już na rubieżach, znajduje się interesująca kapliczka poświęcona Konfederatom Barskim. Postawiona została w miejscu zwycięskiej bitwy, stoczonej pod dowództwem Kazimierza Pułaskiego z wojskami rosyjskimi.

Układ urbanistyczny. Choć mamy do czynienia z osadą wiejską, to miejska przeszłość Lanckorony nadal jest dostrzegalna. Wychodzące z rynku ulice przypominają układ „turbinowy” (ulice św. Jana, Świętokrzyska, Piłsudskiego i Jagiellońska). Zaobserwować można ponadto pewną nieregularność w przebiegu ulic we wschodniej części: to ślad po dawnej osadzie o nazwie Jastrzębia, zaś w części południowej (rejon ulicy Targowej) – pozostałości osady o nazwie Łańnica. Obydwie leżały poza miejskimi obwarowaniami. Po północnej stronie Lanckorońskiej Góry znajduje się jej letniskowa część miasta – znaleźć tu można starsze architektonicznie pensjonaty oraz mniej wyszukane, nowe domy, zapełniające się wczasowiczami latem i podczas weekendów. Ten skomplikowany układ uliczek stanowi dodatkowo urozmaicenie spacerów.

Architektura. Oprócz obiektów sakralnych największą chyba atrakcją są w Lanckoronie drewniane domy. Przyznać należy, że po pożarze miasto zostało odbudowane dosyć szybko i solidnie. Wokół rynku i przy niektórych uliczkach z niego wybiegających powstały drewniane domy z szerokimi (niekiedy do trzech metrów poza ścianę frontową) zadaszeniami – podcieniami. Pod nimi znalazły miejsce piwnice zamykane



Uliczka w Lanckoronie

uchylałą ku górze kłapą. Do dziś co śmielsi turyści z ciekawością podnoszą je, aby zajrzeć do pozornie tajemniczego wnętrza. Później, gdy piwnice te służyły do przechowywania towarów przez kupców tu handlujących. Domy posiadają charakterystyczne bramy wjazdowe, prowadzące do obszernej sieni. Zamknięte są wrotami zwanymi fachowo „bramami mieczowanymi”. Budynki oddzielone są od siebie przestrzeniami szerokimi na około metr – spełniały one funkcję przeciwpożarową. Są to tzw. miedzuchy. Powodowały równocześnie zawilgocenie ścian (gromadził się tam śnieg) i ułatwiały chuliganom straszenie i denerwowanie gospodarzy (stukali w ściany albo je zanieczyszczali...). Niestety, wiele spośród tych budynków uległo już zniszczeniu. Kilka lat temu rozebrano stojącą przy rynku, półkurną jeszcze (z dymnikami pod kalenicą), chałupę. Całość jest oczywiście objęta ochroną konserwatorską, jednak trudno nie dziwić się ich mieszkańcom, że chcieliby nieco zmodernizować swe XIX-wieczne siedziby.

Warto wspomnieć o murowanym i ważnym dla prestiżu miejscowości budynku dawnego ratusza. Usytu-

owany jest przy północnej pierzei rynku. Choć zupełnie różni się od powszechnego wyobrażenia o kształcie ratusza, stanowi ważne potwierdzenie miejskiej przeszłości Lanckorony.

Zamek. Niewiele śladów pozostało po tej znacznej niegdyś budowli. Co nie zostało nadgryzione zębem czasu, wykorzystano do budowy domów mieszkalnych, kaplic czy jako podmurówki stodoł... Niemniej nadal stoją dwie baszty i łączący je mur kurtynowy. Zrekonstruowano jedno z pomieszczeń, zaś nieco ponad poziom terenu wystają fragmenty murów z widocznymi obramowaniami dawnych okien lub drzwi. Dodaje to tylko tajemniczości

ruinom zamku. Całość otoczona jest wyraźnymi śladami po fosie. Jeśli to prawda, zastanawiające jest, skąd wzięto tak dużą ilość wody na wierzchołku odizolowanej przecież góry? Pojawił się nawet projekt ponownego wypełnienia jej wodą i urządzania tam przejazdów łódką!

Muzeum. Powstało kilkadziesiąt lat temu, z inicjatywy profesora Antoniego Krajewskiego, w jednej z nielicznych chałup, jakie przetrwały pożar z 1869 r. Dwie części drewnianego, krytego gontem budynku, przedzielone są szeroką sienią. Pełno tu teraz sprzętów – potrzebnych niegdyś w gospodarstwie – sita, cepy, sieczkarnie, kołowrotki. W izbach zobaczyć można



Rynek w Lanckoronie



Kapliczka poświęcona Konfederatom Barskim

„święte obrazy” zawieszono ponad posłaniem, kołyską i liczne – typowe dla dawnej Lanckorony – sprzęty. Od niedawna można też kupić wyroby rękodzieła, w mniejszym lub większym stopniu nawiązujące do miejscowej tradycji.

Przyroda. Las pokrywający wierzchołek Lanckorońskiej Góry oraz jej północne stoki nie jest „pierwotną puszcza”. W czasach świetności zamku góra była wylesiona, celem uniemożliwienia wrogowi podejścia pod mury warowni. Las bukowy, z domieszką jaworów i połaciami modrzewiowymi, stanowi teraz prawdziwą atrakcję. Kilka lat temu oznakowane zostały trasy turystyczne, które prowadzą po opłatających górę ścieżkach: „Szlak Westchnień”, „Aleja Zakochanych” itp. Dla wygodnych spacerowiczów

urządzono na nim kilka altan i postawiono ławki. W lesie można wysłuchać ptasiego koncertu lub dostrzec sarny kryjące się między drzewami. Oko zainteresowanego turysty dostrzeże zapewne nieczynny kamieniołom. Są tam widoczne piaskowce i łupki, które wypiętrzone zostały podczas alpejskich ruchów górotwórczych, silnie nachylone a nawet przecięte rodzajem uskoku! Słowem – prawdziwa gratka.

Oprócz szlaków spacerowych wytyczono również szlaki rowerowe, narciarskie i konne. Oznakowano również ścieżkę kulturowo-przyrodniczą: Ekomuzeum „Lanckorona”. Należy również nadmienić, że Lanckorona znalazła się na skraju zespołu przestrzenno-krajobrazowego Kalwarii Zebrzydowskiej, który znajduje się na liście dziedzictwa kulturalnego i przyrodniczego UNESCO.

Osobliwości. Lanckorona przyciągała osoby niepospolite. Z końcem XIX w. osiedlił się w niej Józef Lorenz – protoplasta rodu. Lorenzowie wybudowali tu sławne pensjonaty „Zamek” i „Tadeusz” oraz budynek przypominający prawdziwe zamczysko. Można tam obecnie przenocować lub przynajmniej wstąpić i oglądać eksponaty nawiązujące do czasów Legionów i Marszałka Piłsudskiego, obraz cięty szablą sowieckiego barbarzyńcy i wiele innych pamiątek. W pobliżu



Wnętrze muzeum

usytuowane zostało prawdziwe działo, zaś pod zadaszeniem umieszczono jedyny w Polsce (?) samochód z drewnianą, samodzielnie wykonaną, karoserią. Pomimo 40-letniego rodowodu nadal jest sprawny, choć kiedy był rejestrowany, otrzymał od zdeorientowanych urzędników tablicę z napisem „próba”. Nie wierzono, że auto będzie mogło sprawnie się poruszać. Warto nadmienić, że do Lorenzów przychodził czasem młody ksiądz, rodem z Wadowic...

Zapachy i dźwięki. Oczywiście oprócz zapachu lasu zdarzają się wonie specyficzne dla wsi; niekiedy mozolnie wspinający się traktor przypomni nam o minusach motoryzacji. Jednak bywalcom Lanckorona kojarzyć się może z zapachami piekarni, położonej nieopodal rynku. Rozkoszny zapach ciepłego chleba snuje się pomiędzy zabudowaniami. Wizyta w piekarni winna być obowiązkowym punktem programu każdego wędrowca. Zakupić tu można drożdżówki lub rewelacyjny sernik.

Dźwięki również bywają w Lancokoronie rozmaite, ze szczególnym natężeniem wieczornych koncertów świerszczy (nawet do połowy listopada!). Natomiast w wietrzne dni, nawet wówczas gdy nie ma już liści na drzewach, tajemniczo lub melancholijnie szumią drzewa bliskiego lasu, porastającego Lanckorońską Górę.

Nastrój. Chyba jest to najcenniejsza cecha Lanckorony. Zawsze położona była z dala od szlaków komunikacyjnych. Dopóki trwała jako

siedziba starostwa niegrodowego i mieszkali w niej przedstawiciele możnowładczych rodów – sama była celem podróży okolicznych mieszkańców. Jednak wraz z utratą funkcji administracyjnych rosła marginalizacja Lanckorony. Utrata praw miejskich tylko usankcjonowała ten stan rzeczy. Dziś trudno znaleźć tu miejsce głośnie i ruchliwe. Spokój i wyciszenie panują na uliczkach wybiegających z rynku i wspinających się po stokach Lanckorońskiej Góry. Spacerować pomiędzy mniej lub bardziej stylowymi zabudowaniami, oryginalnie niekiedy „przyklejonymi” do wszechobecnych tu pochyłości, stanowić mogą doskonałą terapię. Osoby zmęczone wielkomiejskim ruchem, zabiegane i zapracowane powinny przyjeżdżać do Lanckorony. Praktycznie każda pora roku jest odpowiednia – nawet podczas jesiennej szarugi lub mgieł – miejsce to jest atrakcyjne. Śnieżną zimą odważyć się można na zjazd stromą uliczką biegnącą powyżej kościoła – miejscowe dzieci może użyczą turyście swych sanek. Oświetlony stylowymi latarniami rynek i kościół, ciemne dróżki, z których rozpościera się widok na okoliczne, niżej położone i rozświetlone miejscowości, niosą w sobie duży, pozytywny ładunek emocjonalny.

Informacje praktyczne

Do Lanckorony wypada przyjechać przynajmniej na dwa dni. I to kilkakrotnie, w różnych porach roku – aby mieć rozeznanie, jak różną postać przyjmuje ta miejscowość. Dla chętnych przygotowane są miejsca, zarówno w hotelu, schronisku młodzieżowym, jak i w pensjonatach czy w gospodarstwach agroturystycznych. W zasadzie chodzi o to, aby móc niespiesznie przemierzać lanckorońskie drogi, również w zapadającym zmroku, a potem i w ciemnościach nocy. Oczywiście i kilkugodzinny pobyt ma swój sens.

Dostępność komunikacyjna. Jak już wcześniej wspomniano – Lanckorona leży

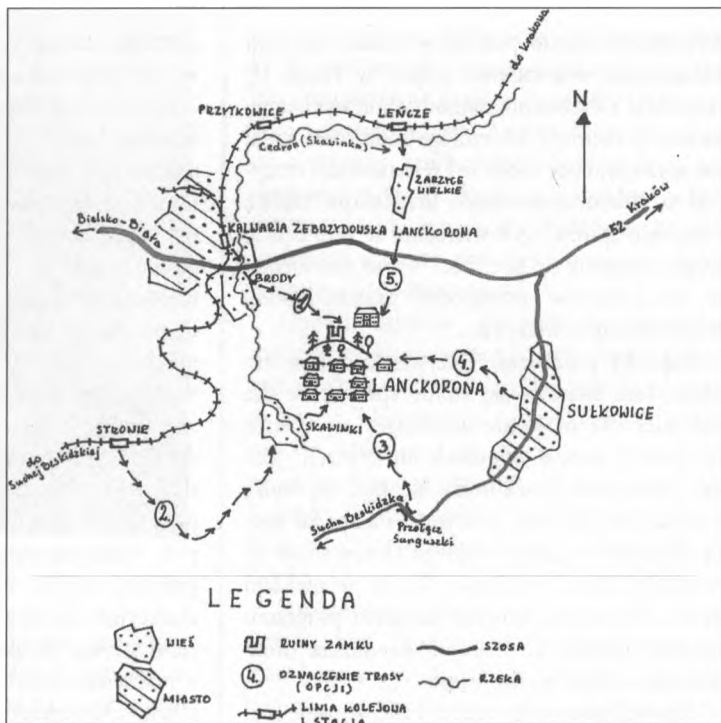


Samochód z drewnianą karoserią

na uboczu szlaków komunikacyjnych i od wieków realnie niewiele się pod tym względem zmieniło. Tylko podczas weekendów z Krakowa dociera tu jeden autobus PKS. Ale już nie wraca... Kilka kursów łączy Lanckoronę z Kalwarią Zebrzydowską i Wadowicami. Ponadto z Krakowem połączenie zapewniają prywatni przewoźnicy – kilka kursów w dni powszednie, w niedzielę już tylko dwa.

Sugerowałbym jednakże skorzystanie z mniej komfortowej opcji dotarcia do Lanckorony, choć niewątpliwie bardziej wartościowej. Wędrując pieszo przygotowujemy się bowiem duchowo do dotarcia do naszego celu – lepiej możemy wówczas poznać „smak” miejsca.

Opcja I. Najlepiej dojechać do stacji kolejowej o najdłuższej (być może) nazwie w Polsce: Kalwaria Zebrzydowska Lanckorona. Ostatni człon tej nazwy jest umieszczony zdecydowanie na wyrost, gdyż nasz cel znajduje się godzinę marszu dalej... Ze stacji można udać się za znakami szlaku niebieskiego, który prowadzi wprost do Lanckorony. Niemniej, już po ok. 200 metrach warto zejść na chwilę ze szlaku. I nie chodzi tu bynajmniej wyłącznie o skrócenie sobie drogi. Jeśli przejdziemy przez ceglana bramę w murze otaczającym teren dawnego folwarku i miniemy duży, opuszczony budynek, to skręcając w prawo dotrzemy na skraj zaskakująco wysokiej skarpy. Tę około 10-metrowej wysokości erozyjną formę wytworzyła płynąca niżej, niepozorna zazwyczaj, rzeka zwana tu Cedronem. Z jej górnej krawędzi (uwaga – to nieco niebezpieczne!) roztacza się rozległy i malowniczy widok, między innymi na dobrze widoczną Lanckorońską Górę. Ale nie jest to jedyna atrakcja



Plan trasy wycieczki

– poniżej, nad wodą, dostrzec można niekiedy uwijającego się, bajecznie (i odbłaskowo!) kolorowego zimorodka. Ma on zwyczaj łowienia ryb, więc stosunkowo łatwo go tam podpatrzeć.

Idąc pod prąd rzeki trafimy niebawem na ruchliwą szosę łączącą Kraków i Bielsko-Białą. Jednak zaraz za mostem znaki szlaku prowadzą, dosyć stromo po górę, dróżką pomiędzy zabudowaniami wsi Brody. Wkrótce znajdziemy się na wierzchołku wzgórza o mało eleganckiej nazwie – Capia Góra. Atutem tego miejsca jest rozległy i piękny krajobraz Pogórza Wielickiego i pierwszych pasm Beskidu Makowskiego. Wyraźnie też widać klasztor Bernardynów w Kalwarii Zebrzydowskiej, na stokach góry Żar. Następnie schodzimy nieco aż na skraj lasu (tu można nieco odpocząć na ławeczce, przy stoliku). Szlak prowadzi nas dalej poprzez las o dużych walorach krajobrazowych. Niebawem osiągniemy już skraj letniskowej części Lanckoronny. Stąd możemy podążać nadal kierując się znakami szlaku niebieskiego, choć czeka nas krótkie, lecz strome

podejście. Nagrodą za to będzie możliwość podziwiania struktur skalnych, jakie odsłaniają się w nieczynnym już kamieniołomie. Ci natomiast, którzy poczują się już zmęczeni, mogą okrążyć górę podążając asfaltową dróżką. Ta wersja też jest godna polecenia, gdyż łatwo stąd dotrzeć do willi „Tadeusz” (jest odpowiednie oznakowanie). Trasa liczy około 4 km.

Opcja II. Osobom lubiącym nieco dłuższe wędrówki polecałbym wyruszenie ze stacji kolejowej we wsi Stronie. To pierwszy przystanek za Kalwarią Zebrzydowską (w stronę Suchej Beskidzkiej). Stąd należy kierować się znakami zielonego szlaku, który stopniowo wyprowadzi nas aż na wschodnie przedłużenie grzbietu góry Chełm. Warto tam zatrzymać się na odpoczynek – jeśli jest dobra widoczność, to bardzo atrakcyjnie jawi nam się (na południowym – zachodzie) Babia Góra. Jest ona szczególnie malownicza wiosną lub jesienią, kiedy na jej stokach błyszczą śniegi, kontrastujące ze świeżą zielenią lub żółtym kolorem buczyny.

Dalej należy udać się na wschód, potem na północny-wschód. Poprowadzą nas znaki żółtego szlaku. Warto zatrzymać się we wsi Skawinki, wciśniętej w wąską dolinę rzeki Cedron. Jednak największą tutejszą atrakcją jest drewniany, modrzewiowy kościółek. Ten charakterystycznie pachnący impregnowanym drewnem obiekt przywieziony został z niezbyt odległych Przytkowic. Tam niepotrzebny, tu stał się zadbaną świątynią. Nawet jeśli nie uda nam się wejść do środka, warto podziwiać zewnętrzne elementy tej późnobarokowej budowli.

Ze Skawinek, dosyć żmudnym podejściem (cały czas żółtym szlakiem), poprzez poszatowane miedziami pola, dotrzemy wreszcie do Lanckorony. Odległość – około 11 km.

Opcja III. Wędrówkę rozpocząć można również od przełęczy Sanguszkki. Niestety, nie ma tu przystanku autobusowego, jednak niekiedy kierowcy okazują życzliwość i podwożą turystów. Budowa tej drogi (łączącej Suchą Beskidzką i Sułkowice) upamiętniona została stosownym obeliskiem, z datą 1895 r. Tu również czeka na nas ułatwienie w postaci niebieskiego szlaku turystycznego. Po drodze miniemy wzgórce

o nazwie Groby. Zwieńczone jest ono krzyżem, postawionym w rejonie bitwy, jaka miała miejsce podczas Konfederacji Barskiej. Cały czas kierować się będziemy na północny-zachód, mając przed sobą coraz wyraźniejszy obraz Lanckorony usytuowanej na stokach góry, za sobą zaś zalesione góry Beskidu Makowskiego. Odległość do pokonania wynosi około 7 km.

Opcja IV. Należy wysiąść z pociągu na stacji Leńcze i następnie udać się ogólnie na południe, przez wieś Zarzyce Wielkie. Przy okazji można się przyjrzeć dworowi (z prawej strony drogi, na zboczu doliny). Początkowo musimy iść dosyć ruchliwą szosą, aby wreszcie dotrzeć do trasy Kraków – Bielsko-Biała. Tu, w pobliżu ośrodka wypoczynkowego (z basenami) przechodzimy na drugą stronę jezdnii, aby leśnymi ścieżkami piąć się coraz wyżej, w kierunku południowym. To dawny trakt łączący Lanckoronę z Krakowem, obecnie uczęszczany przez niewielkich. Nie ma tutaj szlaku turystycznego, częściej zatem niż ludzi zobaczyć można... sarny. Po około 30-minutowej wędrówce dotrzemy do pierwszych zabudowań letniskowej części Lanckorony. Odległość – około 7 km.

Nie są to wszystkie możliwości. Każdy przecież może przygotować swą autorską, oryginalną wersję dotarcia do Lanckorony. Przy opracowywaniu trasy polecałbym mapy turystyczne w skali 1:50 000 – Beskid Makowski lub Okolice Krakowa.

Na koniec chciałbym ostrzec, że bywają dni, kiedy zakłócona zostaje cisza – w maju odbywają się Dni Lanckorony, w czerwcu organizowany jest Jarmark Świętojański. Ponadto mają miejsce „Złoty Aniołów”, rajdy i imprezy turystyczne, przyjeżdżają tu artyści zauroczeni miejscem (zdarzają się wówczas interesujące koncerty). Niekiedy wybrać się można na jakąś wystawę lub uczestniczyć w plenerze malarskim. Sądzę jednak, że te „zaburzenia” tylko wzbogacają tutejszą atmosferę i nie umniejszają terapeutycznych walorów Lanckorony.

Piotr Pacholarz

Maciej Kawka

Panem et circenses

O języku komentatorów sportowych

Chodzi tu o specjalny (lub specyficzny) sposób pisania, częściej wyrażania się, prezentowany przez dziennikarzy telewizyjnych lub radiowych podczas komentowania różnych wydarzeń sportowych – meczów piki nożnej, spotkań lekkoatletycznych, wyścigów rowerowych, motocyklowych itp. Zdarza się też, iż ten specyficzny język – stając się przedmiotem refleksji naukowej jako idiolekt lub raczej biolekt, żargon będący zlepką niepoprawności, przejęzyczeń i wszelkich nielogiczności – widnieje w spisie tematów maturalnych jako: *Język komentatorów sportowych*, a polecenie do zadania brzmi zaś: *Zbierz materiał, wyodrębnij cechy charakterystyczne i przedstaw wnioski*.

Są to więc próby uczynienia z tego – wątpliwej jakości sportowego kodu – czegoś w rodzaju odmiany językowej lub nietypowego rejestru polszczyzny, którą posługuje się jedna i to dość wąska grupa kilku, a co najwyżej kilkunastu dziennikarzy.

Jaki to jest język? Aby odpowiedzieć na postawione pytanie – mimo braku opracowań naukowych – wybrałem, spośród różnego typu audycji telewizyjnych i radiowych, kilka najbardziej charakterystycznych zwrotów z komentarzy znanych polskich sprawozdawców sportowych. Niektóre z nich weszły prawie na stałe do języka potocznego i są powtarzane, ale wyłącznie na zasadzie przykładów ośmieszających ich autorów (ze zrozumiałych przyczyn nazwiska zostały tu pominięte):

Gol jest wtedy, kiedy piłka całym swoim obwodem przekroczy odległość równą obwodowi piłki.

W zespole wojskowych rozstrzelat się Nyckowiak (prasowe: o zawodach strzeleckich)

Mówię Samprasowi, żeby mocniej liftował piłkę. Ale on mnie nie słucha. Ale jak ma mnie słuchać, skoro mnie nie słyszy.

Grecy przy piłce, a konkretnie Warzycha.

Henryk Wardach to stary wyjadacz parkietów. (radio)

Obrońca wybił piłkę na tak zwany przystawiony oślep.

Wybił piłkę na tak zwaną pałę.

Włodek Smolarek krąży jak elektron koło jądra Zbyszka Bonka.

Podziwiam jego skromne warunki fizyczne.

Piłkarz polewa sobie wodę głową.

Szurkowski – cudowne dziecko dwóch pedatów.

Córka już wie, który jest tata w sensie żuźla.

Brak wyczucia percepcji prawej nogi.

To nie był błąd - to był wielbłąd.

Kontuzja, ale interwencja masarza nie jest jednak niezbędna.

Zawisza Bydgoszcz to klub, który już nie istnieje, występując obecnie w IV lidze.

Pani Szewińska nie jest już tak świeża w kroku, jak dawniej.

Jadą. Cały peleton, kierownica koło kierownicy, pedał koło pedału.

Franciszek Smuda zbyt radykalnie przeczyścił swój zespół.

Trzeba wybrać: uroda albo sztanga. Pintuse-

wicz wybrała tę drugą ewentualność.

Dostałem sygnał z Warszawy, że mają już państwo obraz, więc możemy spokojnie we dwójkę oglądać mecz.

Autorem niektórych powiedzeń – jak tego o rekordzistce świata w sprintach, Irenie Szewińskiej czy cytowane: *Wybił piłkę na tak zwaną pałę* – jest znany i zasłużony były bramkarz reprezentacji Polski – Jan Tomaszewski, którego wypowiedź o błędzie piłkarskim: *To nie błąd, to wielbłąd* można uznać za oryginalną (wykorzystuje mechanizmy gry językowej – błąd: wielbłąd). Inni autorzy – niestety pożałowania godnych wypowiedzi – to także często występujący w TV na antenie ogólnopolskiej znani dziennikarze sportowi.

Przykłady można by tu mnożyć ku rozweseleniu Czytelników, nigdzie jednak w żadnym gatunku dziennikarskim z wyjątkiem telewizyjnego i radiowego komentarza sportowego (rzadziej zjawisko to występuje w prasie sportowej, co jest z pewnością zasługą pracowników korekty) nie spotykamy takiego nagromadzenia błędów językowych, nieporadności, nielogiczności i przejęzyczeń („piłkarz polewa sobie wodę głową”), jak w komentarzu i sprawozdaniu. Zjawisko to staje się, przynajmniej w polskim sprawozdaniu

sportowym, głównie piłkarskim – telewizyjnym i radiowym – jego cechą konstytutywną, ważną i odróżniającą go od pozostałych gatunków dziennikarskich.

Należałoby zadać pytanie, jak to zjawisko przedstawia się w innych językach. Udaną próbą odpowiedzi na to pytanie jest artykuł napisany przez znakomitego specjalistę od języka sportowego – analizującego w wielu swoich pracach jego idiomatykę i strukturę – prof. Jana Ożdżyńskiego¹, który prześledził w sposób kontrastywny radiowy komentarz tego samego meczu piłkarskiego transmitowany przez telewizję po polsku i po francusku. Tam też należałoby szukać interpretacji.

W naszym wypadku wydaje się, że jest to język zaledwie kilku lub kilkunastu znanych i dominujących w środkach masowego przekazu osób („dziennikarzy”), których gafy językowe rozśmieszają widzów, słuchaczy i czytelników, co czyni zawody jeszcze bardziej frapujące w odbiorze zgodnie ze znanym powiedzeniem „*panem et circenses*” – oczywiście ze szkodą dla języka polskiego.

¹ J. Ożdżyński, *Polskie współczesne słownictwo sportowe*, Wrocław 1970.

Elżbieta Sionko

Zabiegi zimno- i ciepłolecznicze

O saunach i komorach kriogenicznych



Pory roku i związane z nimi zmiany temperatur mają wpływ nie tylko na funkcjonowanie naszego organizmu, ale i samopoczucie. Część osób kocha lato i związaną z nim słoneczną ciepłą pogodę, część woli białe szaleństwo ze szczypiącym w policzki mrozem. Wybierając odpowiedni zabieg z ciepło- lub zimnolecznictwa, nie musimy liczyć na łaskawość kapryśnej w naszym klimacie pogody. Wystarczy wybrać się do sauny, by wygrzewać się w miłym cieple, lub do kriokomory, by stawić czoła ponad stustopniowym mrozom

Osoby lubiące ciepło powinny wybrać się do sauny, która ma niebagatelne właściwości oczyszczające. Jednym z jej rodzajów jest sauna fińska – zabieg bardzo popularny w krajach skandynawskich, z którego korzystają osoby w różnym wieku. Dla nich pobyt w saunie to nie tylko zabieg dający możliwość zachowania zdrowia, ale też sposób na spędzenie wolnego czasu i okazja do spotkań towarzyskich.

W Polsce dostęp do sauny wydaje się ograniczony, zarezerwowany wyłącznie dla sportowców. Często, jeżeli już ktoś miał możliwość z niej korzystać, zniechęca się, uważając ten zabieg za zbyt męczący – co najczęściej spowodowane jest nieprawidłowym korzystaniem.

Obecnie kabiny sauny możemy znaleźć nie tylko w ośrodkach odnowy biologicznej, ale również w ośrodkach wypoczynkowych, rehabilitacyjnych, hotelach, gabinetach ko-

smetycznych, przy siłowniach i basenach, a ponadto w sprzedaży dostępne są również kabiny 2–3 osobowe do zainstalowania w domu.

Zabieg sauny zaliczany jest do zabiegów ciepłoleczniczych, ponieważ działamy na organizm wysoką temperaturą oraz okresowo go ochładzamy, co zmusza nasze mechanizmy termoregulacyjne do bardzo intensywnej pracy.

Na prawidłowo przeprowadzony zabieg sauny należy przeznaczyć około 2 godzin. Rozpocząć go możemy średnio po godzinie od ostatniego posiłku. Po wysiłku fizycznym lub przeżytym stresie również należy odczekać ok. 30 min. Przed zabiegiem należy umyć ciało pod ciepłym natryskiem i dokładnie wytrzeć, ponieważ sucha skóra szybciej się poci (mokry ręcznik zostawiamy w szatni, a do kabiny wchodzimy z ręcznikiem suchym). Zalecane

jest korzystanie z sauny w stroju kąpielowym lub nago.

Przystępujemy do pierwszej fazy zabiegu: fazy nagrzewania – czas od 5 do 12 minut.

Kabina sauny wykonana jest z drewna, w środku znajdują się schodkowo ułożone ławy, na niższych ławach temperatura jest niższa, ale większa wilgotność powietrza, a na ławach wyższych odwrotnie. Przy posadzce temperatura wynosi ok. 40°C, a wilgotność 20–60%, przy suficie panuje temperatura 100°C przy 2–6 % wilgotności. Po wejściu do kabiny, najpierw zajmujemy miejsce na niżej położonej ławie, zaś w trakcie zabiegu możemy przejść na ławy wyższe – zależy to od naszego samopoczucia. W celu zwiększenia wilgotności powietrza 2-, 3-krotnie polewamy wodą tzw. „duszę sauny”, czyli stos mocno rozgrzanych kamieni (używamy od ¼ do ¾ l wody) – to powoduje uderzenie pary wodnej, utrudniając oddawanie ciepła z naszego organizmu. Do wody, którą polewamy kamienie, można dodać ulubione zioła lub olejki eteryczne, co będzie źródłem dodatkowych bodźców dla naszego organizmu. W trakcie zabiegu zachowujemy spokój i nie prowadzimy rozmów. Początki złego samopoczucia powinny być sygnałem do opuszczenia kabiny i przzerwania zabiegu.

Po zakończeniu fazy nagrzewania przystępujemy do fazy ochładzania – czas również od 5 do 12 minut. W fazie tej zmniejszamy temperaturę naszego organizmu poprzez zastosowanie chłodnego natrysku, kąpeli lub – przy sprzyjających warunkach atmosferycznych – wyjście na świeże powietrze. Schładzanie ciała rozpoczynamy od stóp i dłoni, kierując się w stronę serca. Następnie wycieramy ciało, wykonujemy kilkuminutową, ciepłą kąpiel stóp i ponownie przystępujemy do fazy nagrzewania.

W trakcie jednego zabiegu 2-, 3-krotnie powtarzamy cykl nagrzewania i ochładzania, pamiętając, aby zawsze zakończyć fazą ochładzania. Po zakończeniu zabiegu należy przez ok. 30 minut odpocząć oraz uzupełnić poziom płynów w organizmie wypijając wodę mineralną lub sok.

Działanie sauny na nasz organizm związane jest głównie ze znacznym obciążeniem mecha-

nizmów termoregulacyjnych i powoduje między innymi: wzrost przemiany materii (o ok. 11%), zwiększenie wydzielania potu (od 800–2000 ml), oczyszczanie organizmu poprzez usuwanie odpadów przemiany materii i toksyn, przyspieszenie oddechu (do 24–36/min), podniesienie tętna (do 100–120 na min.), przegrzanie ustroju (temp. wewnątrz organizmu do 39°C, a powierzchni skóry do 42°C), rozszerzenie naczyń krwionośnych skóry (zgodnie z prawem Dastre-Morata). Nie wolno też zapominać, iż korzystanie z sauny zwiększa siły odpornościowe organizmu i hartuje wzrost jego wydolności, zaś psychicznym efektem zabiegów jest odprężenie, rozluźnienie i odpoczynek.

Dla uzyskania i utrzymania korzystnych zmian w organizmie wystarczy korzystać z sauny regularnie – raz w tygodniu, a w przypadku sportowców – dwa razy.

Oprócz wykonywania zabiegów w celu odprężenia i pielęgnacji ciała, sauna wskazana jest w leczeniu przewlekłych schorzeń reumatycznych, chorób zwyrodnieniowych stawów, nadciśnienia tętniczego okresu I i I/II wg WHO, stanów pourazowych narządu ruchu, niektórych chorób skóry i przewlekłych stanów zapalnych narządów rodnych.

W momencie, kiedy zdecydujemy się na skorzystanie z sauny, powinniśmy skonsultować swoją decyzję z lekarzem, istnieją bowiem schorzenia, będące przeciwwskazaniem do wykonania zabiegu: choroby zakaźne, podwyższona temperatura, skłonność do krwawień, schorzenia przewlekłe (np.: gruźlica, choroba nowotworowa, choroby nerek, wątroby), niedokrwistość, zaburzenia pracy gruczołów wydzielania wewnętrznego, padaczka i stany psychiatryczne, choroby układu krążenia (np. choroba wieńcowa, po zawale mięśnia sercowego), miażdżyca, zarostowo-zakrzepowe schorzenia naczyń krwionośnych, a także niektóre choroby skóry, ciąża, jaskra, alkoholizm, narkomania.

Sauna na podczerwień jest zabiegiem podobnym, pod względem działania na organizm, do sauny fińskiej, lecz ze względu na źródło ciepła, odbywa się on w niższych temperaturach (40–60°C) i przy mniejszej wilgotności. Źró-

dłtem ciepła jest tutaj promieniowanie podczerwone (dł. fali 770–15000 nm), którego energia – po pochłonięciu przez tkanki – zamieniana jest w energię ciepłą. Podczas tego zabiegu występuje dużo silniejsze pocenie się niż w tradycyjnej saunie, a dzięki niższej wilgotności łatwiej jest oddychać.

Promieniowanie podczerwone, stosowane jako zabieg ogólny, powoduje: rozszerzenie naczyń włosowatych i reakcje ze strony naczyń głębokich – zgodnie z prawem Dastre-Morata, obniżenie napięcia mięśniowego, działanie przeciwbólowe, wzmożenie przemiany materii, podniesienie sprawności układu sercowo-naczyniowego, pobudzenie receptorów ciepłych skóry.

Urządzeniem pozwalającym na wykonanie wyżej wymienionych zabiegów są kapsuły SPA, bardzo ostatnio popularne urządzenia o niewielkich wymiarach (2100x900x1080 mm), które dają możliwość wykonania całej gamy różnorodnych zabiegów.

Większość kapsuł rehabilitacyjno-kosmetycznych wyposażona jest w kilka funkcji, które dają możliwość skorzystania z: masażu wodnego, masażu bąbelkowego, biczów szkockich, sauny parowej, sauny suchej, sauny na podczerwień, koloroterapii, aromaterapii, muzykoterapii. Zabiegi te dobiera się w zależności od stanu zdrowia i potrzeb pacjenta, a ich efekty to nie tylko poprawa stanu zdrowia i wyglądu, ale również samopoczucie. Zabiegi mogą działać witalizująco, pobudzająco lub – wprost przeciwnie – relaksująco, odpężająco i uspokajająco.

Z kolei osoby, które nie boją się niskich temperatur, mogą skorzystać z krioterapii. Zabiegi ogólne polegają na poddaniu ciała pacjenta działaniu niskich temperatur, które powodują obniżenie temperatury tkanek powierzchniowych, ale nie doprowadzają do hipotermii ustroju. Czas przebywania pacjenta w komorze początkowo wynosi 0,5 min i stopniowo zwiększany jest do 3 min, pacjent raczej nie odczuwa zimna, tylko delikatne „kłucie szpileczkami” na odsłoniętej skórze.

Zabiegi są wykonywane w specjalnie skonstruowanych komorach kriogenicznych,

jedno- lub kilkuosobowych. Pacjent przed ich rozpoczęciem powinien zgłosić się na konsultację do lekarza, który wykluczy występowanie u niego przeciwwskazań do wykonania zabiegu. Są nimi: choroby serca i układu krążenia, choroby płuc, zmiany nowotworowe, stany wyniszczenia i osłabienia organizmu, ciąża, klaustrofobia, miejscowe odmrożenia, stany ropno-zgorzelinowe skóry. Istnieją jednak pewne wskazania do terapii, którymi najczęściej są: w chorobach narządu ruchu – stany pourazowe, dyskopatie, zapalenia okołostawowe mięśni, ścięgien, torebek stawowych, choroby zwyrodnieniowe; w chorobach reumatycznych – reumatoidalne zapalenie stawów w okresie ostrym i przewlekłym, zesztywniające zapalenie stawów kręgosłupa, łuszczycowe zapalenie stawów w okresie ostrym, dna moczanowa w okresie ostrym; w chorobach układu nerwowego – ostry zespół rwy kulszowej, niedowłady spastyczne, zapalenie splotów i nerwów obwodowych.

Przed zabiegiem pacjent musi przebrać się w strój kąpielowy, osuszyć skórę (nie może być spocony), zdjąć biżuterię, ochronić dłonie, stopy, głowę, uszy, nos i usta. Poddany zostaje badaniu tętna i ciśnienia oraz poinformowany o prawidłowym zachowaniu się w czasie zabiegu: należy oddychać powoli, niezbyt głęboko przez nos, a ponadto wykonywać dowolne ruchy kończynami i chodzić.

Duże kabiny składają się z kilku komór o różnej temperaturze po to, aby przyzwyczaić organizm do zmiany temperatury – np.: w kabinie dwukomorowej w pierwszej komorze utrzymuje się temperatura -60°C, a w drugiej -110°C, zaś w kabinie składającej się z trzech komór, temperatura w pierwszej wynosi -10°C, w drugiej -60°C, a w ostatniej -110°C. W kabinie jednoosobowej niska temperatura (od -120°C do -160°C) działa na ciało pacjenta tylko do wysokości ramion, jego głowa jest wyłączona spod wpływu temperatury dzięki możliwości regulacji wysokości kabiny.

Wykonanie serii zabiegów (ok. dziesięciu) powoduje: zwiększenie ruchomości stawów, zwiększenie siły mięśniowej, poprawę tolerancji wysiłku fizycznego, działanie przeciwbólowe,

zmniejszenie stosowania środków przeciwbólowych i przeciwzapalnych, wzrost odporności organizmu, poprawę samopoczucia. Nadto pomaga w walce z cellulitem i nadwagą.

Najlepiej samemu spróbować, do czego gorąco zachęcam.

Elżbieta Sionko

Literatura

1. G. Straburzyński, *Medycyna fizykalna*, Warszawa 2000.
2. T. Mika, *Fizykoterapia*, Warszawa 1996.
3. *Wellness harmonia duszy i ciała*, „Harmonia” 2004, nr 2 (11), s. 10–11.
4. *Wszystko co złe zostaw... w saunie*, „Harmonia” 2004, nr 2 (11), s. 12–14.

Czesław Michalski

Sport akademicki wśród geografów



Sport akademicki cieszył się zawsze ogromnym zainteresowaniem w środowisku naszych uczelnianych geografów. Odegrali oni bardzo istotną rolę w jego rozwoju i to zarówno pod względem organizacyjnym, jak i sportowym. Brak dokumentacji nie pozwala wiernie odtworzyć szczegółowych osiągnięć, pokusić się można tylko o fragmentaryczne wspomnienia, które przeszły do historii uczelnianego sportu.

Oto w lutym 1950 r. rozpoczęło swą działalność Uczelniane Koło Sportowe AZS, zorganizowane z wielkim entuzjazmem (w oparciu o bazę materialną i opiekę Studium Wychowania Fizycznego) przez studentów Uczelni, wśród których szczególnie wyróżnili się studenci geografii: Zbigniew Szopa, Andrzej Schabowski, Tadeusz Ziętara, Mieczysław Stefanów i Lech Pakuła. Zarząd tego Koła z jego pierwszym przewodniczącym, Zbigniewem Szopą, korzystając z sali gimnastycznej, sprzętu i instruktorów Studium WF, utworzył sekcje sportowe: siatkówki mężczyzn i kobiet, koszykówki mężczyzn, piłki nożnej oraz sekcję szachową. Od 1951 r. corocznie organizowane były spartakiady uczelniane, które cieszyły się dużym zainteresowaniem młodzieży i przyczyniły się do popularyzacji sportu, w czym duża zasługa Tadeusza Ziętary, pełniącego funkcję prezesa Koła w roku 1952.

W 1954 r. została utworzona sekcja piłki nożnej. Biorąc udział w rozgrywkach państwowych w klasie C zdobyła I miejsce i awans do klasy B. W 1955 r. drużyna ta zdobyła mistrzostwo klasy B i awansowała do klasy A. W roku 1956 piłka nożna została w całym pionie AZS, a tym samym i w naszej Uczelni, zlikwidowana. Za-

łożycielem i opiekunem drużyny był ówczesny asystent Instytutu Geografii, mgr Mieczysław Stefanów, który w późniejszym okresie pełnił funkcję kierownika sportu krakowskiego i dyrektora V Liceum Ogólnokształcącego.

W tym samym czasie, ok. roku 1956, największe sukcesy sportowe i organizacyjne odnosił Lech Pakuła, kierujący wówczas Zarządem AZS. Należał do wybijających się lekkoatletów krakowskiego pierwszoligowego AZS Kraków – o jego osiągnięciach sportowych i naukowych pisałem w numerze 4. (2000) „Konspektu”.

Również w barwach pierwszoligowego AZS Kraków w skoku wzwyż występowała studentka geografii Magdalena Baranowska (1960–1965). Jej rekord, 1,61 cm, pozwolił na reprezentowanie barw Polski w meczach międzypaństwowych. Znaczące sukcesy w barwach Klubu AZS w biegach sprinterskich odnosił także Jan Lach, obecny dyrektor Instytutu Geografii. Do historii uczelnianego sportu przejdą wyczyny Józefa Kukulaka, dzisiejszego adiunkta Zakładu Geologii Instytutu Geografii, którego sylwetkę przedstawiałem w numerze 2. (2000) „Konspektu”. Należy podkreślić jego ogromne poświęcenie sportowe. Już jako doktor nauk geograficznych reprezentował Uczelnię w mistrzostwach Polski Wyższych Szkół Pedagogicznych i filii Uniwersytetów. W latach 1970–2001 występował w różnych dyscyplinach lekkoatletycznych, zdobywając 11 medali (2 złote, 2 srebrne i 7 brązowych). Medale zdobywał w dysku (2 złote), kuli i trójskoku. Ostatni raz reprezentował barwy Uczelni w 2003 r. w akademickiej lidze międzyuczelnianej Krakowa.

Równolegle z Józefem Kukulakiem studiowała Maria Fraś-Czubała, sprinterka pierwszoligowego AZS Kraków, medalistka mistrzostw Polski WSP. Jej najlepsze wyniki: w biegu na 100 metrów – 11,8 sek. i na 200 metrów – 24,1 sek. Inną koronną dyscypliną sportową wśród naszych geografów była koszykówka. Najbardziej znaną sportsmenką była, studiująca w latach 1972–1977, Teresa Starowieyska, zawodniczka wielokrotnego mistrza Polski – Wisły Kraków. Po Mistrzostwo Polski sięgała sześciokrotnie: 1969, 1970, 1971, 1975, 1976 i 1977. W drużynie krakowskiej Wisły rozpoczynała karierę zawodniczą Magdalena Gmyrek, najpierw jako pracownik Zakładu Geografii Regionalnej, a następnie Biblioteki Instytutu Geografii; była żoną dwukrotnego olimpijczyka, brązowego medalisty Igrzysk Olimpijskich w Montrealu – Jana Gmyrka. Jako juniorka zdobyła tytuł mistrza Polski z zespołem krakowskiej Wisły. W czasie studiów reprezentowała barwy naszego Klubu AZS w lidze międzyuczelnianej i w mistrzostwach

Polski WSP, należąc do najlepszych zawodniczek uczelnianego zespołu. W drugoligowym zespole krakowskiego AZS w latach 1982–1987 w koszykówkę grali: student geografii, wychowanek Górnika Brzeszcze, Marek Michalik i Jacek Marchwicki.

Z najmłodszego pokolenia koszykarzy wyróżnić należy studenta V roku geografii Sławomira Rakoczy. Do grona prezesów Klubu Uczelnianego AZS dołączył grający w piłkę ręczną Tomasz Wachowicz, pełniący tę funkcję w latach 2001–2003. W ostatnich latach medale na mistrzostwach Polski Szkół Pedagogicznych zdobywali narciarz i pływak Mateusz Budzyński oraz lekkoatleta Michał Lech. Z działaczy należy wyróżnić Pawła Iwanickiego, zawodnika sekcji pływackiej i lekkiej atletyki. W 2001 r. Instytut Geografii zorganizował studia o specjalności geografia z wychowaniem fizycznym, co umożliwia absolwentom geografii prowadzić w szkole zajęcia wychowania fizycznego.

Łukasz Smogorowski

Z życia Klubu Uczelnianego Akademickiego Związku Sportowego

8 listopada 2005 r. odbyło się walne, sprawozdawczo-wyborcze zebranie Klubu Uczelnianego Akademickiego Związku Sportowego Akademii Pedagogicznej. Powodem była dobiegająca końca kadencja zarządu, którego prezesem był student V roku politologii, lekkoatleta Tomasz Nowocien. Przedstawiciel Środowiskowej Komisji Rewizyjnej, dr Wojciech Folt, uznał działalność uczelnianego związku za zgodną ze statusem AZS; ustępującemu zarządowi jednogłośnie udzielono absolutorium.

Jedynym kandydatem na stanowisko nowego prezesa Klubu Uczelnianego AZS AP był student III roku historii, pływak Adam Prusakiewicz – i on właśnie będzie pełnił tę funkcję przez następne dwa lata (czyli czas trwania kadencji). W wyniku głosowania powołano również nowy zarząd Klubu, w skład którego weszli: Natasza Styczyńska, Tomasz Nowocien, Łukasz Smogorowski, Paweł Iwanicki, Sławomir Rakoczy, Wojciech Galica, Zbigniew Wantuch oraz Artur Horecki.

Nie będzie to łatwa kadencja, chociażby z tego względu, że brakuje środków na podstawowe sprawy: treningi, wyjazdy na rozgrywki, mistrzostwa – nie wspominając już o finansach na zakup niezbędnego sprzętu. W dalszym ciągu większość sekcji ma zajęcia tylko raz w tygodniu; większa częstotliwość treningów (jak choćby sek-

cji lekkoatletycznej, prowadzonej przez państwa Tokarzów) jest wynikiem społecznego zaangażowania trenerów.

KU AZS AP jest organizacją ściśle związaną z Uczelnią, toteż nie mogąc prowadzić działalności gospodarczej, musi liczyć jedynie na coraz bardziej ograniczone w tym względzie możliwości finansowe Uczelni, przychyłność niektórych instytutów oraz – co nie jest łatwe w przypadku sportu akademickiego – pozyskanie sponsora (od wielu miesięcy Klub wspiera firma R-Line i jest to jedyna pomoc finansowa z zewnątrz).

O ważności sportu akademickiego, promocji kultury fizycznej, zapobieganiu, zwalczaniu i przezwyciężaniu skutków chorób cywilizacyjnych (wyniki badań stanu zdrowia i sprawności fizycznej studentów są z roku na rok coraz gorsze) mówi się dużo – chociażby przy okazji dużych imprez z udziałem kolejnych ministrów – jednak rzadko jest to poparte konkretnymi ustaleniami, które sprzyjałyby rozwojowi masowego sportu. Słowo „kultura” w wyrażeniu „kultura fizyczna” nie jest przypadkowe: sport doskonale wywiązuje się z zadań wspomagających procesy wychowawcze i kształtujące.

Wiosną 2001 r., w numerze 6. „Konspektu”, Wojciech Zaręba napisał, że „społeczność akademicka wydaje się tkwić w szponach niemożności. Można odnieść wrażenie, że sprawy własnego

zdrowia i kondycji fizycznej chcemy załatwić później”. „Później” ma do siebie niestety to, że łatwo przechodzi bolesną metamorfozę w „za późno”.

Sport masowy jest podstawowym celem Klubu Uczelnianego AZS, a jednocześnie najtrudniejszym do zrealizowania – albowiem opór stawiają też sami studenci. Nie można jednak zapominać o duchu sportowej rywalizacji, znaczeniu występów reprezentacji Uczelni, a także bogatych tradycjach Studium Wychowania Fizycznego i Sportu (SWFiS) AP oraz uczelnianego AZS-u. Wojciech Zaręba napisał też, że „KU AZS jest sportowym reprezentantem Akademii Pedagogicznej, a o tym często się zapomina. Studenci i nauczyciele akademicki, sportowcy biorąc udział w licznych imprezach, ogólnopolskich (a także międzynarodowych: w zorganizowanym na wiosnę 2004 r. w Krakowie, przez uczelniany AZS i SWFiS AP, 50-leciu Studium oraz jesienią tego samego roku, w zawodach <<Studentckiej Sportowej Jesieni 2004>> w Kijowie), służą promowaniu Uczelni. Stanowią o jej obliczu i postrzeganiu w środowisku studenckim”.

W połowie grudnia 2005 r., w auli Akademii Pedagogicznej, odbyła się konferencja naukowa *Kultura a zdrowie społeczne. Przegląd i analiza środowiskowych form oddziaływań kulturotechnicznych w zakresie profilaktyki społecznej*, zorganizowana przez Pedagogium – Wyższą Szkołę Pedagogiki Resocjalizacyjnej w Warszawie. Przedsięwzięciu patronował uczelniany związek sportowy, nie bez powodu zresztą: tematem jednych z warsztatów towarzyszących konferencji była prezentacja praktycznych możliwości

realizacji form oddziaływań kulturotechnicznych poprzez sport, do wykorzystania w klubach sportowych, od AZS-u po kluby osiedlowe.

W Warszawie, dzięki społecznej inicjatywie, utworzono dla wychowanków domów dziecka ligę piłkarską składającą się z 20 drużyn. Udało się pozyskać sponsora i wyposażyć wszystkich zawodników w firmowe stroje, co oczywiście – w oczach uczestników – niezwykle podniosło rangę tych rozgrywek. W Nowej Hucie ruszyła ostatnio inicjatywa utworzenia osiedlowej ligi rugby. Sport ma odciągnąć młodych ludzi od nałogów, wyrwać ich z uścisku patologii społecznych – dać możliwość pozytywnego upustu energii i rozładowania agresji.

Warszawskie Pedagogium wspiera społecznie wartościowe inicjatywy. Prowadzący konferencję wykładowcy tej placówki deklarowali chęć dzielenia się własnym doświadczeniem, a nawet, w przypadku najbardziej cennych projektów, pomoc organizacyjną. Stołeczna uczelnia, zainicjowała akcję powstawania klubów Pedagogium na terenie całej Polski: sportowych, muzycznych czy też dramy – rodzaj i sposób działalności zależy od pomysłu inicjatorów danego klubu.

W przypadku sportu akademickiego – uczelniany AZS gotów jest zapewnić pomoc w utworzeniu nowych sekcji sportowych, jeśli tylko znajdzie się odpowiednia liczba studentów, gotowych być członkami owych sekcji. W dalszym ciągu brakuje podobnych inicjatyw, ale Klub planuje akcje informacyjne i agitacyjne, mające na celu zachęcić studentów do działalności zarówno sportowej, jak i społeczno-organizacyjnej.

Elżbieta Sionko

Grupy rehabilitacyjne

Rozpoczynający studia na Akademii Pedagogicznej absolwenci szkół średnich nie zawsze cieszą się dobrym zdrowiem. Problemy zdrowotne, z którymi borykali się do tej pory, nie znikają wraz ze zdaniem matury, ale – niestety – towarzyszą im również w trakcie studiów. Na początku roku akademickiego osoby takie – na podstawie opinii lekarza prowadzącego – kierowane są na konsultacje do Poradni Rehabilitacyjnej lub Komisji Lekarskiej. Od momentu otrzymania odpowiedniego skierowania uczestniczą w zajęciach grupy rehabilitacyjnej. Studenci, którzy w trakcie studiów ulegli wypadkowi, doznali urazu lub pogorszył się ich stan zdrowia, są również przenoszeni z grupy ogólnej do grupy rehabilitacyjnej.

Najczęstszymi schorzeniami, które uniemożliwiają uczestniczenie w zajęciach ogólnych wychowania fizycznego, są: wady postawy i boczne skrzywienia kręgosłupa, stany po urazach (złamaniach, skręceniach), przewlekłe zespoły bólowe, rwa kulszowa, zesztywniające zapalenie stawów kręgosłupa, stany po operacjach chirurgicznych, astma, wady wzroku, alergie i inne.

Grupy rehabilitacyjne dla studentów prowadzone są przez pracowników Studium Wychowania Fizycznego i Sportu już od kilkunastu lat, w wymiarze 90 minut tygodniowo, i odbywają się na sali gimnastycznej lub na pływalni. W każdym roku akademickim na zajęcia uczęszcza około 80–100 studentów i studentek. Celem zajęć jest poprawa stanu zdrowia, zahamowanie dalszego rozwoju choroby i podniesienie ogólnej wydolności organizmu.

Zajęcia odbywające się na sali gimnastycznej obejmują przede wszystkim: ćwiczenia specjalnie dostosowane do poszczególnych schorzeń oraz ćwiczenia ogólnokondycyjne, połączone z grami i zabawami o charakterze korekcyjnym. W zakresie innych praktyk stosowane są ćwiczenia elongacyjne, antygrawitacyjne, oddechowe, izometryczne oraz ćwiczenia z oporem. Wpływają one na poprawę zakresu ruchu w stawach, zwiększenie siły mięśniowej, poprawę koordynacji nerwowo-mięśniowej, zmniejszenie dolegliwości bólowych, wzrost wydolności układu krążenia i oddechowego. Studenci i studentki uczą się autokorekcji postawy ciała, właściwej organizacji warunków nauki, przestrzegania zasad higieny pracy i wypoczynku nie tylko biernego, ale i czynnego.

Z kolei w zajęciach na pływalni mogą uczestniczyć zarówno osoby umiejące pływać, jak i osoby, które tę umiejętność dopiero nabywają. Pierwszym etapem zajęć jest wówczas nauka pływania, a dopiero potem ćwiczenia korekcyjne, podczas których na organizm wpływa też specyfika samego środowiska wodnego¹. Znając jego właściwości, możemy wykonywać ćwiczenia w odciążeniu (ruch po powierzchni wody), ćwiczenia wspomagane (ruch od dna w kierunku powierzchni wody) i ćwiczenia z oporem (ruch od powierzchni wody w kierunku dna basenu).

W wodzie stosuje się ćwiczenia specjalne dla poszczególnych wad, z wykorzystaniem stylów pływackich i ich różnorodnym oddziaływaniem korekcyjnym, a także ćwiczenia oddechowe, elongacyjne, rozciągające i wzmacniające

określone grupy mięśniowe. Ich wspólnym celem jest uzyskanie poprawnego ułożenia poszczególnych segmentów ciała, dzięki wykorzystaniu panujących tu warunków. W zakres celów wchodzi też: wyrobienie silnego gorsetu mięśniowego, zmniejszenie przykurczów mięśniowych i wzmocnienie mięśni osłabionych, poprawa koordynacji ruchowej.

Systematyczne uczestniczenie w zajęciach, pełne zaangażowanie w czasie ćwiczeń – po-

dyktowane nie tylko obowiązkiem uzyskania zaliczenia, ale przede wszystkim troską o swoje zdrowie – w połączeniu ze zdrowym trybem życia, owocuje poprawą stanu zdrowia, zahamowaniem postępu choroby, zmniejszeniem dolegliwości i poprawą samopoczucia.

¹ E. Sionko, *Woda – nowe środowisko człowieka*, „Konspekt” 2005, nr 2, s. 190–191.

Badania ankietowe w Bibliotece Głównej AP

Biblioteki coraz częściej przyjmują strategię marketingową, nastawioną na klienta, albowiem mają świadomość, że bez czytelników tracą rację bytu. Strategia ta składa się z trzech elementów: jakości, obsługi klienta i marketingu. O jakości usług biblioteki świadczy zatem poziom satysfakcji użytkowników.

W ciągu ostatnich dziesięciu lat w Bibliotece Głównej Akademii Pedagogicznej nastąpiło wiele zmian, związanych m.in.: z komputeryzacją opracowania zbiorów, udostępniania oraz wyszukiwania informacji. W bibliotece działa zintegrowany system *Virtua*. Ponadto Oddział Informacji Naukowej stworzył w internecie serwis informacyjny z dziedziny pedagogiki i psychologii: *Pedagogika online*, a także szereg innych nowych usług informacyjnych, m.in.: opartą na zbiorach naszej biblioteki *Komputerową bazę danych* z zakresu pedagogiki i literatury pięknej; zamieszczoną w 2001 r. na stronie WWW Biblioteki Głównej AP *Bibliografię dorobku piśmienniczego pracowników* naszej Uczelni oraz *Katalog prac doktorskich*.

Po kilku latach funkcjonowania nowych źródeł informacyjnych postanowiliśmy sprawdzić ich przydatność i stopień wykorzystania, a także poziom zadowolenia użytkowników z usług informacyjnych, oferowanych całej społeczności internetowej. Badania ankietowe, które chcemy w przyszłości regularnie powtarzać, mają pomóc w doskonaleniu systemu jakości usług oraz wyznaczyć następne kroki w zacieśnianiu współ-

pracy z użytkownikami Oddziału Informacji Naukowej.

Ankiety przeprowadzono od listopada 2004 do stycznia 2005 r. Formularz umieszczono na stronach WWW Biblioteki Głównej AP oraz rozdawano w Oddziale Informacji Naukowej.

Pytania miały w większości formę zamkniętą. Odpowiadając na nie, badani wybierali opcje: „zdecydowanie tak”, „tak”, „nie mam zdania”, „nie” lub: „zdecydowanie nie”. W dwóch przypadkach były do wyboru odpowiedzi „tak” lub „nie”. Przy innych pytaniach badani mogli umieścić własne propozycje ewentualnych zmian w zakresie informacji naukowej.

W badaniach wzięło udział 109 osób (w tym 82 ankiety wypełniono przez internet), z czego 86 badanych było studentami, 8 – pracownikami naukowymi, 1 – doktorantem AP, 8 – nauczycielami, 6 – to inne osoby. Na pytanie o zadowolenie z godzin otwarcia OIN przeważająca większość (69 osób) odpowiedziało twierdząco, 15 osób – zdecydowanie tak, 16 osób nie miało zdania, a tylko 9 osób nie było zadowolonych. Jedno z pytań dotyczyło zadowolenia ze sposobu informowania o usługach świadczonych przez OIN i tu 50 osób odpowiedziało tak, 9 – zdecydowanie tak, 28 badanych nie miało zdania, a 12 odpowiedziało negatywnie.

Podsumowując, przebadane osoby w większości pozytywnie oceniły naszą pracę. Wydaje się, że godziny pracy Oddziału spełniają oczekiwania użytkowników (już po zakończeniu badań an-

kietowych wydłużono czas pracy całej biblioteki w soboty o godzinę). Sposoby informowania o usługach OIN oraz informacje zawarte na redagowanej przez nasz Oddział stronie domowej biblioteki też oceniono raczej jako wystarczające, ale w dalszym ciągu szukamy nowych form promocji naszej pracy. Wypowiedziano się zdecydowanie za przydatnością obowiązkowych szkoleń bibliotecznych, które w założeniu mają ułatwić użytkownikom korzystanie z zasobów naszej biblioteki. Oprócz szkoleń dla studentów pierwszych lat, codziennie pomagamy naszym czytelnikom w wyszukiwaniu informacji, poszukując literatury w krajowych i zagranicznych bazach danych, wyjaśniając zasady funkcjonowania internetu itp.

Wyniki ankiety wykazały również, iż pracownicy Oddziału powinni jeszcze większą uwagę poświęcić promocji naszego serwisu informacyjnego *Pedagogika online*, który z założenia ma ułatwić użytkownikom wyszukiwanie, znajdujących się w internecie, cennych źródeł z zakresu pedagogiki i psychologii. Ważne jest, by użytkownicy trafiali do informacji odpowiednio wyselekcjonowanych i sprawdzonych pod względem merytorycznym, co staramy się robić, wyszukując do naszego serwisu tylko strony godne polecenia, a także sami tworząc umieszczane w serwisie zestawienia bibliograficzne z zakresu pedagogiki i nauk pokrewnych. Na większą uwagę czytelników zasługuje też bibliografia dorobku piśmienniczego pracowników AP, którą zna mniej niż połowa badanych. Link do komputerowej bibliografii umieściliśmy na stronie domowej Uczelni, informujemy też o niej studentów i pracowników naukowych odwiedzających nasz Oddział.

Mimo zdecydowanie pozytywnych uwag na temat łatwości korzystania z naszego katalogu komputerowego zdarzają się też użytkownicy mający kłopoty z jego obsługą. Jesteśmy do dyspozycji naszych czytelników pełniąc dyżury przy terminalach i wyjaśniając na bieżąco wszystkie wątpliwości, których wciąż jeszcze – mimo szkoleń bibliotecznych – nie brakuje. Wynika to często z niepełnej znajomości obsługi komputera, a także z szybkich zmian, jakie nieustannie dokonują się w samym systemie bibliotecznym.

Tak jak oczekiwaliśmy, czytelnicy liczą też na większą liczbę stanowisk komputerowych, gdyż nie wszyscy dysponują dostępem do internetu. Ten postulat został częściowo spełniony tuż po zakończeniu badań ankietowych. W 2005 r. biblioteka wzbogaciła się o kilka nowych terminali z dostępem do katalogu komputerowego i internetu (ogółem posiadamy 23 stanowiska).

Na pytania o kulturę obsługi oraz kompetencje i pomoc personelu Oddziału Informacji Naukowej zdecydowana większość badanych odpowiedziała pozytywnie, ale do refleksji pobudza nas też kilka odpowiedzi negatywnych.

Kolejne badania ankietowe będą przeprowadzone w tym roku akademickim, we wszystkich działach pracujących bezpośrednio z użytkownikami, co w efekcie da nam całościowy obraz poziomu zadowolenia z usług Biblioteki Głównej Akademii Pedagogicznej w Krakowie.

Dziękujemy wszystkim osobom, które wzięły udział w naszych badaniach i ponownie zapraszamy do wypełniania ankiet, które znajdą Państwo odwiedzając Czytelnię Czasopism oraz Czytelnię Główną Biblioteki Głównej AP.

Elżbieta Budkiewicz

Działalność informacyjna w Bibliotece Głównej Akademii Wychowania Fizycznego w Krakowie

Współczesna informacja naukowa wymaga solidnej bazy w postaci zbiorów tradycyjnych i elektronicznych, a przede wszystkim umożliwienia dostępu online do katalogów, bibliografii, e-dokumentów. Współczesny czytelnik, zaprzyjaźniony z komputerem i świadomy jego możliwości w procesie indywidualnego kształcenia, jest wymagający, co dynamizuje pracę bibliotekarza i wyzwala twórczą inicjatywę. Należy przy tym podkreślić, że krakowska AWF kształci specjalistów w trzech dziedzinach: wychowanie fizyczne, turystyka i rekreacja oraz fizjoterapia, których łączy czynne uprawianie aktywności fizycznej i propagowanie zdrowego stylu życia

Oddział Informacji Naukowej

Użytkownikami OIN są nie tylko studenci, pracownicy AWF i uczestnicy studiów doktorskich, ale także nauczyciele, trenerzy, lekarze, terapeuci, studenci innych uczelni oraz, coraz częściej, uczniowie szkół krakowskich.

Oddział prowadzi działalność informacyjną, bibliograficzną, naukową, kulturalno-oświatową i dydaktyczną, od roku 2004 opiekuje się również Informatorium i Czytelnią Czasopism Bieżących. Bibliotekarze z OIN podczas dyżurów pomagają użytkownikom w korzystaniu z komputerowych baz danych, katalogów oraz zasobów sieci, informując o możliwościach

dostępu do źródeł. Na zlecenie pracowników naukowych oraz innych bibliotek opracowują zestawienia i kwerendy bibliograficzne, a także sprowadzają pełne teksty artykułów z czasopism, dostępnych w innych bibliotekach, coraz częściej w postaci elektronicznej. Aby ułatwić korzystanie z zasobów Biblioteki, prowadzone są szkolenia biblioteczne dla studentów I i III roku oraz pokazy baz danych dla pracowników Uczelni.

Oddział pomaga w wypełnieniu kart informacyjnych SYNABA dla Ośrodka Przetwarzania Informacji w Warszawie, prowadzi działalność wydawniczą i organizuje wystawy.

OIN wydaje kwartalnik „Biuletyn Informacyjny Biblioteki Głównej AWF w Krakowie”,

a także bibliografie i foldery. Dużym zainteresowaniem cieszy się przygotowana wspólnie z Oddziałem Udostępniania *Ocena parametryczna czasopism naukowych* opracowana przez Renatę Kamińską-Włodarczyk, Bożenę Siwiec-Kurczab i Dariusza Tynora w 2003 r., wznowiona i uaktualniona w roku 2004.

Informatorium

Informatorium BG AWF w Krakowie czynne jest od poniedziałku do piątku w godzinach 9.00–19.00, w soboty od 9.00 do 13.00. Wypożyczone jest w siedem stanowisk komputerowych. Przez pierwsze miesiące działania zdarzały się przypadki korzystania z Informatorium niezgodnie z regulaminem, stopniowo jednak studenci zrozumieli, że nie jest to kawiarenka internetowa i zaakceptowali ten fakt. Regulamin Informatorium zamieszczony jest w sieci na stronie domowej Biblioteki, dodatkowo przy każdym stanowisku umieszczono informację o zasadach korzystania z internetu (wyłącznie w celu poszukiwania materiałów do pracy i nauki). Aby ograniczyć niekontrolowany dostęp do poczty i innych tego typu serwisów, instalowane są specjalne programy. Za zgodą bibliotekarza można skorzystać z poczty elektronicznej na jednym ze stanowisk, w razie potrzeby wysłania pozyskanej informacji na domowy komputer użytkownika. Nagrywanie na płyty CD oraz inne nośniki dokonuje wyłącznie bibliotekarz. Korzystanie z baz danych i czasopism elektronicznych, z powodu ograniczeń licencyjnych, możliwe jest tylko w Oddziale Informacji Naukowej.

Bazy danych

Oddział Informacji Naukowej opracowuje własne bibliograficzne bazy danych, na podstawie posiadanych przez Bibliotekę czasopism, wydawnictw Uczelni oraz materiałów dostarczonych przez studentów, doktorantów i pracowników naukowych. Bazy udostępniane są w sieci w programie „Expertus”, który umożli-

liwia poszukiwanie przez autora, tytuł lub hasło. Tematyka związana jest z programem studiów realizowanym w AWF.

Baza *Publikacje pracowników AWF w Krakowie* zawiera dane dotyczące dorobku naukowego pracowników (od 1928 r., czyli utworzenia Studium Wychowania Fizycznego przy Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie) i jest stale uzupełniana. Pracownicy mają obowiązek zgłaszania na bieżąco swoich publikacji, ponadto systematycznie uzupełniany jest dorobek z lat ubiegłych.

Baza *Zawartość wybranych wydawnictw (w tym czasopism) ze zbiorów Biblioteki Głównej AWF w Krakowie* jest, podobnie jak wyżej opisana, bazą wielodzielnicową. Jej najwcześniejsze opisy pochodzą z „Przeglądu Dokumentacyjnego Kultury Fizycznej”, który obejmował ważniejsze czasopisma krajowe i zagraniczne, posiadane przez wszystkie uczelnie AWF w Polsce od 1985 r. Obecnie indeksowanych jest 18 czasopism oraz wydawnictwa Uczelni. Równocześnie trwają prace nad projektem współpracy pomiędzy bibliotekami AWF, w celu poszerzenia polskojęzycznej oferty bibliograficznej z zakresu interesującego użytkowników tych bibliotek oraz usprawnienia pracy i wyeliminowania powtarzających się czynności.

Ostatnia baza to *Bibliografia prac doktorskich, magisterskich i licencjackich obronionych w AWF w Krakowie*, której zasięg chronologiczny sięga początków Uczelni (1928 r.). Zawiera pełną informację o pracach magisterskich od 1990 r.

Z kolei serwis polskich baz danych dostępnych online dysponuje pokazną bazą danych o nazwie *Nauka polska* (oprac. Ośrodek Przetwarzania Informacji); zawiera ona informacje dotyczące badań naukowych (SYNABA), rozpraw doktorskich i habilitacyjnych, instytucji naukowych i in. W skład serwisu wchodzi również: bazy bibliograficzne o tematyce ogólnej, opracowane przez Bibliotekę Narodową: *Książki polskie, Czasopisma polskie, Bibliografia Artykułów z Czasopism Polskich*, katalogi: *Centralny Katalog Książek Zagranicznych, Centralny Katalog Czasopism Zagranicznych* oraz bazy tematyczne:

Bibliografia Geografii Polskiej (oprac. Centralna Biblioteka Geografii i Ochrony Środowiska) i *Pedagog* (oprac. Ośrodek Informacji Naukowej Biblioteki Głównej Uniwersytetu Opolskiego). Osobno istnieje też baza bibliograficzna o treści: pedagogika i nauki pokrewne, pedagogika opiekuńczo-wychowawcza, wychowanie przedszkolne, edukacja wczesnoszkolna, aktualizowana na bieżąco od roku 1990.

Osobny zbiór danych zgromadzono w Informatorium. Wyróżnić tam można *Polską Bibliografię Lekarską*, opracowywaną przez Główną Bibliotekę Lekarską – jest to baza o tematyce medycznej, zawiera streszczenia w języku polskim i angielskim, jej zasięg chronologiczny sięga roku 1978, od tego czasu jest aktualizowana na bieżąco. Wydawnictwo Prawnicze Lex wydaje pełnotekstową bazę *Lex Omega*, zawierającą teksty aktów prawnych, piśmiennictwo prawnicze i urzędowe, orzeczenia sądów. Z kolei zbiór przepisów prawa turystycznego, orzecznictwo i komentarze, znajdują się w bazie *LexPolonica Optima – Turystyka* (Wydaw. Prawnicze Lexis Nexis).

Zagraniczne bazy danych dostępne są albo w sieci uczelnianej, albo w Informatorium.

Do pierwszej grupy należą przede wszystkim bazy oferowane przez serwis EBSCOhost.

Baza *Sport Discus* (Sport Information Resource Centre) zawiera opisy bibliograficzne, abstrakty, połączenia z pełnymi tekstami z bazy *Academic Search Premier*. Tematyka obejmuje: szeroko pojętą kulturę fizyczną, wychowanie fizyczne i sport, psychologię sportu, teorię treningu, fizjologię, biomechanikę i biochemię sportu, anatomię, antropologię, turystykę i rekreację. Jest aktualizowana na bieżąco, zasięg chronologiczny – od 1975r.

Z kolei *Medline* (National Library of Medicine). Zawiera opisy bibliograficzne, abstrakty i linki do pełnych tekstów. Jej zakres tematyczny to medycyna, rehabilitacja, fizjoterapia, fizykoterapia, nauki medyczne i biomedyczne. Najwcześniejsze teksty sięgają 1966 r.; jak wszystkie inne, również ta baza jest na bieżąco aktualizowana. Dalej wymienić można *Academic Search Premier*

(EBSCO Publishing), wielodzielnicową bazę obejmującą zakres nauk społecznych, pedagogiki, edukacji, informatyki, nauk medycznych i biomedycznych, *Health Source Nursing/Academic Edition*, zawierającą opisy bibliograficzne, abstrakty i pełne teksty dotyczące medycyny, medycyny sportu, pielęgniarstwa i wychowania zdrowotnego. Podobną tematykę podejmuje baza *Health Source: Consumer Edition*.

Tematykę dotyczącą ekonomii, zarządzania, finansów oraz marketingu wprowadza *Business Source Premier* – zawiera ona opisy bibliograficzne i pełne teksty, a zasięgiem chronologicznym obejmuje okres od 1922 r. do dnia dzisiejszego. Na podstawie londyńskiego czasopisma „The Times” oraz 240 czasopism z USA opracowana jest ogólnotematyczna baza *Newspaper Source*. Zagadnienia związane z pedagogiką i edukacją, bieżąco aktualizowane, oferuje baza *ERIC* (Wyd. Edukacyjne Centrum Informacji przy Departamencie Edukacji USA).

Oprócz tego wymienić warto *Leisure, Recreation and Tourism Research* (CAB International) – bazę bibliograficzną zawierającą abstrakty, dotyczące zagadnień związanych z turystyką i rekreacją, ekologią, socjologią turystyki, a także aspektami ekonomicznymi, takimi jak: marketing, zarządzanie, rynek turystyczny, hotelarstwo etc. Baza jest na bieżąco aktualizowana, dostępna również w wersji drukowanej w Czytelnii Czasopism Bieżących.

Dla chętnych dodam, iż serwis EBSCO wprowadził nową usługę – dostęp do baz (z wyjątkiem *Sport-Discus*) z komputerów domowych dla pracowników naukowych i doktorantów AWF w Krakowie. Zainteresowani, po zapoznaniu się z warunkami licencji, otrzymują hasło, umożliwiające im przeszukiwanie baz poza siecią uczelnianą.

Do drugiej grupy należą bazy danych dostępne w Informatorium (na płytach CD-ROM lub on-line). Działa tam baza *Rehabilitation & Physical Medicine* (Elsevier Science B.V.), jej tematyka dotyczy rehabilitacji i pokrewnych nauk biomedycznych, przydatnych w terapii pacjentów po urazach oraz niepełnosprawnych.

Swym zasięgiem chronologicznym obejmuje lata 1990–2005. Szeroki zakres tematyczny oferuje baza *Current Contents. Life Science* (ISI Thomson Scientific). Obejmowanymi dziedzinami są: fizjologia, farmakologia, badania nad nowotworami, neurologia, biologia molekularna, genetyka, mikrobiologia, biologia eksperymentalna, endokrynologia, żywienie, metabolizm, chemia analityczna, kardiologia i hematologia, biochemia i biofizyka, badania medyczne, a także zastosowania statystyki i komputerów w naukach medycznych. Zasięg chronologiczny to lata 1994–2005.

Current Contents. Social and Behavioral Science (ISI Thomson Scientific) jest bazą z zakresu m.in.: rehabilitacji, antropologii, ekonomii, edukacji, ekologii, prawa, zarządzania, nauk politycznych, psychiatrii, psychologii, polityki socjalnej, socjologii i pedagogiki specjalnej.

Wydawnictwa Multimedialne

W Informatorium udostępniane są dokumenty elektroniczne na nośnikach fizycznych, zawierające m.in.: mapy, ilustracje, filmy, nagrania

dźwiękowe. Należą do nich encyklopedie, np.: *Encyklopedia pwn.pl*, składająca się z 18 tomów, *Wielka encyklopedia tatrzańska* pod red. Zofii i Witolda Paryskich; słowniki, m.in.: *Multimedialny leksykon Igrzysk Olimpijskich PWN*; atlasy: *Wielki multimedialny atlas świata PWN*, *Atlas anatomii Granta* – atlas medyczny z dołączonym *Interaktywnym egzaminem praktycznym*; przewodniki m.in. po Londynie i Paryżu. Użytkownicy zdecydowanie preferują korzystanie ze źródeł zamieszczonych w sieci.

W Informatorium dostępne są również płyty dołączane do czasopism popularno-naukowych i prasy codziennej.

Pracownicy Oddziału Informacji Naukowej starają się promować zasoby Biblioteki organizując różnego rodzaju wystawy. Celem kadry jest, przede wszystkim, wspieranie użytkowników w zaspokajaniu ich potrzeb informacyjnych, także poprzez stworzenie przyjaznej atmosfery.

Elżbieta Budkiewicz

Dziwny kwantowy świat

Część III. Amplitudy prawdopodobieństwa i komputery kwantowe

Amplitudę prawdopodobieństwa przejścia ze stanu $|s\rangle$ do stanu $|f\rangle$ oznaczamy symbolem $\langle f|s\rangle$. Jest to pewna liczba zespolona, której kwadrat modułu $|\langle f|s\rangle|^2$ jest równy prawdopodobieństwu przejścia $|s\rangle \rightarrow |f\rangle$. Oto reguły rządzące amplitudami prawdopodobieństwa:

Reguła I. Załóżmy, że istnieje kilka nieodróżnialnych fizycznie sposobów przejścia obiektu kwantowego ze stanu wyjściowego $|s\rangle$ w stan końcowy $|f\rangle$. W tym przypadku wypadkowa amplituda przejścia $\langle f|s\rangle$ jest sumą amplitud, odpowiadającym różnym sposobom przejścia: $\langle f|s\rangle = \sum \langle f|s\rangle_{(k)}$, gdzie indeks k oznacza k -ty sposób przejścia.

To, że drogi przejścia są fizycznie nieodróżnialne oznacza, iż nie pozostawiają one żadnych śladów w środowisku, w którym przebiega proces kwantowy, a zatem w żaden sposób nie można ustalić szczegółów przebiegu tego procesu.

Reguła II. Załóżmy, że istnieje kilka stanów końcowych $|f_1\rangle, |f_2\rangle, \dots, |f_k\rangle$, i że wyznaczamy prawdopodobieństwo przejścia do dowolnego z tych stanów. W tym przypadku wypadkowe prawdopodobieństwo przejścia, które oznaczamy przez $|\langle f|s\rangle|^2$, jest sumą prawdopodobieństw przejść do różnych stanów końcowych: $|\langle f|s\rangle|^2 = \sum |\langle f_k|s\rangle|^2$. Stany końcowe są rozróżnial-

ne po odpowiednim wzmocnieniu do poziomu klasycznego, pozostawiają one ślady klasycznie rozróżnialne.

Reguła III. Załóżmy, że przejście ze stanu $|s\rangle$ do stanu $|f\rangle$ odbywa się poprzez pewien stan pośredni $|\phi\rangle$. Wówczas musimy znać amplitudy kolejnych przejść, tzn. amplitudy $\langle \phi|s\rangle$ i $\langle f|\phi\rangle$ amplituda wypadkowa w tym przypadku jest iloczynem wspomnianych amplitud. Innymi słowy, jeśli przejście można rozbić na kolejne etapy, to amplituda przejścia jest wyrażona przez iloczyn amplitud poszczególnych etapów. Z reguły I i III już intuicyjnie korzystaliśmy.

Reguła IV. Załóżmy, że mamy do czynienia z dwoma niezależnymi obiektami kwantowymi. Niech jeden obiekt kwantowy dokonuje przejścia $|s\rangle \rightarrow |f\rangle$ i równocześnie niech drugi obiekt dokonuje przejścia $|S\rangle \rightarrow |F\rangle$. W tym przypadku wypadkowa amplituda przejścia, którą oznaczamy przez $\langle fF|sS\rangle$, jest iloczynem amplitud przejścia poszczególnych obiektów kwantowych tzn.: $\langle fF|sS\rangle = \langle f|s\rangle \langle F|S\rangle$.

Zwróćmy uwagę, że dotyczące amplitud reguły II, III i IV mają taką samą postać formalną jak odpowiednie zasady, które formułuje się w odniesieniu do prawdopodobieństw. Reguła II odpowiada twierdzeniu o dodawaniu prawdopo-

dobieństw, reguły III i IV odpowiadają twierdzeniu o mnożeniu prawdopodobieństw. Niezwykła jest reguła I, którą nazywamy regułą Feynmana. W pewnym sensie właśnie na niej zbudowany jest cały system pojęć QM.

Załóżmy teraz, że przejście obiektu kwantowego ze stanu początkowego do końcowego odbywa się za każdym razem przez jeden ze stanów pośrednich $|\phi_1\rangle, |\phi_2\rangle, \dots$, lecz nie staramy się odpowiedzieć na pytanie, przez który konkretnie stan pośredni ono następuje. W tym przypadku każdy ze sposobów przejścia $|s\rangle \rightarrow |f\rangle$ jest określony przez to, który ze stanów pośrednich uczestniczy w danym przejściu.

Rozważmy sytuację, gdy jest możliwe ustalenie, przez jaki konkretnie stan pośredni nastąpiło przejście, tzn. przejście przez każdy stan pośredni zostawia teraz pewien ślad w środowisku, w którym zachodzi proces kwantowy i ślad ten można wzmocnić do poziomu klasycznego. Jest to przypadek **alternatyw rozróżnialnych fizycznie**. Do jego opisu należy połączyć regułę II i III. Gdy tego dokonamy, zauważymy, że wypadkowe prawdopodobieństwo ma postać:

$$| \langle f | s \rangle |^2 = \sum | \langle f | \phi_k \rangle \langle \phi_k | s \rangle |^2$$

Jeżeli nie jest możliwe ustalenie, przez który stan pośredni nastąpiło przejście (co oznacza, że każde takie przejście nie pozostawia żadnych śladów w środowisku), wówczas mamy do czynienia z tzw. przypadkiem **alternatyw nieodróżnialnych**. Aby opisać ten przypadek należy zastosować łącznie reguły I i III. Gdy tego dokonamy, zauważymy, że teraz wypadkowa amplituda prawdopodobieństwa ma postać:

$$\langle f | s \rangle = \sum \langle f | \phi_k \rangle \langle \phi_k | s \rangle$$

Ten wynik jest charakterystyczny dla QM. Mówimy wtedy o *interferencji amplitud* przejścia przez różne stany pośrednie. Podkreślimy, że interferencja jest możliwa tylko wówczas, gdy odpowiadające danemu doświadczeniu alternatywy są fizycznie nieodróżnialne. Zatem prawdopodobieństwo przejścia $|s\rangle \rightarrow |f\rangle$ tym razem ma postać:

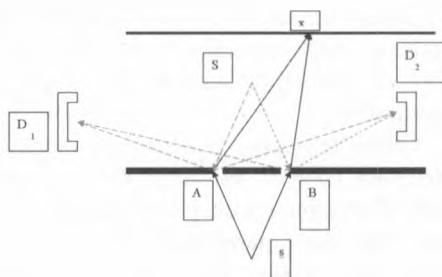
$$| \langle f | s \rangle |^2 = \left| \sum \langle f | \phi_k \rangle \langle \phi_k | s \rangle \right|^2$$

Różnica między przypadkami alternatyw rozróżnialnych i nierozróżnialnych fizycznie jest widoczna, gdy porównamy odpowiednie prawdo-

podobieństwa. W pierwszym przypadku dodają się prawdopodobieństwa alternatyw, w drugim amplitudy prawdopodobieństwa alternatyw.

Znikanie interferencji amplitud przy „kontrolowaniu” zachowania obiektu kwantowego

Zastosujemy teraz ogólne reguły, określające sposoby posługiwania się amplitudami prawdopodobieństwa, do opisu przebiegu kolejnego doświadczenia. Schemat tego eksperymentu przedstawia rysunek 1. Z_1, Z_2 – zwykle zwierciadła, P_1, P_2 – zwierciadła półprzepuszczalne.



Rys. 1 Eksperyment z dwoma szczelinami. Fotony „śledzą” ruch elektronów.

Na rys. 1 s jest źródłem elektronów, S jest źródłem fotonów, D_1, D_2 są detektorami fotonów, które rejestrują dwa różne stany końcowe fotonów rozproszonych w pobliżu szczelin A i B przez elektron. Początkowo będziemy zakładać, że fotony rozproszone w pobliżu dowolnej szczeliny mogą zostać zarejestrowane zarówno przez detektor D_1 jak i D_2 (co odpowiada zastosowaniu promieniowania o dostatecznie dużej długości fali). W tym przypadku fotony nie kontrolują całkowicie przechodzenia elektronów przez przegrodę ze szczelinami. Wprowadźmy następujące oznaczenia dla amplitud przejścia dla elektronów: $\langle x | A \rangle \langle A | s \rangle = \phi_1$, $\langle x | B \rangle \langle B | s \rangle = \phi_2$, i dla fotonów $\langle D_1 | A \rangle \langle A | S \rangle = \langle D_2 | B \rangle \langle B | S \rangle = \psi_1$, $\langle D_2 | A \rangle \langle A | S \rangle = \langle D_1 | B \rangle \langle B | S \rangle = \psi_2$, gdzie skorzystaliśmy z symetrii dotyczącej dróg fotonów,

widocznej na rys. 1. Widzimy, że amplituda prawdopodobieństwa równoczesnego przejścia elektronu ze źródła do punktu x na ekranie, i przejścia fotonu ze stanu $|S\rangle$ do detektora D_1 , tzn. do stanu $|D_1\rangle$, jest równa: $\langle xD_1|sS\rangle = \langle D_1|A\rangle\langle A|S\rangle\langle x|A\rangle + \langle D_1|B\rangle\langle B|S\rangle\langle x|B\rangle = \psi_1\phi_1 + \psi_2\phi_1$. Pierwszy składnik sumy odpowiada sytuacji, gdy elektron dociera do szczeliny A , rozprasza foton do detektora D_1 i wędruje do punktu x na ekranie, drugi składnik opisuje sytuację, w której elektron dociera do szczeliny B , rozprasza foton do detektora D_1 i wędruje do punktu x na ekranie.

Prawdopodobieństwo rejestracji elektronu w punkcie x , niezależnie od tego, gdzie został zarejestrowany foton, $|\langle x|s\rangle|^2$, zgodnie z regułą II, ma postać: $|\langle x|s\rangle|^2 = |\langle xD_1|sS\rangle|^2 + |\langle xD_2|sS\rangle|^2 =$ (dodajemy kwadraty modułów odpowiednich amplitud, gdyż rejestracja fotonu przez detektory D_1 albo D_2 , to zdarzenia makroskopowo rozróżnialne).

Całkowite prawdopodobieństwo przejścia elektronu $|s\rangle \rightarrow |x\rangle$ jest sumą dwóch składników. Pierwszym z nich jest pomnożona przez $(\psi_1)^2 + (\psi_2)^2$ suma prawdopodobieństw przejścia przez obie szczeliny A i B każdej z osobna. Drugi składnik ma charakter interferencyjny. To ten składnik powoduje, że obserwuje się interferencyjny rozkład traień elektronów na ekranie. A zatem, dopóki fotony nie kontrolują sposobu, w jaki elektrony przechodzą przez przegrodę ze szczelinami, obserwowany jest efekt interferencyjny. Jak pamiętamy w rozważanym przykładzie założyliśmy, iż promieniowanie posiada dostatecznie dużą długość fali. Zaczniemy teraz zmniejszać długość fali fotonów. Przy tym będzie maleć prawdopodobieństwo trafienia fotonu rozproszonego do detektora znajdującego się po przeciwnej stronie szczeliny, przy której dochodzi do rozproszenia na elektronie. Oznacza to, że wraz ze zmniejszaniem długości fali promieniowania maleć będzie amplituda ψ_2 , a to z kolei spowoduje, że człon opisujący interferencję będzie coraz mniejszy. W rezultacie obraz interferencyjny obserwowany na ekranie będzie zanikał.

Przy odpowiednio małej długości fal promieniowania możliwa jest dokładna kontrola nad przechodzeniem elektronu przez szczeliny. W tym granicznym przypadku rozproszone fotony będą trafiać jedynie do tego detektora, który znajduje się w pobliżu szczeliny, przy której nastąpiło rozproszenie – będzie wówczas znikać amplituda ψ_2 i prawdopodobieństwo rejestracji elektronu w punkcie x , niezależnie od tego, który detektor zarejestrował foton tym razem ma postać: $|\langle x|s\rangle|^2 = \psi_1^2(\phi_1^2 + \phi_2^2)$. Tak, więc kontrola nad przechodzeniem elektronu przez szczeliny prowadzi do znikania interferencji amplitud.

Rozważając ten problem widzimy, że zagadnienie rozróżnialności alternatyw jest dość subtelne – oprócz całkowitej rozróżnialności, z którą mamy do czynienia, gdy $\psi_2 = 0$, i całkowitej nierozróżnialności istnieje całe widmo sytuacji pośrednich, którym odpowiada częściowa rozróżnialność. Z całkowitą nierozróżnialnością amplitud mamy do czynienia, gdy prawdopodobieństwa, że foton trafi do detektora leżącego blisko szczeliny, jest takie samo jak to, że trafi do detektora leżącego po przeciwnej stronie szczeliny, przy której rozproszył go foton.

Tak więc rozróżnialność i nierozróżnialność amplitud prawdopodobieństwa nie są bynajmniej dyskretne. Całkowita nierozróżnialność w sposób ciągły przechodzi w całkowitą rozróżnialność. Nierozróżnialność jest równoważna ze spójnością (koherentnością) zjawisk kwantowych.

Komputery kwantowe

Komputer kwantowy jest przykładem urządzenia kwantowego. Stany dowolnego urządzenia kwantowego są opisywane przez wektory stanu, z których można tworzyć kombinacje liniowe (superpozycje). Możliwość ta nosi również nazwę koherentności. Czasowa ewolucja wektora stanu takiego urządzenia jest opisywana przez równanie Schrödingera. Wiemy już, że zasady fizyki klasycznej i kwantowej są radykalnie różne i dlatego można oczekiwać, że urządzenia,

dla których obowiązuje zasada kwantowej koherencji, będą się zasadniczo różnić od ich klasycznych analogonów. Z praktycznego punktu widzenia niezwykle ważna jest odpowiedź na pytanie, czy ta odmienność oznacza, że urządzenia kwantowe mają jakieś przewagi nad ich klasycznymi odpowiednikami.

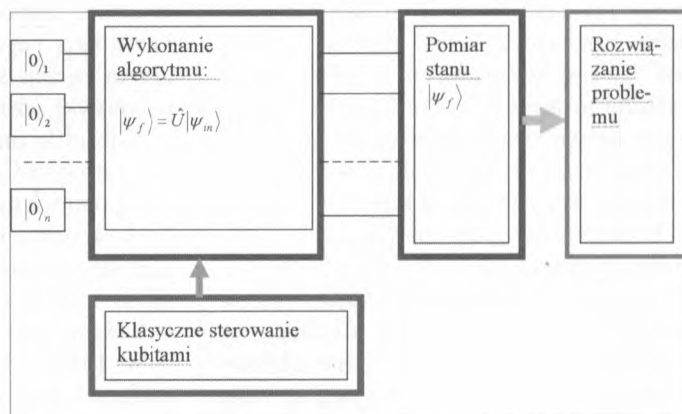
Na podstawie naszego przykładu z wykrywaniem nieuszkodzonych bomb możemy podejrzewać, że odpowiedź na to pytanie jest pozytywna. Rzeczywiście okazuje się, że można np. skonstruować kwantowe linie przekazu informacji, które są doskonale tajne tzn., że nie można ich „podśluchiwać”. Jak wynika z rozważań teoretycznych, komputery kwantowe posiadają istotne przewagi nad komputerami klasycznymi (tzn. tymi, którymi się teraz posługujemy i w których zachodzą procesy klasyczne), gdyż mogą rozwiązywać problemy nierozwiązywalne dla komputerów klasycznych.

Skonstruowanie efektywnie działającego komputera kwantowego jest związane z przewyższeniem wielu trudności natury technologicznej i z pokonaniem skutków tzw. dekoherencji. Otóż koherencja (spójność) ewoluującego, w komputerze kwantowym stanu, jest niszczone przez nieusuwalne zaburzenia zewnętrzne – jest to problem, z którym musimy sobie poradzić, gdyż właśnie koherencja jest podstawą potężnych mocy obliczeniowych komputerów kwantowych.

Komputer kwantowy jest urządzeniem, które wykonuje operacje (realizuje zaprogramowany algorytm), na ciągu tzw. kubitów. Kubit jest kwantowym odpowiednikiem bitu. W charakterze kubitów możemy wybrać dowolny układ kwantowy z dwoma stanami charakteryzowanymi przez wektory stanu $|0\rangle$ i $|1\rangle$. Stan $|0\rangle$ nazywamy stanem podstawowym kubitów, stan $|1\rangle$ to

stan wzbudzony. Schemat idealnego komputera kwantowego przedstawiam na rys. 2.

Rozważany przez nas komputer kwantowy nazywamy jest idealnym, ponieważ jego stany są koherentne. Oznacza to, że komputer nie oddziałuje z otoczeniem generującym szumy naruszające spójność wektora stanu komputera (czyli



Rys. 2 Schemat komputera kwantowego

zakładamy, że można pominąć dekoherencję) a poza tym, że w komputerze idealnym sygnały zewnętrzne realizują dokładne sterowanie.

Wektor stanu $|\psi\rangle$ rejestru kwantowego złożonego z n kubitów jest superpozycją 2^n bazowych wektorów stanu $|i_1 i_2 \dots i_n\rangle$, gdzie $i_1, i_2, \dots, i_n = \{0, 1\}$ tzn. $|\psi\rangle = \sum_{i_1, i_2, \dots, i_n} c_{i_1, i_2, \dots, i_n} |i_1 i_2 \dots i_n\rangle$.

Powyższa superpozycja jest wektorem w 2^n wymiarowej przestrzeni wektorowej. Wszelkie informacje o stanie komputera kwantowego zakodowane są w wektorze $|\psi\rangle$. Wszelkie, czego można dokonać z układem, sprowadza się do przekształcenia początkowego wektora stanu $|\psi_m\rangle$ w pewien stan końcowy $|\psi_f\rangle$ przy pomocy operacji $\bar{U}$: $|\psi_f\rangle = \bar{U}|\psi_m\rangle$.

Wygodnie jest tak przygotować stan początkowy, aby wszystkie kubyty były w stanie podstawowym $|0\rangle$. Algorytm rozwiązania problemu jest zawarty w operacji $\bar{U}$. Klasyczna informacja o rozwiązaniu problemu zawarta jest w stanie końcowym $|\psi_f\rangle$, i wydobywamy ją dokonując pomiaru na kubitach.

Aby rozwiązać problem na komputerze kwantowym należy: przygotować odpowiednią liczbę kubitów, sprowadzić je do stanów podstawowych, sterować ich ewolucją kwantową tak, aby zrealizować operację $\bar{U}$ i wykonać pomiar stanu kubitów opisywanych przez wektor $|\psi_f\rangle = \bar{U}|\psi_m\rangle$.

Zauważmy, że dowolny stan komputera kwantowego jest superpozycją 2^n stanów bazowych, zatem ograniczona liczba kubitów (cząstek, czyli zasobów fizycznych) np. $n = 1000$, tworzy wykładniczo duży ($2^{1000} \approx 10^{300}$) zasób informacyjny, którym dysponuje komputer kwantowy. Właśnie stąd wynikają podstawowe przewagi komputera kwantowego nad klasycznym.

Konsekwencją zasady superpozycji jest 2^n -krotny kwantowy paralelizm obliczeń. W istocie zmiana stanu tylko jednego kubitów zmienia natychmiast całą superpozycję składającą się z 2^n składników. Tymczasem rejestr n -bitowy komputera klasycznego zawsze występuje tylko w jednym spośród 2^n stanów możliwych. Stan rejestru klasycznego jest jednowymiarowy. Zmiana stanu jednego bitu przeprowadza rejestr w inny jednowymiarowy, blisko leżący stan. Zasoby informatyczne komputera klasycznego są wykładniczo małe w porównaniu z zasobami komputera kwantowego.

Cała informacja o rozwiązywanym problemie i o algorytmie, który go rozwiązuje jest zawarta w operacji $\bar{U}$. Wektor stanu końcowego zawiera z kolei informację o rozwiązaniu problemu. Informację tę można otrzymać wykonując pomiar na każdym z n kubitów komputera kwantowego znajdującego się w stanie $|\psi_f\rangle$. Wykonując taki pomiar otrzymamy jedną z możliwych wartości $(i_1 i_2 \dots i_n)$ z prawdopodobieństwem $|c_{i_1 i_2 \dots i_n}|^2$. W rzeczywistości tylko jedna szczególna wartość $K = (k_1 k_2 \dots k_n)$ jest rozwiązaniem – pozostałe są błędne. Aby idea komputera kwantowego miała realne znaczenie algorytm kwantowy $\bar{U}$ powinien prowadzić do takiego stanu końcowego $|\psi_f\rangle$, że prawdopodobieństwo znalezienia poprawnego rozwiązania $p_K = |c_{k_1 k_2 \dots k_n}|^2 \approx 1$, natomiast suma prawdopodobieństw otrzymania wszystkich błędnych odpowiedzi jest bardzo

mała. Wszystkie algorytmy kwantowe, jakie dotychczas opracowano, posiadają omówioną własność. Sterowanie komputerem kwantowym polega na (kontrolowanym przy pomocy komputera klasycznego) zmienianiu w sposób ciągły współczynników $c_{i_1 i_2 \dots i_n}(t)$, w celu otrzymania pożądanego stanu końcowego. A zatem algorytm kwantowy sprowadza się do umiejętnego manipulowania amplitudami prawdopodobieństwa. Konstrukcją odpowiednich algorytmów kwantowych zajmują się specjaliści znający zarówno informatykę, jak i mechanikę kwantową.

Najbardziej znanymi algorytmami kwantowymi są: algorytm Grovera, służący do przeszukiwania ogromnych baz danych oraz algorytm Shora, dzięki któremu można rozkładać na czynniki pierwsze ogromne liczby naturalne. Znajomość takich rozkładów jest podstawą bezpiecznego szyfrowania informacji.

W 1981 r. Richard Feynman pokazał, że ewolucja stanów nawet niezbyt złożonych układów kwantowych przebiega tak szybko, że żaden klasyczny komputer nie może jej symulować na tyle szybko, aby dzięki temu można było przewidzieć zachowanie takiego układu. Komputery kwantowe mogą w efektywny sposób symulować ewolucję układów kwantowych. Pojawienie się pierwszych żywych organizmów na Ziemi (np. wirusów) to na pewno wynik ewolucji kwantowej, gdyż wówczas podstawową rolę odgrywały oddziaływania między atomami i molekułami. Można, więc mieć uzasadnioną nadzieję, że z chwilą, gdy przezwyciężymy problemy natury technicznej, które wiążą się między innymi z wyizolowaniem odpowiedniej liczby kubitów, wyjaśnimy tajemnicę początków życia.

Jerzy Szczepny

Literatura

- R. P. Feynman, R. B. M. Sands, *Feynmana wykłady z fizyki*, tom III: *Mechanika kwantowa*, Warszawa 1974.
- R. P. Feynman, *QED osobliwa teoria światła i materii*, 1992.
- G. J. Milburn, *Inżynieria kwantowa*, Warszawa 1999.
- G. J. Milburn, *Procesor Feynmana*, Warszawa 2000.
- R. Penrose, *Makroświat, mikroświat i ludzki umysł*, Warszawa, 1997.

R. Penrose, *Nowy umysł cesarza. O komputerach, umyśle i prawach fizyki*, Warszawa 1995.

R. Penrose, *Cienie umysłu. Poszukiwanie naukowej teorii świadomości*, Poznań 2000.

I. Stewart, *Czy Bóg gra w kości? Nowa matematyka chaosu*, wyd. 4 popr. i zm., Warszawa 2001.

Duch w atomie. Dyskusja o paradoksach teorii kwantowej / oprac. P.C.W. Davies i J.R. Brown, Warszawa 1996.

I. Prigogine, *Kres pewności. Czas, chaos i nowe prawa natury*, Warszawa 2000.

G. Zukav, *Tańczący mistrzowie Wu Li. Spojrzenie na nową fizykę*, Poznań 1995.

I. W. Tarassow, *Podstawy mechaniki kwantowej*, Warszawa 1984.

J. J. Sławianowski, *Przyczynowość w mechanice kwantowej*, Warszawa 1969.

T. Bigaj, *Kwanty, liczby, abstrakty. Eseje popularne z filozofii nauki*, Warszawa 2002.

15. Ogólnopolskie Symposium Naukowe *Komputer w edukacji*

W dniach 23-24 września 2005 r. w Krakowie odbyło się kolejne, piętnaste już, Ogólnopolskie Symposium Naukowe *Komputer w edukacji*, pod honorowym patronatem JM Rektora Akademii Pedagogicznej, prof. Henryka Żalińskiego.

Tegoroczne symposium było wyjątkowe, zbiegło się z 40. rocznicą powstania Pracowni i Technicznych Środków Nauczania w ówczesnej WSP w Krakowie – protoplasty dzisiejszej Pracowni Technologii Nauczania – organizatora konferencji. Wyjątkowa była również rekordowa liczba referatów.

W symposium uczestniczyli nauczyciele akademicki z całego kraju oraz nauczyciele szkół średnich z rejonu krakowskiego, zajmujący się edukacją komputerową i kształceniem informatycznym. Wśród referentów znalazły się uznane autorytety w tej dziedzinie, m.in. profesorowie: Władysław P. Zaczynski z Uniwersytetu Warszawskiego, Wacław Strykowski z Uniwersytetu Poznańskiego, Maciej M. Sysło z Uniwersytetu Wrocławskiego oraz Ryszard Tadeusiewicz z AGH w Krakowie.

W uroczystości otwarcia symposium udział wzięli przedstawiciele władz Uczelni: Prorektor ds. Studenckich

prof. Marian Zakrzewski i Dziekan Wydziału Pedagogicznego, prof. Bożena Muchacka. Gościem była także przedstawicielka MEN, mgr Iwona Kurzępa. Obrady odbywały się w auli Wydziału Pedagogicznego AP w Krakowie, a przewodniczyli im prof. Jacek Migdałek z Katedry Informatyki i Metod Komputerowych oraz dr Janusz Morbitzer z Pracowni Technologii Nauczania. W naukową atmosferę, jak to ma miejsce już od kilku lat, wprowadził uczestników występ muzyków, którzy zaprezentowali kilka utworów na skrzypce z towarzyszeniem fortepianu i wiolonczeli.



Uczestnicy Symposium

Zwyczajem lat poprzednich, bardzo cenionym przez stałych uczestników, po każdym z wystąpień przewidziano w programie obrad czas na krótką dyskusję, pozwalającą na wzajemną wymianę poglądów, spostrzeżeń i doświadczeń.

Tradycyjnie referat inauguracyjny pt. *Ponowoczesne losy ideału wychowania* wygłosił prof. Władysław P. Zaczynski, stały gość naszego sympozjum.

W tym nurcie – poszukiwania i badania kulturowych, społecznych, psychologicznych oraz filozoficznych obszarów wykorzystania komputera w edukacji – wygłosili swoje referaty m.in. prof. Kazimierz Wenta (*Dyskurs nad edukacją informacyjną w ponowoczesnym świecie*), prof. Maria Ledzińska (*Technologia informacyjna i globalizacja: próba analizy psychologicznej*) oraz dr Janusz Morbitzer (*Postmodernistyczne konteksty Internetu*). Na szczególną uwagę zasługuje także referat nt. *Komputer przedmiotem zainteresowania pedagogiki medialnej* wygłoszony przez prof. Wacława Strykowskiego, którego przesłaniem była potrzeba budowania pedagogiki medialnej jako interdyscyplinarnej nauki o mediach edukacyjnych.

Tematy wystąpień w sesjach piątkowych poświęcone były ponadto zagadnieniom związanym z wykorzystaniem technologii informacyjnej w różnych dziedzinach edukacji (np. mierzenie jakości kształcenia, multimedialne obrazowanie zagadnień z chemii) oraz ich wpływem na rozwój sfery poznawczej i emocjonalnej uczniów (np. obraz ucznia korzystającego z komputera i internetu).

Wielokrotnie w referatach wygłaszanych na sympozjach organizowanych przez PTN pojawiał się – w odniesieniu do edukacji komputerowej – wątek cywilizacyjny i kulturowy. Stąd też przedmiotem tegorocznej dyskusji, która była zwieńczeniem obrad pierwszego dnia sympozjum, uczyniono zagadnienie istotne dla nauczycieli zajmujących się kształceniem infor-



Prof. Wacław Strykowski, UAM Poznań (z prawej)

matycznym: *Człowiek w społeczeństwie informacyjnym – w stronę technologii czy kultury?* Dyskusję prowadzili prof. Jerzy Mikułowski-Pomorski z Akademii Ekonomicznej w Krakowie oraz dr Janusz Morbitzer (członek Rady ds. Edukacji Informatycznej i Medialnej, która stanowi organ doradczy Ministra Edukacji Narodowej).

Podstawę do zaprezentowania własnych opinii uczestników dyskusji stanowiły wystąpienia obu przewodniczących, które dotyczyły technopolizacji życia z jej wszystkimi konsekwencjami (m.in. podporządkowanie technologii nie tylko własnej aktywności intelektualnej, ale też całej edukacji).

Ponadto zwrócono uwagę na dwojakie znaczenie kultury (kultura techniczna – wytwarzanie i używanie narzędzi, kultura humanistyczna – doskonalenie człowieka w jego człowieczeństwie) oraz podjęto próbę wypracowania modelu kształcenia informatycznego, próbując zdiagnozować stan obecny (m.in. znajomość celów technologicznych, uwzględnienie aspektów humanistycznych i kulturowych), przeanalizować przyczyny tego, co jest, i wysunąć postulaty na przyszłość.

Dyskusja pokazała istnienie różnic w podejściu do edukacji wspieranej komputerowo (ujęcie technokratyczne i humanistyczne). Jak słusznie zauważył prof. W. P. Zaczynski, jest to spojrzenie na problem z dwóch stron, które powinny poszukiwać wspólnego języka.



Prof. Władysław Zaczęński

Tradycyjnie po dyskusji uczestnicy sympozjum udali się na wieczorne „Spotkanie przy świecach”, gdzie w miłej i mniej już oficjalnej atmosferze mieli możliwość nawiązania wzajemnych kontaktów oraz kontynuowania naukowych dyskusji i wymiany poglądów.

W drugim dniu obrady rozpoczął prof. inż. Ryszard Tadeusiewicz referatem pt. *Techniczne i pozatechniczne uwarunkowania rozwoju technologii nauczania* oraz prof. Maciej M. Sysło (*Edukacja informatyczna – stan i wyzwania*). Tematyka wygłoszonych w tym dniu referatów dotyczyła internetu w edukacji (m.in. jako źródła wiadomości merytorycznych oraz roli

w nauczaniu na odległość) i automatyzacji procesu kształcenia (m.in. propozycji praktycznych rozwiązań dotyczących usprawnienia i wzbogacenia procesu dydaktycznego).

Obradom towarzyszyła wystawa aktualnej oferty wydawniczej Wydawnictw Szkolnych i Pedagogicznych.

Referaty zgłoszone na sympozjum zostały wydane w formie materiałów drukowanych, które wraz z najnowszym numerem „Konspektu” organizatorzy przekazali uczestnikom przed rozpoczęciem obrad.

Teksty referatów dostępne są również w postaci elektronicznej w internecie pod adresem: www.ap.krakow.pl/ptn/Sympozjum.html.

Pracownia Technologii Nauczania, wychodząc naprzeciw oczekiwaniom osób zainteresowanych tego typu spotkaniami, już dziś wstępnie zaprasza na kolejne, szesnaste sympozjum naukowe w roku 2006. Szczegółowe informacje dotyczące terminu obrad zostaną umieszczone w internecie.

Emilia Musiał
Fot. M. Pasternak

Wanda Matras

Kraków – Lwów: książki, czasopisma, biblioteki XIX i XX w.

W dniach: 16–18 XI 2005 r. Instytut Informacji Naukowej i Bibliotekoznawstwa Akademii Pedagogicznej w Krakowie zorganizował ósmą już konferencję poświęconą problematyce książek, czasopism i bibliotek Krakowa i Lwowa XIX i XX w. Pierwsze tego typu spotkanie odbyło się w 1986 r. (7–8 maja) w ramach obchodów 40-lecia ówczesnej krakowskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej i połączono je ze zjazdem absolwentów studiów bibliotekoznawczych tej uczelni. Kolejne konferencje odbywały się w latach: 1991, 1994, 1997, 1999, 2001 i 2003.

prof. Maria Konopka, prof. Henryka Kramarz, prof. Krzysztof Woźniakowski i dr Piotr Krywak, oraz staraniom komitetu organizacyjnego (dr Barbara Góra – przewodnicząca, dr Ewa Wójcik, dr Grażyna Wrona, dr Władysław M. Kolasa, dr Lilia Kowkiel, mgr Urszula Lisowska, mgr Mieczysław Więclawek).

Wśród dużej liczby uczestników sesji znaleźli się przedstawiciele 18 ośrodków akademickich i naukowych w Polsce m.in.: z Bydgoszczy, Kielc, Krakowa, Lublina, Łodzi, Opola, Poznania, Rzeszowa, Siedlec, Torunia, Warszawy, Wrocławia i Zielonej Góry.

Obecni byli także goście z zagranicy: Lwowskiej Biblioteki Naukowej, Technicznego Uniwersytetu Narodowego w Iwano-Frankowsku oraz Ukrainńskiej Akademii Drukarnstwa. Podobnie jak w ubiegłych latach konferencja służyła prezentacji osiągnięć naukowych, będących wynikiem badań dziejów książki



od lewej siedzą: prof. T. Budrewicz, prof. H. Kosętką, prof. K. Karolczak

Tegoroczna konferencja zorganizowana została dzięki wyteżonej pracy komitetu naukowego w składzie: prof. Halina Kosętką (przewodnicząca), prof. Jerzy Jarowiecki, prof. Roman Jaskuła,

i prasy, życia i kultury literackiej, czytelnictwa i jego recepcji oraz funkcjonowania bibliotek na obszarze historycznej Galicji w ostatnich dwóch stuleciach.

Konferencję rozpoczęła uroczystie prof. Halina Kosętko, dyrektor IINiB, podkreślając, że inaugurowana sesja naukowa zbiega się z obchodami 60-lecia istnienia Uczelni. Zgromadzonych powitali także: prof. Tadeusz Budrewicz, prorektor ds. nauki AP, oraz prof. Kazimierz Karolczak, dziekan Wydziału Humanistycznego AP.

Każdy z uczestników otrzymał materiały konferencyjne zawierające streszczenia wystąpień wszystkich prelegentów. Obrady odbywały się w czterech zespołach roboczych: Sekcja I: Książki i wydawnictwa XIX i XX w.; Sekcja II: Biblioteki XIX i XX w.; Sekcja III: Czasopiśmiennictwo XIX i XX w.; Sekcja IV: Kultura literacka XIX i XX w.

Uczestnictwo w konferencji zgłosiły 93 osoby, wśród których duży procent stanowili gospodarze sesji – pracownicy Instytutu Informacji Naukowej i Bibliotekoznawstwa AP w Krakowie. Należy tutaj zaznaczyć, że od kilkunastu lat, najpierw w Katedrze a następnie w IINiB, prowadzone są prace badawcze związane z wymienioną wyżej problematyką. Zainteresowanie dorobkiem kulturalnym dwóch potężnych ośrodków, Krakowa i Lwowa, znajduje potwierdzenie w licznie podejmowanych badaniach dokumentacyjnych, żmudnych kwerendach w archiwach krajowych i zagranicznych, publikacjach na łamach czasopism, w postaci książek oraz referatów na wielu konferencjach.

Podczas obrad plenarnych przedstawiono 15 referatów, z których część została poświęcona lwowskim ośrodkom drukarskim, wydawniczym i księgarskim (m.in.: prof. Anna Aleksiewicz: *Wybrane źródła do dziejów Zakładu Pillerów we Lwowie*, prof. Maria Konopka: *Księgarnia Polska B. Połonieckiego we Lwowie w dobie autonomii galicyjskiej*, dr Ewa Wójcik: *Księgarstwo lwowskie dwudziestolecie międzywojenne w pamiętnikach i wspomnieniach*, doc. Irina Kotłobułatowa: *Kobiety we lwowskim księgarstwie XIX i XX w.*). Mówiono także o lwowskich redaktorkach, dziennikarkach i publicystkach (dr Zofia Sokół), wkładzie lwowskiego środowiska naukowego w rozwój bibliografii polskiej (dr Artur Znajomski), lwowskich i krakowskich

bibliotekach gimnazjalnych w dobie autonomii Galicji (dr Bronisława Kulka), współpracy bibliofilów Krakowa i Lwowa w zakresie rozwoju nauki o książce (dr Barbara Dąbrowska).

Kraków był przedmiotem znacznie mniejszej liczby wystąpień – w trzech z nich omówiono funkcjonowanie periodyków krakowskich. Dr Mariusz Jakubek przedstawił prasę Krakowa w szerokim przedziale czasowym 1795–1918 w ujęciu statystycznym i typologicznym. Prof. Jerzy Jarowiecki z niezwykłą erudycją omówił krakowski „Dziennik Polski” na tle konspiracyjnej prasy ugrupowań demokratycznych w okresie okupacji, zaś dr Sylwester Dziński zapoznał słuchaczy ze stanem badań nad prasą Krakowa i Lwowa w latach 1990–2004. Ponadto prof. Janusz Sowiński wygłosił referat: *Rola zjazdu im. Kochanowskiego w Krakowie w 1884 r. w ukształtowaniu zasad edytorstwa faksymilowego w Polsce*. Z dużym skupieniem wysłuchano także wystąpienia dr Grażyny Wróny, która przedstawiła *Krakowski indeks książek zakazanych z lat 1932–1939*.

W czasie obrad sekcji I wygłoszono 15 referatów bardzo zróżnicowanych pod względem ujęcia podejmowanego tematu, zakresu chronologicznego i metodologii badań. Znalazły się tutaj wystąpienia informujące o działających na tych ziemiach ośrodkach wydawniczych i kulturalnych, a także produkcji książki i jej dystrybucji w XIX i XX w. Wyjątkowo interesujące okazały się wypowiedzi przybliżające uczestnikom życie drukarzy, księgarzy, bibliotekarzy i historyków książki (prof. Hanna Tadeusiewicz, dr Bożena Koredczuk, mgr Ewa Țluczek). Na wyróżnienie zasługują także referaty prof. Henryki Kramarz nt.: *Księgarsko-bibliotecznej działalności Towarzystwa im. Piotra Skargi w okresie międzywojennym* oraz dr Olgi Kołosowskiej: *Działalność Związku Ukraińskich Pracowników Naukowych Księgozbiorów i Muzeów we Lwowie*.

Sekcja II zajmowała się dziejami bibliotek i ich księgozbiorów, w tym książnic zakonnych: OO. bazylianów (dr Beata Lorens), OO. jezuitów (ks. dr Stanisław Cieślak), Księży Misjonarzy (ks. dr Wacław Umiński) oraz bibliotek



Uczestnicy sesji plenarnej

seminaryjnych i instytutowych Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie (dr Kazimierz Adamczyk). Z dużym zainteresowaniem przyjęto wystąpienie prof. Romana Jaskuły, który omówił Bibliotekę Galicyjskiego Towarzystwa Gospodarskiego we Lwowie (1846–1918).

Sekcja III zgromadziła największą grupę uczestników i organizatorzy zmuszeni byli podzielić ją na dwa zespoły robocze. W 20 wygłoszonych referatach przeważała tematyka dotycząca czasopiśmiennictwa XIX w. oraz okresu dwudziestolecia międzywojennego. By wyliczyć tylko niektóre z przedstawionych zagadnień: *Redaktorzy lwowskich i krakowskich „pism dla ludu” w XIX w.* (prof. Grażyna Gzella), *Życie codzienne lwowian w świetle kroniki gazetowej* (dr Barbara Gierszewska), *Tematyka i metody popularyzacji książki na łamach „Przeglądu Powszechnego”* (dr Andrzej Kaleta). Kilku prelegentów zajęło się tematyką prasy sportowej (dr Artur Kurek), turystycznej (dr Czesław Michalski) oraz lotniczej (dr Agnieszka Cieślik). Problematyce periodyków współczesnych poświęcono znacznie mniej wystąpień. Oryginalną pracę twórczą stanowiły rozważania dr Władysława M. Kolasy nad *Krakowską prasą katolicką u schyłku XX w.*, poparte solidnymi wyliczeniami i skrupulatnie

sporządzonymi zestawieniami. Z kolei mgr Wanda Matras starała się odpowiedzieć na pytanie, czy „Przekrój” Mariana Eilego to jedyne takie pismo na osiemset milionów Słowian czy „organ ćwierćinteligenji”?

Wśród 15 referatów wygłoszonych w sekcji IV zdecydowanie wyróżniało się wystąpienie mgr. Jana Oberbeka, który kresląc historię życia i twórczości Jana Nepomucena Bobrowicza uświetnił je koncertem utworów gitarowych.

W kręgu kultury literackiej XIX i

XX w. znalazła się także wypowiedź dr. Michała Zięby, który zajął się *Romantyzmem polskim na łamach „Ruchu Literackiego” w latach 1874–1878*. Wykłady autorstwa mgr. Pawła Bukowskiego oraz dr. Aliny Brzuski-Kępy dotyczyły kultu Marii Konopnickiej w Krakowie i Lwowie w 1910 r. oraz galicyjskich edycji utworów tej pisarki. W świat koncertu „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” wprowadził słuchaczy dr Adam Bańdo, od lat zajmujący się tą problematyką. Dwa referaty odnosiły się do lat okupacji 1939–1945: prof. Krzysztof Woźniakowski zaprezentował nieznane dotąd informacje na temat *Wojennych książeczek Magdaleny Samozwaniec*, zaś dr Jolanta Chwastyk-Kowalczyk skupiła się na *Problemach kultury Krakowa i Lwowa na łamach londyńskiego „Dziennika Polskiego”*.

Konferencję zakończyły obrady plenarne, na których prof. Halina Kosętko dokonała podsumowania spotkań poszczególnych sekcji. Wzorem lat ubiegłych gospodarze planują wydanie materiałów konferencyjnych w Wydawnictwie Naukowym AP w Krakowie.

Wanda Matras
 Fot. M. Więctawek

Gabriela Meinardi

Europa języków i kultur – spotkanie w Krakowie

Mięło już grubo ponad rok od dnia, kiedy Polska stała się członkiem Unii Europejskiej i zaczęła aktywnie uczestniczyć w międzynarodowych programach, które zawiera w sobie unijny kalendarz inicjatyw. Jednym z priorytetów UE w XXI w. jest promowanie nauki języków obcych, jako że tylko dzięki ich znajomości Europejczycy będą mogli w pełni korzystać ze wszystkich swobód.

Możliwość porozumienia się jest jednym z podstawowych warunków współpracy we wszystkich obszarach Wspólnoty: gospodarce, nauce, wojskowości, kulturze, edukacji itp. Aby włączyć się w bieg tych wydarzeń i zaakcentować znaczenie kontaktów między krajami różnych kultur i języków, Instytut Neofilologii Akademii Pedagogicznej zorganizował w dniach 23–25 czerwca 2005 r. międzynarodową konferencję pod hasłem *Europa języków i kultur*.

Pomimo że jej uczestnicy pochodzili aż z 11 krajów (Francji, Hiszpanii, Rumunii, Węgier, Grecji, Belgii, Niemiec, Portugalii, Szwajcarii, Finlandii i Polski), wszystkich połączył język francuski. Na konferencję zgłoszono 86 referatów, których streszczenia zostały wydrukowane i przekazane wszystkim uczestnikom przed rozpoczęciem spotkań. Obecnych było w sumie ok. 100 osób.

Oficjalne otwarcie i pierwsze plenarne konferencji miały miejsce w głównym budynku uczelni przy ul. Podchorążych 2 – w audytorium im. W. Danki. Spotkanie otworzyła dyrektor Filologii Romańskiej, prof. AP Teresa Muryn, która następnie przekazała głos (wówczas prorektorowi AP) prof. Henrykowi Żalińskiemu,

sprawującemu nad imprezą patronat honorowy. Prof. Żaliński, witając wszystkich uczestników w murach naszej uczelni, wyraził pełne zadowolenie z możliwości spotkania się z ludźmi nauki z tylu różnych krajów i kultur. Ponieważ wielu z nich przybyło tu po raz pierwszy, zapoznał ich pokrótce z historią naszej 60-letniej uczelni, podając przy okazji dane dotyczące jej struktury oraz ilości studentów i pracowników.

Jako historyk i specjalista zajmujący się między innymi stosunkami polsko-francuskimi, nawiązał do słów hymnu polskiego „dał nam przykład Bonaparte...” – podkreślając, że Polska jako jedyny kraj przywołuje przywódcę francuskiego w hymnie narodowym.

Zaakcentował również znaczenie języka francuskiego, który funkcjonował w Polsce jako drugi język narodowy od II połowy XVII do XIX w. „O historii Francji można, być może, mówić bez historii Polski, ale w historii Polski – poza naszymi sąsiadami – główną rolę odgrywała na pewno Francja” – powiedział prof. H. Żaliński. Kończąc swoje inauguracyjne wystąpienie przekazał wszystkim uczestnikom życzenia dorodnych owoców tej konferencji – w postaci publikacji i przyjaźni. Słowa prorektora, przekazane po polsku, tłumaczył na język francuski nasz kolega z Instytutu, mgr K. Błoński.

W przedpołudniowym programie pierwszego dnia znalazły się trzy wystąpienia plenarne. Pierwsze, inauguracyjne, pani Francis Yaiche z Uniwersytetu Paris 4 nt. *Język francuski jako język międzynarodowy: przybliżenie językowe psycho-socjologiczne i marketing* oraz dwa kolejne – pani Laurence Dyevre z Ambasady

Francuskiej, pt. *Polityka językowa Francji* i prof. J. Prokopa z AP, pt. *Mesjanizm republikański i laickość*. Pierwszy dzień obrad nie zakończył się na wystąpieniu ostatniego referenta. Wieczorem wszyscy goście zostali zaproszeni do „Rotundy” na spektakl pt. *Drzewo Kraków*, w reżyserii mgr Janiny Błońskiej i wykonaniu grupy teatralnej Entr’act.

Kolejny dzień był dla wszystkich bardzo pracowity – wygłoszono ok. 40 referatów w różnych sekcjach tematycznych: literatura, językoznawstwo, dydaktyka, przekład. Poza uczestnikami konferencji, wystąpić mogli też wysłuchać inni zainteresowani, w tym pracownicy i studenci naszej romanistyki.

Różnorodność przedstawionych tematów świadczyła o rozległych zainteresowaniach referentów. Zgodnie z profilem konferencji, przeważała tematyka związana z nauczaniem języka francuskiego, jako obcego, przy zastosowaniu nowych mediów, na bazie tekstów literackich, jak i formowania się kompetencji interkulturowych studentów FLE (j. francuski – j. obcy). Nie zabrakło też referatów z zakresu językoznawstwa i literatury w różnych aspektach oraz z przekładoznawstwa.

Wszystkie wystąpienia pozwoliły na wymianę profesjonalnych doświadczeń w zakresie nauczania języka francuskiego w różnych obszarach językowych.

Trzeci dzień konferencji był spotkaniem przedpołudniowym, ponownie w budynku głównym AP. Wypełniły go cztery konferencje plenarne otwarte dla wszystkich zainteresowanych. Dwa ostateczne referaty stanowiły niejako podsumowanie całej konferencji. Pan P. Poszytek – jako przedstawiciel Fundacji Rozwoju Systemu Edukacji – dosyć szczegółowo omówił w języku angielskim program unijny „Socrates-Lingua” i wypływające z niego inicjatywy konkursowe European Language Label. Przypomniął główne zadanie programu „Socrates”, którym jest rozszerzanie współpracy europejskiej w dziedzinie edukacji. Jak powiedział „celem programu jest kreowanie europejskiego wymiaru w nauczaniu, powiększanie kręgu osobistych doświadczeń o wiedzę na temat

innych krajów Europy, rozwijanie poczucia jedności w Europie oraz wspomaganie procesów przystosowania się do nowych warunków społecznych i ekonomicznych w perspektywie zjednoczonej Europy”. Program edukacyjny „Socrates” jest inicjatywą UE przyjętą do realizacji w latach 1995–1999 (I faza programu) oraz 2000–2006 (II faza programu). Polska i inne kraje stowarzyszone z UE brały w nim udział już od roku szk. 1996/97 w ramach działań przygotowawczych. Formalne przystąpienie do programu nastąpiło w marcu 1998 r.

Pan Poszytek przybliżył też podstawowe zasady polityki językowej Rady Europy i UE, aby lepiej zrozumieć priorytety tych programów. Rada Europy, choć nie znajduje się w strukturze UE, część swoich działań koncentruje na rozwoju metodyki nauczania języków obcych, podnoszeniu jakości nauczania oraz propagowaniu obcych wzorców i idei.

Prof. Marcela Świątkowska z filologii romańskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego, w referacie zamykającym konferencję, mówiła o ogólnosiawotowej sytuacji języka francuskiego, wypieranego najczęściej przez język angielski. Dlatego optymistycznym akcentem w tej sytuacji może być krakowskie spotkanie, gdzie językiem obrad był francuski (z wyjątkiem jednego wystąpienia).

Konferencję zamknęła oficjalnie Prof. T. Muryn, która podziękowała organizatorom za jej sprawny przebieg, a wszystkim uczestnikom – za stworzenie przyjaznej atmosfery, dzięki której to krakowskie spotkanie odniosło tak duży sukces i spełniło swój cel programowy. Kraków stał się po raz kolejny europejskim miastem języków i kultur.

Prof. Muryn zaprosiła wszystkich na kolejne spotkanie za 2 lata, kiedy to odbędzie się III konferencja z tego cyklu.

Warto wspomnieć, że konferencji towarzyszyła wystawa publikacji pracowników filologii romańskiej zorganizowana w budynku przy ul. Karmelickiej przez sekcję romańską Biblioteki Instytutu Neofilologii AP. Niektóre z prac dostarczonych przez pracowników można było oglądać po raz pierwszy (głównie tłumaczenia książek i przewodników).

Paweł Wójs

Kondycja człowieka współczesnego: diagnozy i perspektywy

23–25 listopada 2005 r. z inicjatywy Instytutu Filozofii i Socjologii Akademii Pedagogicznej im. KEN w Krakowie odbyła się ogólnopolska konferencja pt. *Kondycja człowieka współczesnego: diagnozy i perspektywy* oraz międzynarodowy panel dyskusyjny pt. *Ego, Self-Knowledge and Freedom*. Ponadto 24 i 25 listopada obradowało Stowarzyszenie Ogólnopolskie Filozoficznych Organizacji Studenckich SOFOS.

W skład komitetu organizacyjnego konferencji weszli: prof. AP Czesława Piecuch (kierownik naukowy), dr Marzenna Jakubczak (inicjator i organizatorka spotkania) i mgr Paweł Wójs (sekretarz).

Celem konferencji było filozoficzne spojrzenie na sytuację człowieka z perspektywy najistotniejszych problemów naszego czasu, z uwzględnieniem różnych tendencji kształtujących obraz współczesnego człowieka w filozofii – zarówno konstruktywnych, jak i tych, które prowadzą do zachwiania tradycyjnego wizerunku jednostki ludzkiej, znacznie go weryfikują czy wręcz niweczą. W centrum uwagi uczestników konferencji znalazł się człowiek, który staje wobec wyzwań i zagrożeń, jakie niesie współczesna nauka, technicyzacja życia, powszechna komunikacja, relatywizm w dziedzinie wartości i inne niepokojące zjawiska.

W konferencji udział wzięli filozofowie z całej Polski. Łącznie zaprezentowano 28 wystąpień. W pierwszym dniu, podczas sekcji plenarnej, prowadzonej przez prof. UJ Łukasza Trzcienieckiego, wygłoszono następujące referaty: prof.

Elżbieta Paczkowska-Łagowska (UJ) *Człowiek epoki technicznej. Rozpoznania Arnolda Gehlena*; prof. Adam Węgrzecki (AE Kraków) *Bycie sobą w świecie współczesnym*; prof. Anna Gałdowa (UJ) *Wspólnota i separacja. Aktualność myśli Alfreda Adlera. Przyczynek do rozważań o problemach współczesnego człowieka*; prof. Zdzisława Piątek (UJ) *Kim jest człowiek w kontekście nadprzyrodzonym i w kontekście współczesnego ewolucjonizmu*; ks. prof. PAT Władysław Zuziak (PAT) *W jaki sposób indywidualizm redukuje człowieka?* prof. AP Janusz Krupiński (Kraków, AP) *Moc a łaska. Dwa ideały twórczości*.

W części popołudniowej obrady toczyły się w dwóch równoległych sekcjach. W sekcji pierwszej, prowadzonej przez prof. Adama Węgrzeckiego, wygłoszono następujące referaty: prof. Władysław Stróżewski (UJ) *Życie szczęśliwe jako wartość*; prof. Jadwiga Mizińska (UMCS) *Rany duchowości*; o. dr Piotr Jordan Śliwiński OFM Cap (UJ) *Zagubiony i odnaleziony w nie-miejsu*; dr Łukasz Nysler (UWr) *Między humanizmem a nieantropocentrycznym naturalizmem – współczesny spór o człowieka*; dr Alojzy Morzyniec (AGH) *Kondycja człowieka w świetle perspektyw rozwojowych inżynierii genetycznej. Szanse i zagrożenia*; mgr Piotr Domeracki (UMK) *Zgryzoty po-nowoczesne*. W sekcji drugiej, którą prowadził ks. dr hab. prof. PAT Władysław Zuziak, swoje referaty wygłoszili: dr Magdalena Wołek (UŚ Katowice) *Człowiek wobec powszechnej estetyzacji codzienności*; mgr Patrycja Szyprowska (UWr) *Człowiek a (współ)odpowiedzialność*; mgr Tomasz Paw-

lak (UŚ Katowice) *O granicach umiarkowanej postawy moralnej*; dr Joanna Byrska (PAT) *Wizerunek człowieka we współczesnym prawie w myśli Ernsta-Wolganga Böckenfördego*; ks. dr Witold Baczyński (PWT Wrocław) *Autorytet i partnerstwo, próba pogodzenia i przywrócenia obu stanowisk, analiza postaci Jana Pawła II*; ks. dr Marek Sołtysiak (PAT) *Między relatywizmem a absolutyzmem. Hermeneutyczna koncepcja prawdy Hansa-Gorga Gadamera*.

Obrazy toczyły się w dwóch sekcjach również drugiego dnia konferencji. W sekcji pierwszej (Audytorium im. Danki), której przewodniczyła prof. Zdzisława Piątek, wygłoszono następujące referaty: prof. UJ Łukasz Trzciniński (UJ) *Człowiek współczesny wobec konfliktu religii*; dr hab. Krzysztof Kosior (UMCS) *Jak jest możliwa sinizacja Zachodu*; ks. dr Ryszard Kozłowski (PAP Słupsk) *Filozofia męstwa w ujęciu P. Tillicha*; dr Wiesław Kurpiewski (AGH) *Wielkość i słabość człowieka – buddyjska odpowiedź na zagrożenia zachodniej cywilizacji*; dr Antonina Sebesta (AP) *Konsumpcjonizm jako wyzwanie dla etyki XXI w.* W sekcji drugiej prowadzonej przez prof. Jadwigę Mizińską referaty wygłosili: prof. AP Czesława Piecuch (AP) *Otrzymać siebie w darze*; dr Włodzimierz Heflik (AP) *Między naturalizmem a transcendentalizmem. Koncepcja człowieka u Wittgensteina*; dr Leszek Kusak (AE Kraków) *Obraz człowieka w filozofii Kanta i Nietzschego – próba porównania*; dr Joanna Hańderek (UJ) *Problemy egzystencji – problemy z egzystencją*; dr Andrzej Warmiński (AP) *Kondycja człowieka współczesnego a conditio humana*.

Wystąpienia wzbudzały żywą dyskusję, w którą aktywnie włączała się zgromadzona publiczność. Wśród zabierających głos słuchaczy znaleźli się wybitni filozofowie reprezentujący zarówno środowisko krakowskie, jak i inne ośrodki akademickie Polski, a także licznie przybyli studenci.

Materiały zaprezentowane podczas wystąpień, wzbogacone o spostrzeżenia i uwagi słuchaczy, ukazały się drukiem.

23 listopada 2005 r. w sali wykładowej IFiS AP odbył się także międzynarodowy panel dyskusyjny pt. *Ego, Self-Knowledge and Freedom*

poświęcony wybranym zagadnieniom filozofii podmiotu. Celem debaty było rozpatrzenie m.in. kwestii świadomości „ja”, kryteriów samopoznania, warunków poznania innych jaźni, a także problemów tożsamości i wolności podmiotu widzianych z perspektywy zachodniej oraz indyjskiej i buddyjskiej tradycji filozoficznej.

Do dyskusji zaproszeni zostali filozofowie z USA, Austrii, Szwecji, Niemiec i Polski. Punktem wyjścia ożywionej i niezwykle interesującej debaty było osiem referatów, które zostały wygłoszone w następującej kolejności: prof. Arindam Chakrabarti (Hawaii University, USA) *The Trouble with “You”: The Problem of Other Selves in 11th Century Indian and 20th Century Western Philosophy*; dr Sven Sellmer (UAM, Poznań) *The Neophenomenological Conception of Subjectivity as a Tool for Comparative Studies*; dr Roger Melin (Dalarna University, Szwecja) *Animalism and Person as a Basic Sort*; dr Kazimierz Mrówka (AP) *Androgyny as a Remedy for the Broken Self-Identity*; prof. William S. Waldron (Middlebury College, USA) *Buddhism and Science on the Co-arising of Self and Object, World and Society*; dr Włodzimierz Heflik (AP) *The Role of the Metaphysical Subject in Wittgenstein’s Tractatus: A Construct or a Really Acting Entity?*; dr Marcus Schmücker (Austriacka Akademia Nauk, Wiedeń) *Consciousness as an Object or as a Subject of Knowledge? Conceptions of the Knowledge of Self in Indian Vedāntic Tradition and in European Philosophy*; dr Marzenna Jakubczak (AP) *Can I Get Free from My Ego? Ontological Foundation of the Idea of Liberation from Ego in Indian Philosophy*.

Po każdym z wystąpień (trwającym ok. 30–45 minut) toczyła się dyskusja, którą kontynuowano przez godzinę po wygłoszeniu ostatniego referatu. Teksty prezentowane w czasie sesji, uwzględniające wnioski płynące z dyskusji, przygotowywane są obecnie do druku w angielskiej wersji językowej.

Podsumowując warto dodać, że zarówno konferencja, jak i panel dyskusyjny zostały uznane przez uczestników oraz gości za bardzo udane, owocne i inspirujące.

Media lokalne w Polsce – piętnaście lat doświadczeń

W dniu 24 listopada w gmachu Radia Kraków, w ramach XII Ogólnopolskiego Sejmiku Mediów Lokalnych, odbyła się konferencja *Media lokalne w Polsce – piętnaście lat doświadczeń*. Jej organizatorami była Korporacja Samorządowa im. Józefa Dietla, Małopolskie Forum Współpracy z Polonią oraz Komisja Prasoznawcza przy krakowskim oddziale Polskiej Akademii Nauk. Sympozjum to zbiegło się z 30-leciem tej ostatniej instytucji oraz 60-leciem Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Krakowie. Współorganizatorem było Polskie Stowarzyszenie Prasy Lokalnej.

W tematykę konferencji uczestników wprowadził prof. Jerzy Jarowiecki. Rozpoczął tym samym sesję plenarną, podczas której swoje referaty wygłosiło dziewięciu prasoznawców. Pierwszym z referentów był dr hab. Stanisław Michalczyk. Naświetlił on problematykę typologii prasy lokalnej, zaznaczając przy tym kilkuletnie spory dotyczące terminologii. Podkreślił, że o nazewnictwie „prasa lokalna” możemy mówić dopiero od początku lat 90., bowiem wtedy tak naprawdę zaczęto używać tego określenia. Właśnie wtedy nastąpił znaczny rozwój lokalnych wydawnictw i stąd zaczęto określać je tym mianem, wypierającym wcześniejsze określenia, takie jak „prasa regionalna” czy „prowincjonalna”.

Prasa lokalna jest fundamentem demokracji – taki wniosek wypływa z odczytu dr. hab. Ryszarda Kowalczyka, który podkreślił, że żywiło-

wy rozwój tego segmentu prasy po 1989 r. był efektem niezaspokojonych potrzeb społecznych we wcześniejszych latach. Do jej rozwoju przyczyniły się głównie różne grupy społeczne, tworząc tzw. prasę obywatelską, ale też samorządy i w mniejszym stopniu czynniki ekonomiczne, traktujące ją jako sposób zarobkowania. Ta geneza powstania jest zarazem przyczyną głównych „grzechów” prasy lokalnej, takich jak: deficyt obiektywizmu czy upolitycznienie, którego często efektem jest manipulowanie mediami.

Kolejnym prelegentem był dr hab. Marian Gierula, podkreślający potęgę prasy lokalnej, stanowiącej ok. połowy wszystkich tytułów wydawanych w Polsce, a będącej też najszerzej dostępną – szacuje się, że tylko 10–12% społeczeństwa nie ma z nią do czynienia. Niemniej jednak jest to segment bardzo rozdrobniony, składa się na niego ok. 3 tys. tytułów (w większości miesięczników), przeważnie nie przekraczających tysiąca egzemplarzy nakładu. Obecnie coraz większą rolę w życiu społeczności lokalnej mają dzienniki regionalne ze swoimi mutacjami, które skutecznie odbierają czytelników tytułom lokalnym.

O innych zagrożeniach, jakie stoją przed mediami lokalnymi, mówił dr hab. Ignacy Fiut. Skupił on się przede wszystkim na roli wydawnictw bezpłatnych. Ten rosnący w siłę segment prasy budowany jest na tzw. socjologii podarunku – polityka tych gazet polega na

wyrobieniu u czytelnika potrzeby przyzwyczajenia do sięgnięcia po „wkładany do ręki” tytuł. Generalnie tego typu wydawnictwa pojawiają się w dużych metropoliach, a ich tematyka dotyczy m.in. kultury masowej, jednak czytelnik sięga po nie ze względu na jej bezpłatny charakter.

W następnym referacie dr Edward Chudziński zwrócił uwagę na kolejny aspekt mediów lokalnych, a ściślej – regionalizm. Część z nich ma na celu nie tylko informowanie o życiu danego regionu, ale przede wszystkim propagowanie historii i kultywowanie lokalnej tradycji i regionalizmów. Do tej kwestii nawiązał mgr Włodzimierz Chorążki, który podkreślił, że prasa regionalna i regionalistyczna mogą mieć wspólną tematykę, natomiast odróżnia je zasięg, ponieważ bywa, że ta ostatnia ukazuje się na terenie całego kraju.

Mówiąc o prasie lokalnej, nie sposób pominąć jej specyfiki językowej. Tą kwestią zajął się obszernie dr Wojciech Kajtoch. Podkreślił on różnice używanego języka w zależności od tematyki konkretnych artykułów, co odzwierciedla brak obiektywizmu (szczególnie w tekstach dotyczących przedstawicieli władz lokalnych), o którym również wspominali przedmówcy. Generalnie język mediów lokalnych charakteryzuje się brakiem nowomowy, rzadkimi zapożyczeniami z obcych języków oraz poprawnością ortograficzną. Natomiast pojawia się w nich wiele sformułowań profesjonalnych, często niezrozumiałych dla przeciętnego czytelnika.

Współczesne media lokalne w Małopolsce zaprezentowali dr Władysław M. Kolasa i dr Artur Paszko. Scharakteryzowali je zarówno pod względem nakładów, ceny, częstotliwości ukazywania się, jak i zasięgu oraz typu wydawcy. Przy tym podziale zaznaczyły się interesujące różnice pomiędzy poszczególnymi regionami Małopolski. Naukowcy w celu przeprowadzenia tych

badan stworzyli nowy wskaźnik opisujący ilość egzemplarzy gazet przypadający rocznie na jednego mieszkańca. Pozwolił on pokazać różnice w nasyceniu rynku krakowskiego w porównaniu z innymi w województwie.

Na zakończenie referat o narodzinach i rozwoju lokalnego radia w Polsce przedstawił red. Jakub Wajdzik, na co dzień się nim zajmujący.

Drugą część konferencji zainaugurowało otwarcie wystawy *Małopolskie media lokalne* w gmachu Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej, połączone z promocją książki *Katalog współczesnych mediów lokalnych i regionalnych 2005* autorstwa dr. Władysława M. Kolasy i Marioli Michalskiej. Uczestnicy sympozjum mieli także okazję wymienić swoje poglądy i doświadczenia podczas dyskusji na dwóch panelach. Pierwszy z nich dotyczył przyszłości mediów lokalnych u progu XXI w. Dyskutanci, wśród których byli przedstawiciele krakowskich mediów oraz prasoznawcy, zastanawiali się, czy w perspektywie najbliższych lat będziemy mieli do czynienia z postępującą komercjalizacją tych mediów, czy też nadal istotna będzie ich misyjność. Moderatorem tej dyskusji był red. Ryszard Niemiec, długoletni redaktor naczelny „Gazety Krakowskiej”.

Drugi panel, który prowadził prof. Jerzy Miłkowski-Pomorski, poruszał kwestie niezależności mediów lokalnych. Uczestnicy rozpatrywali ją bardzo szeroko. W ich wypowiedziach przejawiała się ona jako odporność zarówno na wpływy lokalnych ośrodków decyzyjnych, szczególnie samorządowców, jak również reklamodawców oraz przedstawicieli kręgów biznesowych.

Konferencja odbyła się pod honorowym patronatem Ministra Kultury, Wojewody Małopolskiego, Marszałka Województwa Małopolskiego oraz Prezydenta Krakowa.

Mirosław Frań

Jak udoskonalać nauczanie astronomii?

Konferencja Naukowego Koła Fizyków „Pozyton”

Odkrycia w naukach przyrodniczych stają się w ostatnich latach coraz częściej tematami medialnymi. Szczególną rolę, jako dyscyplina wyjątkowo pobudzająca wyobraźnię, pełni w nich astronomia, tym bardziej, że każdy może spróbować w niej swoich sił, gdyż do prostych samodzielnych obserwacji nie potrzeba wcale specjalistycznego sprzętu. Wykorzystanie tych specyficznych cech astronomii w pracy nauczycielskiej było jedną z przyczyn organizacji konferencji *Modernizacja nauczania astronomii w ramach przedmiotu Fizyka z astronomią*.

Konferencja odbyła się na terenie Młodzieżowego Obserwatorium Astronomicznego w Niepołomicach w dniach 14–16 października 2005 r. Jej organizatorem było Naukowe Koło Fizyków „Pozyton”, działające od kilku lat w Akademii Pedagogicznej.

Najważniejszym celem, jaki stawiali sobie organizatorzy, było zaprezentowanie nauczycielom nowych metod prowadzenia lekcji i zajęć pozalekcyjnych oraz sugerowanie różnych metod realizacji tematów zawartych w programach szkolnych. Z drugiej strony nauczyciele dzielili się doświadczeniami zgromadzonymi w czasie swej wieloletniej pracy dydaktycznej. Konferencja stała się okazją do spotkania czynnie pracujących nauczycieli fizyki, studentów z Akademii Pedagogicznej

oraz zaproszonych gości. Miłą niespodzianką było uczestnictwo nauczycieli będących absolwentami AP. Uczestnicy mieli możliwość wysłuchania ciekawych wykładów związanych z tematem konferencji. Niektóre zagadnienia były realizowane w czasie zajęć obserwacyjnych oraz przy komputerach.

Konferencję otworzył wykład prof. Jerzego Kreinera, dzięki któremu można było poznać ślady astronomii w naukach humanistycznych. Bogaty zestaw prostych instrumentów obserwacyjnych oraz praktycznych wskazówek dotyczących ich wykorzystania w szkole zaprezentowany został przez dr. Waldemara Ogłozę z naszej Uczelni. Szczególną zaletą tej prelekcji było pokazanie, iż wykonanie większości z nich możliwe jest we własnym zakresie, niewielkim kosztem i wysiłkiem, co – wobec niskich możliwości budżetowych szkół – jest nader cenną umiejętnością. Wiele informacji na ten temat osoby zainteresowane mogą znaleźć na stronie



Dr W. Ogłóza

Katedry Astronomii Akademii Pedagogicznej:
<http://www.as.ap.krakow.pl/>.

Podczas trwania konferencji często pojawiającym się tematem było wykorzystanie kamer internetowych do amatorskich obserwacji astronomicznych. Głównym animatorem tego tematu był dr hab. Lech Mankiewicz z PAN w Warszawie. Umiejętność obsługi kamery internetowej, wraz z wiedzą o szerokim zakresie możliwości jej wykorzystania nie tylko w astronomii, ale również w różnych działach fizyki, chociażby poprzez tworzenie odpowiednich filmów poklatkowych, może być dla każdego nauczyciela cenną pomocą w organizacji swoich lekcji. Większość zaprezentowanych materiałów, w tym szczegółowe instrukcje obsługi kamer internetowych oraz opracowania uzyskanych wyników, udostępnionych jest na stronie <http://ccd.astronet.pl/> oraz wspomnianej już witrynie Katedry Astronomii AP.

Dr hab. Lech Mankiewicz opowiedział także o ciekawym programie *Telescopes in Education*, który umożliwia uczniom i studentom (wyłącznie pod kierunkiem nauczycieli) dostęp do zdalnie sterowanych, profesjonalnych teleskopów. Mogą oni własnoręcznie prowadzić obserwacje astronomiczne „na żywo” przez internet, poszerzając swoją wiedzę z astronomii, fizyki i informatyki. Cenną zaletą teleskopów internetowych, ze względu na ich zlokalizowanie na półkuli zachodniej naszego globu, jest fakt, iż „pracują”, gdy w Polsce jest dzień, czyli w czasie trwania lekcji szkolnych. Szczegółowe informacje można znaleźć na stronie internetowej programu *Hands-On Universe, Europe*: <http://www.euhou.net/>.

Inny sposób przedstawiania tematów astronomicznych, stosowany od wielu lat, zaprezentował dr Henryk Chrupała z Planetarium Śląskiego w Chorzowie. Dotyczył on wykorzystania aparatury planetarium jako pomocy dydaktycznej. Równocześnie przedstawił on sposób organizacji olimpiady astronomicznej – skierowanej do bardziej ambitnych uczniów – jako okazji do podnoszenia i prezentowania ich wiedzy. Osobiście urzekł mnie list, wysłany parę lat temu przez pewnego ucznia, dotyczący Olimpiady Astronomicznej, który został w tym wystąpieniu zacytowany. Pisał on nie tylko o samej olimpiadzie



Dr hab. L. Mankiewicz

i rozwijaniu swoich zainteresowań, do których go ona pobudziła, ale także m.in. o przyjaźniach, jakie dzięki niej nawiązał. Autorem listu był Aleksander Wolszczan – obecnie jeden z najbardziej znanych na świecie polskich astronomów.

Możliwości zintegrowania nauczania fizyki i astronomii próbował pokazać, na przykładzie zórz polarnych, prof. Bartłomiej Pokrzywka z Akademii Pedagogicznej. Prezentacja tak atrakcyjnego tematu może być jednocześnie okazją do przekazania pojęć i zagadnień zawartych w programie szkolnym.

Spotkanie z dr. Adamem Smółskim, redaktorem naczelnym czasopisma „Fizyka w szkole”, stało się okazją do dyskusji nad ogólną sytuacją fizyki jako przedmiotu szkolnego, w której to gorący udział wzięli głównie nauczyciele zgromadzeni na sali. Najczęściej poruszonym tematem była reforma systemu kształcenia oraz problem nowej matury.

Także i członkowie Naukowego Koła Fizyków „Pozyton” zaprezentowali swój dorobek z zakresu astronomii. Mirosław Frań, student V roku, opowiedział o możliwościach wykorzystania wyników uzyskanych z licznych obserwacji zjawisk zaćmieniowych, jakie studenci naszego koła przeprowadzili na przestrzeni paru ostatnich lat. Nadmienić należy, iż do wspomnianych zjawisk zaćmieniowych, prócz znanych wszystkim zaćmień Słońca i Księżyca, dochodzą także przejścia planet dolnych, czyli Merkurego i Wenus, przed tarczą Słońca, których byliśmy ostatnimi czasy świadkami.

Niewielki byłby pożytek z konferencji, gdyby na „suchej teorii” wszystko się zakończyło. Na szczęście uczestnicy mogli również samodzielnie przeprowadzić obserwacje, wykorzystując do tego celu zarówno powszechnie znane, tradycyjne instrumenty (lunety, aparaty fotograficzne), a także kamery internetowe, znacznie rozszerzające możliwości prowadzenia amatorskich obserwacji. I to kamery internetowe, ze względu na pewien element nowości, jak i szerokie możliwości ich zastosowania, cieszyły się największym powodzeniem. Na te właśnie ćwiczenia praktyczne organizatorzy konferencji chcieli położyć istotny nacisk, ze względu na ogromne znaczenie obserwacji w procesie nauczania elementów astronomii.

Całość konferencji okraszona została wspólnym ogniskiem, pozwalającym na mniej formalne, za to bardziej gorące rozmowy, oraz zwiedzaniem zamku w Niepołomicach. Dodatkowo ostatniego dnia zorganizowano wyjazd do Obserwatorium Astronomicznego Akademii Pedagogicznej na Suhorze, gdzie można było się zapoznać zarówno ze znajdującym się tam sprzętem, jak i prowadzonymi obserwacjami.

Spodziewanym efektem konferencji było przekonanie uczestników, że zagadnienia astronomii mogą być realizowane w atrakcyjnej i zrozumiałej dla uczniów formie, a samo organizowanie obserwacji może być przeprowadzone przy minimalnym nakładzie środków finansowych. Zaprezentowanie olbrzymich możliwości, drzemiących w takich nowinkach technologicznych, jak aparaty cyfrowe czy kamery internetowe było w moim odczuciu szczególnie cenne – o potrzebie posiadania umiejętności wykorzystywania internetu w tej pracy nie trzeba już nikogo przekonywać.



Studenci z Koła Naukowego Fizyków „Pozyton”

Jako podsumowania użyję słów jednej z nauczycielek, która w liście z podziękowaniami, przysłanym nam już po zakończeniu konferencji, napisała: „Myślę, że dla nas – nauczycieli, uczestniczących w konferencji, przedstawione wykłady, prezentacje, jak i ćwiczenia praktyczne, nie tylko wzbogaciły naszą wiedzę, ale stały się źródłem nowych pomysłów do pracy dydaktycznej, a wspólne spotkanie pracowników naukowych, nauczycieli i studentów Akademii Pedagogicznej dało możliwość szerszego spojrzenia na problem nauczania astronomii”.

Miroslaw Frań

NKF „Pozyton”, e-mail: pozyton@ap.krakow.pl,

witryna: www.ap.krakow.pl/pozyton/

Agnieszka Fluda-Krokos

„Poezja jest dla wybranych, interpretacja to zabawa w inteligencję”

Spotkanie z Ewą Lipską

Jesienna niedziela 6 listopada 2005 r. na pewno nie należała do zwykłych dni. Dzięki staraniom profesor Haliny Kosętki, dyrektor Instytutu Bibliotekoznawstwa i Informatyki Naukowej AP oraz dr Bożeny Pietrzyk, studenci III roku studiów dziennych oraz słuchacze studiów podyplomowych Bibliotekoznawstwa i Informatyki Naukowej z Zamiejscowego Ośrodka Dydaktycznego z Limanowej mieli okazję spotkać się z jedną z bardziej wyrazistych postaci polskiej poezji współczesnej, Ewą Lipską. Po krótkiej autoprezentacji i odczytaniu trzech wierszy przez poetkę, rozpoczęła się rozmowa o poezji, pisaniu, wartościach, życiu – sama Lipska zaproponowała: „Rozmawiać możemy o wszystkim”.

Urodzona w 1945 r. w Krakowie, tutaj też debiutowała, publikując w „Gazecie Krakowskiej” swe pierwsze próby poetyckie – *Krakowską noc*, *Smutek*, *Van Gogha*. Dodać należy, że były to pierwsze znane utwory, bo – jak przyznała sama poetka – wiele z jej wierszy trafia do kosza na śmieci: „Moje teksty są wprost proporcjonalne do wieku. Jestem ostrym krytykiem własnej, radosnej twórczości. Utwory trafiające do druku nie są przypadkowe, przeszły one gęste sito selekcji. Sama wybieram, czasami pomaga mi moja tłumaczka na język duński – ocenia i wybiera, ma dobre ucho”. Jako główne kryterium podziału wierszy na dobre i na złe, podaje Lipska banalność: „Jeśli temat jest banalny, to do kosza. Jeśli ciekawy, to przerabiam na inną formę”.



Ewa Lipska

Przez krytyków bardzo często jest zaliczana do grupy poetów „Nowej Fali”. Na pytanie jednej z uczestniczek spotkania o ową etykietkę odpowiedziała: „Krytycy piszą o sobie. Nie jest możliwe uniknięcie tego. Krytycy to ci, którzy demaskują swoją osobowość. Dla autora chyba nie jest ważne to, co o nim piszą. Ważne jest to dla młodych. Przykleić poetę gdzieś można, ale ja nie należałam do grupy <<Nowa Fala>>, choć należę do tego samego pokolenia. Łączy nas historia i język”.

Nie zabrakło także innych pytań związanych z przeszłością. Jedno z nich dotyczyło studiów na krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, której poetka wspominała bardzo miło, mówiąc, że nauczyły ją „czytać malarstwo”. Już wtedy była pewna, że słowem może powiedzieć więcej

niż obrazem, z tego właśnie powodu przerwała naukę na ASP. W jej poezji często odnaleźć możemy krajobrazy malowane językiem duszy, językiem bardzo osobistym, intymnym: „Ja piszę sobą, więc jest to poezja osobista, ale mam swój obszar, sprawy, które pozostawiam tylko sobie – zauważa – Od osobistości w poezji nie da się uciec. W tle sztuki zawsze jest autor. Wiersz to notatka z samego siebie, robiona szybko i krótka”.

W tonie nawiązań do sztuki i jej intertekstualności pada pytanie dotyczące muzyki. Jak zauważyła jedna ze studentek, w poezji Lipskiej jest jej bardzo dużo. Autorka przyznała, że nie zna się na tego rodzaju sztuce, ale jest ona dla niej bardzo ważna, pozwala uwolnić się od zmartwień, stresów, zapomnieć, oczyścić. Wśród najbardziej lubianych rodzajów wymieniła muzykę klasyczną i jazz – zwłaszcza ten z lat 30. – oraz piosenkę literacką. Tę ostatnią ceni sobie szczególnie, gdyż jest ona formą przemycania poezji. „Sztuka to luksus – mówi – wybieramy to, co chcemy. Zainteresowanie sztuką uwrażliwia nas na świat, kształci”.

Zapytana o autorytety odpowiedziała, że każdy ma ich wiele, zmieniają się one wraz z wiekiem. Wśród najważniejszych wymienia Alberta Camusa i jego *Eseje*.

Ktoś spytał o poezję, o jej dzisiejszą formę, co-raz bardziej obfitującą w wulgaryzmy. Literatura, niegdyś uważana za „arkę słowa”, jego skarbnicę, dziś często przemawia językiem brutalnej ulicy, blokowisk. „Jest mi to obce. Chamstwa na ulicy jest tyle, że nie musi już epatować ze sztuki. Dla mnie nie jest to poezja, choć ktoś inny może się nią zachwycić” – odpowiedziała poetka.

Poruszono także kwestię interpretacji szkolnej, schematycznej, podążającej utartym torem („Co poeta miał na myśli?”), oraz jej obecności w popularnych ściągach. Odpowiedź poetki jest jednoznaczna: „Sposób interpretacji wierszy w szkole, przyjęty przez większość nauczycieli, zabija poezję. Owszem, przez poezję klasyczną trzeba przejść, gdyż jest ona o czymś konkretnym, jest pewnym kanonem, który trzeba znać. Natomiast gdy wiersz jest osobisty (bo autor pisze dla siebie), nie możemy zadawać podobnych pytań, bo nawet nauczyciel nie zna na nie odpowiedzi. Wiersz ma poruszyć i skłonić do indy-

widualnych przemyśleń. Interpretacja to zabawa w inteligencję, prowokująca dyskusję gra. Poezja to przede wszystkim czytelnik i jego przemyślenia. To, co piszą w popularnych brykach, nie jest istotne”. Na pytanie, czy jednak owe opracowania nie pomagają zrozumieć poezji, usłyszeliśmy: „Poezja jest dla wybranych, nie dla zwykłych zjadaczy chleba. Nie trzeba tu krytyków, opracowań. Czasami mogą one zaintrygować, ale takich jest bardzo mało. Jeśli kogoś poezja interesuje, to sam ją znajdzie i znajdzie jej sens”.

Twórczość Ewy Lipskiej wielokrotnie była nagradzana i wyróżniana, a także tłumaczona na języki obce. Jak mówiła sama poetka, jest to twórczość osobista, wyselekcjonowana, twórczość, w której ważny jest też sam czytelnik – wielokrotny interpretator i reinterpreter poezji. Podczas spotkania bardzo łatwo można było wyczuć to szczególne podejście do odbiorcy, czyli także do zgromadzonych na sali osób. Nie każdy człowiek na wstępie powie nam „Możemy rozmawiać o wszystkim”. Właśnie taki obraz poetki – osoby otwartej, serdecznej, szczerzej poznaliśmy 6 listopada.

Myślę, że dla każdego z uczestników było to spotkanie w jakimś sensie ważne. Mieliśmy sposobność poznać nie tylko rzemieślnika słowa, poetkę, lecz przede wszystkim człowieka.

Agnieszka Fluda-Krokos
Fot. K. Bodzenta



Od lewej: E. Lipska, prof H. Kosętko, A. Fluda-Krokos

Jerzy S. Ossowski

O alchemikach groteski



E. Sidoruk, Groteska w poezji Dwudziestolecia. Leśmian – Tuwim – Gałczyński. „Poetyka i Horyzonty Tradycji”. Tom 1. Wydawnictwo Uniwersytetu w Białymstoku. Białystok 2004

W historii literatury polskiej wiek XX zapisze się jako okres bujnego rozwoju rozmaitych form groteski, będącej szczególnie adekwatnym wyrazem doświadczeń człowieka odczuwającego absurdalność współczesnego świata. Z największym powodzeniem artystycznym groteskę uprawiało kilku geniuszów tamtej epoki: Leśmian, Witkacy, Gałczyński i Gombrowicz. O ile, dzięki specjalistycznym pracom poświęconym dramatowi oraz prozie Dwudziestolecia (m.in. Lecha Sokoła, Michała Głowińskiego), na temat roli groteski w twórczości autora *Szewców* i autora *Ferdynarda* wiemy stosunkowo najwięcej, o tyle groteska w liryce Leśmiana czy Gałczyńskiego (jeśli nie liczyć tutaj znakomitych prac językoznawczych Danuty Butler) nie została należycie rozpoznana i opisana, zwłaszcza w perspektywie poetyki historycznej, a więc tej domeny badań, która niejako z natury rzeczy jest do tego powołana.

Dlatego z satysfakcją odnotować trzeba, że na pytanie: dlaczego groteskę w liryce Dwudziestolecia spotyka dzisiaj zasłużona nobilitacja, która przypada w udziale opierającej się na tej kategorii gatunkowej, stylistycznej i estetycznej literaturze nowoczesnej – Elżbieta Sidoruk poszukuje odpowiedzi biorąc na warsztat poezję Leśmiana,

Tuwima i Gałczyńskiego. Znakomicie przy tym radzi sobie z niezmiernym bogactwem form, w jakich realizuje się groteska w liryce każdego z wymienionych twórców, odkrywa różne aspekty tego fenomenu poetyki, który z uwagi na swoją zmienność i złożoność może być opisywany z różnych perspektyw. Jej nowatorskie rozwiązania trudnych kwestii estetycznoliterackich możliwe są dlatego, że nadzwyczaj kompetentnie i umiejętnie łączy groteskę z inwencją językowo-symbolizacyjną i fantazją twórczą Leśmiana oraz satyrą i humorystką poetycką Tuwima i Gałczyńskiego. Tym samym wynikami swoich studiów teoretycznoliterackich wypełnia dotkliwą lukę w badaniach nie tylko nad tą konstytutywną zasadą twórczą w poezji „alchemików groteski”, ale także nad jej fundamentalną rolą w przemianach poezji w okresie międzywojennym.

Prowadzonym przez autorkę *Groteski w poezji Dwudziestolecia* analizom i interpretacjom towarzyszy przeświadczenie, iż ogniwo pośrednie między Leśmianowską groteską modernistyczną a ludyczną groteską Gałczyńskiego stanowi groteska Tuwima, która przewyższywszy estetykę młodopolską „przygotowała grunt” pod groteskę Gałczyńskiego. Problem w tym, że z oryginalnymi wersjami groteski stworzonej po-

przez „dziwotwory” Leśmiana i fantazmaty Gałczyńskiego, groteskowe tropy Tuwima niewiele mają wspólnego. Obcy im jest przecież żywioł baśniowości, fantastyki, absurdu, mistyfikacji. Ponadto groteskowe poematy Gałczyńskiego *Koniec świata* (1929), *Bal u Salomona* (1933, druk 1937), *Ludowa zabawa* (1934) powstały na kilka lat przed Tuwimowskim *Balem w operze* (1936, druk 1946). Zresztą już w *Piekle polskim* (1926), obdarzony fenomenalnym poczuciem humoru parodysta Gałczyński przewyższył Tuwima, proponując czytelnikom swój osobny świat nieokiełznanej wyobraźni. Od początku też w swojej twórczości nie oddzielał liryki od satyry i humorystyki, czyniąc właśnie z pomieszania tych gatunków oraz poetyki codzienności swoją oryginalną alchemię groteski, drwiny i śmiechu.

Sidoruk, starannie kontrolując wyniki teoretycznoliterackich analiz poprzedników (J. Trznadel, Z. Bienkowski), dociera do istoty groteskowej „baśnio-fantastyki” Leśmianowskiej, precyzyjnie rozkłada jej estetyczno-lingwistyczny mechanizm na elementy poetyki parodii i ironii, odmiany komizmu (humoru), które pozostają na usługach symbolizmu. Wszystko po to, by badawczo ugruntować przeświadczenie, iż w modernistycznej twórczości autora *Łąki* estetyka groteski stanowi zasadniczy, ludyczny nośnik metafizyki w jej odmianie antropologiczno-mitotwórczej. Podaje przy tym szereg przykładów i przekonujących argumentów formalnych na to, że właśnie humorystycznemu potencjałowi językowych paradoksów i polemicznych ekstrawagancji, czyli modernistycznej alchemii groteski, poezja Leśmiana zawdzięcza swoją niezwykłą nowoczesność i lekkość, które wyniosły ją na szczyty polskiej liryki metafizycznej.

W stosunku do groteskowej lekkości i wykwinności Leśmiana czy Gałczyńskiego, imitowanie oraz przedrzeźnianie „cudzej mowy” w poezji Tuwima nie ma już tej zabawowej gracji

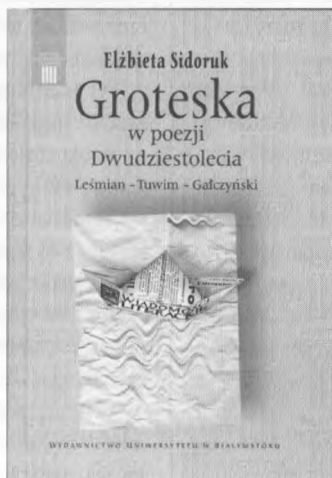
i polotu wyobraźni satyrycznej. Usilne próby Sidoruk, aby dowieść, że groteska w sentymentalnym *Piotrze Płaskinie* pełni funkcje satyryczno-parodystyczne – świadczą bardziej o jej inwencji interpretacyjnej, niż groteskotwórczej inwencji samego poety. Kłopot także w tym, że Tuwimowskie stylizacyjne oraz parodystyczne praktyki w liryce i satyrze często trącą konwencjonalnym i sentymentalnym banałem, który zazwyczaj traktowany bywa serio. W tym stanie rzeczy trudno owe praktyki uznać za manifestacje ironiczne, paradoksalne, balansujące między estetycznymi skrajnościami i potwierdzające głębokie poczucie absurdalności świata, krótko mówiąc, polemiczne wobec maniery młodopolskiej.

Dlatego wśród gier językowo-metaforyzacyjnych, praktyk parodystycznych i satyrycznych autora *Siódmej jesieni*, tylko niektóre potraktować można jako przejaw rozpoznawalnego estetycznie „działania groteski”. Innymi słowy, na tle wy-

obraźni poetyckiej i kreatywności artystycznej Leśmiana czy Gałczyńskiego, groteska Tuwima ma ograniczony zasięg sensorwórczy i ograniczoną moc ekspresywną. Badaczka jej poetyki w dziele autora *Jarmarku rymów*, ulegając zbyt silnej presji autorytetu wybitnych „tuwimologów”, zdaje się niekiedy przeceniać jej modernizacyjną autonomię oraz funkcjonalność artystyczną. Zdecydowanie nowocześniejsza wydaje się alchemia groteski w międzywojennych wierszach Tytusa Czyżewskiego, Stanisława Młodożeńca lub Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej.

W kontekście dotychczasowych uwag rzeczą ciekawą wydaje się z kolei fakt przeceniania znaczenia i roli groteski w przypadku autora *Notes Aninenses*, o czym za chwilę.

Rozwijając i dopełniając hipotezę Włodzimierza Boleckiego o ludycznych funkcjach groteski Gałczyńskiego¹, Elżbieta Sidoruk przedstawiła szereg ważkich argumentów analityczno-interpretacyjnych potwierdzających rangę estetycznych i heterotelicznych funkcji



satyrycznych oraz światopoglądowych tej fundamentalnej zasady twórczej w analizowanych przez nią utworach (m.in. *Skumbrie w tomacie*, *Koniec świata*). Jeśli kompetentna badaczka zasadnie konstatuje, że w katastroficznym *Balu u Salomona* groteska ma naturę egzystencjalną, to równocześnie trudno zgodzić się z jej stwierdzeniem, wcześniej nieco podobnie sformułowanym przez M. Wykę², iż grotesce Gałczyńskiego brak wymiaru filozoficznego. Przecież groteska to także typ wartościującej diagnozy rzeczywistości, sposób poszukiwania prawdy bycia, a zatem problemów godnych myśliciela.

Odejdźcie od myślenia przyczynowo-skutkowego na rzecz logiki paradoksalnej, zmieniającej jego porządek poprzez wypowiadanie rzeczy nieoczekiwanych w danym momencie, odwracanie znaczeń, nagłe zwroty akcji, atakowanie samego siebie, używanie w wypowiedziach kategorii polifonicznych – wszystko to są właściwości – trafnie stwierdzał Mieczysław Dąbrowski – charakteryzujące ironiczno-groteskową mowę Gałczyńskiego, które sprawiają, że staje się ona modelowym przykładem dwudziestowiecznej dykcji filozoficzno-literackiej³. Owe ironiczno-filozoficzne zdolności do porzucania własnego języka, stawiania go w stan podejrzenia, odświeżania jego słabych punktów przyczyniają się do trwałej popularności pisarza wśród czytelników współczesnych.

„Oznacza to nieustanne dynamizowanie własnej twórczości, przekraczanie jej kolejnych wcieleń, szukanie nowych, świeżych form wyrazu. Jego nowoczesność polega chyba właśnie na tym, że literatura staje się elementem pewnej całości ludzkiej, poeta wypowiada w niej nie tylko sensory estetyczne czy emocjonalne, lecz również uwagi dotyczące typu świata, który mu odpowiada, modelu człowieka, który akceptuje bądź odrzuca, rodzaju politycznych wyborów. Dokonuje się tu niewątpliwa antropologizacja literatury. Tekst jest wypowiedzią totalną, którą to cechą dzisiaj podnosi się jako znak czasów. Pisarz nie tylko umieszcza się w określonej kulturze, on ją wywołuje czy uruchamia swoim pismem i przez to współtworzy. [...] Gałczyński

jest obecny w czytelniczej świadomości [...] także dlatego, że typ wrażliwości, który prezentuje, charakter czytelniczego doświadczenia, do którego zaprasza i które otwiera, trafiają w samo centrum czytelniczych oczekiwań”⁴.

Spory Gałczyńskiego ze sobą samym jako człowiekiem, pisarzem, obywatelem, użytkownikiem języka, pociągały za sobą konieczność mowy dyskursywnej, posługiwania się „alchemią groteski”, wejścia w inne języki i wyobrażenia, a spory – jak wiadomo – wywołują zaniepokojenie czytelników, skłaniają ich do myślenia.

W tym samym czasie, kiedy ukazała się *Groteska w poezji Dwudziestolecia*, w obszernym studium *Prepostmodernista? O groteskach K. I. Gałczyńskiego*, pomieszczonym w zbiorze *Mag w cylindrze* (Pułtusk 2004), Edward Kasperski jeszcze bardziej poszerzył funkcje omawianej kategorii poetyki uznając, że dla Gałczyńskiego kształtowanie groteskowego obrazu świata stanowiło wyraz estetycznej mitologii poety. Autonomiczne, ludyczne, magiczne, metaliterackie pisarstwo groteskowe ma zatem wartość autoteliczną, antycypuje przy tym niektóre właściwości postmodernizmu (hedonizm, prezentyzm, medialność). Groteska Gałczyńskiego, jako poznanie i styl bycia, przekracza tekstową rzeczywistość, dzięki swobodzie wyobraźni i fantazji staje się sposobem uczestnictwa w egzystencji. Mityczny, legendowy wizerunek „słodkiego szarlatana” bezgranicznie oddanego sztuce pisarskiej, niwelującego dystans między kulturą elitarną i popularną, przedostaje się tutaj z krytyki literackiej, gdzie legenda dzieła stapia się z legendą biograficzną, do dyskursu literaturoznawczego.

To prawda, że Gałczyński stale odwołując się do własnej osobowości, doświadczeń biograficznych, subiektywnych przeżyć czy nastrojów, tworzy estetycznie oryginalną mitologię „łotra i łobuza”, dekadenta groteskowo upoetyzowanego na „słodkiego szarlatana”. Jako pisarz ekspresjonista, satyryk i poeta egzystencji zakorzenionej w metafizyce, przekracza jednak własną mitologię, demistyfikuje ją poprzez ironię i autoironię. Dla permanentnego manifestowania swojej wolności wyzyskuje nie tylko grotes-

skę, ale także parodie, aluzje, parafrazy, ironię, humor, komizm, tragizm. Groteska stanowi jedynie środek, chwyt, technikę artystyczną, dzięki której może stale eksperymentować i tymi eksperymentami zabawiać czytelników: do woli fantazjować i w zależności od sytuacji widzieć świat satyrycznie, komicznie, lirycznie, ironicznie. Potwierdzają to kompetentnie przeprowadzone badania i interpretacje Elżbiety Sidoruk, które w pewnym sensie „ograniczają” zasięg hipotez Kasperskiego o, by tak rzec, „makrogroteskowości” poezji Gałczyńskiego.

W omawianych studiach poetyki historycznej autorka traktuje groteskę jako wieloaspektowy i wielofunkcyjny, estetyczny fenomen deformacji, heterogeniczności i absurdu, pozostający we wzajemnych związkach z kategoriami ideowo-artystycznymi, w których służbie występuje: satyra, humor, parodia, ironia. Opowiadam się za podobnym rozwiązywaniem podejmowanych zagadnień teoretycznoliterackich tekstów groteskowych, zwłaszcza, że moje dotychczasowe badania historycznoliterackie twórczości Gałczyńskiego w Dwudziestoleciu prowadzą do ujęć komplementarnych, do groteski ekspresjonistycznej⁵.

Neoekspresjonista Gałczyński dąży do łamania konwencji gatunkowych, stylistycznych, chętnie przy tym posługuje się aluzjami tematyczno-językowymi (średniowiecze, barok, prymitywizm ludowy, egzotyzm). Dzieje się tak praktycznie na każdym poziomie budowy tekstów poetyckich: stylistycznym, kompozycyjnym, przedstawieniowym. W *Balu u Salomona*, dziele będącym – podkreślam to szczególnie – światopoglądowo-lirycznym modelem neoekspresjonizmu międzywojennego, sfunkcjonalizowane znaczeniowo deformacje sięgają związków przyczynowo-skutkowych oraz pragmatyczno-motywacyjnych, mają wpływ na sentymentalno-karnawałową i zarazem tragiczną zasadę budowy świata przedstawionego. Zresztą dominująca rola groteski opartej na kontraście nastrojów i myśli, preferowanie dysonansów obrazowych „świata na opak”⁶ wiąże się – w całej twórczości Gałczyńskiego – z wyzyskiwaniem różnych możliwości

artystycznych poetyki ekspresjonistycznej.

W tym samym czasie, kiedy ukazała się *Groteska w poezji Dwudziestolecia*, Tomasz Stępień w szkicu *Wokół „Końca świata” K. I. Gałczyńskiego*, ogłoszonym w zbiorze studiów *Gałczyński po latach* (Neapol 2004), zaproponował, aby na burleskową apokalipsę Gałczyńskiego spoglądać przez pryzmat poetyki Bachtinowskiego karnawału i groteskowego realizmu. Przed badaczami estetyki i komizmotwórczych funkcji groteski postulowane podejście otwiera jeszcze jedną nowoczesną perspektywę badań – realizmu fantastycznego. Przecież w twórczości Gałczyńskiego najbardziej codzienne i normalne życie stanowi metafizyczny cud istnienia: realizm i fantazja, realizm i baśniowa groteska poetycka stapiają się w harmonijną całość, w kreacje niezwykłości, które – dopowiadam tę uwagę za badaczem literatur europejskich Ryszardem Siwkiem – aspirują do odkrywania nieznanego w znanym. Te odkrycia okazują się czymś zaskakującym, nieoczekiwanym, a nawet dziwnym i obcym, czymś, co wywołuje zdziwienie⁷. Problem w tym, że w niektórych teoriach realizmu magicznego to odkrywanie i ujawnianie magii rzeczywistości, wstępowanie na drogę tajemnic istnienia, uchodzi za reakcję przeciw ekspresjonizmowi, za przeciwstawienie się dorobkowi tego kierunku. Wiemy, że teoretycy „nowej rzeczywistości” starali się uniknąć miana „postekspresjonistów”, co nie oznacza, że uniknęli problemów arealistycznego stylu Artura Rimbauda, podejmowanych właśnie w poezji ekspresjonistycznej.

Różnorodność kreacji literackich, swoboda, niezwykłość i nadrzędność wyobraźni, które uchodzą za wyznaczniki konstytutywne realizmu magicznego, wpisały ten nurt w szeroko zakorzeniony – we współczesnej kulturze – postmodernizm. Współczesny pisarz stawia czoło rzeczywistości, stara się odkryć jej nadnaturalną tajemnicę, a nawet – jak w przypadku Leśmiana i Gałczyńskiego – magię i niezwykłość. Współczesny badacz, lojalny i wnikliwy czytelnik, ten stan rzeczy musiałby uwzględniać w swoich formułach konkretyzacyjnych, choć dotyczą one ubiegłowiecznej poezji lat dwudziestych i trzy-

dziestych. Zapewne sporo racji ma więc także Edward Kasperski, kiedy Gałczyńskiego nazywa „prepostmodernistą”.

Dzisiaj znamy (choć nigdy do końca) dzieło Leśmiana, Tuwima i Gałczyńskiego. Znajomość ta rzutuje – rzecz jasna – na lekturę ich poezji i satyry. Prawem paradoksu okazuje się jednak, iż heurystycznie zrekonstruowana przez Elżbietę Sidoruk poetyka groteski Dwudziestolecia zmienia również obraz ich pisarstwa, lepiej ukazuje linie rozwojowe i wewnętrzną logikę ich twórczości. Nieprzypadkowo też chyba możemy mówić o Leśmianie i Gałczyńskim estetykach innowacji, które kładąc nacisk na potęgę władzy wyobraźni, na wzmoczenie różnorodności i dystansu wobec zastanych form kultury, na radość wymyślania nowych reguł gry artystyczno-literackiej, pragną dawać świadectwo „nieprzedstawialnego”. Przypomina to Lyotardowską estetykę oporu wobec przedstawiania i weryzmu oraz Rorty’stowską estetykę antyhierarchiczną⁸. Siła innowacyjności polega, dopowiada Lyotard, na radosnych próbach (właśnie radosnych!) korzystania z władzy wyobraźni, zauroczeniu nieznanym, na przedstawianiu tego, czego – wedle założeń modernistycznych – przedstawić się nie dało. Dekonstrukcja przedstawienia i dekonstrukcja „totalności” narracji lirycznej – klucze do estetyki wielu wierszy Leśmiana i Gałczyńskiego – dowodzą, że eksperymentatorska groteska uczestniczyła równocześnie w epilogu modernizmu i prologu postmodernizmu. Z czasem ta synkretyczna alchemia estetycznoliteracka stała się znakiem rozpoznawczym obu poetów, nadal jedynych w swoim rodzaju alchemików groteski.

Ironia i groteska stanowiły spoiwo wielu konstrukcji satyrycznych i lirycznych w poezji Dwudziestolecia. Obie kategorie estetycznoliterackie, o szeregu współdziałających własności zabawowych, wyróżniała prowokacyjna wizja świata i humorystyczna dekonstrukcja. Służyły one uświadomieniu przeciwieństw zawartych w obrazach i stereotypach poezji młodopolskiej, a więc oznaczały zdystansowanie. W zależności od potrzeb ironia stawała się formą dowcipu, przejawem drwiny i szyderstwa. Zdystansowa-

nie, krytycyzm wobec pewnych wartości, ich ośmieszanie, nieważnianie, odwracanie, służyło wyrażaniu, inspirowaniu i podsycaaniu różnych typów przekonań i postaw antagonistycznych. Było także jednym ze sposobów umacniania własnej tożsamości artystycznej wspomnianych geniuszów epoki: Leśmiana, Witkacego, Gałczyńskiego, Gombrowicza.

Niepodważalne są więc zasługi badawcze autorki *Groteski w poezji Dwudziestolecia* w zakresie charakterystyki tych drwiących postaw i „gestów śmiechu”. Z dużym powodzeniem udało się jej pokonać wiele trudności, jakie spiętrzały się już tylko przez same sposoby modelowania świata przedstawionego w utworach opartych na kategoriach groteski i ironii. Właśnie one, z braku stabilności znaczeniowej, niełatwo poddają się analizom i interpretacjom. Pasjonująca, napisana z wielką kulturą naukową książka Elżbiety Sidoruk o ubiegłowiecznych alchemikach groteski wspiera wieloma ważkimi argumentami teoretycznoliterackimi i estetycznoliterackimi tych historyków literatury, którzy nadal twierdzą, że błyskotliwa, świetna poezja Leśmiana i Gałczyńskiego wciąż jeszcze wynagradza czytelnikom współczesnym trud lektury.

Jerzy S. Ossowski

¹ Zob. W. Bolecki, *Groteska*. W: *Słownik literatury polskiej XX wieku*. Zespół redakcyjny A. Brodzka [i inni]. Wrocław 1992, s. 356–237.

² *Gałczyński a wzory literackie*. Warszawa 1970, s. 154.

³ Zob. M. Dąbrowski, *Estetyka ironii u Gałczyńskiego*. [W:] *Gałczyński po latach. Sympozjon*. Neapol 23–24 maja 2003. Pod redakcją J. Żurawskiej. Neapol 2004, s. 37–41.

⁴ M. Dąbrowski, *Estetyka ironii u Gałczyńskiego*. [W:] *Gałczyński po latach. Sympozjon*. op.cit., s. 42 i 48.

⁵ Ich wyniki ogłaszam w zbiorze szkiców *Szarlatanów nikt nie kocha*. Wydawnictwo AP Kraków 2006.

⁶ Zob. M. Wyka, *Wstęp*. W: K. I. Gałczyński, *Wybór poezji*. Opracowała M. Wyka. Wydanie V uzupełnione, Wrocław 1982, s. XXXIX–LIV; W. Bolecki, *Od potworów do znaków pustych. Z dziejów groteski: Młoda Polska i Dwudziestolecie Międzywojenne*. [W:] *Preteksty i teksty. Z zagadnień związków międzytekstowych w literaturze polskiej XX wieku*. Wydanie 2, zmienione. Warszawa 1998, s. 158–159.

⁷ Zob. R. Siwek, *Od De Costera do Vaesa, Pisarze belgijscy wobec niezwykłości*. Kraków 2001, s. 5–31; 185–190.

⁸ Zob. M. Kwiec, *Rorty i Lyotard. W labiryncie postmoderny*. Poznań 1994, s. 138–142; A. Szahaj, *Ironia i miłość. Neopragmatyzm R. Rorty’ego w kontekście sporu o postmodernizm*. Wrocław 1996, s. 178–181.

Ku dobrej edukacji

Współczesny człowiek bez zdobycia odpowiedniego wykształcenia nie jest w stanie optymalnie funkcjonować w różnych sferach wciąż zmieniającej się rzeczywistości; nie osiąga ani sukcesu w pracy, ani psychicznego komfortu. W świetle tej tezy po raz kolejny powraca postulat umiejętnego sterowania procesem kształcenia – nie można bowiem ograniczać się do krytyki systemu edukacji, przechodząc niejako do porządku dziennego nad jej brakami. Zachodzi zatem potrzeba wskazania kierunków zmian tego stanu rzeczy, by polscy uczniowie mieli szansę kształcić się w środowiskach zaspokajających ich potrzeby, w których dobrze się czują, a przy tym skutecznie przygotowują do życia w skomplikowanej obecnie rzeczywistości. Szczególną wartość dla nauczyciela chcącego zadbać o odpowiednie wykształcenie swoich podopiecznych mają dobre publikacje z zakresu pedagogiki stosowanej. Jedną z nich jest książka profesora Kazimierza Denka *Ku dobrej edukacji*.

Jej treść stanowi odpowiedź na sformułowane przez autora we *Wstępie* pytania: „Jak szkoła może pomóc uczniowi w jego rozwoju, poznawaniu świata, wdrożyć w dyscyplinę życia i pracy? Jak ma przygotować go do samodzielnego, mądrego i odpowiedzialnego życia w prawdzie, utrwalić wysiłek do dalszego doskonalenia samego siebie oraz ulepszania życia społecznego?” (s. 22).

Dobra szkoła, o której pisze autor, powinna być ponadto placówką oświatową, nowoczesną, innowacyjną, otwartą na środowisko i kraj; bezpieczną, przyjazną, zdolną do przekształcania się i zmieniania, czyli reagowania w sposób elastyczny na potrzeby uczestników procesu kształcenia i środowiska (s. 66). „W szkole tej uczniowie mają

prawo do wyrażania swoich opinii i współdecydowania o jej losach, są sobą (kims), a odwieczne <<uczę się, bo muszę>> ustępuje miejsca <<uczę się, bo chcę>>. Natomiast zachodzące w niej relacje uczniowie – nauczyciel oparte są na szacunku, a hierarchię zastępuje partnerstwo” (s. 70).

O potrzebie – a przy tym realnej możliwości – tworzenia takiej nowej szkoły przekonuje w swej publikacji Kazimierz Denek. Jej wizję odnosi do założeń i realizacji reformy edukacji, która od kilku lat jest w naszym kraju urzeczywistniana. Oczywiście, formułuje pod adresem polskiego, reformowanego systemu edukacji uwagi krytyczne (dotyczące na przykład nierówności oświaty na wsi i w miastach, zróżnicowania szans edukacyjnych dzieci i młodzieży z tych środowisk, likwidacji małych szkół i tworzenia w ich miejsce molochów, niskiego wskaźnika upowszechnienia edukacji przedszkolnej) (s. 45-49). Ważne jest jednak, iż podkreśla także szanse stworzone przez reformę (s. 33), które – w pełni zrealizowane – mogą stać się autentycznymi walorami polskiej edukacji.

Jednym z najważniejszych i najpilniejszych zadań współczesnej edukacji szkolnej jest – w opinii autora – dokonanie zmian w treściach kształcenia. Ponadto wymienia wśród nich przygotowanie młodzieży do samodzielnego, rozumnego korzystania z rozmaitych źródeł wiedzy, koordynowanie poczynąń różnych instytucji przekazujących czy udostępniających wiedzę, pomaganie młodemu pokoleniu w systematyzowaniu, selekcji i ewaluacji zdobytej wiedzy (s. 51-52). Ważnym wyzwaniem jest również zerwanie z przeciętnością w edukacji, gdyż rodzi ona niebezpieczeństwo „gubienia” talentów, wybitnie uzdolnionych uczniów (s. 65, 91).

Nowa, dobra szkoła ma, jego zdaniem, dostosowywać programy kształcenia do potrzeb rynku

pracy. Nie może ograniczyć się do wyposażania uczniów w wiedzę, ale także formować ich postawy i umiejętności, uczyć i nakłaniać do samodzielności, przedsiębiorczości, kreatywności, elastyczności (s. 88). Jednym słowem – nie może być instytucją oderwaną od rzeczywistości społecznej, specyfiki dokonujących się w niej przeobrażeń.

We współczesnej, nowoczesnej szkole szczególne znaczenie – jak podkreśla autor – ma edukacja aksjologiczna. Proces dydaktyczno-wychowawczy powinien posiadać stały punkt odniesienia, którym jest system wartości uniwersalnych, ogólnoludzkich (s. 120-132, 139). Problem ten nabiera szczególnego znaczenia obecnie, gdy młodzi ludzie żyją w świecie cechującym się wielokulturowością, ale także kwestionowaniem wielu tradycyjnych wartości. Bez jasnego odniesienia do uniwersalnych wartości i norm nie ma jednak prawdziwego wychowania – wychowania na miarę obecnego, skomplikowanego, pełnego zagrożeń świata. Profesor podkreśla, iż celami współczesnej szkoły powinny być między innymi: kształtowanie twórczego myślenia, kreatywności uczniów, umiejętności współpracy z innymi oraz samokontroli (s. 142-159, 170, 172).

Autor obala stereotyp/mit dotyczący metod aktywnych, którym w pewnym momencie nadano uprzywilejowane miejsce w nowej szkole, a niekiedy zaczęto uznawać je za jedyne słuszne, niezależnie od realizowanych celów. Dokonuje przeglądu różnych klasyfikacji metod dydaktycznych, zwracając uwagę na nowe propozycje w tym zakresie.

Nieodłącznym elementem kształcenia szkolnego jest ewaluacja uczniowskich postępów w nauce. Kazimierz Denek poświęca jej w swojej publikacji sporo miejsca, analizując kwestię oceniania wewnątrzszkolnego i zewnętrznego. Szczególnie interesujące – w kontekście przemian w polskim systemie edukacji – są uwagi dotyczące egzaminów zewnętrznych (budzących sporo kontrowersji wśród nauczycieli, rodziców i samych uczniów).

Rozważania autora na temat optymalizacji funkcjonowania różnych elementów systemu edukacji zamyka rozdział pod znaczącym tytułem: *Decydują nauczyciele*. „O funkcjonowaniu szkoły, uzyskiwanych przez uczniów wynikach

w nauce, postawach i zachowaniach dzieci i młodzieży, przebiegu i efektach reform oświatowych decydują nauczyciele, ich predyspozycje i cechy osobowości oraz kwalifikacje ogólne i profesjonalne” – zauważa Kazimierz Denek. (s. 213). Kresli on model nauczyciela, który ma szansę swą działalnością przyczynić się do urzeczywistnienia wizji nowej szkoły.

W swojej publikacji *Ku dobrej edukacji* profesor szczegółowo analizuje szereg istotnych warunków, niezbędnych do kreowania nowej szkoły, nowej edukacji – odpowiadającej współczesnej rzeczywistości, w której „pytania gromadzą się szybciej niż odpowiedzi” (s. 224). Edukacja w dzisiejszym świecie ma – jego zdaniem – przygotować nowe pokolenie do pluralizmu, demokracji, otwartości, tolerancji i szacunku do innego środowiska naturalnego i kulturowego, równości, negocjacji i współistnienia, samodzielności myślenia i działania, dialogu, współdziałania i współpracy, odpowiedzialności globalnej (s. 225).

Sugestie profesora dotyczą niemal wszystkich aspektów szkoły – jako instytucji edukacyjnej oraz środowiska społeczno-wychowawczego: zarówno kwestii związanych z dydaktyką (od celów i procesu kształcenia, poprzez treści dydaktyczne, metody aż po ewaluację uczniowskich postępów w nauce), jak i działalnością wychowawczą (edukacją aksjologiczną, czasem wolnym, samorządnością uczniów, podmiotowością). Wyraźnie podkreślona została również rola nauczyciela – jako realizatora przemian w systemie edukacji, potencjalnego ich inicjatora a także kreatora zdolnego i gotowego do wprowadzania innowacji.

Książka *Ku dobrej edukacji* jest lekturą interesującą i inspirującą. Godna jest polecenia pedagogicznym pracownikom szkół, a także studentom przygotowującym się do zawodu nauczyciela. Czas poświęcony lekturze książki profesora Kazimierza Denka będzie dla nich wszystkich czasem twórczej refleksji nad kondycją polskiego systemu edukacji i możliwościami jego dalszego doskonalenia.

Kazimierz Denek, *Ku dobrej edukacji*. Toruń – Leszno. Wydawnictwo Edukacyjne „AKAPIT”, 2005, 244 s.

Sabina Kurzawa

Książka dla każdego nauczyciela

Warszawskie Wydawnictwo Akademickie „Żak” wydało kolejne opracowanie prof. Danuty Walošek – wybitnego specjalisty oddanego sprawie dziecka, twórcy wielu wspaniałych książek, które chętnie biorą w swe ręce nie tylko nauczyciele, ale także rodzice.

Autorka daje wyraz trosce o dobro dziecka i o szanowanie jego podmiotowości. Troska ta ma tym większe znaczenie, że dotyczy jednego z ważniejszych okresów w życiu człowieka – wieku przedszkolnego. W tym bowiem okresie młody człowiek rozpoczyna swą „instytucjonalną” naukę. Wbrew pozorom nie ogranicza się ona tylko do czytania, pisania, obliczania rachunków ale, przede wszystkim, oznacza zdobywanie wiedzy o życiu, poznawanie istniejących w nim współzależności, stosunków panujących między ludźmi. Wszystkie te informacje, które ma poznać i zgłębić przedszkolak, są przekazywane w oparciu o programy realizowane przez nauczyciela.

Zdaniem autorki ok. 90% nauczycieli przedszkoli i szkół podstawowych klas I–III, nie podejmuje próby poprzedzenia wyboru programu rozpoznaniem dzieci, środowiska ich życia, kontaktem z rodzicami i jakąkolwiek refleksją na temat jego roli we wspieraniu dziecka zdobywającego wiedzę.

Od momentu rozpoczęcia w 1999 r. reformy szkolnictwa, na rynku pojawiła się ogromna ilość programów, które – mimo posiadanego atestu MENiS – nie zawsze odpowiadają kryteriom poprawności. Większość nauczycieli, jak zauważa autorka, twierdzi, że program trzeba wybrać

i zrealizować, traktować jako spis haseł podlegający przymusowej realizacji. Tylko nieliczni widzą w programie ukierunkowanie, czy zarys obszaru możliwości działania edukacyjnego z dzieckiem.

Zatwierdzane przez MENiS programy to wielostronicowe zapisy wymagań i ich rezultatów: „dziecko wie, umie, zna, potrafi”. Odpowiedzialność nauczyciela za wybór programu jest o tyle ważna, że skutki tego są bezpośrednio związane ze zmianami, jakie wprowadza on do psychiki dziecka. Zmianami, których nie można usunąć ani cofnąć. Nauczyciel ponosi odpowiedzialność, gdyż jest świadom swych zadań, a także posiada zdolności niezbędne do ich realizacji. Program powinien być modyfikowany z uwzględnieniem potrzeb rozwojowych dziecka i koniecznych regulacji społecznych.

Autorka twierdzi, że o skuteczności programu decyduje jego podatność na zmianę, możliwość modyfikacji, odstąpienia od jego ścisłej reguły lub uzupełnienia innymi treściami w przypadku zauważenia jakichkolwiek braków. Niemniej ważne jest, aby program nauczania został tak skonstruowany, aby osiągnięte przez ucznia rezultaty były adekwatne do włożonej przez niego pracy.

W książce przedstawiono idee wielkich myślicieli, ich opinie, poglądy, propozycje dotyczące nauczania i wychowania dzieci. Wiele wieków naszej historii pokazuje ustawiczne poszukiwania człowieka w sferze edukacji. Autorka, przedstawiając argumenty na rzecz programowania edukacji w okresie dzieciństwa, wspiera się m.in.

takimi autorytetami jak: Arystoteles, Platon, św. Augustyn, Kant, Konfucjusz, Sokrates, a także przedstawiciele renesansu, oświecenia, pozytywizmu oraz bliższej i dalszej współczesności. W rozważaniach tych nie brak żadnego z wielkich uczonych, którzy niezależnie od uprawianej dziedziny nauki, sztuki, wierzyli „w możliwość rozjaśniania egzystencji człowieka”.

Następnym etapem tworzenia programu jest zapoznanie się ze wszystkimi kryteriami jego poprawności. Kryterium filozoficzno-aksjologiczne zawiera cztery podstawowe koncepcje człowieka, na których każdy program edukacyjny, czy wychowawczy, musi się opierać. To właśnie wybór określonej koncepcji musi być szczegółowo skierowany do adresata, czyli dziecka. Z kolei psychologiczne kryterium poprawności programu sugeruje treści związane z konkretnym okresem rozwojowym człowieka, a równocześnie pomaga zapobiegać stawianiu nadmiernych wymagań wobec ucznia i jego indywidualnych możliwości. Socjologiczne kryterium poprawności programu kładzie nacisk na fakt, iż program musi dotyczyć specyfiki społeczności, z której dzieci się wywodzą. Powinien uwzględniać prawa i mechanizmy społeczne w taki sposób, aby dziecko poddane jego działaniu nie zagubiło się w otaczającej je rzeczywistości. Ostatnie, pedagogiczne kryterium poprawności programu, oznacza łączenie teorii z praktyką, budowane jest zatem na wiedzy naukowej, a nie potocznej. Pedagog konstruujący program jest odpowiedzialny za dziecko we wszystkich sferach jego aktywności. Każda teoria wykorzystana do budowy programu musi mieć potwierdzoną jakość oraz być poddana krytycznej analizie logicznej i empirycznej pod względem zawartości treści.

W kolejnej części książki Danuta Waloszek w sposób bardzo dokładny przedstawia poszczególne etapy konstruowania programu. Na pierwszy z nich składa się poznanie dzieci i ich środowiska życia. Jest to proces gromadzenia i pogłębiania informacji o dziecku – nauczyciel identyfikuje się z dzieckiem jako przedmiotem poznania, gdyż tego chce i zależy mu na wspieraniu dziecka w jego rozwoju. Kolejny etap to projektowanie treści, ich wybór i uzasadnienie.

Treści owe to przewidywany rezultat końcowy, ostateczny stan umiejętności, wiedzy i kompetencji, jakie posiada dziecko po zrealizowaniu programu. Skuteczny program to, wreszcie, jasno opisane cele, odnoszące się do źródeł zmian zachodzących w dziecku. Ostatnim etapem konstruowania programu jest wartościowanie wywołanej nim zmiany. Jest to jeden z najtrudniejszych etapów, gdyż wiąże się z tym, co jest możliwe lub nie do uzyskania po określonym czasie. Dlatego konieczne jest opisanie standardów, które dziecko powinno, musi lub może osiągnąć. Z punktu widzenia osoby dorosłej, posiadającej określony zakres wiedzy, doświadczenia zawodowego i życiowego, wydaje się to dość skomplikowane. Dodatkowa trudność wynika również z faktu, iż według badań psychosocjologicznych, medycznych, pedagogicznych i tak każdy człowiek rozwija się sobie tylko właściwym rytmem i w odpowiednim dla siebie czasie. Autorka podaje określone warunki, które musi spełniać program, aby mógł podlegać szacowaniu w przyszłości. Podanych jest również sześć zasad, których należy przestrzegać w ocenie wartości programu.

Opis struktury i układu treści programowych zawiera kolejny rozdział. Autorka przedstawia w nim główne cele działania edukacyjnego jako obrazy i wizje, urzeczywistniane przez zadania edukacyjne ujęte w strukturze programu. Zwraca uwagę, że celów się nie realizuje, co często błędnie podają nauczyciele, lecz realizuje się zadania wynikające z celów, dotyczące rozwoju dzieci i formułowane w postaci zdań orzekających. Drugą częścią programu jest układ treści, który wynika z najstarszych teorii pedagogicznych aktualnych do dziś – czyli: liniowy, koncentryczny, spiralny. Nauczyciele realizują najczęściej programy skonstruowane liniowo, dla uniwersalnego odbiorcy. Najwięcej jednak korzyści dla rozwoju dziecka przynoszą układy spiralne, rzadko tworzone przez nauczyciela, gdyż musiałby on znać uczniów, ich wielostronny rozwój i różną aktywność.

Kolejna część, i jednocześnie bardzo ważna zasada, to korelacja i integracja podczas budowania programu. Korelacją jest „współzależność,

wzajemna zmienność, powiązanie przyczynowo – skutkowe zdarzeń, cech i właściwości podmiotu i przedmiotu edukacji”. Treści są dla siebie przyczynami – wspieranie dziecka w rozwoju; i skutkami – dobór treści umożliwiający jak najlepszy rozwój. Integracja pomaga dziecku pokonywać kolejne szczeble edukacji i jest uzasadniona potrzebą reakcji dziecka na bodźce. Dziecko musi działać wielostronnie, mieć zróżnicowane cele swego działania, różne możliwości, zadania zróżnicowane treściami i formami. Wszystkie, wyżej wymienione części struktury programu, narzucają automatycznie główne metody i zasady edukacji, wynikające z założeń i celów rozwojowych. Autorka przedstawia cztery propozycje dotyczące pedagogiki przedszkolnej.

Trzy ostatnie rozdziały książki zachęcają nauczycieli do budowania autorskich programów wychowawczych i edukacyjnych. Ukazują słabość sformułowanej przez MENiS podstawy programowej – ustawowego dokumentu obowiązującego wszystkich nauczycieli w Polsce. Przed-

stawiają rodzaje programów według różnych kryteriów oraz argumenty, które wskazują, że mimo dokonanej reformy edukacja polska nadal nie jest w najlepszej kondycji, nadal jej pomysłodawcy nie doceniają zależności wynikających z poszczególnych etapów rozwojowych człowieka i konieczności ich zastosowania przy budowie programów edukacyjnych.

Polecam tę pozycję wszystkim nauczycielom oraz rodzicom, dla których dobro dziecka jest ważne, którzy w swej pracy, respektując etapy rozwoju człowieka, potrafią i chcą dziecko skutecznie wspierać w jego wielostronnym i ustawicznym rozwoju.

Sabina Kurzawa

*Nauczyciel dyplomowany
Zespołu Szkół w Dominkowicach*

Danuta Waloszek: *Program w edukacji dzieci. Geneza, istota, kryteria.*
Warszawa, „Żak”, 2005

Izabela Luzar

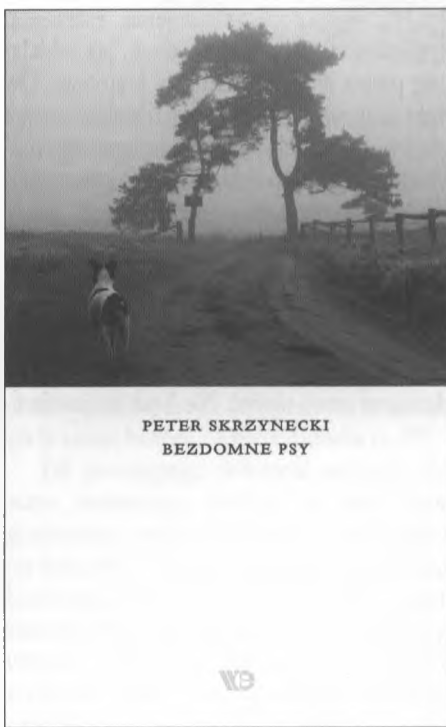
Peter Skrzynecki

Bezdomne psy

Piękna, nostalgiczna książka. Książka egzotyczna, tak jak egzotyczna jest dla nas daleka Australia. Książka o Polakach, ale jakichś zupełnie innych, rzecz by można: na pozór niepolskich. Opowieść o odległych krainach i dawnych czasach widziana oczyma dziecka – nawet, jeśli skrywa się ono w ciele dorosłego mężczyzny. Opowieść melancholijna, mądrze prawdziwa, lecz nie pesymistyczna. Taki właśnie jest zbiór opowiadań Petera Skrzyneckiego.

Wiemy wszyscy, czy to z literatury, czy z własnych doświadczeń, że emigracja jest doświadczeniem niezwykłym. Odrywa nie tylko od tego, co bliskie i znane, ale również tłumy w człowieku „inność” językową i kulturową; „wyrównuje” różnice temperamentów. W Nowym Świecie zjawia się w nas samych nowy człowiek, który z wolna ulega przystosowaniu. Jednak mimo upływu czasu, a nawet coraz lepszej znajomości języka, coś wraca, coś, czego nie udało się wypłenić, co pomimo uporczywego tu i teraz jest tam i wtedy. Po prostu dawniej, w Polsce...

Bohaterowie Skrzyneckiego nie są tylko rozbitkami, a gdy zdarza się i tak, nie jest to wina emigracji, bowiem rozpacz i tragizm ich losu ukryte są w przeszłości: w bolesnej utracie bliskich, w samotności, w jakiejś uparcie przeżywanego udręce z powodu owego „dawniej”. Dawniej, czyli przed przyjazdem tutaj, dawniej, czyli w krainie białego orła, Gniezna i Mieszka. Skrzynecki pisze o ludziach, którzy nad grobem zmarłego pijaka i hodowcy gołębi śpiewali *Jeszcze Polska nie zginęła*. Pisze też o ludziach, którzy w tej nowej społeczności pijaka się wyparli – ten



„pan”, „sublokator” okazuje się wujkiem, bratem matki Marysi i Tadzia, towarzyszy dziecięcych zabaw narratora. Smutek emigracyjnego losu przyćmiewa jakże ludzka potrzeba dopasowania się. Nie w orle białym i nie w opowieści o pierwszych Piastach tkwi jedyne źródło bolesnej zadry w duszy, lecz także we wstydzie, zdradzie i kłamstwie, w opuszczeniu i wreszcie w pozostawieniu się samemu sobie.

Pośród książek o świecie i życiu minionym, zabranych ze sobą w podróż, pośród książek o emigracyjnym losie, Skrzynecki, syn emigrantów, opowiada swoje historie w sposób zadziwiająco pogodny. Oczywisty tragizm losów niektórych bohaterów nie uderza czytelnika z taką mocą, z jaką ma to miejsce w powieściach Kosińskiego czy utworach Janusza Głowackiego. Cena za łatwiejsze życie na nowym kontynencie bywa i tutaj ceną życia, jednak – niczym w będącym mottem tego zbioru fragmencie *Pana Tadeusza* – czas i oddalenie wszystko czynią możliwym do ogarnięcia, zrozumienia, zniesienia. Upływ czasu zmienia proporcje tak, jak oddalanie się pasma górskiego zmienia krajobraz. Ów dystans czasowy i przestrzenny, dzielący autora *Bezdomnych psów* od typowych emigrantów, najbardziej różni go od polskich pisarzy, którzy sami są lub byli emigrantami.

Stąd też, pomiędzy bolesnymi sprawami, jest w tej prozie dużo miejsca na ciepło, na bliskość, na miłość, na błędy wreszcie, za które nie płaci się najwyższej ceny. W kraju, gdzie Boże Narodzenie uczcić można kąpielą w oceanie, wszystko może się na nowo ułożyć. Nie brak tej prozie fi-

lozoficznego dystansu, nie ma jednak stoicyzmu, bohaterowie żyją, by czuć; takie życie wydaje się im chyba jedynym możliwym do przyjęcia. I w tym miejscu ukrywa się bodaj najpiękniejszy element świata *Bezdomnych psów* – polskość, która jest rzewną sentymentalnością, która wszelkie sprawy powierza opatrności, i polskość, która jest czułością „dla praków i kamieni”, jak pisał poeta. Tacy jesteśmy i taką polskość zabieramy ze sobą na każdy kraniec świata.

Wspaniale, że tę książkę, jakże inną od prozy choćby Jerzego Kosińskiego, u nas wreszcie wydano. Co więcej, jak pisze tłumaczka, emigracyjną literaturę dawno już w Australii doceniono, a dorobek Skrzyneckiego jest w Australii lekturą maturzystów. Tym goręcej warto polecić ten odległy geograficznie, lecz prawdziwy i bliski kontakt z polskością i bardzo dobrą literaturą zarazem.

Izabela Luzar

Peter Skrzynecki, *Bezdomne psy*. Kraków, Wydawnictwo Edukacyjne, 2005, 220 s.

Poezja świadectwa i sprzeciwu

12 grudnia 2005 r. w przeddzień 24. rocznicy wprowadzenia stanu wojennego, w Śródmiejskim Ośrodku Kultury odbyła się promocja książki Anny Skoczek *Poezja świadectwa i sprzeciwu. Stan wojenny w twórczości wybranych polskich poetów*. Książka ta, wydana w 2004 r. przez wydawnictwo SMS, jest wersją rozprawy doktorskiej napisanej pod kierunkiem prof. Tadeusza Budrewicza i obronionej w Akademii Pedagogicznej w roku 2000. Praca jest jednym z nielicznych, na pewno zaś najświeższym, opracowaniem poezji okresu stanu wojennego. Imponuje szczególnie niezwykle bogatą bazą źródłową, stanowiącą punkt wyjścia dla rozważań Autorki. Złożyło się na nią około tysiąca wierszy, wydanych w osobnych autorskich tomikach oraz w antologiach, a także opublikowanych obecnie w internecie. Tom uzupełniony został bibliografią, podwójną zresztą. Anna Skoczek zestawiała bowiem w bibliografii podmiotowej publikacje poezji stanowiącej przedmiot jej zainteresowania – w przeważającej liczbie materiały drugiego obiegu. Natomiast w bibliografii przedmiotowej znalazły się, naturalnie, opracowania dotyczące poezji stanu wojennego.

„Historia naszego narodu, pełna tragicznych epizodów, niejednokrotnie nakazywała ludziom pióra: <<masz zapisywać fakty>>, a ze świadka wydarzeń czyniła autora literackich relacji.

Zwłaszcza dzieje powojennej Polski, obfitujące w zakręty i przełomy, by wymienić rok 1956, 1968, 1970 i lata 1980–81, nakładały na pisarzy

takie zadanie. Piśmiennictwo narodowe, oprócz funkcji artystycznych ewokowało treści etyczne, było też zapisem rzeczywistości, świadectwem czasu. Przeżycia, doświadczenia, wrażenia przechowywane w formie dziennika, pamiętnika, listu, wiersza tworzą literaturę dokumentu osobistego. Poezja, proza stając się świadectwem czasu, nie traciła swej autonomicznej roli; komentując rzeczywistość, skoro taki był wymóg chwili, pozostawała bliżej życia i bliżej człowieka uwikłanego w zamęt historii” – pisze Autorka (s. 39).

Tak postrzegając twórczość poetycką okresu stanu wojennego, poddaje ją Anna Skoczek gruntownej analizie. I łączy przy tym kompetencję historyka i literaturoznawcy z talentem popularyzatora. Toteż książka może, a nawet powinna, zainteresować nie tylko historyków literatury, ale również młodzież szkolną, która wydarzenia stanowiące kanwę dla omawianych utworów zna przede wszystkim z podręczników.

Zapewne z tego powodu w grudniowym spotkaniu, prowadzonym przez Stanisława Dziedzica, licznie uczestniczyli uczniowie z Zespołu Szkół Ponadgimnazjalnych nr 2 w Brzesku. I to nie tylko jako słuchacze, ale również recytując wybrane utwory poetyckie.

MG

A. Skoczek, *Poezja świadectwa i sprzeciwu. Stan wojenny w twórczości wybranych polskich poetów*. Wydawnictwo SMS



Nowości Wydawnictwa Naukowego Akademii Pedagogicznej



przedstawia Jolanta Grzegorek

**ul. Podchorążych 2
30-084 Kraków
tel./fax (012) 662-63-83
tel. (012) 662-67-56
<http://www.wydawnictwoap.pl>
e-mail: wydawnictwo@ap.krakow.pl**

PIOTR BOREK

Instytut Filologii Polskiej

Od Piławiec do Humania. Studia staropolskie

Materiał zgromadzony przez autora można uznać za rewelacyjny, trzeba też docenić wnikliwość jego rozważań i dociekań, jego kwalifikacje i jako historyka literatury, i jako historyka. Zaslugą autora jest wydobywanie bardzo wielu tekstów ze zbiorów lwowskich.

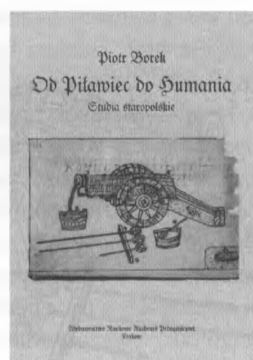
Jerzy Starnawski

Książka skupia się na wybranych wydarzeniach historii stosunków polsko-ukraińskich z lat 1648–1768. Materiałowa praca oparta głównie na rękopiśmiennych przekazach i starych drukach przybliży współczesnemu odbiorcy czasy militarnych konfrontacji sąsiadujących narodów oraz stereotypy związane z zagadnieniami: wojny, wroga, małej i dużej ojczyzny oraz bożej opatrności. Ponieważ przedmiot pracy stanowią dzieła zapomnianych lub niedocenionych pisarzy, wprowadzono obszerny aneks, którego celem jest przybliżenie dorobku barokowych twórców *minorum gentium*.

Zawartość: Część I: Piórem epika; Część II: Piórem diarysty i epistolografa; Aneks; Bibliografia; Indeksy

Zakres tematyczny: historia literatury polskiej, historia Polski

Prace Monograficzne nr 427, format B5, 376 s.



EDWARD STACHURSKI

Instytut Filologii Polskiej

Słownictwo „Pana Tadeusza” Adama Mickiewicza na tle tekstów innych poematów romantycznych

Monografia Edwarda Stachurskiego to dzieło znakomite i bardzo wartościowe, zarówno pod względem obszerności materiału badawczego, oryginalności pomysłu, jak i zastosowanej konsekwentnie metodologii statystycznych badań słownictwa.

Zofia Cygał-Krupa

Autor, przy pomocy metod językoznawstwa statystycznego, opracowuje najpierw słownik frekwencyjny epopei Mickiewiczowskiej, następnie analogiczne słowniki dla siedmiu innych utworów epiki romantycznej. Następnie, stosując „przesiewanie leksykalne”, porównuje liczbę haseł wspólnych i liczbę leksemów wspólnych, ustalając w ten sposób rozmiary filiacji leksykalnej epopei narodowej i innych poematów romantycznych, a także właściwości leksykalne języka samego Mickiewicza.

Zawartość: Część I. Porównawcza analiza słownictwa poematów romantycznych; Część II. Słownik frekwencyjny epiki romantycznej; Bibliografia

Zakres tematyczny: historia i teoria literatury, językoznawstwo

Prace Monograficzne nr 424, format B5, 262 s.

KAZIMIERZ KAROLCZAK (red.)

Instytut Historii

Lwów. Miasto – społeczeństwo – kultura.

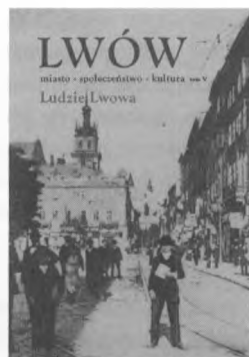
Studia z dziejów Lwowa. Tom V. Ludzie Lwowa

Kolejny tom serii na temat Lwowa poświęcony jest osobom (Polakom, Ukraińcom, Żydom, Ormianom) kształtującym w ciągu wieków oblicze miasta, budującym jego swoisty fenomen kulturowy i trwającą do dziś legendę. Prezentuje sylwetki uczonych, kronikarzy, polityków, duchownych, ale także rody wpisane swym życiem i dokonaniem w jego historię. Zawiera 26 artykułów przygotowanych przez historyków polskich, ukraińskich oraz przebywającego we Lwowie Amerykanina z Uniwersytetu w Ohio.

Zawartość: I. Uczni, kronikarze, politycy i...; II. Duchowni; III. Rodziny i rody; IV. Portrety zbiorowe środowisk zawodowych, kulturalnych i społecznych

Zakres tematyczny: historia, socjologia, etnologia, biografie

Prace Monograficzne nr 430, format B5, 432 s.



LIDIA KOWKIEL

Instytut Informacji Naukowej i Bibliotekoznawstwa

Prywatne księgozbiory na Grodzieńszczyźnie w pierwszej połowie XIX wieku

Autorka odnalazła i przebadła kilkadziesiąt nieznanych lub zapomnianych rękopiśmieniowych i drukowanych inwentarzy, katalogów oraz innych spisów zbiorów prywatnych. Na tej podstawie opisała ponad sto księgozbiorów, bardzo zróżnicowanych pod względem wielkości i zawartości. W kolejnych rozdziałach autorka charakteryzuje właścicieli, sposoby gromadzenia książek, zbiory oraz późniejsze losy księgozbiorów.

Zawartość: I. Zbieracze książek; II. Sposoby gromadzenia księgozbiorów; III. Struktura księgozbiorów; IV. Losy księgozbiorów; Aneks

Zakres tematyczny: bibliotekoznawstwo, księgoznawstwo, historia

Prace Monograficzne nr 429, format B5, 222 s.

MARIAN ŚNIEŻYŃSKI

Instytut Nauk o Wychowaniu

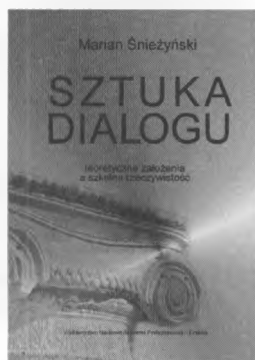
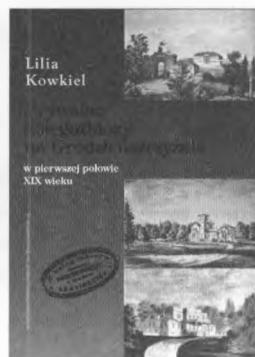
Sztuka dialogu. Teoretyczne założenia a szkolna rzeczywistość

Książka dotyczy zagadnień dialogu w pracy dydaktyczno-wychowawczej szkół. Dialog stanowi metodę przygotowywania wychowanków do życia w społeczeństwie demokratycznym oraz jest instrumentem dydaktycznym i wychowawczym kształtującym uczniów, wyznaczającym poziom i jakość kontaktów uczniów z innymi osobami. Autor dokonuje analizy form dialogicznych: pracy w grupach, lekcji problemowych, pogadanki, dyskusji, pracy z tekstem, „burzy mózgów”, metody sytuacyjnej, metody trybunału, metody gier dydaktycznych. Publikacja skierowana jest do nauczycieli i studentów pedagogiki.

Zawartość: I. Założenia badawcze; II. Komunikacja interpersonalna podstawą kształtowania szkolnych relacji; III. Relacje interpersonalne fundamentem dialogu edukacyjnego; IV. Dialog edukacyjny zwornikiem komunikacji i relacji interpersonalnych w szkole; V. Formy i metody wspólnego dochodzenia do prawdy; Bibliografia; Aneks

Zakres tematyczny: pedagogika, szkolnictwo

Prace Monograficzne nr 426, format A5, 192 s.



IRENA ADAMEK

Instytut Pedagogiki Przedszkolnej i Szkolnej

Programy kształcenia zintegrowanego a standardy ich konstruowania

Opracowanie potrzebne nie tylko autorom programów zintegrowanej edukacji wczesnoszkolnej, ale także czynnym zawodowo nauczycielom tego etapu kształcenia oraz studentom pedagogiki, przygotowującym się do pracy w klasach I–III szkoły podstawowej. Przykładowe analizy wybranych programów są wzorem dla nauczycieli, informują jak i określają na co zwracać uwagę przy wyborze programu kształcenia, by wybór ten był właściwy i świadomy, a nie przypadkowy bądź narzucony.

Zawartość: Rola programu w edukacji; Programy kształcenia zintegrowanego. Analiza podstaw teoretycznych; Struktura celów i ich operacjonalizacja; Strategie dydaktyczne w programach kształcenia zintegrowanego; Pedagogiczna interpretacja programów przez nauczycieli-praktyków; Wnioski dla praktyki; Literatura; Aneks

Zakres tematyczny: pedagogika wczesnoszkolna, oświata, szkolnictwo

Prace Monograficzne nr 423, format A5, 108 s.



BARBARA KĘDZierska

Europejskie Centrum Edukacji Multimedialnej i Informatycznej

Informatyczne kształcenie i doskonalenie nauczycieli

Publikacja adresowana jest do całego środowiska zajmującego się kształceniem i doskonaleniem nauczycieli. Autorka podkreśla, że technologie informacyjno-komunikacyjne powinny stanowić integralną część systemu edukacyjnego. Bez względu na przedmiot, jakiego uczą, nauczyciele powinni bowiem umieć integrować w procesie dydaktyczno-wychowawczym metody i techniki komputerowe.

Zawartość: 1. Przemiany współczesnej edukacji; 2. Metody i techniki komputerowe w procesie kształcenia; 3. Metodologia badań własnych; 4. Aktualny stan przygotowania nauczycieli do wykorzystania metod i technik komputerowych w procesie nauczania; 5. Model informatycznego kształcenia nauczycieli; 6. Przydatność modelu w zmieniającej się rzeczywistości; Bibliografia

Zakres tematyczny: oświata, szkolnictwo, doskonalenie nauczycieli

Prace Monograficzne nr 423, format A5, 180 s.

WALDEMAR SZAROMA

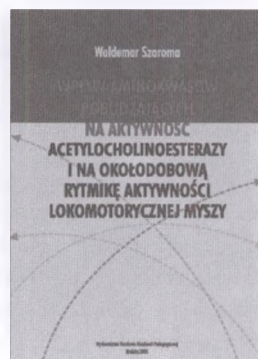
Instytut Biologii

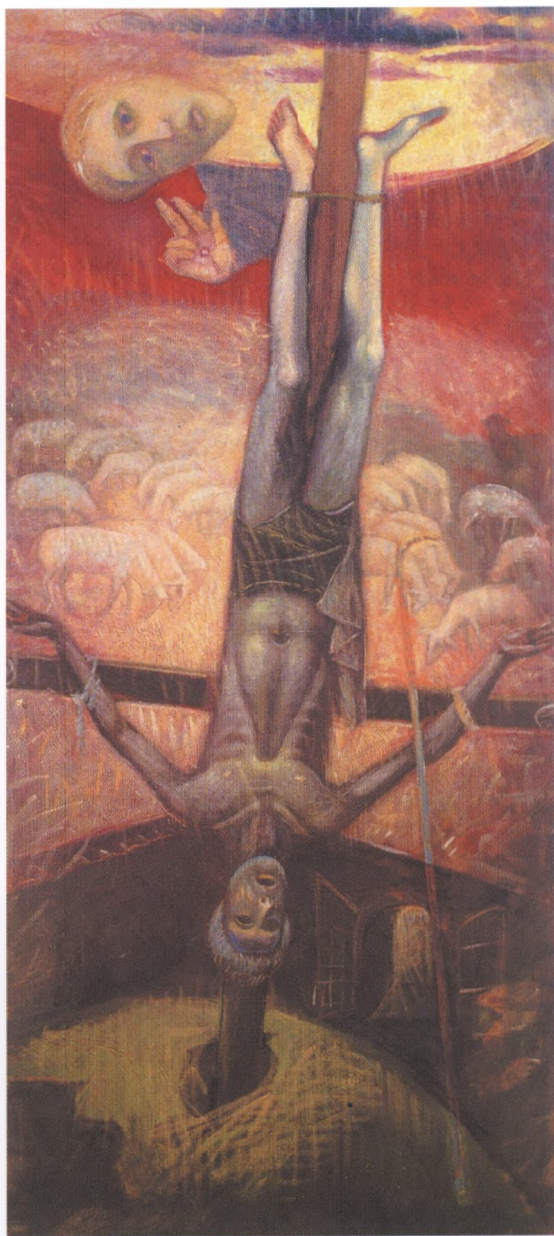
Wpływ aminokwasów pobudzających na acetylocholinoestazy i na okołodobową rytmikę aktywności lokomotorycznej myszy

Praca z pogranicza farmakologii i fizjologii. Autor zastosował bogaty repertuar agonistów i antagonistów receptorów cholinergiczných i glutaminianergiczných, które wstrzykiwał myszom, a następnie badał wpływ tych substancji na aktywność acetylocholinoestazy (AChE) w mózgu, mięśniu szkieletowym, mięśniu serca i w ścianie jelita cienkiego tych zwierząt. W odrębnych doświadczeniach badany był wpływ powyższych substancji na spontaniczną aktywność ruchową myszy.

Zakres tematyczny: biologia, fizjologia, farmakologia

Prace Monograficzne nr 422, format B5, 188 s.





Eugeniusz Mucha
Ukrzyżowanie Piotra, 1993
akryl/plótno, 270 x 130 cm



Eugeniusz Mucha

Ojciec, ok.1985, olej/plótno, 100 x 73 cm